

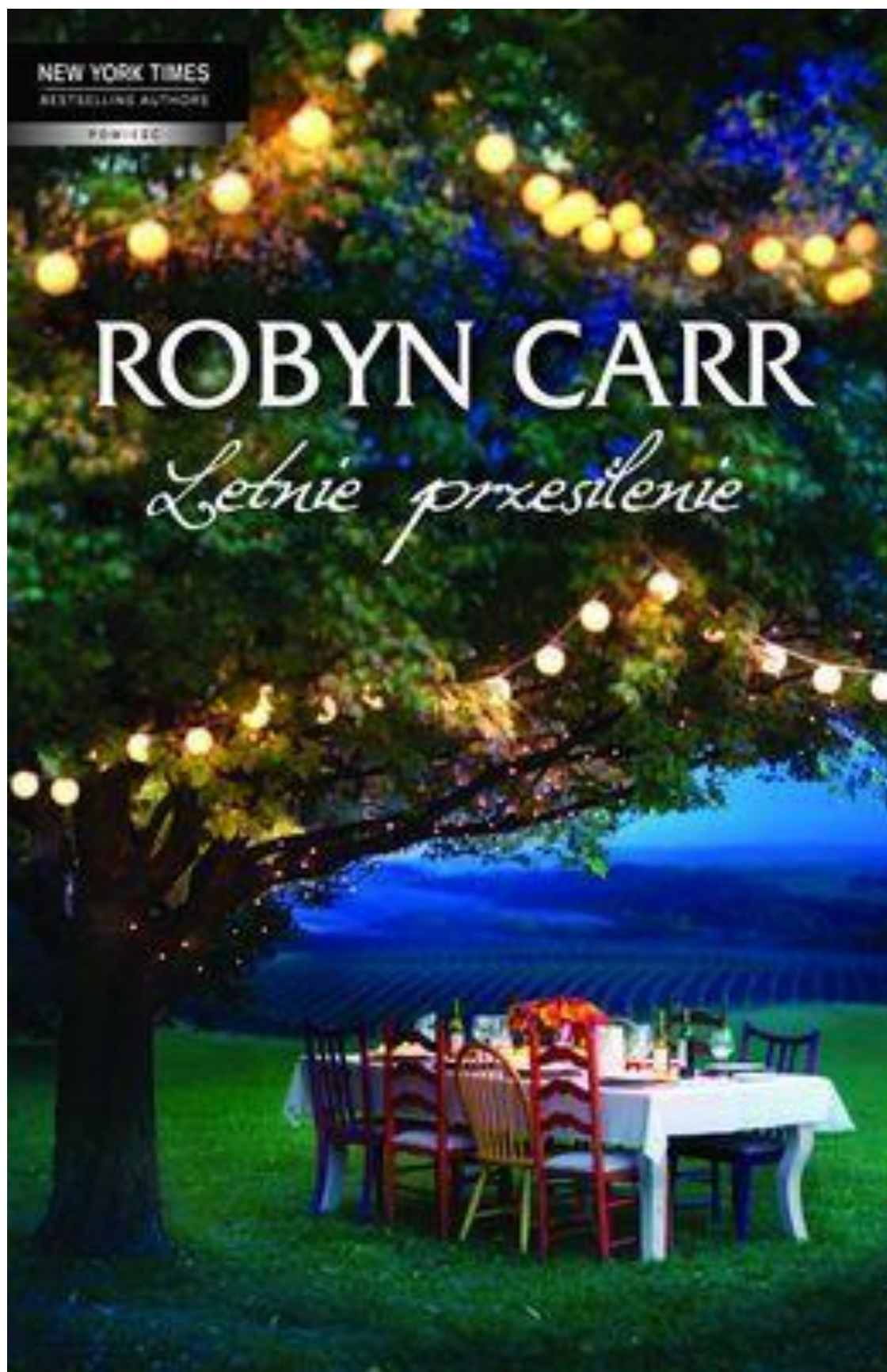
NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHOR

POWIŚĆ

ROBYN CARR

Letnie przesilenie



Carr Robyn

Letnie przesilenie

Są najlepszymi przyjaciółkami już od szkolnych czasów. Lecz tego lata, gdy dobiegają trzydziestki, te cztery kobiety będą potrzebować siebie nawzajem bardziej niż kiedykolwiek.

Cassie po feralnej randce ma dość mężczyzn. Jednak w głębi duszy marzy o spotkaniu tego jedyne. Do tej roli niezbyt pasuje długowłosa motocyklista, Walt Arneson. Dlaczego więc przejażdżki na jego harleyu są takie ekscytujące? Julie poślubiła swoją licealną miłość zbyt młodo i teraz zastanawia się, kiedy w jej życiu najważniejsze stały się pieluchy i ciekące krany. Niezapłacone rachunki i stale pogłębiające się kłopoty finansowe stawiają pod znakiem zapytania jej uczucie do męża.

Marty ma inny problem: jej mąż, kiedyś prawdziwy romantyk, dziś zapomniął zupełnie o urokach flirtu i zdaje się nie widzieć w tym problemu. Tym bardziej kusi ją możliwość powrotu do pierwszej miłości - chłopaka z liceum, który pamięta, jak uwodzić kobietę.

Na Beth, dotąd oddaną pracy lekarce, zastawia pułapkę jej własne ciało. Gdy zawodzi ją powtórnie, Beth staje się trudną pacjentką. Co więcej, zataja prawdę przed przyjaciółkami.

Życie może odmienić jedna chwila... lub jedno lato. Cztery przyjaciółki wiedzą jednak, że mogą na siebie liczyć w każdych okolicznościach...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O wpół do ósmej Cassie i Ken wyszli z baru. Był czerwcowy wieczór, zmrok zapadał szybko. Ken zaborczo przygarnął Cassie i pocałował żarliwie. Och, co za pocałunek! – zdążyła pomyśleć, nim poczuła dłonie Kena zmierzające do jej piersi. Wtedy odepchnęła go.

– Hej, koleś, nie tak szybko! – Roześmiała się nerwowo. – Nie sądzisz, że trochę przesadziłeś?

– Przepraszam. Przyglądałem ci się i pomyślałem... no, sama wiesz...

– No to już nie myśl. Sprawdziłeś, że jestem kobietą i stop. To jak z naszymi planami? Mieliśmy iść na koncert do parku.

– Mhm, koncert... – Też się roześmiał. – Przepraszam. – Poprowadził ją do swego samochodu.

– Kobietom nie przeszkadza, że facetom chodzą po głowie różne zuchwałe pomysły, ale od pomysłu do... Cóż, zakładam, że znasz umiar.

– Oczywiście, Cassie.

– To dobrze. Bo dla mnie to za szybkie tempo.

Samochód Kena stał w najdalszym kącie parkingu. Czyli przejmuje się swoim autem, uznała. Woli nie ryzykować, że ktoś mu zadrapie karoserię. Gdy wsiedli do środka, Ken włączył silnik, jednak nie wrzucił biegu, tylko pochylił się ku Cassie i zaczął delikatnie gładzić ją po ramieniu. Tak naprawdę wymuszał na niej buziaka, ale przynajmniej nie robił tego na siłę, dawał jej czas. Musnęła jego usta. Odpowiedział tym samym, lecz gdy cofnęła się, nie kryjąc zdenerwowania i bez słów mówiąc „stop!”, mocniej chwycił jej ramię.

– Cassie – wyszeptał gorączkowo. – Może zmienimy plany? Darujmy sobie ten koncert...

– Nie. Nastawiłam się na słuchanie muzyki. – Serce zabiło jej szybciej. Taki rozwój wypadków coraz bardziej ją niepokoił.

– Proszę, Cassie. Może jednak? Naprawdę nie pożałujesz, zobaczysz...

Po pracy w kilka osób poszli na drinka i właśnie wtedy poznała Kena. Świetnie im się gadało. Ona była pielęgniarką na ostrym dyżurze, on ratownikiem medycznym w straży pożarnej. Dotąd się z nim nie zetknęła, lecz często współpracowała ze strażakami i miała o nich jak najlepsze zdanie. Ken był uprzejmy i otwarty na innych, dlatego zrobił na niej dobre wrażenie. Przystojniak z poczuciem humoru. Nie działała na oślep, była ostrożna. Ken zachował się jak dżentelmen, odprowadził ją do samochodu, a na pożegnanie lekko uściśnął. Dopiero wtedy dała mu swój telefon i powiedziała, że mogą spotkać się na kawie. Odbyli kilka rozmów, poznali się lepiej. Wreszcie przystała na ten koncert. Nie chciała, by Ken po nią przyjeżdżał, dlatego umówili się w barze, bo w tłumie amatorów muzyki trudno byłoby się znaleźć. Była pewna, że ma do czynienia z dżentelmenem, ale Ken bardzo ją zaskoczył. Musi go szybko przywołać do porządku. Owszem, facet jej się spodobał, ale to jeszcze nie znaczy, że jest gotowa na coś więcej.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. – Trzymała rozpostarte dłonie na jego piersi, odpychała. – Chcę iść na koncert. Jest piękny wieczór. Na to, co tobie chodzi po głowie, parking nie jest odpowiednim miejscem...

Ken brutalnie odepchnął ręce Cassie i przypiął się do jej ust. Walczyła, odpierała atak, wydając zdławione odgłosy, on zaś, ku jej zdumieniu, przemieszczał się na jej stronę. Choć był wysoki, poszło mu to nadzwyczaj sprawnie. Już był nad nią!

– Hej! – wykrzyknęła, gdy odsunął na moment usta. – Co ty wyrabiasz? – Gorączkowo oceniała sytuację. Obok stało kilka samochodów, ale to był najdalszy kraniec parkingu, a przez przyciemnione okna niewiele było widać. Jak to możliwe? Taki porządny facet! Ratownik! Jak mąż jej najlepszej przyjaciółki! Znała wielu ratowników, wszyscy porządni, uczciwi, wyjątkowi ludzie! Wciskał ją w fotel, brutalnie wpijając się w usta. Odpiął jej pas. Próbowwała się opierać, lecz protesty na nic się nie zdawały. Szarpała się, rozpaczliwie szukając wyjścia z tej nieprawdopodobnej sytuacji. Czyżby Ken zamierzał ją zgwałcić na przednim siedzeniu terenówki?! Była w szortach, więc nie pójdzie mu z nią łatwo! Nagle poczuła, że fotel powoli się opuszcza. Ken wiedział, że gdy będzie leżała, łatwiej zedrze z niej ubranie. Jeśli mu się uda, a na jej ciele nie zostawi sińców czy zadrapań, będzie twierdzić, że do niczego jej nie zmuszał. W pracy była świadkiem wielu takich historii. Ofiary gwałtów składały wyczerpujące relacje, zaś spisujący je policjant często nie ukrywał sceptycyzmu. O Boże! Na dowód swych słów musi mieć na sobie ślady przemocy! Zaczęła kopać, odpychać Kena, szarpać się na wszystkie strony.

– Przestań! – zareagował ostro. – Wystarczy, uspokój się. Oboje dobrze wiemy, czego chcemy!

– Odejdź ode mnie, łajdaku!

– Och, Cassie... – Roześmiał się, jakby ta obelga wydała mu się czułym słówkiem. – Chodź, kotku. Ależ ty mnie kręcisz!

– Oszalałeś! Puść mnie! Spadaj! I to już!

– Spokojnie, opamiętaj się, wyluzuj...

– Nie! – wydarła się na cały głos. Wiedziała, że musi walczyć do upadłego i narobić jak najwięcej hałasu. Pchnęła go, a drugą ręką próbowała odnaleźć klamkę. Nie udało się, więc z całej siły walnęła w szybę, mając nadzieję, że ją roztrzaska. Wywijała się przy tym przed pocałunkami Kena, wrzeszcząc, ile sił w płucach. Spróbowała uderzyć go głową, lecz Ken złapał ją mocno za barki i roześmiał się, rad z takiego obrotu sprawy. Cassie wciąż szarpała się tak gwałtownie, że samochód się rozkołysał. Ken chciał złapać ją za nadgarstek, ale była szybsza i rąbnęła go w oko. Zawył z bólu, lecz nie uderzył jej. Cassie nie przestawała rozpaczliwie walić w szybę i krzyczeć. Jeśli nie wyskoczy z samochodu, Ken wreszcie wygra, a potem gdzieś ją wywiezie i będzie mógł z nią zrobić wszystko!

Naraz ktoś załomotał w szybę.

– Hej! – rozległ się głęboki męski głos. – Hej!

– O Boże! – Wstąpiła w nią nadzieja. – Na pomoc! – zawołała. – Na po... – Nie dokończyła, bo Ken zasłonił jej usta.

Odrobinę opuścił szybę.

– Daj sobie spokój, stary. Jesteśmy zajęci! – Podniósł szybę. Cassie z całej siły ugryzła go w rękę. Ken skoczył tak raptownie, że huknął głową w sufit. Słyszała, że stojący na zewnątrz mężczyzna próbuje otworzyć drzwi. Po chwili rozległo się głucho uderzenie w szybę. Hartowane szkło nie rozprysło się, tylko popękało, przez co wyglądało jak pokryte pajęczyną. Jedyne w miejscu uderzenia był niewielki otwór. Patrzyła, jak jakiś ostry przedmiot, chyba klucz, zaczyna go rozwiercać. Okruchy posypały się do środka. Ken przesunął się na swoje miejsce.

– Człowieku, czyś ty zwariował? – wykrzyknął ze złością.

W otworze pojawiła się masywna dłoń, która błyskawicznie odblokowała zamek i otworzyła drzwi. Cassie wypadła na zewnątrz, popatrzyła na swego wybawcę... i aż się zachłysnęła. O Boże! Kogo bardziej powinna się bać? Przed nią stał olbrzym w białym obcisłym podkoszulku i kamizelce z czarnej skóry ozdobionej łańcuchami. Na przedramieniu miał wytatuowaną nagą kobietę. Do tego długie baczki i podkreścone do góry wąsy, włosy związane w kucyk.

Pomógł jej wstać, po czym spytał złowrogim tonem:

– Coś ci zrobił? – Jego mina też nie wróżyła niczego dobrego.

Cassie zadarła głowę. Miała metr sześćdziesiąt pięć, a on górował nad nią co najmniej o trzydzieści centymetrów.

– Nie – wykrztusiła. – Tak. To znaczy nie. On... – Nie mogła dokończyć.

Odciągnął ją dalej i obrócił, stając między nią a samochodem.

– Wezwać policję? Może zadzwonić do szpitala? – Wyciągnął komórkę.

– Nie... Zjawiłeś się w samą... w samą porę... – Rozszlochała się gwałtownie. – O Boże!

– Więc może zadzwonić po kogoś? – zapytał łagodnie.

Samochód Kena ruszył z piskiem opon.

– Moja torebka... – jęknęła Cassie.

Tuż przed wyjazdem z parkingu Ken zwolnił i coś wyrzucił przez rozbite okno, po czym samochód przyśpieszył i zniknął w dali.

– Poczekaj. – Olbrzym przeszedł przez parking, pozbierał rozsypane rzeczy i wrócił do Cassie. – Proszę. – Podał jej torebkę.

Popatrzyła na swego obrońcę. Fanatyk motoru. Jego wygląd naprawdę mógł wystraszyć. Anioł Piekieł czy coś w tym stylu. Ale to odpicowany Ken okazał się draniem.

– Boże – wyszeptała. – Naprawdę się tego nie spodziewałam. Gdybyś nie...

– Na pewno nie chcesz powiadomić policji? Zapamiętałem jego numer.

– Nic mi nie zrobił... tylko śmiertelnie przestraszył. Naprawdę nic nie zapowiadało, że tak to się może potoczyć.

– Wyglądało raczej kiepsko.

– I tak było. Gdyby ten drań... – Przerwała gwałtownie. Nie mogła zmusić się, by to powiedzieć.

– Już dobrze, wyluzuj. Na pewno nic ci nie jest?

Drżącymi dłońmi szukała w torebce kluczy.

– Na pewno... – Pociągnęła nosem. – Zaraz się pozbieram.

– Może odprowadzić cię do domu? Upewnić się, czy nic ci nie grozi?

Roześmiała się przez łzy. Tylko tego brakuje, by ten wielki facet dowiedział się, gdzie mieszkam! – pomyślała. Bez sensu... W ogóle wszystko wydawało się jej bez sensu.

– Nie pojedę do domu, tylko do przyjaciółki. Ma owczarka niemieckiego i wysportowanego, silnego męża.

– Może jednak zadzwonię na policję?

– Ona ma też trójkę dzieci – dodała Cassie.

– No tak, to mnie przekonuje. – Roześmiał się tubalnie. – Każdy będzie trzymał się z daleka.

Cassie też się roześmiała, lecz zaraz zalała się łzami. Rozszlochana upuściła torebkę i oparła się o swego wybawcę.

– Już dobrze, maleńka – mówił uspokajająco. – Wiesz, postawię ci kawę, żebyś trochę ochłoneła przed jazdą.

– Wcale nie... nic nie piłam – wykrztusiła, gdy już odrobinę się opanowała.

– Nie o to mi chodziło. – Podniósł torebkę Cassie, a potem opiekuńczo otoczył ją mocnym ramieniem i poprowadził w stronę baru.

– A jeśli on tu wróci?

– Nie wróci, bo jest tchórzem. Uwierz, nic ci nie grozi. Pójdziemy na kawę, uspokoisz się, a potem pojedziesz do koleżanki. Patrz, jesteśmy już przed barem. Zgoda?

– Naprawdę nie wiem, co robić. – Otarła łzy.

– Ale ja wiem. Napijemy się kawy.

Po chwili siedziała w narożnej łoży, wpatrując się w filiżankę. Na wprost niej siedział wielki motocyklista i też popijał kawę. Nie miała siły unieść głowy. Czuła się wykończona, jak przepuszczona przez maszynkę. Jeszcze nie ochłoneła z przerażenia, choć już nie miała się czego bać. Ta świadomość sprawiała jej ulgę. Wreszcie się pozbierała i popatrzyła w niewiarygodnie niebieskie oczy swego obrońcy.

– Boże, tak mi wstyd – przyznała smętnie.

– Nie masz powodu. Nie ty go zaatakowałaś, więc to on powinien się wstydzić, choć pewnie sumienie go nie ruszyło. Ale na pewno się boi.

– Ciebie?

– To też, ale jeszcze nie jest za późno, by wezwać policję. Mój młodszy brat jest gliną. Teraz nie ma służby, ale i tak możemy zadzwonić. Coś nam poradzi. – Roześmiał się. – Z całej naszej bandy był największym rozrabiaką. Brat w brata łobuziak, ale on... I popatrz tylko, właśnie on został gliniarzem. W dodatku od poważnych spraw. Jest świetny, nikt mu nie podskoczy. – Spojrzał na nią uważnie. – Słuchaj, dobrze znasz tego gościa?

– Jak widać nie. – Przetarła dłońmi twarz. – Poznaliśmy się w barze przez znajomych, później umówiliśmy się na kawę, sporo gadaliśmy przez telefon. Pracuje z ludźmi, których znam. Tak przynajmniej myślałam.

– To znaczy?

– Powiedział, że jest ratownikiem w straży pożarnej, jak mąż mojej przyjaciółki. Znam wielu strażaków, wyglądało, że mamy wspólnych znajomych... Jezu, a jeśli kłamał?

– Tablica rejestracyjna nie kłamie.

– Skąd wiedziałeś, że potrzebuję pomocy?

– Pytasz poważnie czy żartujesz? Słyszałem twoje krzyki, samochód chodził na wszystkie strony. Poza tym byliście na przednim siedzeniu. Poszlibyście na tył, gdyby to był wspólny pomysł. Dobrze się więc stało, że postanowiłem sprawdzić.

– Czym wybiłeś okno? – Gdy podniósł rękę i popatrzył na spuchnięte, zakrwawione kłykcie, szepnęła: – A niech to... Jak się czujesz?

– W porządku. Nic mi nie będzie. – Uśmiechnął się. – Może będzie mnie ścigał za wyrządzone straty? Bardzo bym chciał. Aha, jestem Walt. Walt Arneson.

– Cassie. – Na moment przymknęła oczy. – Pewnie myślisz, że jestem skończoną idiotką.

– Niby dlaczego?

– Wydawało mi się, że jestem ostrożna. Wprawdzie nie zatrudniłam detektywa, by przeświecił tego typka, ale spotkałam się z nim kilka razy na neutralnym gruncie, przegadaliśmy mnóstwo czasu i nie tknęło mnie, że może być taki. Zgodziłam się z nim spotkać. I dałam się pocałować.

– Cassie, spokojnie. To nic takiego. Czasami nie da się z góry przewidzieć...

– To co powinno się zrobić? – spytała bardziej siebie niż Walta. – Zdarzało mi się spotykać z różnymi facetami, ale nigdy nie trafiłam na takiego.

– Ponoć najczęściej sprawcą napaści jest osoba znana ofierze.

– Napaść... Tak, to właściwe określenie.

– Jasne, że tak... Zaraz, a on wie, gdzie mieszkasz?

– Nie dałam mu adresu, ale zna moje nazwisko, wie, gdzie pracuję i mniej więcej orientuje się, w jakiej okolicy mieszkam...

Walt podał Cassie wizytówkę. Przebiegła ją wzrokiem. Salon motocyklowy.

– Gdybyś potrzebowała świadka, koniecznie zadzwoń. Z radością bym mu coś jeszcze uszkodził.

– Pracujesz w branży motocyklowej? Naprawiasz harleye i hondy?

– Mhm. Nie tylko motory, ale to moja specjalność.

– Ilu mechaników ma służbowe wizytówki?

– Pewnie więcej niż przypuszczasz. Motocykle to wielki biznes. Ludzie są bardzo czuli na punkcie swoich maszyn.

– A ty się na nich znasz.

– Od małego mam bzika na ich punkcie. To już jakieś szesnaście lat, może więcej. – Zmarszczył brwi, patrząc na dłoń, w której trzymała filiżankę. – Coś sobie zrobiłaś.

Odstawiła kawę, popatrzyła na swoją rękę. Jedna z kostek była sina i spuchnięta.

– Rąbnęłam go w twarz. – Uśmiechnęła się ni to chwacko, ni to niepewnie. – Celowałam w oko. I trafiłam.

– Świetnie! Na pewno zabolalo! – Wyraźnie się ucieszył.

– Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko, to już bym się ulotniła.

– Nie ma sprawy. – Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął portfel.

– Ja zapłacę, proszę – powiedziała, grzebiąc w torebce. – Przynajmniej to mogę...

– To już załatwione. Odprowadzę cię do samochodu.

– Hm, nie obraż się, ale wolałabym pójść sama.

– Jasne – powiedział łagodnie. – Znam właściciela baru. Mogę poprosić, by ktoś z obsługi poszedł z tobą na parking. Poczulałabyś się bezpieczniej.

– Nie, naprawdę nie. Dzięki za wszystko. – Wyślizgnęła się z łoży.

– Cassie, dałem ci moją wizytówkę, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie i powiadomiła policję. Albo gdyby on zaczął ci robić jakieś problemy.

– Tak... i dziękuję. I przepraszam, ale...

– Rozumiem, nie ma sprawy. Bądź ostrożna.

Z mizernym uśmiechem wyszła z baru. Na zewnątrz było ciemno i ani żywej duszy. Ledwie zrobiła kilka kroków, ogarnęła ją panika. Szybko wróciła do Walta.

– Przepraszam, ale czy mógłbyś jednak mnie odprowadzić? Tam jest tak...

– Oczywiście. Z przyjemnością. Masz komórkę?

– Tak.

– Nic się nie martw, będzie dobrze. – Wziął ją pod ramię i wyszli z baru. – Zablokuj drzwi, miej pod ręką komórkę i spoglądaj w tylne lusterko. Ale gwarantuję, że on da ci spokój. Przecież zostawił cię ze mną. – Zaśmiał się. – Pamiętaj, że znam jego numer.

– Nie zapisałeś go.

– XKY936, zielonkawoniebieski chevrolet tahoe. Dobrze ci zrobi, jeśli pojedziesz do przyjaciółki, wyżalisz się, pobędziesz z ludźmi, których dobrze znasz. Ten twój amoroso na pewno będzie udawał, że nic się nie

stało. Jeśli zadzwoni czy do ciebie wpadnie, od razu alarmuj policję. I mnie. Wszystko im opowiem, ze szczegółami, koleś nie ma szans.

– Dzięki. Jesteś bardzo miły.

– Zrobiłabyś to samo. – Podeszli do samochodu. – Wciąż jesteś roztrzęsiona, więc jedź ostrożnie.

– Tak. Dziękuję, Walt.

Pojechała do Julie, najbliższej przyjaciółki, z którą znały się od siódmej klasy. W wieku dziewiętnastu lat Julie wyszła za mąż i urodziła trójkę dzieci. Cassie miała dwadzieścia dziewięć i nadal była panną. Julie i Billy chodzili z sobą od pierwszej klasy liceum. Byli jak z obrazka: gwiazda drużyny futbolowej i gwiazda zespołu cheerleaderek. Po prostu idealna para. Ostatnio trochę darli z sobą koty, ale zawsze dochodzili do porozumienia. Nic dziwnego, że czasem zawodziły ich nerwy, bo trójka dzieci i pies potrafiły niezłe zająć za skórę. Dałaby wiele, by mieć przy sobie kogoś takiego jak Billy. Nie wzdychała do niego, traktowała jak brata, a Julie była dla niej jak siostra. Mimo to...

Zza zamkniętych drzwi dobiegały hałasy. Było wpół do dziewiątej, więc Julie właśnie zapędzała dzieci do łóżek.

Nacisnęła dzwonek.

– Co tu robisz? – zdumiała się Julie. – Nie jesteś na randce?

– Mogę wejść?

– No jasne! Chyba cię nie wystawił, co?

– Gorzej, znacznie gorzej. – Weszła do przedpokoju. Już stąd widziała panujący w domu bałagan. Julie też wyglądała marnie. Jasne włosy przylizanymi pasmami opadały jej na oczy, nieumalowana, bosy, w

podkoszulku i szortach. Między kuchnią a bawialnią biegały rozebrane maluchy, za nimi gonił owczarek niemiecki i poszczekiwał wesoło.

– Cassie! – Radośnie rzuciły się do niej, łapiąc ją za nogi.

– Co się stało? – naciskała Julie.

– Napiję się wina, jeśli ci zostało. Potem wszystko opowiem. – Stłumiła szloch. – Wolałabym nie wracać do domu. Połóż dzieciaki, bo zdemolują dom. – Ucałowała maluchy.

– W lodówce jest butelka, którą niedawno przyniosłaś. Nie wyglądasz najlepiej. – Niestety Julie mogłaby to samo powiedzieć o sobie.

– Zaraz się pozbieram.

Dzieci puściły ją i pobiegły za mamą. Cassie rzuciła torebkę na krzesło i ruszyła do kuchni, by zaraz gwałtownie zawrócić do drzwi i przekręcić zasuwkę. Wyjęła kieliszek i nalała białego wina. Od jakiegoś czasu zwykle przynosiła z sobą butelkę, jako że Julie i Billy ledwie wiaźali koniec z końcem i nie stać ich było nawet na tak drobne przyjemności jak trochę wina na koniec długiego, ciężkiego dnia. Billy miał dwie prace, a Julie prowadziła dom i wychowywała trójkę dzieci.

Cassie weszła do salonu, usiadła na kanapie, zrzuciła pantofle i wyciągnęła stopy na niskim stoliku. Do pokoju wszedł dziewięcioletni Jeff i usiadł obok niej.

– Pokazać ci, co robię? – zapytał, ustawiając na kolanach laptopa.

Pamiętała, że to brat Julie dał mu swój stary komputer.

– Jasne, że tak. Co tam masz?

– Buduję wieżowce. Widzisz? Między nimi można pływać statkiem albo iść po kładkach.

– Jesteś genialny. Po kim to masz? Może po mnie? Nie, jestem tylko twoją ciocią. Jeff, to jest naprawdę super. – Potargała go po ciemnej czuprynie i pocałowała w skroń. – Już jesteś wykąpany?

– Nie. Zobacz, mogą też latać. – Nacisnął kilka klawiszy, poklikał i między wieżowcami pojawiły się samolociki.

– Mogę spróbować? – zapytała.

Chłopiec pokazał jej, co robić, i przez dobrych dwadzieścia minut świetnie się bawili, aż Julie przyszła po synka. Była pochlapana wodą i jeszcze bardziej padnięta niż wcześniej. Billy był w drugiej pracy. Pracował jako ratownik w straży pożarnej, a po godzinach przycinał w warsztacie drewno i kamień na kuchenne szafki i blaty. Strażacy pełnili służbę przez dwadzieścia cztery godziny, w tym czasie rzadko mogli się zdrzemnąć na dłużej. Billy wracał o ósmej, kładł się na chwilę, potem na kilka godzin szedł do warsztatu, a rano znowu zaczynał służbę. Po czterech dyżurach w ciągu sześciu dni miał cztery dni wolnego. Bardzo sobie to cenił, bo przez ten czas pracował tylko w warsztacie. Mógł sam ustalać swój grafik, co było ogromnym plusem z uwagi na drugą pracę. Nie oszczędzał się, harował od świtu do nocy, bo w budżecie domowym liczył się każdy dolar. Po tych kilku dniach, gdy Julie była zdana na siebie, zawsze była u kresu sił, jak teraz.

Julie zabrała synkowi komputer.

– Możesz się wykąpać, a dopiero potem budować wieżowce?

– Mhm.

– Możesz pozbierać swoje brudne rzeczy i wrzucić je do kosza?

– Mhm.

Wyszli z pokoju, zostawiając Cassie samą.

Poznały się w siódmej klasie i z miejsca się polubiły. Stanowiły dziwną parę. Julie była wysoką, szczupłą blondynką, a przy niej dreptała niska, krągła, ciemnowłosa Cassie. Kiedy kilka lat później ojczym Cassie został służbowo przeniesiony z Kalifornii do Des Moines, nie mogła pogodzić się z myślą, że zostawi szkołę i koleżanki.

Gdy miała osiem lat, mama wyszła za Franka. Miała z nim dwoje dzieci, a gdy Cassie skończyła czternaście lat, trzecie było w drodze. Nie potrafiła nazwać swych uczuć, ale czuła się wyobcowana. Wcześniej były tylko ona i mama, lecz to się zmieniło. Rodzina składała się z mamy, Franka i maluchów oraz z Cassie, trochę intruza czy mówiąc delikatniej – gościa, a przede wszystkim opiekunki do dzieci. W każdym razie tak to odbierała. Po wielu naleganiach i żarliwych prośbach stanęło na tym, że Cassie przeprowadziła się do Julie i zamieszkała z nią w jednym pokoju. Rodzice byli przekonani, że taki układ nie potrwa długo. Albo dziewczynki zaczną się kłócić, albo Cassie zateknie za mamą i przyrodnim rodzeństwem, albo jedno i drugie. Tak się jednak nie stało. Przez całe liceum mieszkały razem i były najlepszymi przyjaciółkami. W wieku piętnastu lat Cassie zaczęła pracować, by zarabiać na siebie. Nie chciała obciążać rodziców, a tym bardziej rodziców Julie. Kupowała sobie ubranie i inne rzeczy, natomiast rodzice opłacali mieszkanie i jedzenie. Po maturze mama Julie wręczyła jej czek. Okazało się, że sumiennie odkładała każdy grosz przysłany przez ojczyma Cassie.

– Jeśli przeznaczysz te pieniądze na studia, to przez cały okres nauki masz u nas darmowe mieszkanie. Jeśli postanowisz coś innego, ustalimy rozsądny czynsz. To wszystko spadło jej jak z nieba. Rodzicom się nie przelewało, jedyne, co dostawała od nich, to bilet na lot do Des Moines na Gwiazdkę czy urodziny. Poszła na studia i została dyplomowaną pielęgniarką. W czasie studiów oczywiście nadal pracowała.

Julie też poszła na studia, ale nie wytrzymała nawet roku. Zaszła w ciążę i wyszła za Billy'ego, miłość swojego życia. Kiedy Julie i Billy przenieśli się do swego pierwszego mieszkania, Cassie została u jej rodziców, zrobiła dyplom i rozpoczęła pracę na ostrym dyżurze. Kiedy skończyła dwadzieścia pięć lat, kupiła niewielki dom. Wybrała taką lokalizację, by mieszkać blisko Julie i Billy'ego, zaledwie kilka minut samochodem. Przygarnęła też Steve'a, wyżła weimarskiego. Przez chwilę miała pomysł, by pojechać po psiaka i przenocować u Julie, lecz zrezygnowała. Kieliszek wina i rozmowa pomogą się jej pozbierać. Nigdy nie zostawiała Steve'a samego. Mimo pięciu lat wciąż był jak szczeniak. Teraz żałowała, że nie nauczyła go groźnie warczeć i szczekać, chociaż z drugiej strony Steve był uroczy właśnie dlatego, że był, jaki był. Minęło sporo czasu, nim Julie wróciła. Z pewnością starała się maksymalnie przyśpieszyć wieczorny rytuał, lecz nie wszystko da się przeskoczyć. Nalała sobie do kieliszka soku jabłkowego, a dla Cassie przyniosła białe wino. Usadowiła się w rogu kanapy. Podwinawszy nogi, popatrzyła na przyjaciółkę.

- Opowiadaj, co się stało. Jesteś blada i w ogóle taka niewyraźna.
- Nie uwierzysz. Sama nie mogę w to uwierzyć. Rzucił się na mnie! W samochodzie, na parkingu przy barze, w którym się spotkaliśmy.
- Co?! – Julie złapała się za głowę. – Co?!
 - W życiu bym się tego nie spodziewała. Najpierw po prostu zamarłam, skamieniałam. Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam go odepchnąć, nie mogłam wydobyć z siebie głosu. – Opowiedziała Julie całą historię, nie omijając żadnych szczegółów.

– Ten drań wskoczył na twoje siedzenie? – dopytywała się Julie, próbując wyobrazić sobie całe zdarzenie.

– Tak. Cholera, a przecież to kawał chłopa. Dopiero potem uświadomiłam sobie, że tam było całkiem sporo miejsca. Wcześniej musiał przesunąć fotele maksymalnie do tyłu, no i zaparkował w najbardziej odludnym miejscu. – Zaśmiała się z goryczą. – Pomyślałam, że boi się, by mu ktoś nie porysował karoserii. Ale nie, on to sobie dokładnie zaplanował. Nie zamierzał iść na koncert, to był tylko pretekst, by mnie tam zwabić.

– O Boże! To szok! Skąd ten motocyklista wiedział, że potrzebujesz pomocy?

– Usłyszał moje krzyki, a samochód bujał się na wszystkie strony. Tak się szarpałam z Kenem, że rozkołysałam terenówkę. – Wyciągnęła rękę.

– Nie wiem, czy to od walnięcia w szybę, czy w jego twarz.

– O cholera! Cassie, nie chcesz zawiadomić policji?

– Zastanawiałam się nad tym. Tylko co by to dało? Często mam do czynienia z ofiarami gwałtu, wiem, jak to działa. Nawet gdy sprawa wydaje się ewidentna, policja często nie może nic zrobić. Co bym im powiedziała? Umówiłam się na randkę, pozwoliłam się pocałować, a on w tym czasie zaczął opuszczać fotel. Nie uderzył mnie, nie tknął mojego ubrania, nie rozpiął spodni... Co z tego, że oboje doskonale wiedzieliśmy, do czego zmierza? To bez znaczenia.

– Ale masz w odwodzie tego faceta...

– Walta. Powiedział, że to była napaść. I rzeczywiście, ale do niczego nie doszło. Raczej usiłowanie napaści. – Wzruszyła ramionami. – Co nie

zmienia faktu, że omal nie umarłam ze strachu. Kiedy usłyszały odgłos otwieranego garażu, Julie z niechęcią popatrzyła w stronę drzwi. Do domu wszedł Billy. Na ubraniu miał smugi trocin. Wyglądał na zmęczonego.

– Wróciłeś wcześniej – zauważyła Julie.

– Skończyłem, co miałem do zrobienia. Mógłbym coś jeszcze znaleźć, ale pomyślałem, że może ci w czymś się przydam.

– Niby w czym, gdy dzieci już leżą w łóżkach? – Roześmiała się cierpko.

– Jezu, nie wiem. Julie... mam pomalować ściany albo wyszlifować podłogi?

Cassie potarła skronie.

– Boże, czy musicie się kłócić akurat teraz?

– Cassie, jesteś świadkiem. Ledwie przekroczyłem próg, nic nie zrobiłem!

– Przychodisz po dziewiątej, żeby mi pomóc!

– Dobra, ja się zmywam. Idę do domu. – Cassie zaczęła wstawać.

– Nie! – Julie złapała ją za rękę. – Masz rację, już się zamykamy. Poza tym musisz opowiedzieć Billy'emu, co się stało.

– Dlaczego? – Ciężko opadła na swoje miejsce.

– Bo gość powiedział, że jest ratownikiem.

– Kto powiedział, że jest ratownikiem? – zapytał Billy, wyjmując z lodówki piwo. Szybko wrócił do pokoju, usiadł i popatrzył na Cassie. – Coś się stało?

Powtórnie opowiedziała całe zdarzenie. Billy oparł łokcie na kolanach, trzymając puszkę. Dopiero gdy Cassie skończyła, pociągnął długi łyk i mruknął:

– A niech to...

– Jedno, co chciałabym wiedzieć – dodała Cassie – a czego się nie dowiem, to czy już wcześniej coś takiego zrobił. Czy tylko ja miałam taki niefort, czy to jego stałe zagranie.

– Pewnie się nie dowiesz, ale możemy sprawdzić, czy rzeczywiście jest ratownikiem. – Billy wstał, zaczął przechadzać się po pokoju. – Zapewniam cię, że jeśli jest, to pożałuje swego wyskoku.

– Coś mi mówi, że jeśli tak się stanie, to mnie przyjdzie za to zapłacić.

– Cassie, musimy się dowiedzieć. I u nas zdarzają się czarne owce, ale nigdy nie słyszałem o czymś takim.

– Nie poznałeś mnie z nim. Nie masz z tym nic wspólnego.

– Ale poczuwam się do odpowiedzialności. Nie mówię, że wszyscy u nas są super, jednak gdy pomyślę, że któryś z naszych chłopaków mógł coś takiego zrobić, to krew mnie zalewa. Dlatego sprawdzę tego skurczybyka.

Billy uparł się, że pojedzie za Cassie, po czym wszedł z nią do domu, by sprawdzić okna i zamki. Cassie w tym czasie obsypywała czułościami pieska, choć Steve nie siedział w domu długo sam, bo miała wolny dzień, a wyszła dopiero wieczorem z nadzieją na udaną randkę. Teraz dochodziła jedenasta, a Steve leżał wygodnie na swoim kocyku na kanapie obłożony pluszakami, które traktował jak swoje dzieci i nie rozstawał się z nimi, nosząc je jak kotka kociaki.

Billy zaczął szykować się do wyjścia.

– Jak się czujesz, Cassie?

– Jestem trochę spięta, ale przede wszystkim rozczarowana. Bardzo rozczarowana.

– Boisz się?

– Wciąż mam dygotkę, ale przejdzie mi. Tu są dobre zamki, komórka w torebce, a Steve to groźny obrońca. – Przerwała na moment. – Wiesz, najbardziej boli, że znowu nic mi nie wyszło. Ty i Julie... wiem, że ostatnio się kłócicie, ale nie masz pojęcia, jak to jest, gdy człowiek wciąż czeka, wciąż liczy, że znajdzie tę drugą połówkę...

– Cassie, mnóstwo ludzi darzy cię miłością.

– Dzięki. – Nie o takiej miłości mówiła, ale miło usłyszeć.

– Nie wiem, co ostatnio wstąpiło w Julie. – Billy pokiwał smętnie głową. – Nie mogę się z nią dogadać. Wszystko robię źle. Nie mam pojęcia, co ją tak rozdrażnia. Cassie miała swe podejrzania, lecz wolała się z nimi nie zdradzać. Trójka małych dzieci, nader skromny budżet, mnóstwo harówki, ciągle nieobecny mąż. Nie będzie się jednak wcinać w ich sprawy. Sami się dogadają, jak zawsze.

– Może powinieneś ją spytać?

– Myślisz, że nie pytałem? Szkoda, że nie poszedłem do baru na piwo. Spokojnie, nie denerwuj się, nie będę ci się wyzalał. Za chwilę będę w domu, więc w razie czego dzwoń.

– Jak długo dziś spałeś?

– Wystarczy.

– Nie ściemniaj. W razie jakichś problemów zadzwonię po policję.

– Jasne, ale zaraz potem do mnie. – Po bratersku cmoknął ją w czoło. Steve popatrzył na niego, energicznie zamerdał krótkim ogonkiem i zaskamlał. – Hej, mały, nic z tego. Ty nie dostaniesz buziaka.

– Jego też pocałuj! – poparła psiaka Cassie. – Steve czuje, że jego pani jest zdenerwowana, dlatego też potrzebuje wsparcia. Nic ci się nie stanie.

– Nie całuję facetów ani psów. Ciągłe próbujesz mnie do tego namówić.

– Steve tak niewiele chce. Jesteś jedynym mężczyzną w jego życiu. Uwielbia cię, nie widzisz tego? Czemu się tak opierasz? Wystarczy, że cmokniesz go w łebek, a będzie szczęśliwy. Przecież to Steve! On jest dla ciebie jak syn! A przynajmniej jak siostrzeniec!

Billy wsunął ręce w kieszenie, pochylił się i cmoknął psiaka w czubek głowy. Zachwycony Steve przysiadł i podał mu łapę.

– No widzisz, całujesz psy! – zaśmiała się Cassie.

– A niech to. To twoja sprawka, czarownico. Bez względu na porę dzwoń, jakby co.

Kiedy wyszedł, Cassie popatrzyła na psa.

– Dobra robota. Tylko tak dalej, jak zdarzy się okazja.

Przebrała się w cienkie dresowe spodnie, po czym przebiegła pilotem po kanałach. Steve ułożył się obok niej z żabką, królikiem i ośmiornicą. Film nie był smutny, wręcz przeciwnie, jednak po kwadransie Cassie zaczęła płakać. Ma pracę, którą kocha, wspaniałych przyjaciół, których zna od lat, dwie rodziny: Julie i Franka, troje przyrodniego rodzeństwa. Jest wolna, niezależna finansowo... i samotna. Bardzo samotna.

Każdy dzień kończył się właśnie tak, na kanapie z psem. Tylko ona i Steve. Przeżyła sporo, jakby to rzec, miłosnych incydentów, a na poważnie spotykała się z kilkoma facetami. Niestety żaden z tych związków nie przetrwał. Teraz już wiedziała, że żaden nie miał przyszłości. Czasem do rozstania dochodziło za obopólną zgodą, jednak częściej to ją zostawiano ze złamanym sercem i straconymi nadziejami. Nie chciała być jedną z tych wzbudzających litość singielek, które wciąż szukają partnera, lecz nie da się zakłąć rzeczywistości. Za każdym razem, gdy kogoś poznawała, modliła się w duchu, by okazał się tym jednym jedynym, tym wyśnionym i wymarzonym. Kimś, kto pragnie mieć żonę i dzieci, kto świata nie będzie poza nią widzieć. Jednak te błagania nigdy nie zostały wysłuchane. Nawet nigdy z nikim nie mieszkała. Dzisiaj było jeszcze gorzej niż zwykle. Bezustannie wracała myślami do tego, co się stało, rozpamiętywała każdą chwilę. Może powinna się domyślić, być bardziej czujna? Ken był za bardzo napalony, lecz wtedy to jej pochlebiało. Nie spodziewała się, że tak to się zakończy. Kto wie, może dałby jej spokój, choć to mało prawdopodobne. Najpewniej zamierzał wziąć wszystko. Dlaczego tak się dzieje? – myślała ponuro. Nie dość, że jestem zawiedziona i załamana, to jeszcze niewiele brakowało, bym stała się ofiarą gwałticiela! Ile można ryzyko wać, szukając odpowiedniego mężczyzny? To bez sensu, muszę z tym skończyć. Mam dość.

Wystarczy. Singielki w wieku dwudziestu dziewięciu lat nikomu by nie wyznały, co je najbardziej przeraża, a mianowicie perspektywa, że zawsze będą singielkami i umrą samotne. Odkąd skończyła dwadzieścia pięć lat, bała się, że nigdy nie znajdzie sobie faceta. Była niezależna, ale nie z wyboru. Po prostu nie miała prawdziwej rodziny. Znała dziewczyny w jej wieku, które nawet po kilku nieudanych podejściach znajdowały tego jedyne go mężczyznę. Lecz jej związki nigdy nie trwały dłużej niż cztery miesiące. Cztery beznadziejne miesiące. Nie знаła nikogo, kto był w takiej sytuacji jak ona: bez rodziców, bez bliskich relacji z rodzeństwem, sama jak palec. Marzyła, by mieć kogoś bliskiego, kogoś, kto ją pokocha, będzie chciał mieć z nią dzieci. Marzyła nawet o nieuniknionych kontrowersjach, po których nastąpi pogodzenie i świetny seks. Skręcało ją, gdy ktoś zapewniał, że jeszcze jest młoda i ma czas. Jaki czas? Za sześć miesięcy skończy trzydziestkę, a dotąd z nikim nie wytrzymała nawet tyle. Nie znosiła, gdy ktoś twierdził, że ten wymarzony wybranek pojawi się wtedy, gdy będzie się tego najmniej spodziewała. Tyle że ci, którzy niemal na jednym oddechu opowiadali swoją historię zakończoną happy endem, nie mieli naznaczonej samotnością trzydziestki na karku i tylu nieudanych związków co ona. Prawda była trudna do przełknięcia, lecz jeszcze trudniej było znieść fakt, że jej obawy nie są odbierane na poważnie. Ile razy słyszała, że jest ładna i mądra, więc z pewnością znajdzie odpowiedniego mężczyznę. Jak łatwo to powiedzieć... Liczby nie dawały jej spokoju. Jeśli poznam kogoś, mając trzydzieści lat, deliberowała dalej, przez rok będziemy sprawdzać, czy do siebie pasujemy, potem rok narzeczeństwa, a jeśli pojawią się kłopoty z zajściem w ciążę i skończę trzydzieści pięć, nim przyjdzie na świat pierwsze dziecko? A jeśli tak się nie stanie? Jeśli go nigdy nie spotkam? Po prostu nigdy? Co wtedy? Powiem dziewczynom, że owszem, fajnie byłoby kogoś mieć, ale cóż, nie wyszło, choć i tak mam więcej frajdy z

życia. Te tabuny kochanków... – Steve – wyszeptała przez łyżę. – Miałam tylu facetów. – Poglądziła psiaka po uszach. – Czy nadal mnie szanujesz? Zakosztowała seksu, gdy miała siedemnaście lat. Była szaleńczo zakochana. Ostatni raz była z facetem pięć miesięcy temu. Przez tych trzynaście lat przewinęło się wielu. Musiałaby ich spisać, by policzyć, lecz sam ten pomysł działał na nią odstręczająco. Jednak nie czuła się rozpustnicą, tylko kompletnie zagubioną kobietą dobiegającą magicznej trzydziestki. Steve wlepił w nią psie oczy, zaskamlał i polizał ją po ramieniu. On nigdy jej nie zostawi. Nieprawda, uświadomiła sobie ze smutkiem. Duże psy żyją krótko. Takie jak Steve dwanaście, góra czternaście lat, a on już ma pięć. Jest jej jedyną prawdziwą rodziną. Co pocznie, gdy zostanie sama? Ma Julie, Marty i Beth, jej przyjaciółki, ma wielu dobrych znajomych, ale wszyscy poza nią mają rodziców, braci, siostry, małżonków. Zapłakała jeszcze bardziej rozpaczliwie. Czasami strasznie brakowało jej mamy, tak bardzo za nią tęskniła. Tak bardzo były sobie bliskie, choć od lat nie mieszkały razem. Dwa lub trzy razy w tygodniu długo rozmawiały przez telefon. Była przy mamie przez ostatnie tygodnie jej życia, troszcząc się o nią, pomagając przebrnąć przez najgorsze chwile. Od małego była zdana na siebie, zawsze jednak marzyła, by mieć przy sobie kogoś bliskiego, ukochanego, jak mama miała Franka, Julie Billy'ego, a Marty Joego. Dobrego mocnego mężczyznę, przy którym czułaby się bezpiecznie, który byłby z nią na dobre i na złe. Czy to aż tak wiele? Czy nie można mieć takich marzeń? Czy nie jest tak, że każdy ma gdzieś swą drugą połowę? Nie warto żyć bez miłości, bez kogoś bliskiego. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że nigdy nie zazna miłości. Przez lata szukała tego jedyne i za każdym razem gorzko przeżywała porażkę. Czy naprawdę powinna dalej próbować i znów cierpieć? Nie czuła się na siłach, by o tym myśleć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Julie i Cassie miały jeszcze dwie bliskie koleżanki, z którymi znały się od gimnazjum. Marty i Beth też były w szkolnym zespole cheerleaderek. Przyjaźń między całą czwórką przetrwała przez lata. Nadal trzymały się razem, nawet mieszkały blisko siebie. Jedynie Beth, która niedawno skończyła studia medyczne i rozpoczęła pracę w szpitalu, widywała się z nimi rzadziej, bo ciągle miała dyżury. Przyjaciółki zwykle spotykały się we własnym gronie, choć od czasu do czasu zapraszały znajomych z dawnych lat. Ta tradycja wzięła początek od pierwszej imprezy zorganizowanej tuż po ślubie przez Julie i Billy'ego. Kilka lat później Billy poznał Marty ze swym kolegą z pracy, co skończyło się weselem. Składkowe przyjęcia odbywały się cztery lub pięć razy w roku. Oprócz innych strażaków z żonami czy partnerkami pojawiali się również znajomi z czasów szkolnych. W tym roku lipcowe spotkanie z okazji Dnia Niepodległości wypadło u Marty i Joego. Mieli duży dom i doskonałe warunki na takie spotkania. W pokoju rekreacyjnym był nie tylko bar, ale także stół bilardowy, automat do gry we flippera, szpanerski sprzęt stereofoniczny i mnóstwo miejsca. Julie z zazdrością przesunęła wzrokiem po wnętrzu. Marty i Joe mieli nie tylko imponujący dom, ale też inne rzeczy, o których ona mogła jedynie pomarzyć: quady, łódkę, skutery wodne, samochód turystyczny. Owszem, Joe zarabiał nieco więcej niż Billy, bo miał dłuższy staż, lecz nie dlatego ich poziom życia różnił się tak drastycznie. Marty i Joe nie pobrali się zaraz po maturze i w związek wchodzili z jakimś już dorobkiem, no i mieli tylko jedno dziecko. Poza tym Marty pracowała na pełen etat. Wprawdzie była fryzjerką, co nie jest uznawane za zbyt intratne zajęcie, radziła sobie jednak doskonale, bo miała masę stałych klientek.

Kiedy Jeff przyszedł na świat, Julie zaczęła pracować na część etatu. Billy również pracował, kończąc przy tym studia. Potem dostał posadę w straży. Pierwsze lata małżeństwa były bardzo ciężkie. Odmawiali sobie wszystkiego, by spłacać pożyczki. Billy zarabiał niewiele, a długów przybywało. Potem pojawił się Clint, po roku rodzina powiększyła się o Stephanie. Wydatki na dzieci błyskawicznie pochłonęły oszczędności. Zaczęło brakować nawet na jedzenie. Kiedy Joe poznał Marty, był już dobrze ustawiony, miał nawet własny dom. Spotykali się dość długo, nim zdecydowali się na ślub. Wtedy sprzedali dom Joego i kupili większy. Ich synek miał trzy latka. Joe chciał mieć więcej dzieci, lecz Marty stanowczo odmówiła. Ciekawe, że innym się to udaje, pomyślała smętnie Julie. Nie mają dzieci, gdy to koliduje z ich planami. Jak to się dzieje, że ja i Billy jesteśmy wyjątkiem od tej reguły? Zamyśliła się. Przez tych dwanaście lat wszyscy przebyli długą drogę, niestety poza nią i Billym, kiedyś szkolną parą roku. Nadal mieszkali w niedużym domu, na który i tak właściwie nie było ich stać, mieli wiekowe samochody, które na szczęście jeszcze jeździły, trójkę dzieci, masę rachunków i zero choćby drobnych przyjemności. Żadnych nowoczesnych gadżetów dla dorosłych, żadnych wakacji, nie mówiąc już o kolacyjkach na mieście czy weekendowych wyjazdach we dwoje. Nie stać ich było ani na hotel, ani na opiekunkę do dzieci. Jeśli Cassie lub mama Julie nie mogły z nimi zostać, rezygnowali z wyjść. Julie stale wycinała kupony z gazetek, kupowała na wyprzedażach i w lumpeksach, spłacała minimalne kwoty z rachunków na kartę, wyliniała kanapę nakrywała narzutą, by zakryć zniszczoną tapicerkę. Nie tak wyobrażała sobie swoją przyszłość, gdy została Miss Szkoły. Przeżyła swoich pięć minut sławy, gdy miała siedemnaście lat.

Przygnębiające poczucie, że stacza się po równi pochyłej, stało się jeszcze mocniejsze, gdy zobaczyła Chelsea, też była cheerleaderkę. Chelsea czasem pojawiała się na tych przyjęciach, ale chyba po to, by pochwalić się nieskazitelną figurą, jędrnym biustem i olśniewającym uśmiechem. Od szkolnych czasów wszystkie jej mankamenty uległy znaczącej poprawie, przede wszystkim biust, który ostentacyjnie demonstrowała, przykuwając spojrzenia panów. Była zgrabną, niebrzydką dziewczyną, teraz natomiast kwitła, podczas gdy Julie miała nieprzeparte poczucie, że w błyskawicznym tempie się starzeje. Choć gdyby mogła wybierać, czy zostać gwiazdą jako siedemnastolatka, czy tuż przed trzydziestką, wybrałaby to pierwsze. Idiotka. Spod oka obserwowała, jak Chelsea wdzięczy się do Billy'ego. Zawsze z nim flirtowała. Julie, nie przebierając w słowach, uprzedziła męża, co go spotka, gdyby choć przypadkiem dotknął Chelsea. Nic dziwnego, że stał ze skrzyżowanymi ramionami, śmiechem kwitując jej opowieści. Chelsea co i rusz dotykała przedramienia Billy'ego, wpatrując się w niego i świergocząc, a on uśmiechał się jak głupi do sera.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – powiedziała Cassie, siadając przy barze. Przyglądały się rozchichotanej parze, do której dołączył Joe, podał Billy'emu puszkę piwa i pochylił się ku Chelsea. Pewnie pytał, czy ma ochotę się czegoś napić. Chelsea pokręciła głową i roześmiała się perliście. Po chwili doszedł do nich jeszcze jeden facet. Hm. Chelsea zagarnęła trzech przystojniaków, pewnie na ten swój dekolt. Znów położyła dłoń na przedramieniu Billy'ego. – Jeśli jeszcze raz się tak do niej uśmiechnie, to rzucę w niego lotką – wycedziła Julie. – A potem poćwiartuję go na kawałki. Cassie zakręciła w powietrzu kieliszkiem.

– Napij się wina. To cię rozluźni.

– Dziś prowadzę. A jego zaraz wyciągnę stąd za fraki. – Popatrzyła na Cassie. – Już nie bawię się tak jak kiedyś, co?

– Nie masz ku temu zbyt wielu powodów, choć w dawnych czasach nieźle rozrabialiśmy...

– Czy flirtowałam tak jak ona? – spytała Julie.

– Owszem, z Billym. – Cassie popatrzyła na Chelsea. – Wygląda naprawdę super, a nie wyszła za mąż, to co dopiero ja, taka... grubaska.

– Och, wcale nie jesteś gruba! Jesteś tylko... hm...

Cassie odczekała moment, po czym powiedziała:

– Nic nie mów. Jeśli w ciągu trzech sekund nie znajdziesz odpowiedniego słowa, użyjesz synonimu. A tego już nie zniosę.

– W porządku. – Julie wreszcie się uśmiechnęła. – Rany, jak myśmy się kiedyś strasznie wygłupiali. Pamiętasz, jak postawiłyśmy przed domem trenera przenośną toaletę?

– Byłyśmy skończonymi wariatkami. – Cassie pociągnęła wina. – Pamiętasz ten wyjazd na kemping? Tylko dla dziewczyn, dobre sobie... W tamten weekend trzy razy straciłam cnotę. – Znów się napiła. – Wiesz, powinnyśmy powtórzyć taki wyjazd. Same dziewczyny. I tym razem nikt więcej.

– Odpada. Gdyby Billy dowiedział się, że mam takie plany, byłoby po mnie. Stać nas co najwyżej na spanie pod namiotem. – Westchnęła. – Już nie jestem rozrywkową panienką, tylko wołem roboczym. – W tym momencie Billy stanął za nią i położył jej rękę na jej ramieniu. Julie odwróciła się i zmierzyła go ostrym spojrzeniem. – Dotknąłeś jej?

– Ależ skąd. Zależy mi na moich klejnotach. Ale jeśli dalej będzie tak kręcić kuprem i atakować mnie biustem, to będę musiał więcej wypić.

– Bardzo zabawne... Długo jeszcze zostajemy?

– Joe ma fajerwerki.

– Fajerwerki będą zaraz, jeśli będę musiała przyglądać się, jak Chelsea wpatruje się w ciebie maślanym wzrokiem...

– Julie, wyluzuj! Co z tobą? Przecież ona robi z siebie idiotkę, nie widzisz tego? Wszystkich to śmieszy.

– Owszem, to naprawdę zabawne jak cholera, ale dziś powtarzają serial „Prawo i porządek”. Wybór jest trudny, ale chyba wolę powtórkę.

– A czy to nie jest powtórka? – ze śmiechem skomentowała Cassie.

Nie było jeszcze jedenastej, gdy Julie i Billy wyszli z przyjęcia. Zabrali od mamy Julie śpiące dzieci i pojechali do domu. Julie zapakowała pociechy do łóżek, Billy włączył telewizor. Julie umyła się i położyła spać. Już prawie zasypiała, gdy Billy wślizgnął się do łóżka i przysunął do niej.

– O Boże – wymamrotała.

– Przecież chciałaś wrócić do domu wcześniej. Nie zaczęłaś oglądać serialu...

– Billy...

– Zróbmy to dla przyjemności, nie walczmy. Po prostu. To zawsze poprawia ci nastrój.

– To Chelsea tak na ciebie podziałała?

– Chelsea? – Roześmiał się. – Ile jeszcze lat będziesz mnie o to pytać?
Nie chcę jej.

– Nie mogę...

– Dlaczego? Masz okres? Skurcze?

– Nie, nie to.

– A co? – Oparł się na łokciu, popatrzył na nią.

– Okres mi się spóźnia.

Zdumiał się na moment, po czym uśmiechnął.

– Ach, to dlatego byłaś cięta jak osa. Znowu wpadliśmy? Nie, to niemożliwe.

– Jeśli tak, to ja się zabiję! A potem ciebie!

– Hm, raczej w odwrotnej kolejności... – Znow się uśmiechnął. –
Przydałaby się dziewczynka, byłoby po równo.

– Wiesz, co by się przydało? Wazektomia!

– Hm, chyba rzeczywiście. Po tym...

– Billy!

– Co?

– Nie możemy mieć jeszcze jednego dziecka!

– Mówisz, jakby to była moja wina!

– Przecież nie listonosza!

Uśmiechnął się do niej szeroko, odgarnął jej z czoła pasmo włosów.

– Wiem, kiedy to się stało – powiedział czule. – Byliśmy na kolacji u twoich rodziców i byłeś dla mnie wyjątkowo miła. Nie denerwowałem cię, prawdziwy cud... A kiedy dzieciaki poszły spać, zrobiłaś się jeszcze miłsza. To mnie zaskoczyło, ale umiałem się znaleźć, co? – Pocałował ją w czubek nosa, w policzki, w brodę. – Tak się przyłożyłem, że pewnie wyprodukowałaś z dziesięć jajeczek i jedno prześlizgnęło się mimo tej spirali...

W oczach Julie błysnęły łzy.

– Nie stać nas na jeszcze jedno dziecko. Nie stać nas nawet na te, które już mamy.

– Wszystko dobrze się ułoży, zobaczysz. Nie będziemy wiecznie walczyć o przeżycie.

– Będziemy, jeśli nie przestaniesz wciąż robić mi dzieci!

Billy zachichotał.

– Kłopot w tym, że diabelnie się do tego nadajesz. Nie mogę się powstrzymać. Owszem, nie planowałem tego, ale po prostu mam takie możliwości!

– Wydaje ci się, że jesteś strasznie męski. Prezerwatywy, spirala, krążki, i wszystko na nic, zawsze jakiś się przemknie. A dla ciebie to powód do dumy!

– Nie, nie chodzi o to – mitygował ją. – Choć uwielbiam, jak jesteś w ciąży...

– Ty chyba oszalałeś! Nie mamy na rachunki! Czy ty tego nie rozumiesz?

– Tylko na początku masz fatalny nastrój i męczą cię mdłości.

– Rozejrzałeś się po domu Marty i Joego? Mnóstwo miejsca, piękne meble, tyle fajnych rzeczy. A wiesz dlaczego? Bo nie pobrali się, gdy byli małolatami, mają jedno dziecko i Marty pracuje! Nas stać najwyżej na zapiekankę, a od wielkiego dzwonu na kurze udka i skrzydełka!

– Fakt, nie jest nam lekko, jednak nie powinniśmy rezygnować z dziecka...

– Dla mnie to wcale nie jest zabawne! Nigdy nie wyjdziemy z długów!

– Julie, nie wyrokuj o innych, bo skąd możesz wiedzieć, jak naprawdę wygląda ich życie? Marty i Joe mają pięćdziesiąt tysięcy długu na kartach, do tego kilka kredytów hipotecznych. Poza tym nigdy nie zamieniłbym któregoś z naszych dzieciaków na automat do flippera czy stół bilardowy... – Zadumał się teatralnie. – No dobra, dałbym Clinta za łódkę i samochód turystyczny...

– Żadne z naszych dzieci nie było planowane – narzekła Julie.

– Jak widać, wcale nie musimy tego robić.

– Nie rozumiesz? Jestem strasznie wkurzona. – Zacisnęła usta, by nie wybuchnąć.

– Nie dam się zdenerwować tym, że jesteś... no wiesz. Robimy, co możemy, by uniknąć ciąży, ale niespodzianki się zdarzają i trzeba się z tym pogodzić. Nie dlatego, że teraz chcielibyśmy mieć kolejne dziecko, ale już jest w drodze, jest nasze i możemy je mieć.

– Nie przywiązuj się do tego pomysłu. To może być ciąża pozamaciczna i nie wiadomo...

– Robiłaś test ciążowy? – Gdy pokręciła przecząco głową, mruknął: – Aha...

– No wiesz, może nic by... – Urwała bliska płaczu.

Przysunął się do niej jeszcze bliżej.

– Julie, taki już nasz los. Ktoś tak to zapisał tam, w górze. Dzieci są nam pisane, jesteśmy jak fabryka. Jakoś będzie. Owszem, nie mamy łódki, ale mamy niesamowitego farta. Popatrz na nasze szkraby. Są bystre, zdrowe. I jakie ładne.

– Clint jest nadpobudliwy. Nie radzę sobie z nim. Jestem u kresu sił...

– Wyrośnie z tego. Tak jak Jeff. Posłuchaj, wezmę dodatkowe godziny...

– Już i tak nigdy cię nie ma w domu.

– Muszę pracować, ile tylko się da, skarbie. I tak będzie. Przysięgam, że zrobię tę wazektomię, nim urodzisz to dziecko.

– Jeśli to nie pomoże, to po prostu cię zamorduję, gdy będziesz spał!

Roześmiał się, pieszczotliwie przesunął rękami po jej piersiach, przytulił się mocniej.

– Popatrz na to z innej strony. Przez jakiś czas nie będziesz się martwić, że zajdziesz w ciążę.

– Też mi pociecha! – fuknęła rozeźlona.

– Będziesz mogła obżerać się do woli, jeść to wszystko, co tylko ci się zamarzy.

– Mam depresję poporodową.

– Raczej przedporodową. Jak tylko poczujesz w ramionach niemowlę, od razu wstępuje w ciebie życie. Długo się opóźnia ten okres?

– Kilka tygodni. Ale znasz mnie...

– Już trzy razy ci się opóźnił. Nie rozumiem, dlaczego nie zrobiłaś testu.

– Bo kosztuje siedem dolarów! Poza tym nie chcę wiedzieć na pewno...

– Po kolacji u twoich starych – powiedział rozmarzony. – To fantastyczne. Szkoda, że nie zdarza się częściej.

– A ja bym wolała, żebyś mniej na mnie działał.

Billy uśmiechnął się.

– Teraz już rozumiem, dlaczego byłaś taka nieznośna. Boże, w żaden sposób nie mogłem poprawić ci humoru. Zaraz, ale co z tym winem? Piłaś wino.

– Nie, to był sok jabłkowy... – Gdy znów zaniósł się płaczem, przytulił ją czule. – Billy... Billy, nie chcę tego... nie teraz. Gdybyśmy stali na nogach...

– Spokojnie, skarbie, będzie dobrze. Jesteś pod presją, doskonale to rozumiem, ale uwierz mi, będzie dobrze. W końcu zawsze jakoś się nam układa. Posłuchaj mnie, proszę. Mamy coś wyjątkowego. Od tylu lat łączy nas prawdziwe uczucie, a pieniądze nigdy nie miały nic do rzeczy. Nie będziemy wiecznie pod kreską, ale nasz układ zawsze będzie jedyny. Kocham cię, Julie. Zawsze cię kochałem, ty, tylko ty.

– Słyszałam już tę przemowę. Powtarzasz ją, gdy się denerwuję, że jestem w ciąży...

– Tak, bo to na mnie strasznie działa – powiedział ze śmiechem. – Nie jestem szczególnie religijny, ale wiem, że te dzieci były nam pisane. Wkradają się w nasze życie. I są super.

– Przyznaj się, jesteś mormonem, tylko ukrywasz to przede mną...

Zamknął jej usta pocałunkiem, po czym szepnął:

– Tak, jestem nim. Bo cieszę się jak głupi, gdy zaczynasz się zaokrąglać i mieć chimeryczne nastroje. Julie, rozchmurz się, bo wszystko będzie dobrze. Zobacysz, że wszystko się ułoży.

– Och, Billy – wyszeptała, dotykając jego policzka. – Nie wiem, czy dam radę...

– Już niedługo poczujesz się lepiej. Pierwsze miesiące zawsze są dla ciebie trudne, ale potem złe mija jak ręką odjął. Przestaniesz być taka niedobra.

Pociągnęła nosem.

– Wiem że ostatnio strasznie zrzędze.

Billy roześmiał się.

– Zapomnij o tym, skarbie. Kochaj mnie. To nic nie kosztuje...

Przez kilka pierwszych nocy Cassie spała marnie, potem jeszcze gorzej. Billy dotrzymał słowa i znalazł Kena Baxtera, strażaka koło pięćdziesiątki, który pracował na północny zachód od Sacramento. Wypytywał wiele osób, lecz nikt inny o tym imieniu i nazwisku nie był zatrudniony w straży. Ta informacja podziałała na Cassie jak kubeł zimnej wody; uzmysłowiła sobie bowiem, że wszystko, co Ken opowiadał o sobie, było wyssane z palca. Okłamał ją, podając fałszywe dane, i sprytnie zdobył jej zaufanie. Co za padalec.

– Według mnie – podsumował Billy – facet chytrze cię podprowadził, podszywając się pod kogoś z twojej branży. Po kilku kieliszkach opowiedziałaś mu o sobie. Dowiedział się, że jesteś pielęgniarzką i masz znajomych wśród strażaków i ratowników. To mu wystarczyło. Gdybyś

była instruktorką aerobiku, przedstawiłby się jako właściciel ośrodka fitness.

– Co za koszmar! Ciekawa jestem, jak skuteczny jest ten jego sposób.

Wreszcie podjęła decyzję i zadzwoniła na policję. Chciała rozmawiać z detektywem, najchętniej z kobietą.

– Padła pani ofiarą gwałtu?

– Nie, ale niewiele brakowało. Mam do przekazania informacje, które może kogoś zainteresują...

– Może pani przyjść i złożyć zeznanie.

– Nie mogę teraz z kimś porozmawiać? – zniecierpliwiła się.

Przełączono ją. Męski głos nagrany na taśmę poprosił o dane osobowe i przedstawienie problemu w kilku słowach. Zrobiła to, lecz nie doczekała się odzewu. Po kilku dniach machnęła ręką. Skoro nikogo to nie obchodzi... Poza tym nie miała twardych podstaw, by złożyć formalne oskarżenie.

– Musisz ich zrozumieć – uspokajał ją Billy. – Są zapracowani, nic złego ci się nie stało, a ten gość raczej się tu nie pokaże. Drży na myśl, że zgłosiłaś się na policję i podałaś jego rysopis oraz numery samochodu. No i zostałaś z wielkim facetem, który pięścią wybił szybę i wyciągnął cię z wozu, więc koleś musi mieć pietra i woli być niewidoczny. – Roześmiał się. – Wybił pięścią szybę. A niech mnie! Ten twój nieszczęsny amant pewnie dziękuje Bogu, że twój obrońca nie zatłukł go na śmierć.

– Może i tak...

Nikt do niej nie dzwonił, nikt niczego nie chciał, widomy znak, że policja nie jest zainteresowana jej informacjami. Powoli zaczęła się

uspokajać. Dostała ostrzeżenie od losu, po prostu musi uważać. Skupi się na własnym życiu. Zmieni priorytety, przestanie desperacko szukać życiowego partnera. Była już w takim amoku, że zatraciła trzeźwość spojrzenia. Przez jakiś czas nie będzie się z nikim spotykać, daruje sobie takie akcje. Nawet jeśli wybierze się do baru – oczywiście nie tamtego baru – sama zapłaci za drinka. Będzie chodzić na spacery z psem, czytać, oglądać filmy i uprawić ogródek. Julie tylko czeka na jej pomidory, sałatę, marchewkę i cukinię, a ona lubi grzebać w ziemi. Będzie też miała czas na zastanowienie, bo zdecydowanie coś robi nie tak. Chciałaby być żoną i matką, lecz jeśli to nie jest jej pisane, zawsze pozostaje praca, w której się spełnia i przyzwoicie zarabia. Ma też oddanych przyjaciół, na których może liczyć i którym ufa, choć nie są prawdziwą rodziną. Za kilka lat weźmie szczeniaka, by z czasem zastąpił kochanego Steve'a. Takiego samego wyżyła. Na pewno mu nie dorówna, ale musi się liczyć z przykrą prawdą, że Steve nie będzie z nią wiecznie. Nie wyobrażała sobie życia bez domowego zwierzaka, nie zniosłaby samotności. A na jakiś czas zapomni o mężczyznach, wyzbędzie się przeświadczenia, że gdzieś tam czeka na nią druga połówka. Po kilku tygodniach, gdy poczuła się nieco pewniej, po pracy wybrała się do salonu motocyklowego podziękować swemu wybawcy. Na chodniku stały lśniące nowe harleye. Weszła do środka. Siedzący za ladą mężczyzna w niebieskiej koszuli, beżowej marynarce i różowym krawacie powitał ją szerokim uśmiechem.

– Czym mogę służyć?

Cassie popatrzyła na wizytówkę.

– Hm... Czy zastałam Walta Arnesona?

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę.

Odszedł, ona zaś zaczęła przyglądać się motocyklom.

Przesunęła dłonią po chromowanej części wielkiej maszyny.

– Klasyczny król szos – powiedział ktoś tuż za nią.

Odwróciła się. Walt. W bawełnianym podkoszulku i dżinsowej kamizelce, kowbojkach z łańcuchami przy obcasach, z wytatuowaną gołą babą na przedramieniu. Prawa ręka, prawie aż do łokcia, była w gipsie.

– O mój Boże – wykrztusiła, wpatrując się w ten gips.

– Och, to tylko małe pęknięcie. – Uśmiechnął się. – Warto było.

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. Nie mogłem postąpić inaczej. Zdejmą mi to za kilka tygodni. Naprawdę nic takiego mi się nie stało.

– Nic? – Potrząsnęła głową. – To jak ci leci? To znaczy poza tym...

– Dobrze, naprawdę. A tobie?

– Też dobrze. Chciałam ci podziękować. Dopiero po czasie zdałam sobie sprawę, że tego nie zrobiłam. Chciałam ci kupić kosz owoców, ale bałam się obciachu. Nie mam pojęcia, co można ofiarować motocykliście.

– Ja też nie mam pojęcia. Co byś powiedziała na kawę? Tamtej nie wypiął.

– Masz czas na kawę?

– Wymknę się. Po drugiej stronie parkingu jest księgarnia z barkiem, serwują świetną kawę.

– Zgoda, ale pod warunkiem, że ja płacę.

– Czemu nie? – Wzruszył ramionami. – Już dawno dama nie stawiała mi kawy.

Powiedział coś do sprzedawcy, po czym poszli do przestronnej księgarni. Cassie zamówiła dwie kawy. Kiedy je dostali, zamiast usiąść przy stoliku w barze, Walt pociągnął Cassie w głąb księgarni, do zacisznego kącika ze stolikiem i wygodnymi skórzanymi fotelami.

– Przyjemnie tu – powiedziała.

– Lubię tu przychodzić. – Popatrzył na nią uważnie. – Więc jak tam u ciebie? Tylko szczerze, naprawdę wszystko w porządku?

– Już się pozbierałam. Na początku było ciężko, ale przeszło, minęło. Jakoś się trzymam. Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. To mogło się skończyć dla mnie fatalnie. Miałam ogromne szczęście, że zainterweniowałeś.

– Wnoszę z tego, że od tamtej pory nie miałaś z nim kontaktu?

– Dzięki Bogu nie. Wygląda na to, że miałeś rację. Facet rozmył się we mgle, jakby nic się nie stało. Wszystko, co mi naopowiadał, okazało się wierutnym kłamstwem.

Walt spochmurniał.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknął ponuro. – Wiesz na pewno?

– Mój dobry znajomy, ratownik, dokładnie to sprawdził. Ten gość nie pracuje w straży pożarnej.

– Uważam, że powinnaś jednak zgłosić sprawę na policję.

– Zrobiłam to. Nagrałam się na taśmę. Powiedziałam, jak niewiele brakowało, ale na szczęście ktoś pośpieszył mi z pomocą. Wyjaśniłam, że ten człowiek działał z premedytacją, wszystko sobie ukartował. I

wiesz co? Pies z kulawą nogą się nie zainteresował. Nawet do mnie nie oddzwonili.

– A niech to... – Walt zmarszczył czoło.

– Muszę zapomnieć o całej sprawie. Może ktoś inny będzie bardziej skuteczny niż ja. A może koleś dostał nauczkę i już nie zaryzykuje. – Uśmiechnęła się. – Napędziłeś mu niezłego stracha.

– Mam taką nadzieję. Co za szmata!

– Sprytnie mnie podprowadził. Sama podałam mu wszystkie informacje, które zręcznie wykorzystał, by zdobyć moje zaufanie.

– To znaczy?

– Powiedziałam mu, że jestem pielęgniarką na ostrym dyżurze, dlatego mam częste kontakty ze strażakami i ratownikami medycznymi. Dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że powiedziałam to, zanim przedstawił się jako ratownik.

– Aha, więc to tak się odbyło... Sprytnie. – Spojrzał na nią z uśmiechem.
– Więc jesteś pielęgniarką od nagłych przypadków. Gdy myślę o was, zawsze czuję podziw. Co cię skłoniło, by wybrać taki zawód?

– Przede wszystkim względy praktyczne, bo musiałam zarabiać na utrzymanie. I tak się szczęśliwie złożyło, że ta praca bardzo mnie wciągnęła. Lubię, gdy coś się dzieje. Cierpliwość nie jest moją największą zaletą. – Upiła kawy. – Co powoduje, że człowiek postanawia związać swoje życie z motocyklami?

Walt uśmiechnął się ujmująco.

– Byłem dzieciakiem, gdy w moim życiu pojawił się skuter, no i wsiąknę. Po skuterze pierwszy motocykl, następny, oczywiście większy, następny i następny...

– Wyglądasz na fanatycznego motocyklistę... – Urwała.

– Rzeczywiście tak jest – odparł spokojnie, choć wyczuł niepokój Cassie. – Wiedz jednak, że nie należę do Aniołów Piekła czy innego gangu.

– A należysz do...

– Klubu motocyklowego? Nigdy nie miałem czasu na działanie w jakiejś organizacji. Zdarza się, że przyłączam się do jakiejś grupy, lecz zwykle jeżdżę sam. W motorze właśnie to jest najpiękniejsze. Przed laty wybrałem się na włóczęgę po Stanach. Rozumiesz, motor, plecak, śpiwór. Zabrało mi to półtora roku. W drodze poznałem wielu motocyklistów. Z niektórymi zostawałem tydzień czy dwa, a potem się odłączałem. Dużo się wtedy nauczyłem, po znałem motory od podszewki. I ludzi, którzy są nimi zafascynowani.

– Półtora roku? – zdumiała się.

– Mhm. To było naprawdę super. Jest tyle rzeczy wartych zobaczenia, a z motoru widzisz nieporównywalnie więcej. Lubisz czytać?

– Tak. Kobięcą literaturę.

– Jest taka książka, może niekoniecznie dla kobiet, ale dobra, która traktuje o motocyklach i zen. Próbuje wyjaśnić uczucia, którymi bikerzy darzą swe maszyny, poczucie wolności, upajającą moc pustej szosy, wszystko to, czego wtedy doświadczasz.

– Znam golfistów, dla których wbicie piłeczki do dołka jest przeżyciem duchowym, ale w istocie to tylko biała piłeczka, którą uderzasz kijem – skontrowała z uśmiechem.

– Jechałaś kiedyś motorem?

– Nie cierpię ich. Najcięższe przypadki, z jakimi stykamy się w pracy, to właśnie motocykliści.

– Fakt, chociaż nie bardzo żałuję tych, którzy zachowują się głupio, nie baczą na bezpieczeństwo swoje i innych. Jednak czasem nie da się uniknąć wypadku, to wkalkulowane ryzyko. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że podczas kolizji z samochodem jesteśmy na przegranej pozycji. Ale jazda motorem to ogromna frajda, dlatego tak ludzi pociąga. Nie jesteś w blaszanej puszcze, nie masz poduszek. Musisz być czujny i szybki. I mieć dobrą maszynę. – Uśmiechnął się. – Jeśli jednak zdecydujesz się na przejażdżkę, to z bardzo dobrym kierowcą. – Upił łyk. – Więc jak, jechałaś kiedyś motorem?

– Nie.

– Kto wie, może kiedyś cię przewiozę.

– Hm... bardzo w to wątpię.

– Nigdy nie mów nigdy.

Ta trwająca półtorej godziny przerwa na kawę była dla niego czymś wyjątkowym, bo nigdy nie urywał się z pracy, by sobie porandkować. Świetnie mu się rozmawiało z Cassie, nawet nie zauważył, że minęło aż tyle czasu. Opowiadała o swej pracy, on rewanżował się historiami o motocyklach, będącymi całym jego życiem. Okazało się, że oboje lubią czytać. Przed wyjściem z księgarni przejrzeni półki i wybrali kilka pozycji. Walt sprezentował Cassie książkę o zen, o której wcześniej

wspominał. Oboje przyznali, że ten wspólnie spędzony czas sprawił im przyjemność. Przy pożegnaniu Walt poprosił Cassie, by do niego dzwoniła, gdy najdzie ją ochota na wspólną kawę. Cassie nie podała mu swego numeru, a wiedząc, co przeszła, nie ośmielił się poprosić. Gdy już się pożegnali, Walt zadzwonił do Kevina, swego najmłodszego brata, który był policjantem.

– Pracujesz dziś po południu?

– Kończę o drugiej. A co?

– Mam sprawę. Zdarzył się mały incydent, o którym dotąd nie wspominałem...

– Chryste, gliny cię ścigają?

– Nie! Dasz mi powiedzieć? No więc było tak. Kilka tygodni temu wychodziłem z baru i zobaczyłem, że w samochodzie na końcu parkingu coś się dzieje. Auto całe się trzęsło, a w środku krzyczała kobieta. Na przednim siedzeniu aż się kotłowało. Podeszedłem bliżej, by sprawdzić. Ta kobieta walczyła z facetem. Zapukałem więc. Koleś uchylił szybę i kazał mi się wynosić, ale zdążyłem zobaczyć, że siedzenie jest położone, a facet przydusza ręką usta kobiety. Więc wybiłem okno i wyciągnąłem ją.

– Wybiłeś okno? – zapytał Kevin. – To tak załatwiłeś sobie rękę?

– Mhm... mama nie musi o tym wiedzieć, zgoda?

– A teraz ten gościu próbuje cię dopaść? Za wybitą szybę?

– Chciałbym, żeby tak było. No co ty, on zwał, ratując skórę. Ta kobieta, nawiasem mówiąc, superlaska, umówiła się z nim na pierwszą randkę. Poznała go przy kawie, kilka razy gadali przez telefon. Nie chciała, by przyjeżdżał do niej do domu, więc spotkali się w barze.

Zachowała przezorność, ale ten pęta... No cóż, była w szoku, więc wziąłem ją na kawę. Dałem jej wizytówkę, w razie gdyby potrzebowała świadka. To była napaść. Ten facet chciał ją zgwałcić.

– Jesteś pewny?

– Nie, chciał ją tylko przytrzymać i dać buziaka, a ona wrzeszczała wniebogłosy i tak się wyrywała, że terenówka się rozbujała na wszystkie strony. Przepraszam, masz rację. Zapewne chciał pogadać z nią o filozofach greckich, a ona okazała się cholernie oporna...

– No już dobra, dobra. Jak to się ma do mnie?

– Widziałem się z nią dzisiaj. Przyszła mi podziękować. Już się pozbierała. Facet się do niej nie odezwał.

– No i?

– Jednak myślę, że powinniśmy się dowiedzieć, kto to jest.

– My? Masz w kieszeni pieska?

– Ty i ja, cwaniaczku. Mam jego numer, markę samochodu i kolor. Cassie jest pielęgniarką na ostrym dyżurze, a on podał się za ratownika ze straży pożarnej. Nic dziwnego, że uznała go za swojego człowieka. Jej kumpel, który naprawdę jest ratownikiem, próbował go zlokalizować, ale daremnie. Może ten gość to psychol, który doskonale wie, jak zbajerować kobiety, zdobywa ich zaufanie, a potem...

– Rozumiem. Chciałbyś sobie z nim o tym podyskutować?

– Nie, nie o to mi chodzi. Chciałbym wiedzieć, kto to jest, tak dla bezpieczeństwa. Zaś ty, jako gliniarz, może chciałbyś go namierzyć i sprawdzić, czy już nie było z nim jakichś problemów. Może to nie jest pierwszy raz? A może formalnie mnie przesłuchasz na temat tego, czego byłem świadkiem? Bo naprawdę jest o czym pogadać. A może chciałbyś

porozmawiać z kobietą, której pośpieszyłem z pomocą, uzyskać jej potwierdzenie, że ta gnida... – Walt odetchnął głęboko. – Wiem, że obowiązuje cię tajemnica służbowa i nawet jak coś ustalisz, musisz trzymać gębę na kłódkę, ale zawsze możesz go sprawdzić.

– Czemu ta twoja panna nie zawiadomiła policji?

– Była w szoku i chciała jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, ale dzisiaj dowiedziałem się, że zadzwoniła na policję i nagrała się. Opisała, co ją spotkało, ale nikt nawet się nie pofatygował, by oddzwonić. Właśnie dlatego, że ją zignorowano, dzwonię do ciebie. Pora się w to włączyć.

– Może dlatego, że nie doszło do przestępstwa, poza tym wybiłeś gościowi szybę...

– Mamy czekać, aż dojdzie do przestępstwa, tak? – pieklił się Walt. – Posłuchaj, ona w pracy ma do czynienia z ofiarami gwałtów i nawet jeśli kobieta jest mocno poraniona i poturbowana, to policja rzadko ma wystarczające dowody, by przyszpilić sprawcę. Teraz do niczego takiego nie doszło. Wiedziała, do czego koleś zmierza, ale nawet nie rozpiął jej guzika. Powiedziałem jej o tobie. Zaproponowałem, że się z tobą skonsultuję. Poproszę o radę.

– Gdy to wszystko rozważyć, to nie ma specjalnych podstaw do działania.

– Do diabła, to była napaść! A jeśli już coś takiego spotkało inne kobiety, które nie miały tyle szczęścia, by ktoś pośpieszył im na pomoc? Bardzo mnie to ciekawi, naprawdę bardzo – zakończył mściwie.

– Przyjrę się temu – po chwili namysłu oznajmił Kevin. – Być może twoja znajoma będzie nam potrzebna. Jak się domyślasz, nie będę mógł ci o nim nic powiedzieć. Takie przepisy.

- Imię chyba możesz mi podać? Będziesz mieć problemy, jeśli zdradzisz mi imię?
- To mogę zrobić.
- Nikt się nie dowie, obiecuję. Mógłbym wywiedzieć się w inny sposób, ale...
- Więc czemu tego nie zrobisz? Nie znajdziesz go w inny sposób?
- Dlatego, Kevin, że jeśli on już ma na koncie podobne ataki, to nie ja powinienem o tym wiedzieć, ale policja. Mam rację?
- Masz... Jasne, że masz.
- Jeśli chcę mieć oko na tego drania, być pod ręką, w razie gdyby robił jej jakieś problemy... oczywiście wtedy natychmiast zostaniesz powiadomiony... to imię bardzo mi pomoże. Ja zdaję ci relację, a ty podajesz imię. To wszystko.
- I obiecasz, że nie zbliżysz się do niego? Nawet go nie dotkniesz?
- Obiecuję. Nie zbliżę się do niego, nie tknę go palcem.
- No dobrze, podaj mi te dane.
- Czyli zostałem poufnym informatorem. – Walt uśmiechnął się. – Super. – Podał dane dotyczące samochodu.
- Dobrze widziałeś tego gościa?
- Tak. Przyjrzałem mu się w barze, widziałem, jak z nią wychodził. Mogę go rozpoznać. Metr osiemdziesiąt, brązowe włosy i oczy, mocno zarysowana broda. Włosy w miarę długie, wystylizowane.

– Dobra. Tę kobietę na razie zostawimy w spokoju. Może później poproszę cię o jej nazwisko i numer telefonu, zgoda?

– Nie mam takich danych. Znam tylko jej imię i wiem, że jest pielęgniarką na ostrym dyżurze. To ci powinno wystarczyć, by ją znaleźć. Nie mam pojęcia, czy jeszcze ją zobaczę. Dałem jej swoje namiary, w razie gdybym był potrzebny. Jest naprawdę w porządku. To od razu widać. Nastawiona na pomoc innym. A ten gnojek chciał ją skrzywdzić. Takich rzeczy się nie przepuszcza.

– No nie, kto by pomyślał, że jesteś takim miłosiernym Samarytaninem!
– ze śmiechem skomentował Kevin.

– No właśnie. Nigdy się nie wie, z kim się ma do czynienia, co? Weźmy tę kobietę. W życiu by się nie umówiła z kimś takim jak ja, a facet, którego uważała za absolutnie nieszkodliwego, okazał się skończonym łobuzem.

Czwartą osobą wchodzącą w skład zżytej grupy była doktor Beth Halsley. Skończyła studia medyczne, pracowała. Nauka przychodziła jej łatwo, do tego wyglądała jak modelka. Z czwórki przyjaciółek to ona wyróżniała się urodą, jednak nie cieszyła się taką popularnością jak one. Uważano, że jest nadęta, co nie było prawdą. Beth zawsze była czymś pochłonięta i ludzie szybko ją nudzili. Była cheerleaderką, ale też odnosiła sukcesy w gimnastyce i szachach, udzielała się na forum szkoły, prowadziła koło naukowe. Na randki prawie nie chodziła, zresztą chłopcy obchodzili ją bokiem, bo bardzo ich onieśmiała. Beth nigdy nie nauczyła się sprytnych kokieterijnych zagrywek. Jednak jej przyjaciółki, choć tak od niej inne, miały z nią doskonały kontakt, rozumiały ją, uwielbiały, a także niejednego zazdrościły. Dla nich z góry było przesądzone, że Beth powiedzie się w życiu, i to one najgłośniej wiwatowały, gdy wręczano jej dyplom. Po studiach Beth wróciła z Los

Angeles do Sacramento Valley i zaczęła pracować w kameralnej klinice dla kobiet. Przyjaciółki korzystały z jej fachowej pomocy.

Rano Beth zadzwoniła do Julie i z miejsca oznamiła:

– Nie zemdlej z wrażenia, ale dzisiaj będę mogła wyrwać się na trochę z kliniki. Rozmawiałam już z Cassie i z Marty, mają luz w czasie lunchu. Umówiliśmy się w samo południe U Ernesta. Dasz radę przyjść?

– Hm, mam masę rzeczy do zrobienia, ale coś spróbuję wykombinować.

– Koniecznie wykombinuj. Strasznie się za wami stęskniłam. Od miesiący się nie widziałyśmy!

Julie nie mogła znieść myśli, że nie spotka się z nimi na lunchu, tyle że nie stać jej było na taki wydatek. Ranek dał jej w kość. Kiedy już minęły poranne mdłości, siadła do rachunków, zastanawiając się, które zapłacić, a które odłożyć na później. Ledwie poczuła się trochę lepiej, suczka Tess wymiotowała prosto na jej buty. A właściwie do butów. Musiała wziąć papierowe ręczniki, które tak oszczędzała, i na kolanach zabrać się do czyszczenia. Tess polizała ją po twarzy, przewracając niechcący panią. Julie poszła z butami na patio, by umyć je wężem. Chciało się jej płakać. Gdyby miała choć trochę więcej pieniędzy, wyrzuciłaby te cholerne buty do śmieci. Kiedy już załadowała dzieci do samochodu, by odwieźć Jeffa na zajęcia do parku, silnik nie zapalił. Nawet nie zaskoczył. Musiała zadzwonić do mamy, by przyjechała i dała jej iskrę. Na szczęście zadziałało. Zawiozła syna do parku, a potem ruszyła do sklepu po nowy akumulator. Udało się zapłacić dopiero trzecią kartą kredytową. To ją dobiło. Odwiozła Clintę i Stephie do babci, by mieć trochę czasu dla siebie. Postanowiła pójść na lunch z przyjaciółkami. Wymówi się, że już jadła, posiedzi przy szklance mrożonej herbaty.

Sięgnęła do torebki po kluczyki i spostrzegła, że mama potajemnie wsunęła jej dwadzieścia dolarów. Wybuchnęła płaczem. Znowu.

– To z powodu ciąży – wymamrotała, ocierając łzy. Jednak prawda była bardziej złożona. To nie tylko ciąża, ale również lęk z powodu braku pieniędzy. Mogą im odciąć prąd, wodę... I ten poniżający fakt, że mama wciąż wtyka jej dwudziestki, bo stale są pod kreską.

Brad, jej starszy brat, skończył studia, poznał Lisę, zaręczyli się i po czternastu miesiącach wzięli ślub. Brad pracował już wówczas jako biegły księgowy, a także rozpoczął drugie studia MBA, by podnieść kwalifikacje i jeszcze lepiej ustawić się zawodowo. Gdy je skończył, wraz z żoną postarali się o dziecko, potem drugie, zgodnie z planem. W ogóle wszystko w ich życiu im się udawało, jak to sobie założyli. Brad miał trzydzieści dwa lata, trzyletniego synka i roczną córeczkę, a za sobą wazektomię. Z Julie i Billym było zupełnie inaczej. Pobrali się, mając po dziewiętnaście lat, Julie już była w ciąży. Billy pracował na część etatu i jednocześnie się uczył. W wieku dwudziestu czterech lat zdobył upragniony dyplom. Jeff miał wtedy cztery lata. Gdyby wszystko ułożyło się, jak planowali, o kolejnym dziecku pomyśleliby najwcześniej za kilka dobrych lat. Byli młodzi, spłacali kredyty za studia, zarabiali niewiele. Pilnowali się z wyjątkiem jednej nocy, gdy darowali sobie prezerwatywę i środek plemnikobójczy, bo namiętność okazała się silniejsza od rozsądku. To był jeden jedyny raz, w dodatku w bezpiecznym dniu. I proszę, Clint! Przyszedł na świat, gdy Jeff chodził do przedszkola, a Billy od roku był strażakiem. Rok później urodziła się Stephanie. Beth stwierdziła, że prawdopodobnie krążek był źle dopasowany.

Billy zdawał sobie sprawę, jak ważne jest wykształcenie, dlatego nie przerywał nauki i czekał, aż zwolni się miejsce w straży. Od dziecka marzył, by zostać strażakiem. Posada gwarantowała dobre świadczenia i emeryturę, jednak na początku pensja była niewielka. Mógłby postarać się o inną, bardziej dochodową pracę, lecz ta najbardziej go pociągała. Nieustające wyzwania, ratowanie ludzkiego życia, to było dla niego najważniejsze. Rodzice Julie wykazywali cierpliwość i zrozumienie, lecz czuła, że zawiodła ich oczekiwania. Wyszła za mąż wcześnie, jeszcze przed trzydziestką miała trójkę dzieci. Martwili się nieustannymi problemami finansowymi córki i zięcia. Minęło tyle lat, a oni wciąż nie stanęli na nogi. Wciskali jej pieniądze, opłacali zajęcia dla dzieci, o czym Billy nawet nie wiedział. Wszystkie porządne zabawki pochodziły od dziadków i wujka Brada. Na samą myśl, że miałyby powiedzieć mamie o kolejnej ciąży, robiło się jej słabo. Zaraz padną pytania, co z wazektomią Billy'ego. No właśnie. Miał ją zrobić, ale nie mógł się zdecydować, bo się jej bał bardziej niż komplikacji, jakie w ich życiu spowoduje kolejne dziecko. Julie miała spirale. Powinna wystarczyć do czasu, aż Billy się przemoże. A jednak znów zaszła w ciążę. Często skarżyła się Cassie, że nie wystarcza im na podstawowe potrzeby, jednak przyjaciółka nie traktowała tego poważnie. W końcu jakoś sobie radzili, a Cassie oddałaby wszystko, by mieć jej problemy. Była sama i rozpaczliwie szukała drugiej połówki, marzyła o rodzinie. Z Marty, której pod każdym względem świetnie się układało, też nie pogada o tym, co ją dręczy. Jednak spotka się z nimi. Wprawdzie za tę dwudziestkę mogłaby zatankować samochód, ale po prostu musi od czasu do czasu zobaczyć przyjaciółki. Przyszła ostatnia. Powitały ją tak gorąco, jakby jej nie widziały od co najmniej roku.

– Wino? – zapytała Cassie, gdy Julie usiadła.

– Nie, dzięki. Odwożę dzieci – skłamała. – Beth, nie pijesz wina?

– Jestem pod telefonem. Ktoś mnie zastępuje, ale jakby co...

– To twój sposób na utrzymanie figury? Warowanie pod telefonem? – spytała Julie.

Wszystkie zamówiły sałatkę, nawet Julie.

– Ważę wciąż tyle samo, ale w pracy mam straszną harówkę – powiedziała Beth. – Odbieram wszystkie nocne porody. Taki los, gdy jesteś nowy.

– Skoro mowa o kimś nowym... ktoś taki się pojawił? – zagadnęła Cassie, przechodząc do tematu, który ją najbardziej zajmował. Nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że taka piękna i wykształcona kobieta jeszcze nie znalazła swego księcia. Z drugiej jednak strony taką perfekcjonistkę jak Beth trudno zadowolić. Ale mimo to...

Żartujesz? – Beth upiła herbaty. – Kilka raz umówiłam się z pewnym internistą, niestety okazał się beznadziejny. Myślałam, że umrę z nudów. Wolę już poczytać dobrą książkę. Omal przy nim nie zasnęłam.

– Domyślam się, że powtórki nie będzie – podsumowała Marty.

– Absolutnie nie. Prawdę mówiąc, mój dzień wygląda tak, że pracuję, wracam do domu i śpię, póki nie obudzi mnie telefon...

– Jak ci jest w tej klinice? – zapytała Cassie.

– Na pewno spodoba mi się bardziej, gdy już nie będę tam nowa, ale i tak jest fajnie. Świetny zespół. Wśród naszych pacjentek jest dużo młodych ciężarnych dziewczyn, ale też trochę starszych. Jeden z lekarzy prowadzi prywatny gabinet leczenia niepłodności, ma spore osiągnięcia. – Popatrzyła na Cassie. – A co u ciebie? Jakiś nowy absztyfikant?

Cassie i Julie wymieniły spojrzenia. Cassie nie opowiadała przyjaciółkom o tym, co ją spotkało, i wcale nie paliła się do tego, by wchodzić teraz w tamtą historię, odświeżać wspomnienia.

– Dałam sobie spokój z facetami. Przyciągam tylko porąbanych i dupków.

Beth roześmiała się.

– Ten właściwy pewnie pojawi się wtedy, gdy będziesz się tego najmniej spodziewała.

– Niech policzę, ile to już razy słyszałam? Prawdę mówiąc, może nawet mniej zależy mi na facecie, ale cholernie trudno mieć bez niego dziecko.

– Nie musisz mieć fagasa, żeby mieć dziecko – oznajmiła Beth.

– W szkole nie byłam orłem z biologii, o ile jednak pamięć mnie nie myli, akurat do tego facet jest niezbędny – wtrąciła Julie.

– Potrzebna jest tylko sperma. – Beth machnęła ręką. – Łatwizna.

– Cholera! – mruknęła Julie.

– To mi się podoba – podsumowała Marty. – Małżeństwo jest strasznie przereklamowane.

Julie przeniosła wzrok z Beth na Marty. Cassie nadal nie odrywała oczu od Beth.

– Zrobiłabyś to? Zdecydowałabyś się na dziecko bez męża?

– Dziecko to nie dla mnie – stanowczo odparła Beth. – O wiele lepiej sprawdzam się jako ta, która sprowadza je na świat, niż gdybym została matką. Choć w naszej klinice połowa lekarek ma mężów lekarzy. Oboje pracują pod presją, mają dyżury i jakoś im wychodzi. Wygląda na to, że dobra niańka jest ważniejsza niż dobry mąż.

– Co to miało znaczyć, że małżeństwo jest przereklamowane? – Julie spojrzała na Marty, sięgając przy tym po kieliszek Cassie, nim jednak upiła łyk, szybko go odstawiła.

Akurat w tym momencie przyniesiono sałatki i koszyczek z ciepłym pieczywem.

– Co chciałaś przez to powiedzieć? – nalegała Julie, patrząc na Marty.
– Przecież ty i Joe kwitniecie! Chyba nie macie problemów?

Marty odłamała kawałek chleba, wzruszyła ramionami.

– Jest okay, w każdym razie tak myślę. Zastanawiam się tylko, czy tak już zawsze ma być. Mam mieszkać z flejtuchem, który zupełnie się zmienił? Przed ślubem wciąż gdzieś wychodziliśmy, zapraszał mnie do kina, na kolacje, takie rzeczy. Teraz na tapecie jest tylko sport, łódka albo kemping. W wolne dni nawet nie weźmie prysznic, dopiero przed wyjściem do pracy. Wracam po całym dniu, a dom wygląda jak po najściu barbarzyńców. Joe był romantyczny, ale jak już założył mi na palec obrączkę, wszystko się skończyło. Wiecie, jak wygląda nasza gra wstępna? Pyta mnie, czy śpię. Julie wybuchnęła śmiechem. Kiedy się opanowała, powiedziała:

– Niestety, tak to jest, moje drogie. Podpisuję się pod tym.

– Jak widzicie, są powody, dla których wiele kobiet decyduje się na samotne macierzyństwo – autorytatywnie skomentowała Beth.

– Marty, nigdy tak nie mówiłaś – zdumiała się Julie. – Myślałam, że masz bzika na punkcie Joego.

– Owszem, to świetny facet i dobry ojciec, jest przy tym odpowiedzialny na swój sposób. Kobiety, które wyratował z pożaru, do końca życia nie przestaną go kochać. Niestety w domu jest straszonym niechlujem. Chowa przede mną stroje sportowe, żeby ich za szybko nie uprała. Jego szafa aż śmierdzi.

– Aha... – Mają dwie szafy, z zazdrością pomyślała Julie.

– Łódkę poleruje do błysku, ale nie pomyśli o tym, by ogolić się, nim zacznie się do mnie przymilać. Ogród musi być odpicowany, co znaczy, że Joe na kolację czy do łóżka przychodzi spocony i śmierdzący jak włóczęga. Poza ogródkiem, garażem i sprzętem sportowym niczego innego się nie tknie.

– Nigdy nie widziałam, by Joe wyglądał jak włóczęga – rzekła Cassie.

– Zobaczyłabyś, gdybyś była jego żoną. Pucuje się, gdy ktoś ma przyjść, do pracy też wychodzi wysztafirowany, ale dla żony już nie musi się starać. Uważa, że to już ma załatwione.

– Marty, powinnaś mu coś powiedzieć – rzekła Julie.

– Myślisz, że nie mówiłam? Prosiłam, błagałam, krzyczałam! Ale co z tego? Dla niego to jest zabawne. Powtarza mi, że bym się rozluźniła. Ciebie Billy nigdy nie wkurza? Nie masz go dość?

– Hm, no pewnie. Ale z innych powodów...

– Z jakich?

Jest zbyt płodny. I ja z nim. Jest zbyt romantyczny. Zachowuje się, jakbyśmy nadal byli w liceum, nadal nie mogli się opamiętać, jak odurzone miłością dzieciaki ściskające się na tylnym siedzeniu. Jest niepoprawnym optymistą, jakby nie istniał ten prawdziwy, realny świat, w którym nie wystarcza na opłacenie rachunków. Dałaby wszystko, by Joe miał tylko jedną pracę i pomagał w domu i przy dzieciach. Jednak powiedziała:

– Częściowo z tych samych, ale... To mi aż tak nie przeszkadza. – Bo mam prawdziwe problemy, dodała w duchu, czując, jak wzbierają w niej gniew i zawiść. Za ciasny dom, za duże raty kredytów, stare samochody, rachunki, nad którymi traci kontrolę... – No dobrze, niektóre rzeczy mnie denerwują. Ale Marty, przecież wy macie idealne życie.

– Bo mamy łódkę? Julie, na cholerę mi ta łódka! Wolałabym umrzeć, niż spędzić jeszcze jeden tydzień w tym samochodzie turystycznym! Oddałabym wszystko za wakacje w jakimś fajnym miejscu, tylko we dwoje. Na Hawajach czy na Bahamach. Chciałabym oglądać filmy, w których nikt nie strzela ani nie świruje. Wolałabym pójść do restauracji na kolację albo polecieć do Las Vegas, do sztywnego hotelu. Spędzić dzień w spa, a potem poleżeć przy basenie. Ale Joe nawet nie chce o tym słyszeć. Od razu pyta, po co jechać do Vegas, skoro mamy łódkę? A dla mnie łódka oznacza zakupy, sztywnienie żarcia, podawanie każdemu posiłku, a potem sprzątanie. To żadna przyjemność, tylko dodatkowa praca! – Marty zjadła trochę sałatki. – Ty to masz szczęście. Billy wciąż traktuje cię tak, jakby marzył, by się z tobą ożenić.

Hm, pomyślała Julie. Czemu więc nie czuję się szczęściarą? Czyżby dlatego, że nie da się żyć samą miłością?

ROZDZIAŁ TRZECI

Skończyły lunch i zaczęły się zbierać do wyjścia. Julie wstąpiła do toalety. Oderwała kawałek papieru, modląc się w duchu, by zobaczyła na nim krew, jednak jej błagania nie zostały wysłuchane. Spuściła wodę i wyszła z kabiny. W lustrze spostrzegła znajomą twarz.

– Cześć! – promiennie powitała ją Chelsea. – Ostatnio wciąż się spotykamy.

Wymieniły zdawkowe całusy.

– Co tu robisz? – spytała Julie.

– Lunch po zebraniu służbowym. Nasz punkt dilerski jest kilka przecznic stąd.

– No tak, teraz sprzedajesz samochody – przypomniała sobie Julie.

– Hummery – z pobłażliwym uśmiechem uściśliła Chelsea. – Jestem szefową działu sprzedaży. Nasze przedstawicielstwo lokuje się na samej górze i zgarnia korporacyjne nagrody.

Chelsea miała na sobie elegancki kostium i fantastyczne pantofle. Julie już dawno straciła rozeznanie w markach odzieży. Ciuszki dla siebie kupowała rzadko i tylko w sieciówkach, ale nie miała wątpliwości, że strój Chelsea kosztował majątek. Sama była w sukience na ramiączkach i sandałkach. Nie były to nowe rzeczy, miała je co najmniej od trzech lat. Dobre na wyjście na zakupy. Poczula się zdołowana.

– Chyba teraz trudno się sprzedają, co?

– Ależ skąd. – Chelsea pokręciła głową. – Nawet mimo kryzysu idą nieźle. Trafiają w gust, dlatego klientów nam nie brakuje. Dla wielu hummer to wyznacznik standardu. Im większy, tym lepszy.

– Mimo że benzyna jest taka droga? – zdziwiła się Julie, przesuając spojrzeniem po Chelsea. Jej uwadze nie uszły pomalowane paznokcie, wyregulowane brwi, pasemka i wypracowany, wręcz profesjonalny makijaż.

– Przynajmniej w naszym przedstawicielstwie sprzedaż nie siadła. A co ty tu robisz?

– Lunch z kumpelkami. Rzadko nam się udaje spotkać we czwórkę, Beth zwykle nie może się wyrwać.

– Aha. No tak. Świetnie wyglądasz. Wygodnie, na luzie i fajnie.

– Dzięki. To z Costco. – Za późno się zreflektowała. Po co jej to mówi? Sama torebka Chelsea kosztowała więcej niż ona ma na tygodniowe utrzymanie. – Czemu odeszłaś z poprzedniej pracy? To były ubezpieczenia, prawda?

– Ubezpieczenia medyczne. Już dawno się z nimi rozstałam. Z powodów finansowych, bo zależy mi na kasie. Ubezpieczenia medyczne to nie jest zła branża, ale z robieniem kariery krucho, bo z awansowaniem to bardzo skomplikowana sprawa. Taka struktura organizacyjna. Tutaj pod tym względem jest o wiele lepiej.

– Nie było ci trudno się przestawić? To tak odmienne dziedziny...

– Tylko na pierwszy rzut oka. Tak naprawdę w każdym biznesie jest podobnie. Kiedy poczułam, że powinnam coś zmienić pod względem zawodowym, zatrudniłam się w punkcie dilerskim. Najpierw tylko na weekendy, żeby zorientować się, jakie są perspektywy. Potem zrezygnowałam z ubezpieczeń i przesłam na pełen etat. Wiesz, jakie są prowizje za sprzedaż hummera? Choć akurat dla mnie nie to jest najważniejsze. Chcę piąć się w górę, zrobić prawdziwą korporacyjną karierę. W dalszej perspektywie... och, nie mogę zapeszyć! Za to w

bliższej perspektywie mam na oku stanowisko dyrektora naszego przedstawicielstwa.

– Myślisz, że to możliwe w wieku dwudziestu dziewięciu lat?

– Oczywiście, że to musi trochę potrwać – z uśmiechem odparła Chelsea. – Julie, zadryndaj do mnie, jak następnym razem umówicie się na lunch, co?

– Nie ma sprawy. – Oczywiście wiedziała, że Chelsea nigdy się tego nie doczeka. – Dzisiaj to wyszło w ostatniej chwili...

– Dopasuję się. Wybacz, ale muszę już pędzić.

– Jasne.

Julie pochyliła się nad umywalką. Chelsea już nie było. Piękny układ. Po szkole przestały drzeć z sobą koty, ale trzymały się na dystans. Chelsea też była cheerleaderką. Utrzymywała kontakt z Marty, lecz dla Julie była skreślona. Z Billym rzadko miewali scysje, lecz kilka razy zdarzyło się, że byli z sobą na ostro. Podczas jednego z takich okresów Chelsea spotykała się z Billym, czego Julie nigdy jej nie wybaczyła. Podobnie Cassie. Beth w ogóle się tym nie przejęła. Do dziś Chelsea zapalały się oczy, gdy tylko widziała Billy'ego, co Julie doprowadzało do białej gorączki. Jednak nie ulegało wątpliwości, że Chelsea doskonale sobie radziła. Podobnie jak Billy skończyła studia. Gdyby nie fakt, że Billy studiował wieczorowo, podejrzewałaby, że Chelsea została studentką, by się z nim widywać. Billy skończył wychowanie techniczne, natomiast Chelsea nauczanie początkowe, ale żadne z nich nie zostało nauczycielem.

Spotkanie z Chelsea dało jej do myślenia. Czemu Billy nie pójdzie jej drogą, czemu nie poszuka bardziej perspektywicznego zajęcia niż przycinanie blatów? Czemu mu nie zależy na kasie?

Wyszła z restauracji. Cassie i Beth jeszcze gadały przy samochodzie, pewnie się żegnały. Pomachała im i wsiadła do swego pojazdu. Stary grat z ogromnym przebiegiem. Przekręciła kluczyk. Jeśli nie zapali, zareklamuje akumulator. Na szczęście zapalił.

Cassie chciała rozmówić się z Beth w cztery oczy, dlatego poszła za nią do samochodu.

– Beth, mówiłaś poważnie? Dziecko bez ojca?

– Gdybym marzyła o dziecku, a nie miałabym męża, na pewno bym się nie zastanawiała. Czemu rezygnować z marzenia tylko dlatego, że nie pojawił się odpowiedni mężczyzna?

– Hm, nigdy tak na to nie patrzyłam. Beth, ale przecież na studiach miałaś faceta, to był poważny układ. Mieszkaliście razem tyle czasu...

– Wiesz co? Wolałabym mieć dziecko bez ojca, niż jeszcze raz przejść przez to co wtedy. Skończyło się fatalnie, bardzo to przeżyłam. Od tamtej pory sceptycznie podchodzę do...

– Wtedy rzeczywiście tak było – rzekła Cassie. – Wiem, że w dzisiejszych czasach to nic nowego, ale zawsze wydawało mi się, że to raczej dotyczy milionerów czy celebrytów, nie normalnych ludzi, a już na pewno nie pracujących kobiet.

– Ci celebryci też muszą się starać, i to pewnie nie mniej niż ty czy ja.

– Pewnie tak. Wiesz, chciałabym mieć rodzinę, ale zawsze myślałam...

– Cassie, każda z nas inaczej to widzi. Mnie raczej nieszczęśliwie zależy na mężu. Wiem, czego chcę, jestem nastawiona na siebie, mało

elastyczna. Marty jest wściekła na Joego, choć ich problemy mogą wydać się mało istotne, ale ja bym z nim nie wytrzymała. Każdy ma inne podejście. Naprawdę najbardziej zależy ci na mężu? Bardziej niż na dziecku?

– Sama już nie wiem... Beth, mam prawie trzydzieści lat i wciąż natrafiam na fatalnych facetów. To mnie zmęczyło. Dotąd nie brałam pod uwagę innych możliwości.

– Musisz to sobie przemyśleć, wszystko poukładać w głowie, ustalić priorytety, wyzbyć się wątpliwości. Wtedy pogadamy, okay? Aha, słuchaj, jeśli chodzi o Marty i Joego, jak myślisz, to tylko takie utyskiwanie?

– Nie mam pojęcia. Wydawało mi się, że dobrze im się układa.

– Dla mnie to tak nie wygląda. Z Julie też coś jest nie tak. Zachowuje się jakby nigdy nic, ale czymś się gryzie.

– Mają problemy. Brakuje im kasy, więc Billy pracuje na okrągło i prawie nie bywa w domu. Julie ma wszystko na głowie i jest tym piekielnie zmęczona. Ale znasz ich. Kłócą się, lecz szybko się godzą. Nie jak Marty i Joe, u nich nie chodzi o łódkę.

– Widzisz, jak to jest w małżeństwie? – ze śmiechem skomentowała Beth. – Można się zreć z powodu łódki.

– Przecież mówię, że chodzi o coś więcej. Oboje nie są skłonni do kompromisu. I tu jest problem.

– Dlatego ja nie nadaję się do małżeństwa – podsumowała Beth. – Nie ma mowy, bym poszła na kompromis. Zawsze musi być tak, jak ja chcę.

A ja bym się na wszystko zgodziła, pomyślała Cassie. Na wszystko.

Tylko że nigdy nie stanęła przed takim wyborem.

– Czyli według ciebie to nie szaleństwo? – zapytała. – Mieć dziecko w taki sposób?

– Absolutnie nie! – z przekonaniem oznajmiła Beth. – Uważam, że to rozsądne rozwiązanie. Szaleństwem byłoby poślubienie kogoś tylko po to, by mieć rodzinę. Gdybym pragnęła dziecka, a nie miała partnera, bez wahania bym na to poszła. Jednak dla mnie...

– Jak myślisz, ile mam czasu? A raczej ile my mamy czasu?

– Sześć, siedem lat, może nieco dłużej pod pewnymi warunkami. Teraz jestem jednak zbyt pochłonięta innymi sprawami, by myśleć o takich rzeczach. Nie wiem, jak by to było, gdybym miała faceta. Tamten związek, który tak fatalnie się zakończył, dał mi wiele do myślenia. Może Bozia stworzyła mnie do innych celów, nie do życia rodzinnego. Zawsze jestem skupiona na sobie, czymś pochłonięta, nie mam czasu dla bliskiej osoby. Gdybym poznała kogoś takiego jak ja, to wyobrażasz sobie nasz dom? Dwoje obcych sobie ludzi, każdy zajęty sobą i swoimi sprawami. Dlatego lepiej, że nikt taki nie stanął na mojej drodze. Nie dałabym sobie rady z dzieckiem, musiałabym mieć nianię.

– Nie opowiadaj...

– Nie bredzę. Popatrz na moich starych. Po uszy siedzą w swojej pracy, nic innego ich nie interesuje. Zapewnili mi doskonałe wykształcenie, ale nie mają pojęcia o moim życiu, o moich sprawach. Zawsze tak było. Nawet gdy im coś mówisz, po prostu nie słuchają. Mam to po nich. Dlatego wszyscy uważają, że jestem pokręcona.

– Ja tak nie uważam. – Cassie uśmiechnęła się ciepło. – Dla mnie jesteś niesamowita, a twoje pacjentki cię uwielbiają.

– Z tym mi się poszczęściło. Jakoś tak wyszło, że jestem dobrym lekarzem. Nie myśl, że tego nie cenię. Kocham moją pracę. –

Uśmiechnęła się smutno. – Prawdę mówiąc, to dla niej żyję. Tylko ona się liczy. Cassie zawsze zazdrościła Beth intelektu i sukcesów, choć jej samej marzyło się życie w stylu Julie. Beth nigdy nie miała wątpliwości co do swych wyborów, wiedziała, czego chce i umiała do tego dążyć. Nie zrażała się i nie przejmowała tym wszystkim, co uważała za nieistotne. W szkole nie zależało jej na popularności, nie martwiła się, że nie ma chłopaka. Nawet poważne komplikacje, które spotkały ją w życiu, nie zmieniły jej nastawienia. Śmiało szła naprzód i zawsze miała wewnętrzne przekonanie, że to właściwa droga. Jej rodzice byli intelektualistami żyjącymi we własnym świecie. Mieli swoje żelazne priorytety, nic innego ich nie interesowało. Matka Beth pracowała w uczelnianej bibliotece, ojciec był profesorem helmintologii, badał pasożyty. W domu panował wieczny bałagan, nieustająca inwazja książek i papierów, do tego mikroskopy, w zlewie sterty brudnych talerzy, nieposłane łóżka, stosy ubrań do prania. Żyli skromnie i niezbyt przejmowali się córką, choć rozbudzili w niej intelekt i głód wiedzy. Beth od małego brała udział w programach edukacyjnych dla szczególnie uzdolnionych dzieci. Za to Julie miała Billy'ego wpatzonego w nią od trzynastu lat. Jego zachwyty nie osłabły z czasem, a choć ledwie wiązali koniec z końcem, ich małżeństwo było jak skała. Julie zawsze mogła liczyć na miłość i wsparcie męża. Trzymali się razem nawet w obliczu największych problemów. Gdyby Cassie miała wybierać, wybrałaby dzieci, problemy finansowe i prawdziwą miłość. Może bez sensu, bo pewnie lepiej postawić na wykształcenie, ale taka już była. Wracając z lunchu do domu, minęła salon motocyklowy.

Pojechała dalej, ale po trzech przecznicach zawróciła. W salonie znów siedział ten uśmiechnięty sprzedawca.

– Dzień dobry – zagaiła. – Czy Walt Arneson jest w pracy?

– Sekundę. – Uśmiechnął się. Podeszedł do telefonu, połączył się z kimś. – Proszę. – Podał jej słuchawkę.

– Cześć – powiedziała. – Walt?

– Cześć. Jak się masz?

– Dobrze. Przejeżdżałam koło salonu i pomyślałam... może dałbyś zaprosić się na kawę?

– Bardzo się śpieszysz?

– Hm... nie. Czemu pytasz?

– Jestem w innym sklepie, ale gdybyś poczekała kilka minut, powiedzmy dwadzieścia, to przyjadę.

– Nie, nie chcę cię...

– Cassie, z przyjemnością wypiję z tobą kawę. Przyjadę, to żaden problem, naprawdę.

– Tak mówisz?

– Z wielką chęcią cię zobaczę. Idź do księgarni, zamów dla nas kawę, zajmij nasze miejsce, jeśli jest wolne, a za dwadzieścia minut jestem.

– No dobrze, skoro chcesz.

– Chcę. Nie śpiesz się. – Rozłączył się.

No i po co zawracałam mu głowę? – pomyślała sceptycznie. Na co liczę?

– Zadzwonił pan do innego sklepu? – zapytała sprzedawcę.

– Owszem. Walt zwykle jest w ruchu.

– Aha. Dziękuję. – Powoli poszła do księgarni. Popatrzyła na książki, zamówiła kawy i usiadła w kąciaku, który już stał się ich.

Pół godziny później wiedziała, na co w skrytości serca liczyła. Cudownie im się rozmawiało, swobodnie i na luzie. Opowiedziała o lunchu z przyjaciółkami, o Marty, która narzeka na męża, o Beth, która twierdzi, że samotne macierzyństwo to jak najbardziej racjonalna decyzja. Opisała Steve'a i zwierzyła się, że za jakiś czas weźmie szczeniaka, by Steve miał towarzysza. Walt zrewanżował się relacją z weekendowego wyjazdu nad jezioro Tahoe. Malowniczo opisywał krajobrazy, góry pokryte bujną zielenią, jezioro. Zaczynała rozumieć jego pasję podróżniczą, choć raczej nie pasowała do wizerunku mechanika.

– Skoro tak cenisz naturę, to pewnie polujesz, łowisz ryby i spędzasz noce w plenerze.

– Tylko to ostatnie – odparł, popijając kawę. – Gdy wyjeżdżam na weekend, zabieram śpiwór i plecak. Rozbijam obozowisko na plaży czy na trawiastym zboczu i śpię pod gwiazdami. Nie mam cierpliwości do łowienia ryb, natomiast polowanie jest wbrew mojej naturze.

– A golf? – droczyła się.

– Nabijasz się ze mnie? – Roześmiał się. Trudno go sobie wyobrazić wśród szpanersko ubranych golfistów. Kowbojki z łańcuchami, goła baba wytatuowana na przedramieniu...

Trochę się o sobie dowiedzieli. Oboje nigdy nie byli w formalnych związkach, mieli po troje rodzeństwa, choć Cassie tylko przyrodnie. Jego rodzina mieszkała tutaj, natomiast jej w Des Moines. Oboje od ponad pięciu lat pracowali w tym samym miejscu.

Walt zagadnął ją mimochodem, czy otrzęsnęła się z tamtego zdarzenia. Odpowiedziała, że w zasadzie tak, lecz stała się ostrożniejsza.

– Dałam sobie spokój z randkami. Przynajmniej na trochę. Za dużo mnie to kosztowało.

– Jasne.

– To nie powinno się zdarzyć. Zwykle lepiej oceniam ludzi.

– Cassie, nic złego nie zrobiłaś. To on okazał się draniem.

Przy kawie gawędzili dobrą godzinę, potem przejrżeli półki z książkami, wreszcie wyszli na parking.

– Fajnie jest tak się spotkać na kawę – rzekł Walt. – To miły przerywnik w pracy.

– Mnie też się podobało.

– Wiem, że widzieliśmy się dopiero drugi raz, ale już wyglądam kolejnego spotkania.

– Nawet gdybyś musiał jechać na to spotkanie z drugiego końca miasta?

– Oczywiście. – Wyjął z kieszeni wizytówki, przejrzał je i wręczył jedną Cassie. Tylko nazwisko i numer telefonu. – Zadzwoń na ten numer, jeśli znów będziesz chciała napić się kawy. Nie każę ci długo czekać. Rzadko daję ten numer, bo inaczej wciąż by do mnie dzwonili i miałbym urwanie głowy, ale ty to co innego.

– Masz taki układ w robocie, że można do ciebie dzwonić w czasie pracy?

– Pracuję bardzo długo, nie oszczędzam się. Nikt nic nie powie, jeśli zrobię sobie chwilę wolnego. Zadzwoń, a przyjadę.

– Wiesz... nie dałam ci mojego telefonu, ale to dlatego...

Delikatnie dotknął jej ramienia.

– Cassie, chciałbym znać twój numer, ale musisz mieć poczucie, że całkowicie panujesz nad sytuacją. Dzwon, kiedy zechcesz.

– Dzięki. To naprawdę miłe. Że mnie rozumiesz.

– Hej, przecież byłem tam wtedy, zapomniałaś?

W straży pożarnej Billy miał pełny etat, a w warsztacie tylko dorabiał. Wprawdzie mógł przejść do tej drugiej pracy i mieć więcej kasy niż jako strażak, lecz takie rozwiązanie go nie pociągało. Plusem był ruchomy grafik, mógł go dostosować do innych zajęć, więc nie narzekał. W miesiącu wychodziło mu co najmniej dwanaście pełnych dni, zwykle koło szesnastu. Przycinanie drewna i kamienia było nużące, ale dobrze płatne. Praca była ciężka. Podobnie jak w straży. Nie zostawało mu czasu na nic więcej jak spanie i jedzenie, ale pieniędzy wciąż było mało, więc zaciskał zęby i pracował. Nie wziął ani dnia zwolnienia, nigdy nie miał wolnego. Liczył, że jeśli utrzyma się w straży, to po ośmiu, dziesięciu latach awansuje i zacznie dobrze zarabiać. Na razie było cienko. Dziś wrócił rano po dwudziestoczterogodzinnej służbie. Położył się spać, choć w domu panował harmider. Cieszył się, że Julie idzie z koleżankami na lunch, bo to powinno poprawić jej humor. Odpocznie od dzieci, pogada z przyjaciółkami, może poskarży się na męża, co ją rozładuje. Po czterech godzinach wstał i pojechał do teściowej po dzieci. Były już po lunchu, więc zaraz położył je spać. Zwykle korzystał z okazji i sam wtedy drzemał. Po obiedzie zamierzał iść do warsztatu i pracować do północy, jednak zamiast się wyciągnąć, zabrał się do domowych obowiązków. Wypucował kuchnię, posprzątał ogródek po psie, podciął żywopłot i przystawił do dachu drabinę, by sprawdzić, czy da radę naprawić zapchaną rynnę.

Postawił skrzynkę z narzędziami na spadzistym dachu. Ze śrubokrętem w dłoni wychylił się w bok. Skrzynka zaczęła się ześlizgiwać. Rzucił śrubokręt i wyciągnął rękę po skrzynkę. Drabina poruszyła się, zachwiała. Billy przytrzymał się rynny, ale przerdzewiały materiał zaczął się odłamywać. Drabina upadła na ziemię. Billy przez moment trzymał się rynny, opóźniając upadek. Wylądował na nogi, przewrócił się i przekoziółkował po trawie. Przez kilka sekund leżał nieruchomo. Zamknął oczy. Zachował się idiotycznie. Tylko tego brakowało, żeby coś sobie połamał.

– Billy! – z domu dobiegł krzyk Julie. Biegła do niego. – Billy! Billy! O Boże, Billy!

Leżał, uśmiechając się leciutko, z zamkniętymi oczami. Wiedział, że przeciąga strunę. Julie przypadła do niego, ujęła go za głowę.

– Billy! Nie żyjesz?

Otworzył oczy.

– Nigdy tego nie rób. Nie podnoś człowiekowi głowy. Mogłem doznać urazu kręgosłupa.

– Nic ci nie jest?

– Kochasz mnie?

– Co się stało?

W jej szeroko otwartych oczach dostrzegł lęk.

– Spadłem z drabiny. Leżałem i zastanawiałem się, czy coś sobie zrobiłem. Nie wiedziałem, że jesteś w domu. Kochasz mnie?

– Och, ty głupku! – Puściła jego głowę.

Rozległ się jakiś dźwięk, coś się zsuwało. Billy błyskawicznie złapał żonę, przewrócił ją na bok i przykrył własnym ciałem. Skrzynka z narzędziami z hukiem upadła tuż przy nich, kilka narzędzi poszybowało obok. Billy odczekał, podniósł głowę.

– Dwie głupoty jednego dnia. Chyba jestem za bardzo zmęczony, żeby pracować.

– Puść mnie.

– Nie. Najpierw powiedz, czy mnie kochasz.

– Nie! Nienawidzę cię! Zabrałeś mi dziesięć lat z życia!

Zamknął jej usta pocałunkiem. Nie zareagowała. Popatrzył na nią z uśmiechem.

– Wypucowałem kuchnię – powiedział. – Położyłem Clinta i Stephanie spać. Posprzątałem po psie i przystrzygłem żywopłot.

– I spadłeś z drabiny.

– Tak. Nie robię dziś nic więcej. Lunch się udał?

– Mhm.

– Powiedziałaś im? I poskarżyłaś się na swego niedobrego męża?

– Nikomu nic nie powiedziałam. Ty też tego nie rób.

– Dobrze. Pomożesz mi dojść do sypialni?

– Coś ci się stało?

– Napaliłem się. Może poleżysz ze mną, a gdy poprawię ci humor, trochę się prześpię.

– Ty o niczym innym nie myślisz?

– Gdy leżysz na mnie, to o niczym innym nie jestem w stanie myśleć. Będę dla ciebie słodziutki. Bardzo delikatny. No, może nie aż tak.

– Właśnie z tego biorą się nasze problemy – powiedziała Julie. – Ja bym ci najchętniej przyłożyła, a tobie jedno w głowie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jeśli to twój największy problem, to nie jest tak źle.

– Sama nie wiem....

– Jak się czujesz, skarbie? – zapytał przymilnie, łagodnie odsuwając jasny lok z jej twarzy. – Nie masz mdłości czy skurczów?

– Nie.

– Martwię się, czy spirala nie zaszkodzi dziecku. – Zmarszczył brwi. – Jeśli uważasz, że raczej nie...

– Nadal najchętniej bym ci przyłożyła!

Billy uśmiechnął się.

– Wiem. – Pomógł jej się podnieść. – Chodź, skorzystajmy, że dzieciaki śpią.

Nieco później Julie była spokojniejsza i bardziej czuła.

– Wiesz, w restauracji wpadłam dziś na Chelsea.

– Tak? – Ziewnął. – Chyba nie zrobiłaś jej krzywdy?

– Pogadałyśmy chwilę. Wiedziałaś, że już nie pracuje w ubezpieczeniach, tylko handluje hummerami? Jest kierownikiem działu sprzedaży.

– Tak mówiła – powiedział sennie.

– No więc... nie przepadam za Chelsea, ale ona dobrze kombinuje. Nim zdecydowała się na zmianę pracy, zatrudniła się na weekendy, żeby zobaczyć, co i jak, dopiero potem zrezygnowała z poprzedniej posady. To dobry pomysł, nie uważasz?

– Hummery – prychnął, układając głowę na poduszce. Widać było, że jest wykończony. – Dzisiaj nikt ich nie chce.

– Chelsea mówiła, że sprzedają się bez problemu, nie gorzej niż wcześniej. Ludziom się podobają. Dają im poczucie, że są dużo warci.

– Nie na długo – powiedział, nie otwierając oczu.

– Nie o to mi chodzi. Rzecz w tym, że to dobry sposób. Znaleźć coś nowego, popracować tam z doskoku, a jeśli sprawa okaże się warta świeczki, przestawić się. Przycinanie blatów jest dobrze płatne, ale bez przyszłości. Nic więcej tam nie zwojujesz. Jesteś wykształcony, masz możliwości. Gdybyś się rozejrzył, mógłbyś znaleźć coś lepszego...

– Mhm...

Po chwili usłyszała ciche chrapanie. Pochyliła się i musnęła ustami jego policzek.

– A gdybyś w pracy spadł z drabiny? – wyszeptała. – Co byśmy wtedy zrobili? – Billy pogrążył się w głębokim śnie.

Kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła leżącą na ziemi drabinę, przypomniała sobie, jak koło niej nieruchomo leżał mąż. Zamknęła oczy. Nie chciała dopuścić myśli, że jej Billy'emu coś mogło się stać. Potem odetchnęła, lecz uczucie ulgi szybko zastąpił czający się w niej stale lęk. Billy nie miał bezpiecznej pracy. Nie chciała myśleć, co by było, gdyby mu się coś stało. Dla niej i dla dzieci oznaczałoby to

katastrofę. Pieniądze z ubezpieczenia szybko by się rozeszły, a przecież nie miała żadnych dochodów. Pewnie straciliby dom. Mama musiałaby zająć się dziećmi, a ona poszłaby do jakiejś nędznie płatnej pracy. Co mogłaby robić? Po urodzeniu pierwszego dziecka pracowała jako sekretarka i kelnerka, ale zarabiała grosze.

A jeśli teraz przyszłoby jej utrzymać czworo dzieci?

Billy nigdy nie miał wypadku. Był bystry, uważny, silny, miał świetny refleks. Jednak pracuje na okrągło i wciąż jest zmęczony. Co będzie, jeśli pojawi się kolejne dziecko? Niemowlę, które co dwie godziny będzie domagać się karmienia? I tak przez długie tygodnie? Jak on może tak cieszyć się na to dziecko, skoro los całej rodziny może zawisnąć na włosku?

Usłyszała płacz Stephe. Mała obudziła się, zaczęła kaszleć. Boże, żeby tylko nie była chora! Pobieгла do dzieciennego pokoju, wyjęła córeczkę z łóżeczka i poszła z nią do kuchni. Podała jej leki. Oby pomogły! Resztę popołudnia i wczesny wieczór spędziła na pracach domowych, gotowaniu, odbieraniu Jeffa z parku i odwożeniu go na trening piłkarski, pocieszaniu chorego dziecka, praniu i sprzątaniu. Billy obudził się koło szóstej, później niż zwykle, co świadczyło, jak bardzo był zmęczony. Julie siedziała ze Stephe w zaparowanej łazience. Wdychanie przesyconego wilgocią powietrza pomagało małej, udroźniało drogi oddechowe.

- Co się dzieje? – sennie zapytał Billy.
- Stephe kiepsko się czuje. Trzy razy wymiotowała, strasznie kaszle.
- Ma gorączkę? – Pomasował kark, próbując się rozbudzić.
- Dałam jej lek przeciwgorączkowy. Ale coś ją bierze.

Billy wyciągnął ręce do dziecka. Stephanie przytuliła się do niego.

– Tata – wyszeptała.

– Jak Clint? – zapytał Billy.

– Jak na razie dobrze.

– Julie, zrób sobie przerwę. Posiedzę z nią.

Zostawiła ich. Miała poczucie winy, bo Billy nie odpoczął, a przed nim praca w warsztacie. Rano zaczyna kolejną dwudziestoczwierogodzinną zmianę w straży. To ona powinna zostać ze Stephanie, nie on. Ale jest taka zmęczona. To początek ciąży, wciąż chce się jej spać. A nie może.

Nie dam dłużej rady, myślała zdesperowana. Nie wytrzymam. Po prostu tak nie mogę. Po lunchu z przyjaciółkami Marty postanowiła wybrać się na zakupy. Nie musiała się śpieszyć do domu, bo Joe był po służbie, więc trzyletnim Jasonem opiekował się tata. Poszperała po półkach i trafiła na kilka niezłych rzeczy w wyprzedazowych cenach. Od razu je kupiła, choć nie bardzo miała gdzie w nich wystąpić. W zasadzie potrzebne jej były tylko stroje do pracy i na weekendowe wyjazdy na łódkę. Jednak nie mogła się oprzeć. Śliczne spodnie, dopasowane góra, a dołem swobodne, mocno wycięty top pięknie eksponujący dekolt i leżący na niej jak ulał – te ciuszki to po prostu marzenie. W sam raz zestaw na wieczorne wyjście do restauracji czy na tańce. Nie mogła też odmówić sobie podkreślającej figurę sukienki z bocznym rozcięciem. W lawendowym kolorze jasnobrązowe loki do ramion wyglądały naprawdę ciekawie. Dla Joego tańce nie były atrakcją. Wolał spędzać czas z kumplami z pracy, najchętniej w barach dla kibiców. Na wakacje wyjeżdżali nad jezioro, zabierając z sobą łódkę. W weekendy albo pływali, albo oglądali sport w telewizji, w barze czy u kogoś, a najczęściej u siebie. Od dawna nie robili tego, co jej sprawiało

przyjemność. To mąż decydował, jak spędzali wolny czas. Dlatego dokupiła jeszcze buciki. Sandałki na wysokim obcasie, z paseczkiem w kostce. Bardzo seksowne. Była drobna i szczupła, więc dla niej idealne. Cudownie będzie się w nich prezentować, wirując w tańcu. Czasami kupowała sobie takie rzeczy, fantazjując, że jeszcze powrócą dawne, dobre czasy. Kiedyś Joe uwielbiał, kiedy się tak ubierała, zwłaszcza takie sandałki na niego działały... Od razu wariował. Tak było, nim się pobrali. Gdy weszła do domu, Joe i Jason siedzieli przed telewizorem i grali w grę wideo. Ze skrzyżowanymi po turecku nogami, jak para dzieciaków. Joe uważał, że te gry służą rozwojowi dziecka, poprawiają koordynację dłoni i wzroku. W głębi duszy Marty była przekonana, że po prostu sam chce sobie pograć. Położyła zakupy w jadalni i zajrzała do kuchni. Obraz nędzy i rozpacz. Joe przez cały dzień nawet się nie pofatygował, by po sobie posprzątać. Brudne talerze i szklanki, okruchy na blacie. W dużym pokoju to samo. Talerze, torby po ciasteczkach i chipsach, zmięte serwetki, na kanapie i podłodze rozrzucone poduszki i gazety, na stoliku filiżanka i talerz po śniadaniu. Wychodząc, zostawiła dom w idealnym stanie. Wysprzątała go, gdy mąż spał. Joe oczywiście był w tych paskudnych granatowych sportowych szortach, swym ulubionym stroju na lato. I w niczym więcej. Miał mocno owłosione ciało, na twarzy zarost. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by w wolny dzień się trochę ogarnąć, zadbać o swój wygląd, choć prosiła go o to setki razy.

– Cześć, kotku! – zawołał, gdy weszła, lecz nie odwrócił się w jej stronę. Był skoncentrowany na ustawianiu na ekranie kolorowych klocków, udając, że rywalizuje z trzyletnim synkiem, w ten sposób motywując go. – Wyjęłaś pocztę?

– Joe, zobacz, jak wygląda kuchnia! Co za bałagan!

– Mhm. Później posprzątam.

Oczywiście nawet nie kiwnie palcem. W ogóle nie sprzątał. W każdym razie nie w domu. Ogródek i garaż to co innego, tam wszystko lśniło. Bałagan w kuchni zostawiał żonie.

– Joe, możemy zamienić kilka słów?

– Jasne. Zaraz. – Minęła pełna minuta. – Widziałeś, stary? – wykrzyknął. – Pobiłeś mnie! Chcesz jeszcze raz? – Rozpoczął nową grę.

– Joe!

– Co?

– Chcę z tobą pomówić!

– O Jezu! – Z irytacją odłożył pilota i wstał. Wyglądał jak małpa. Ciemne włosy porastały nogi, tors i brzuch, miał zarośniętą twarz, potargane włosy. Podciągnął szorty, lecz i tak opadły mu na biodra. Guma już dawno się poluzowała i często zdarzało mu się świecić gołymi pośladkami. Dla Marty to nie był szczególnie pociągający widok. Miał nowe spodenki, sama mu je kupiła, by nie oglądać go w tych starych, lecz nie raczył wyciągnąć ich z szuflady. – O co chodzi? – zapytał, opierając ręce na biodrach.

– Strasznie nabałaganieś.

– Pracowałem w ogródku i w garażu. Poza tym to mój wolny dzień. Pobawiliśmy się z Jasonem, ale na dworze swoje zrobiłem.

– Mógłbyś posprzątać po sobie, to by nie potrwało nawet dziesięciu minut! Drugie tyle mógłbyś poświęcić na prysznic i golenie.

– To mój wolny dzień! Chcę się wyluzować, trochę odprężyć!

– Gdybym ja snuła się po domu w takim stanie jak ty, od razu byś mnie zostawił!

– Nie wiadomo – rzekł z lekkim uśmiechem. – Może byłoby łatwiej, gdybyś się trochę wyluzowała. Przecież nic się nie stało, to tylko parę talerzy i szklanek. O co ten hałas? Sama powiedziałaś, że nie zajmie to więcej jak dziesięć minut...

– Joe, oboje pracujemy. Mam już dość wracania do domu, gdzie non stop jest nabałaganione.

– Pracowałaś dziś? – zapytał drwiąco.

– Dobrze wiesz, że dzisiaj nie, ale wyrabiam tych swoich czterdzieści godzin tygodniowo, a oprócz tego cały dom jest na mojej głowie. Potrafisz się ogarnąć i wyglądać przyzwoicie jedynie wtedy, gdy ktoś do nas przychodzi albo gdy idziesz do pracy!

– Marty, wróciłem o ósmej rano, mieliśmy ciężką noc. Chcę mieć trochę oddechu. Czemu się nie rozchmurzysz?

– Nie. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Nie rozchmurzę się. Mam tego dość. Przecież nie proszę o wiele. Tylko żebyś się ogarnął i wykapał. – Z irytacją potrząsnęła głową. – Wychodzę, muszę się uspokoić. Przywiozę coś do jedzenia, a jeśli dociera do ciebie, co mówię, posprzątaj ten bajzel, wykap się i ogól! – Złapała torebkę i ruszyła do wyjścia.

Chciało się jej płakać, lecz wzdragała się przed myślą, że ktoś mógłby ją na tym przyłapać. Zdusiła w sobie emocje. Przez dwadzieścia minut krążyła samochodem po okolicy, rozżalona i zła. Nie tak wyobrażała sobie ich małżeństwo, gdy szła do ołtarza. Spotykali się przez rok, kolejny rok trwało narzeczeństwo. Joe był uczynny, nastawiony na nią, wsłuchiwał się w jej potrzeby. To z inicjatywy Marty spotykali się z jego kolegami, by razem uprawiać sporty czy popłynąć łódką. Lubiła takie rozrywki, oczywiście pod warunkiem, że nie poświęca się na nie

całego wolnego czasu. Nie miała pretensji do Joego, gdy był trochę znużony wyjściami do restauracji czy przysypiał na łzawych filmach. W narzeczeńskich czasach pomieszkiwała u niego i Joe co najwyżej pozwalał sobie na dzinsy i bluzy, nigdy nie był woniejącą małpą w opadających szortach odsłaniających połowę pośladków.

Nie był pedantycznym czyściochem, wiedziała o tym. W łazience podłoga była zasłana włosami, wszędzie porozrzucone rzeczy, zaniedbana kuchnia. Jednak pomagał jej podczas porządków, robił, co mu powiedziała: słał łóżko, wrzucał do pralki ręczniki i bieliznę pościelową, odkurzał, szorował wannę. Teraz tylko mogła o tym pomarzyć. Coś jeszcze się zmieniło. Kiedyś, gdy chciał zaciągnąć Marty do łóżka, starał się jej przypodobać. Był wykąpany, pachnący, gładko ogolony, prawił miłe słówka. Potrafił zawrócić jej w głowie, rozpalić ją. Teraz to też zarzucił. I jeszcze ją poganiał, gdy jego starania słabo na nią działały. Nie miała komu się zwierzyć. Julie od lat była szczęśliwa z Billym i choć czasami się skarżyła, nadal uważała go za najlepszego męża pod słońcem. Zresztą pewnie tak było. Cassie marzy tylko o tym, by w ogóle mieć faceta. Beth pochłaniają inne sprawy. Od pięciu lat jest sama, oddała się pracy zawodowej, zaniedbując życie osobiste. Weszła do włoskiej knajpki niedaleko domu. Dopiero czwarta, o tej porze nie powinno być wielu gości. Usiądzie przy barze. Zamówi coś na wynos, posiedzi chwilę przy lampce wina. Może trochę ochłonie. Wybrała miejsce na końcu baru, w ciemnym rogu. Popijając wino, niewidzącym wzrokiem przeglądała kartę. Zdawała sobie sprawę, że po ślubie nastąpią jakieś zmiany, wiedziała też, że Joe nie jest porządnikiem. Była z nim dwa lata, nim za niego wyszła – chciała upewnić się, że jej nie zaskoczy, dobrze pozna jego nawyki i podejście do życia. Ani przez moment nie podejrzewała, że Joe tak się zmieni, tak sobie odpuści, a wszystkie domowe obowiązki zrzuci na nią. Kiedyś też bywał na luzie, zdarzało mu się nie ogolić, lecz teraz to stało się normą w każdy wolny

dzień. Strasznie zdołował, stał się odstręczający. Żeby facet nie poszedł pod prysznic i się nie ogolił, gdy jego kobieta go o to prosi? Jak to o nim świadczy? Było jeszcze coś, czego nigdy nie przewidziała – że przestanie go kochać. Ale jak można kochać gruboskórnego flejtucha? Rzecz jasna, niewiele osób znało go od tej strony. Joe lubił spędzać czas z kumplami, był stuprocentowym facetem o włoskich korzeniach i tradycyjnych poglądach. Uważał, że kobieta powinna wychowywać dzieci i zajmować się domem, a mężczyzna dbać o całą resztę: drobne naprawy, prace wymagające siły fizycznej, ogród. Jego koledzy strażacy byli o nim jak najlepszego zdania, choć podziwiali Marty, że z nim wytrzymuje. Tyle że nie znali całej prawdy. Joe nigdy nie pokazał się w pracy w takim stanie, w jakim szwendał się po domu. Czyli kumple wiedzieli jedynie, że jest niesamowitym bałaganiarzem w kuchni. Gotował wspaniale, jego włoskie potrawy cieszyły się wielkim uznaniem, lecz po wyczynach Joego kuchnia w remizie wyglądała jak po przejściu tornada. Marty gryzła się w język, słysząc ich utyskiwania. Gdyby tylko zobaczyli go w domu! W pracy Joe zawsze był wzorem. Pracowity, dokładny, zorganizowany, pierwszy do pomocy i ratowania innych. Seksowny przystojniak, dla którego straciła głowę, zmienił się w jaskiniowca, którego zupełnie nie obchodziły jej uczucia. Kiedyś był taki uważający i pełen czaru, gdy starał się zwabić ją do łóżka, potem zatrzymać tam na dłużej, wreszcie zaciągnąć do ołtarza. Cóż, jako katolik włoskiego pochodzenia musiał mieć żonę, by poprowadziła mu dom i obdarzyła potomstwem. Planowali dwójkę czy trójkę, lecz po urodzeniu Jasona zmieniła zdanie. Nie miała siły pracować, dbać o dom i zajmować się gromadką dzieci i mężem. Już chyba go nie kocha... i co gorsza, nie bardzo wie, czy da radę dalej z nim być...

– Marty!

Podniosła głowę. Ryan Chambers z uśmiechem wziął piwo i podszedł bliżej. O Boże, tylko jego mi teraz potrzeba! – pomyślała zdesperowana.

– Jak leci, maleńka?

– Dobrze. A u ciebie?

– Świetnie. Umówiłaś się z kimś?

– Nie, wpadłam po coś na wynos i czekam przy kieliszku wina. A ty?

– Myślałem o pizzy, ale jeszcze się nie zdecydowałem. Najpierw wypiję piwo, a potem się zobaczy.

– Jak tam Jill?

– Jill? – Roześmiał się. – Jill i ja to już przeszłość...

– Och, przepraszam. Nie wiedziałam.

– Nie ma sprawy. To stało się już rok temu.

– Tak dawno? Z kim jesteś teraz?

– Prawdę mówiąc, z nikim. – Usiadł obok niej. – Pomyślałem, że zrobię sobie przerwę.

– Z nikim się nie spotykasz? – Dziwne, bo Ryan zwykle miał kilka panienek jednocześnie.

– Czasem zdarzało mi się z kimś umówić, ale wyrosłem z tego, już mnie to nie bawi. Teraz szukam czegoś innego. Bardziej trwałego. Pewnego.

– Mówisz serio? – Kompletnie mu nie wierzyła.

Ryan zapatrzył się w swoje piwo, z cichym śmiechem potrząsnął głową.

– Jak najbardziej serio. Wreszcie dorosłem. – Podniósł na nią oczy. – W wieku trzydziestu jeden lat. To dobra pora, nie za wcześnie, nie za późno. Jak myślisz?

– Jasne, masz rację. Ale mnie zaskoczyłeś.

– Mam za swoje. Przeprosiłem cię? Bo jeśli nie, to powinienem...

– Daruj sobie – przerwała mu. – To już zamknięta karta.

– Jak tam twoja rodzinka?

– Dobrze. – Umknęła wzrokiem. – Całkiem dobrze.

– Aha... To w czym rzecz? Jakież problemy?

– Nie, nie ma żadnych problemów. W każdym razie nic takiego, o czym chciałabym rozmawiać.

– No to zmieńmy temat. Z kim się ostatnio widziałaś z naszych wspólnych znajomych?

Opowiedziała mu o przyjęciu i o dzisiejszym lunchu, jednak mimowolnie wracała myślami do ich przeszłości. Ryan był jej pierwszym chłopakiem. Kilka lat od niej starszy, przystojny, wesoły, świetny sportowiec i flirciarz, całkowicie nieprzewidywalny i czuły na kobiece wdzięki. Zadurzyła się w nim, gdy miała piętnaście lat. Przez pięć lat rozstawali się i schodzili. Ryan latał za spódniczkami, uwodził kolejne dziewczyny, jednak po kilku miesiącach wracał do niej skruszony i czuły, a ona nie mogła oprzeć się jego czarowi. Po czym historia znów się powtarzała. Gdy Marty przestała być nastolatką, postanowiła położyć temu kres i definitywnie powiedziała nie, gdy znów przyszedł błagać o wybaczenie. Choć nigdy do końca się z niego nie wyleczyła.

Ciekawe, że Ryan i Joe mieli zupełnie inne wady. Joe był wiernym mężem, nigdy nie posunął się nawet do niewinnego flirtu. Obaj bardzo przystojni, choć w zupełnie innym typie. Ryan miał dołeczki w policzkach i oczy pełne blasku, niesamowicie działające na dziewczyny. Joe, gdy się wypucował, był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Wysportowany, z doskonałą sylwetką. Kobiety mdlały, widząc go w obcisłym służbowym T-shircie. Ryan nadawał się na modela, a jego szczerzy uśmiech był naprawdę zwodniczy. Patrząc prosto w oczy i błyskając olśniewająco białymi zębami, kłamał jak najęty. Ciemnooki Joe był najbardziej prawdomównym człowiekiem, jakiego znała. Pogawędzili prawie godzinę. Zamówiła pizzę, a Ryan drugie piwo. Od skończenia studiów pracował w telewizji kablowej. Awansował, został kierownikiem, dobrze mu się wiodło. Podsunął jej wizytówkę.

– To numer mojej komórki. Zadzwoń, gdybyś chciała pogadać. Czuje, że coś cię dręczy. Martwisz się czymś.

– Ryan, spotkaliśmy się przypadkiem. Jestem mężatką.

– Wiem. A ja jestem twoim dobrym kumplem. Marty, daj spokój. Mieliśmy pewne przejścia, ale zawsze byliśmy przyjaciółmi. Zawsze mogliśmy na siebie liczyć, gdy coś szło nie tak.

– Owszem, ale... – Urwała. Zawsze ją pociągał, nawet gdy to było absolutnie chore. Tego mu przecież nie powie. Chciałaby znowu kochać Joego, poprawić ich rela

Że też ten Ryan jest takim cholernym playboyem! W dodatku czuje się zdołowana, niedoceniona i niekochana. To niebezpieczna kombinacja.

Położył rękę na jej dłoni.

– Marty, wiele dla mnie znaczysz. Zawsze tak było, wiesz o tym. Nie masz pojęcia, ile razy żałowałem, że nie spotkaliśmy się, gdy byłem bardziej dojrzały, a nie beznadziejnym młokosem. Nie wracalibyśmy do siebie, gdyby to, co nas łączyło, nie było czymś wyjątkowym. Może teraz zdołam się choć trochę zrehabilitować, ofiarując ci wsparcie i przyjaźń. Gdybyś kiedyś chciała pogadać...

– Nie wydaje mi się, by to było rozsądne. – Mimo to włożyła do torebki wizytówkę. – Ale dzięki. Życzę ci powodzenia. Obyś znalazł to, czego szukasz.

Zamówione pizze już były do odbioru. Zapłaciła i ześlizgnęła się ze stołka. Ryan przytrzymał ją za rękę, przyciągnął do siebie i cmoknął w policzek. Przeszyła ją iskra. Boże, tak bym chciała znów poczuć się kochana!

– Fajnie było cię znowu zobaczyć – powiedział Ryan. – Wyglądasz super. Nie wiem, jak ty to robisz. Wszyscy naokoło się starzejemy, a ty robisz się coraz młodsza. Kłamca. Jeszcze w liceum był bardzo atrakcyjnym chłopakiem, a co dopiero teraz.

– Dzięki – powiedziała. – Trzymaj się.

Wyszła z restauracji i ruszyła do domu. Kiedy wjechała do garażu, jeszcze nie było szóstej. Przez te półtorej godziny Joe nie próbował jej złapać. Słońce już zachodziło, lecz w domu nie paliło się światło. Joe i Jason spali na kanapie. Joe leżał na plecach, oczywiście w takim samym stanie, jak go zostawiła. Na jego piersi umościł się Jason. Zapaliła światło w kuchni. Nic nie posprzątał, niczego nie tknął. Położyła pudełka z pizzą na blacie, torebkę na krześle w jadalni i zabrała się do sprzątnięcia. Zmywarka była pełna; puściła ją, wychodząc na lunch, ale Joe nie zadał sobie trudu, by ją rozładować. Ogarnął ją gniew, poczuła

się sfrustrowana jak nigdy. Zaczęła chować naczynia, wycierać blaty, wyrzucać śmieci, a lzy kapały jej na ręce.

Beth nie miała dyżuru, tylko skorzystała z takiej wymówki. W rzeczywistości udała się do doktora Jeroda Patersona, znanego i cieszącego się uznaniem onkologa z San Francisco. Dwa tygodnie temu, gdy Marty i Joe wydawali przyjęcie, też wymówiła się dyżurem, a w rzeczywistości dochodziła do siebie po usunięciu guzka z piersi. Okazało się, że to złośliwy nowotwór. Historia się powtórzyła. Gdy miała dwadzieścia pięć lat, rak zaatakował ją po raz pierwszy. Pojawił się znienacka, od razu w trzech miejscach. Węzły chłonne też były zmienione. Wycięto te trzy guzki, lecz to nie pomogło. Skończyło się radykalną mastektomią. Wtedy Mark od niej odszedł. Zdobył się na tyle przyzwoitości, by być przy niej, gdy przechodziła radioterapię i chemię, lecz zostawił ją, gdy tylko zaczęła stawać na nogi. Nigdy się nie dowie, czy porzucił ją z powodu raka, jej słabości, strachu czy oszpeconego ciała. Choć nigdy nie miała imponującego biustu. Teraz zaczął się problem z drugą piersią. Starannie wybrała lekarza, przejrzała wszystkie dostępne informacje, zebrała opinie. Dobrze po czterdziestce, żonaty, dwoje dzieci. Na zdjęciu uśmiechał się przyjaźnie, w środowisku cieszył się wielkim prestiżem. Niełatwo było umówić się do niego na wizytę, lecz dla Beth jako lekarza błyskawicznie znalazł się wolny termin. Weszła do gabinetu i poczuła się bardzo zaskoczona. Jak niewiele widać na zdjęciu! Doktor Paterson okazał się wysokim mężczyzną o gęstych ciemnoblonde włosach i ujmującym uśmiechu. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Doktor Halsley, miło mi panią poznać. Proszę usiąść.

– Dzień dobry, doktorze Paterson.

Położył dłonie na otwartej karcie.

– Studiowaliśmy na tej samej uczelni, czyli poniekąd jesteśmy kolegami ze szkolnej ławy. Mieszka pani w Sacramento?

– Tam się wychowałam.

– Chciałbym dowiedzieć się o pani czegoś więcej, więc pozwoli pani, że zadam kilka pytań, nim przejdziemy do powodu wizyty.

Powodem jest rak, zareplikowała w duchu.

– To znaczy?

– Ma pani rodzeństwo? Partnera życiowego? Żyjących rodziców?

– Jestem jedynaczką. Rodzice żyją i zdrowie im dopisuje. W rodzinie był tylko jeden przypadek przedwczesnego zgonu, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat z powodu niewydolności serca. Ponad dwadzieścia lat temu babcia ze strony mamy miała raka piersi. Teraz ma osiemdziesiąt osiem lat. Przez następny kwadrans zadawał kolejne pytania, wreszcie zagadnął o męża lub partnera, na co Beth oznajmiła lapidarnie:

– Odszedł wraz z moją lewą piersią.

Lekarz zapytał o hobby, ulubione zajęcia, sposób spędzania wolnego czasu. Beth roześmiała się.

– Od roku jestem ginekologiem położnikiem. Myśli pan, że mam czas na hobby czy rozrywki?

– Ten pierwszy nowotwór przytrafił się pani w bardzo młodym wieku. Nadal jest pani młodą osobą, a ten nowy guzek jest pierwotną manifestacją. Nie ma przerzutów. Jednak ze względu na pani wiek i wcześniejszy przypadek optowałbym za agresywną terapią. Niestety rezonans magnetyczny ujawnił podejrzaną zmiany w innych miejscach. Proponuję radioterapię i chemię, potem ponowną ocenę, by zdecydować

o dalszych krokach. Może nie obędzie się bez interwencji chirurgicznej.
Co pani na to?

– Trudno, co ma być, to będzie. – Wzruszyła ramionami. – Nie zależy mi na tej piersi. Zresztą i tak nie jest imponująca...

– Nie zastanawiała się pani nad rekonstrukcją?

– Nie. Dla mnie to nie ma znaczenia.

– Doktor Halsley... – Uniósł brwi. – Ma pani wystarczające wsparcie?

– Może mi pan mówić po imieniu. Tak, owszem. Pracuję w klinice dla kobiet, mam przyjaciół i rodzinę, jednak staram się podchodzić do mojej przypadłości rozsądnie, nie emocjonalnie.

– Rozumiem, ale proszę pamiętać, że ta choroba ma aspekt emocjonalny.

– Dlatego staram się traktować ją z medycznego punktu widzenia.

– Tak to jest z lekarzami – skomentował z uśmiechem. – Zawsze niemożliwie pragmatyczni. Będzie z pani uciążliwa pacjentka?

– Owszem. Jestem strasznie wkurzona, że to mnie spotkało.

– Nie dziwię się. Też bym tak się czuł. Jeśli można, chciałbym teraz panią obejrzeć.

– Oczywiście. – Wstała. – Gdzie?

– Gabinet numer dwa. Przyjdę za dziesięć minut.

Kilka minut później siedziała z lewą ręką uniesioną nad głową. Odwróciła wzrok, nie patrząc na lekarza.

– Pan ma jakieś hobby?

– Pływam żaglówką.

– To stąd ta opalenizna...

Wyprostował się, odczekał, aż popatrzyła na niego.

– Kupiłem łódkę dla rodziny.

– Ma pan żonę i dwójkę dzieci. Czytałam informację o panu.

– Och, to nieaktualna notka. Już nie mam żony. Rozwiedliśmy się trzy lata temu. Ale mam dzieci. Dwie panny, piętnastolatkę i siedemnastolatkę. Aż sam się dziwię, że jeszcze zostało mi trochę włosów.

Uśmiechnęła się lekko.

– Ja będę je mieć po tym wszystkim?

Spochmurniał.

– Raczej nie, Beth.

– Trudno to będzie utrzymać w tajemnicy, prawda?

– Taki ma pani zamiar?

– Doktorze Paterson, gdyby pan wiedział, jak to jest, gdy w wieku dwudziestu pięciu lat przechodzi się naświetlania i chemię, jaki to szok i dramat dla najbliższych, co się wtedy czuje, wtedy by pan mnie rozumiał. Dopiero co minęło pięć lat. – Może Mark dobrze zrobił, odchodząc, pomyślała. Może tym razem nie przeżyję. – Nie dam rady znów tego przechodzić. Dla moich rodziców to też byłaby tragedia. Nie są pierwszej młodości, choć są zdrowi i jeszcze pracują. Urodziłam się, gdy byli przed czterdziestką. Moje przyjaciółki będą zdruzgotane, nawet bardziej niż ja. Trudniej poradzić sobie z rodziną i przyjaciółmi, niż z chorobą. Przytrzymał jej rękę.

- Wyobrażam sobie. Proszę też mówić mi po imieniu. Jestem Jerod.
- Dobrze. Jak widzisz, dla mnie to katastrofa. Jeśli jakoś tego nie ogarnę, oszaleję.
- Beth, jest kilka rzeczy, o których musisz pamiętać. Przede wszystkim o tym, że rak został wykryty tylko w jednym punkcie. Zaatakował cię po raz drugi, ale tylko drugi, i właściwie w tym samym miejscu. Jestem bardzo optymistycznie nastawiony. Myślę, że przeprowadzę cię przez to. Daj mi szansę. I nie przechodź tego sama.
- Nie zamierzam. Zrobię to z tobą. I jestem pewna, że mogę na ciebie liczyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cassie nieraz zastanawiała się, gdzie popełnia błąd, przez co nie wychodzi jej z facetami. Zawsze trafia fatalnie. Przecież nie ma zwichrowanego gustu czy nie potrafi rozpoznać porządnego człowieka. Musi coś zmienić, na przykład postępować jak Beth, która nie ma szczególnych oczekiwań. Doszła do dwudziestu dziewięciu lat, za rok, góra dwa, powinna się ustabilizować. Ponownie przemyśleć sobie parę spraw, ewentualnie przesunąć akcenty. Może na świecie nie ma wielu mężczyzn takich jak Billy i lepiej zrobić, jeśli zdecyduje się na to, co proponowała Beth – samotne macierzyństwo, tylko ona i dziecko. Nie ma do kogo się zwrócić. Beth jest zapracowana, Marty ścina się z mężem, Julie znowu ma chore dzieci. Chociaż jest ktoś, kogo dobrze wspomina, z kim fajnie się jej gadało. Była pewna, że on niczego nie knuł, po prostu był miły i pomocny. Są z innych światów, ani on w jej typie, ani ona w jego. Pewnie gustuje w tlenionych blondynach w skórzanych szortach. Przez długi czas wpatrywała się w jego wizytówkę z numerem komórki. Trzeba być bardzo zdesperowanym, by dzwonić do kogoś takiego, szukając towarzystwa. Hm, jest trochę zdesperowana. Może nie marzy teraz o tym jedynym, ale chciałoby się pobyć z kimś choć z godzinę, zabić samotność. Zrobiła sobie szlaban na randki, a z Waltem na pewno nigdy by się nie umówiła. Czyli idealnie się do tego nadaje. Miło wspominała ich spotkania przy kawie. W dodatku ma brata policjanta. No i uratował ją przed tym draniem, zaoferował pomoc, gdyby miała problemy czy potrzebowała świadka tamtego zajścia. Jego wygląd był bardzo mylący, bo dawno nie spotkała tak spolegliwego i uprzejmego mężczyzny. Odpowiadało jej jego towarzystwo; Walt był nie tylko szczery, lecz wręcz opiekuńczy. Prostolinijny i prawdziwy.

Jednak na wszelki wypadek wybierze miejsce z dobrze oświetlonym parkingiem.

Zadzwoiła i zostawiła wiadomość:

– Cześć, tu Cassie. O trzeciej wychodzę z pracy. Jutro zaczynam od siódmej, czyli muszę się wcześniej położyć, ale mam ochotę na kieliszek wina i sałatkę. Gdybyś miał ochotę, odezwij się. To mój numer.

Nagle się stropiła. Po co dzwoni do tego bikera, któremu fryzjer się kłania? Tacy jak on nigdy się jej nie podobali. Lubi, gdy mężczyzna jest porządnie ubrany, uprasowane w kant spodnie, koszula prosto z pralni. Walt nosił obcisłe podkoszulki, dzinsową lub skórzaną kamizelkę, dzinsy, włosy wiązał w kucyk. Absolutne retro. Naraz ją olśniło. Przecież o to chodzi. Na pewno nie straci dla niego głowy, nie będzie oczekiwała po tej znajomości czegoś więcej. Nie przeżyje rozczarowania. Pół godziny później zadzwoniła komórka. Cassie rozpromieniła się. Może dlatego, że zostawiła kilka wiadomości, a prawie nikt nie oddzwonił. A może dlatego, że już polubiła Walta.

Na telefonie wyświetliło się „Walt Arneson”. Och, czyli u niego też pojawiło się „Cassie Rasmussen”. Teraz wie o niej więcej, niż sobie życzyła. Nie podała mu przecież swego nazwiska.

– Cześć – powiedziała.

– Cassie?

– Tak, to ja. Cześć, Walt. Jak się masz?

– Dobrze, dzięki. To co, masz ochotę na wczesną kolację?

– Owszem. A ty? Nie wiem, w jakich godzinach pracujesz. Już jesteś wolny?

– Nie przejmuj się, to nie problem. Masz na oku jakieś konkretne miejsce? Coś dla ciebie po drodze? Jestem za miastem, więc dla mnie to bez różnicy.

– Niech się zastanowię... Myślałam o zwyczajnej knajpce. Może Claim Jumper, to blisko autostrady. Mają duże porcje i dobre sałatki, więc każdy coś dla siebie znajdzie.

– No tak, to widać, że nie odmawiam sobie dużych porcji – odparł ze śmiechem. – Znam ten lokal. O której?

– O szóstej?

– Świetnie. To do zobaczenia na miejscu.

Rozłączył się. Bez „do widzenia”, bez banalnego „miło, że zadzwoniłaś”. No i dobrze, bo to nie jest randka. Spotkają się i pogadają. Choć przez godzinę nie będzie sama. Przyjechała za dziesięć szósta. Zapytała kelnerkę o stolik i dodała, że jest umówiona z postawnym mężczyzną z kucykiem.

– To nie tamten? – Kelnerka wskazała na salę.

– Tak.

Kiedy ją ujrzał, podniósł się.

– Cześć – powitał ją z uśmiechem.

– Walt, musisz umierać z głodu, bo jesteś przed czasem.

– Zawsze jestem głodny, ale to nie dlatego tak się pośpieszyłem. Nie chciałem się spóźnić, a nie było korków.

Usiadła na wprost niego. Nie po raz pierwszy zauważyła, że w tej zarośniętej twarzy błyszcząły niesamowicie niebieskie oczy. Dziś może jeszcze bardziej błękitne niż wcześniej.

– Jak ci minął dzień? – zagadnął.

– Dwa wypadki motocyklowe – odpowiedziała.

– Och. Mam nadzieję, że nie tragiczne.

– Nie, w sumie drobiazgi. – Trochę się spieszyła, że tak go podpuszcza.
– Jeden to nastolatek, trochę się podrapał. Drugi to policjant patrolujący autostradę, miał kolizję z samochodem. Uszkodził sobie kolano i ma pękniętą miednicę, ale wyjdzie z tego.

– Od razu mi lżej. Nie lubię słuchać o takich rzeczach. Poza tym w porządku?

– Tak. Wciąż coś się dzieje, więc czas szybko płynie. Ciężka praca, ale naprawdę wciąga. A jak u ciebie?

– Nie wydarzyło się nic nowego. W zeszły weekend wybrałem się na świetną przejażdżkę po wzgórzach. Co jeszcze u ciebie? Co robisz poza pracą?

– Niewiele. Jeśli nie pracuję, rano wychodzę z psem na spacer. Jeśli jestem w pracy, idziemy po południu. Trochę pracuję w ogródku. Byłam na lunchu z przyjaciółkami z liceum, już ci o tym mówiłam. Trzymamy się w czwórkę.

– Wspominałaś mi o nich, ale właściwie nic mi o nich nie powiedziałaś.

– Byłyśmy cheerleaderkami. Wtedy byłam szczuplejsza...

– Cassie! – zawołał ze śmiechem. – Wyglądasz idealnie.

– Jesteś bardzo miły. No więc jedna z nich jest fryzjerką, druga ma trójkę maluchów. Obie wyszły za strażaków. A teraz uważaj! Trzecia jest lekarzem. I właśnie dlatego z nią widujemy się najrzadziej, bo ma straszne godziny pracy. Ale z Julie, moją najbliższą przyjaciółką, spotykam się bardzo często.

– To ta z trójką dzieci...

– Zapamiętałeś.

– Tamten wieczór zapadł mi w pamięć nie mniej niż tobie. Nadal dobrze się trzymasz?

– Tak, dzięki. A jak twoja ręka? Jeszcze w gipsie.

– Za każdym razem, gdy jestem na kontroli, robią kolejne prześwietlenie. To tylko banalne pęknięcie. Może w przyszłym tygodniu mi go ściągną.

Podeszła kelnerka. Walt zamówił colę, Cassie kieliszek czerwonego wina. Z potrawami postanowili chwilę poczekać.

– Nie miałeś ochoty na drinka? – zdziwiła się. – Nie bierzesz piwa ani nic?

– Już się napiłem.

– Naprawdę? Wcześniej dziś zacząłeś?

– Miałem na myśli dawne czasy. Gdy byłem młodszy, dawałem czadu. Wpadłem w tarapaty, zawiodłem rodzinę. Byłem młodym chłopakiem, ale postanowiłem z tym skończyć. Bez wielkiego szumu, bez deklaracji i obietnic. Uznałem, że wyczerpałem limit.

– Aha.

– Alkohol i motocykl to fatalne połączenie. Na motorze muszę być w jak najlepszej formie, od tego zależy moja praca.

– To co w tamten wieczór robiłeś w barze? Skoro mówisz, że nie pijesz?

– Zwykle zaglądam do takich miejsc, szukając motocyklistów. Dobrze jest spotkać klientów, pogadać z nimi na luzie, dać wizytówkę i zaprosić do sklepu, podyskutować o problemach z maszynami. Lubię motocyklistów. Wśród nich jest wielu gliniarzy. Zwykle jestem do wszystkich pozytywnie nastawiony. – Wzruszył ramionami. – Z wyjątkiem tamtego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Wtedy byłem w zupełnie innym nastroju. Chętnie przywaliłbym temu gościowi, by na zawsze mnie zapamiętał, ale najbardziej zależało mi, żeby tobie nic się nie stało.

– Wspaniale się spisałeś. Wyglądasz na kogoś, z kim lepiej nie zadzierać. No wiesz, tatuaż, ciuchy, nie wspominając już o twojej posturze...

– Z powodu wyglądu kilka razy miałem kłopoty. Wyglądam na takiego, który lubi przyłożyć. To mi nie przeszkadza, ale nie jestem skory do bójk. Unikam rękoczynów, jeśli to tylko możliwe. Nic dobrego z nich nie wynika, jedynie komplikacje.

– Ale jeśli nie masz wyjścia?

– Raczej bym się nie poddał – odparł obojętnie.

– Tak? – zaśmiała się. – Zamówmy coś, a potem opowiedz mi o swojej pracy.

Wiedziała, że Walt wychował się w Roseville, był drugim z czwórki braci. Teraz dowiedziała się, że ma trzydzieści dwa lata, edukację zakończył na liceum, a przed ukończeniem dwudziestu dwóch lat miał na koncie trzy zatrzymania i dwa razy był złapany na jeździe po alkoholu, nie mówiąc o pomniejszych wykroczeniach. Sam powiedział, że był wtedy skończonym idiotą. Miał pretensje do całego świata, buntował się, nie przyjmował krytyki. Wtedy zostawił dotychczasowe życie i wyruszył w motocyklową podróż po Stanach.

– Podczas tej wyprawy przeżyłem wewnętrzną przemianę, ale nie pytaj mnie, jak to się stało. Nie potrafię wgłębiać się w takie sprawy, jestem na to za mało odczytany, zbyt ograniczony. W każdym razie gdy leżałem na ziemi i wpatrywałem się w gwiazdy, coś do mnie nagle dotarło. Zrozumiałem, że jestem tylko nic nieznaczącą drobiną. W obliczu wszechświata moja egzystencja nie ma żadnego znaczenia, nie mam wpływu na to, co się dzieje. Zacząłem zastanawiać się nad życiem. Przemierzałem góry, doliny, patrzyłem na zmieniające się krajobrazy. I myślałem. Świat jest taki piękny, ogromny i zaskakujący, zaś ja jedynie maleńkim punkcikiem. Niczym. Niemal niczym, bo jednak istnieję dla innych, dla najbliższych. Czy więc chcę zapisać się w ich pamięci jako ten, który przysporzył żalu i cierpień? Czy może postaram się to naprawić, zrobię coś dobrego? Nic imponującego czy bohaterskiego, po prostu naprawię moje relacje z rodziną...

Cassie wyciągnęła rękę, musnęła palcami tatuaż na przedramieniu Walta.

- To było wcześniej czy potem?
- Wcześniej, gdy jeszcze mi odbijało. To dobre memento. Poza tym przywiązałem się do tej panienki.
- Mógłbyś ją odziać – zasugerowała.

– To już by nie było to samo – odparł ze śmiechem.

Po powrocie z długiej eskapady zaczął rozglądać się za jakimś zajęciem. Zatrudnił się w sklepie motocyklowym, co okazało się strzałem w dziesiątkę. Podczas wyprawy zdobył ogromne doświadczenie, o motocyklach wiedział niemal wszystko, miał świetny kontakt z innymi fanatykami motorów. Mógł dyskutować o każdym modelu, potrafił je naprawić, sprzedać, dobrze doradzić. Ku zakłopotaniu właściciela wiele rzeczy robił gratis, indywidualnie podchodząc do każdego klienta. Pomagał najlepiej, jak umiał, nie szczędził rad, informacji o innych sklepach, miejscach, gdzie można znaleźć części. Był jednym z nich, mieli do niego zaufanie. Nic więc dziwnego, że grono klientów wciąż rosło.

– Interes świetnie się rozwija, lecz nasza polityka handlowa nic się nie zmieniła. Najważniejsze są dla nas prawdziwe potrzeby motocyklistów. Nie bawimy się w te różne marketingowe gierki, a salon funkcjonuje bardziej jak klub niż sklep. Ludzie wpadają, by pogadać, wymienić doświadczenia. Mamy dla nich prasę, wygodne fotele, darmową kawę. Zaczęliśmy organizować weekendowe wycieczki, oczywiście bez żadnych opłat. Chętnych jest coraz więcej. Wszystko idzie idealnie – rzekł z dumą. – Pracuję w tej branży od ponad ośmiu lat, więc nie ma dla mnie tajemnic. Mamy cztery sklepy w czterech rogach doliny. Interes kwitnie. Kocham motocykle, więc dla mnie ta praca jest wymarzona. Zajmuję się swoim hobby i dostaję za to kasę. Największą satysfakcję odczuwam wtedy, gdy ktoś przyprowdzi motor, a ja go naprawię i wiem, że na pewno przez długi czas nie będzie z maszyną kłopotów. Może to nic, ale naprawdę daje kopa.

Opowiedział o swoich braciach. Najstarszy był księgowym, najmłodszy jeszcze się uczył, studiował entomologię.

– To nauka o owadach – wyjaśnił z uśmiechem. – O Kevinie już ci mówiłem, jest gliniarzem.

Kelnerka zabrała talerze, podano kawę. Cassie bez zastanowienia sięgnęła widelczykiem na talerz Walta, który na deser zamówił czekoladowe ciasto. Jakby byli kumplami od lat. Potem ze zgrozą spojrzęła na zegarek.

– Boże, już wpół do dziewiątej, a jutro zaczynam pracę z samego rana!
– Skinęła na kelnerkę, prosząc o rachunek, jednak nie zdążyła go wziąć, bo Walt był szybszy. – Daj spokój – obruszyła się. – To ja cię zaprosiłam!

– Pozwól, że zapłacę. Proszę. Od dawna nie spędziłem czasu tak przyjemnie.

– No wiesz... Hm, przynajmniej zapłaćmy po połowie. – Domyślała się, że jako mechanik zarabia niewiele, w dodatku spotyka się z klientami w barach, co też kosztuje. Pewnie jest spłukany.

– Cassie, nie ma mowy. Chcę zapłacić.

– Skoro tak... – Przecież nie umówiła się z nim na randkę, Walt chyba nie liczy na żaden układ? Z drugiej strony te dwie i pół godziny minęło jak z bicza trzasł. Cóż, miło się z nim gada, w ogóle Walt jest uroczy, ale nic więcej. Tylko jak mu powiedzieć, że nie ma u niej szans?

Wyszli na parking, Walt odprowadził ją do samochodu.

– Będę mógł za jakiś czas do ciebie zadzwonić?

– Hm, oczywiście, ale... Nie chcę wprowadzić cię w błąd. Mogę zaofiarować jedynie przyjaźń. Rozumiesz, po tym, jak... – Nie powie mu wprost, że nie tylko teraz, ale w ogóle.

– To mi odpowiada – skomentował z uśmiechem. – Zawsze warto mieć przyjaciela.

Ledwie dojechała do domu, zadzwonił telefon. Złapała słuchawkę w nadziei, że to Julie czy Marty. Wyświetlił się Walt. Nie powinna odbierać. Nie powinna go zachęcać.

– Halo? – odezwała się.

– Co byś powiedziała na wycieczkę motocyklową po hrabstwie Sonoma? W niedzielę. Zapowiadają piękną pogodę. Znam fajną knajpkę na śniadanie. Podają gigantyczne racuchy, w życiu takich nie wiedziałaś.

Cassie roześmiała się.

– Nie sądziłam, że „za jakiś czas” oznacza pół godziny.

– Cassie, to jak? Chcesz się przekonać, jak to jest poczuć wiatr prosto w twarz i gorące promienie słońca na plecach?

– Wiesz, że teraz nie w głowie mi randki.

– To wycieczka motocyklowa. Przecież wiem, że dobrze się ze mną czujesz, bo wiesz, że nic ci nie grozi. Zawsze możesz zadzwonić do Kevina, ale uprzedzam, że nie wystawi mi dobrej oceny, bo wciąż jest na mnie zły za dawne historie. Cassie, zaryzykuj. Może na to nie wyglądam, ale jestem porządnym facetem.

Akurat tego była absolutnie pewna.

– No dobrze – oznajmiła pogodnie. – Czemu nie?

– Super. Aha, jeszcze coś. Chętnie bym cię zobaczył w szortach, ale włoż długie spodnie. Dżinsy. Może też botki, jeśli masz.

– Dobrze. O której się umawiamy?

– O siódmej. Mogę po ciebie przyjechać?

Boże, co ja robię? – przemknęło jej przez głowę, zaraz jednak powiedziała:

– Jasne. Już ci tłumaczę, jak do mnie trafić...

W niedzielny poranek była gotowa sporo przed siódmą. Cieszyła się na tę wycieczkę z Waltem. Wprawdzie dżinsy musiała zapinać na leżąco, bo ostatnio trochę przytyła, ale w ogóle się tym nie przejmowała. To, co było super, to fakt, że nie musiała się starać, by wyrzucić wrażenie na tym facecie. Co za przyjemna odmiana! Usłyszała odgłos podjeżdżającego motocykla. Punktualnie o siódmej rozległ się dzwonek. Otworzyła drzwi i przywitała Walta szerokim uśmiechem, cofając się nieco, by mógł ją obejrzeć. Zerknęła na swoje dżinsy i botki, po czym spytała:

– Dobrze?

– Wyglądasz fantastycznie, ale zwiąż włosy, bo wiatr ci je potarga. – Trzymał na palcu skórzaną kurtkę. – To na pewno ci się przyda.

Steve trzymał w pysku zieloną pluszową żabkę. Merdając ogonem, patrzył na Walta.

– Cześć. – Pochylił się i podrapał psa pod brodą. – Słyszałem o tobie. – Popatrzył na Cassie. – Może sam zostać?

– To już dorosły facet. – Wzięła od niego kurtkę i z nawyku spojrzała na metkę. – Walt, skąd ją wytrzasnąłeś? Przecież to Vince!

– Od niedawna handlujemy też ubraniami dla motocyklistów.

– Oglądałam tę kurtkę w sklepie Neiman Marcus, strasznie mi się podobała. Kosztowała ponad siedemset dolarów.

– Tak? Staramy się nie przesadzać z cenami, ale ludzie nie żałują grosza na maszyny i dodatki. Przyniosłem też ochraniacze na nogi, gdybyś chciała. – Był w mięsistych dżinsach i ciężkich butach z łańcuchami przy obcasach.

– Myślisz, że mi się przydadzą?

– Na pewno nic nam nie grozi, ale jeśli masz wątpliwości, to po prostu je włoż.

– Też są ze sklepu? – Gdy potwierdził, spytała: – Nie będziesz mieć problemu, że pożyczyles te rzeczy na weekendową przejażdżkę?

– Nie martw się. Tyle z siebie daję, że wszystko gra.

– No dobrze... – Włożyła kurtkę. Zebrała czarne proste włosy i związała je w węzeł, pocałowała psa na pożegnanie, życząc mu miłego dnia.

Walt pomógł jej przy ochraniaczach i kasku, po czym wsiedli na motor.

– Musisz trzymać się mnie. – Obejrzał się przez ramię. – To mi pasuje – dodał z uśmiechem.

Objęła go w talii i ruszyli uliczkami w stronę autostrady na San Francisco. Cassie była spięta. W pracy napatrzyła się na motocyklistów, którzy ucierpieli w wypadkach. Szaleńcy mający za nic ryzyko i popisujący się brawurową jazdą budzili w niej głęboką niechęć. Na

szczęście Walt okazał się świetnym, zrównoważonym kierowcą. Sygnalizował zamiar skrętu, gestem dziękował tym, którzy go wpuścili na drogę, jechał płynnie. Cassie odetchnęła i zaczęła delektować się mijanymi krajobrazami. Zostawili za sobą miasto, jechali na zachód w stronę wzgórz hrabstwa Sonoma. Na zielonych zboczach widać było pasące się bydło, ciągnące się po horyzont pola ryżowe i zabudowania farmerów. Wreszcie Walt opuścił autostradę. Dalej jechali bocznymi drogami, mijali senne miejscowości, w których nigdy dotąd nie była, wreszcie dojechali do miasteczka Petaluma. Walt zatrzymał motocykl koło nieciekawie wyglądającej knajpki, przed którą stała kolejka chętnych. Widać spelunka cieszyła się dużym powodzeniem. Stanęli na końcu, jednak dość szybko weszli do środka. Na ich widok kelnerka uśmiechnęła się szeroko.

– Cześć, Walt. Jak leci?

– W porządku, Shirl. Dostaniemy śniadanie?

– Oczywiście. – Przez zatłoczoną salę poprowadziła ich do stolika. – Kawy?

Cassie skinęła głową, po czym sięgnęła po menu. Była przyjemnie zaskoczona serdeczną atmosferą panującą w restauracji. Walt musiał tu być stałym gościem. Wprawdzie odwiedzała bardziej wyszukane miejsca, gdzie jej towarzysze, przewyższający Walta pod wieloma względami, byli rozpoznawani przez obsługę, jednak różnica była oczywista. Walt był autentyczny, traktował ludzi przyjaźnie i szczerze, a w tej taniej knajpce wypełnionej tłumem zwyczajnych ludzi był lubiany, co wyraźnie dało się odczuć. Czyli nie tylko ja jestem pod jego urokiem, pomyślała. Pozory mylą, bo choć Walta można się przestraszyć, to jest normalnym, porządnym facetem.

– Często tutaj zaglądasz, prawda? – zagadnęła.

– Jeśli jadę na zachód, to wpadam tu na śniadanie. Idealny początek dnia. Jeśli jadę na wschód, mam ulubioną knajpkę w Folsom.

– Co weekend robisz sobie takie wypady?

Walt uśmiechnął się.

– Kiedy tylko mogę. Niektórzy grają w golfa, inni biegają. Mnie pociąga motor i jazda. Jak ci się podoba do tej pory?

– Hm, zawsze lubiłam jeść. Jazda motorem też jeszcze mnie nie zraziła. Jak na razie.

– Będzie tylko lepiej, zapewniam. Może ja zamówię? Wiem, co tu jest najlepsze. Chyba że chcesz coś konkretnego.

– Zamawiaj. Chyba nie dostanę sałaty na śniadanie. I bardzo dobrze.

– Na pewno nie będziesz rozczarowana.

Po niecałym kwadransie niewielki stolik uginał się od potraw. Były jajka, kielbaski, domowe frytki, naleśniki, placuszki i sos.

– O Boże – wydusiła z niedowierzaniem Cassie.

– Spróbuj wszystkiego po trochu. Nawet ja nie jestem w stanie pochłonąć tego, co tutaj podają.

– Dokąd jedziemy? Do Napa Valley?

– Hrabstwo Sonoma ma znacznie ciekawsze tereny niż Napa. Pojedziemy w góry, skąd ujrzysz całą dolinę, a potem przejedziemy ją wzdłuż. To ci pasuje?

– Zapowiada się super. Nie spytałam cię, o której planujesz powrót. Powiedziałam Julie, że wpadnę do nich na chwilę, jeśli czas pozwoli.

– Wrócimy, kiedy zechcesz. O której chcesz być w domu?

– Nie mam konkretnej godziny. Julie wie, że mam na dzisiaj jakieś plany. Jestem dla nich jak... rodzina. – Naraz ją tknęło. Jest dla nich jak rodzina, ale nie do końca. I jeszcze coś... Może Walt liczy, że go do nich zabierze?

– Powiedz mi, jak będziesz chciała wracać. – Podsunął jej półmisek. – Zarezerwuj sobie trochę czasu, by przed wyjściem odetchnąć. Niby nic nie robisz, ale jazda trochę męczy. No i zakurzysz się. Wiesz, prysznic, chwila oddechu.

– Mam nadzieję, że nie popsułam ci planów...

– Ależ skąd. – Nałożył jej na talerz placuszek i sos. – Pierwszy raz jesteś na motorze. Wszystko robimy twoim rytmem. Spróbuj. Naprawdę niebo w gębie.

Skosztowała kawałek.

– Hm, rzeczywiście pyszne. Znasz się na jedzeniu.

Do stolika podeszła inna kelnerka.

– Cześć, Walt. Jak smakuje?

– Świetne jak zawsze, Sue. Dzięki.

Nim skończyli jedzenie, przywitało się z nim jeszcze kilka kelnerek. Właściciel knajpki i jego żona zagadali do nich, gdy wychodzili. Walt przedstawił im Cassie.

– Znasz wszystkich? – zapytała, gdy wyszli na ulicę.

– Tylko stałych bywalców. To mili ludzie. – Podał jej kask i przyglądał się, jak związywała włosy. – Fajnie to robisz, mogłabyś mnie nauczyć. – Rozbawił tymi słowami Cassie. – Myślałem, żeby pojechać w góry, znam drogi, z których są piękne widoki. Co ty na to?

– Może być niebezpiecznie?

– Nie, ale gdybyś zaczęła się denerwować, daj znak, na przykład klepnij mnie po ramieniu, a dalej nie pojedziemy. Masz lęk wysokości?

– Nie wiem. Nigdy nie jeździłam po górach jednośladem.

– Jasne. No to w razie czego daj znać.

Wsiadli na motor i wyjechali z miasteczka. Droga wiła się przez wzgórza otaczające Napa Valley. Cassie mocno trzymała się Walta. Mijali farmy i rancza, w oddali widać było pasące się stada bydła, czasami owiec i lam, na dalekich pastwiskach hasały konie, zieleniły się pola i winnice, co jakiś czas przejeżdżali obok wytwórni wina, hotelu czy ośrodka spa. Cisza i panujący tu spokój wydawały się nierzeczywiste, jakże inne od zatłoczonego, hałaśliwego miasta. Walt kilka razy zjeżdżał na pobocze, by upewnić się, że Cassie dobrze się czuje.

– Świetnie – odpowiadała z przekonaniem, zachwycona przejażdżką. Im wyżej wjeżdżali, tym zabudowania stawały się rzadsze, a powietrze chłodniejsze. Cieszyła się, że ma skórzaną kurtkę, ciepłą i zupełnie wystrzałową, na którą nigdy by nie było jej stać.

Walt robił przystanki co dwadzieścia minut, by mogła popatrzeć na widoki, którymi napawali się oboje. Potem ruszali dalej. Prowadząca na szczyt wzgórza stroma droga była wąska i pusta. Wkrótce dotarli do

miejsca, skąd widać było całą dolinę, za nią spowity mgłą Pacyfik. Do szczytu pozostał jeszcze spory kawałek, gdy Walt zjechał na bok. Było tu kilka drzew, ziemia usiana głazami i porośnięta miękką trawą, a nieco dalej byk za kolczastym drutem. Jak on się dostał tak wysoko? – zdumiała się w duchu Cassie. I czy ten płot go zatrzyma? Walt zszedł z motoru, zdjął kask i przeciągnął palcami po potarganych włosach. Uśmiechnął się do Cassie.

– No i jak?

– Mam muchy w ustach, ciało mi wibruje, zmarzłam i poobijałam pupę – marudziła, lecz oczy jej błyszczały z radości.

– Chcesz wracać?

– Już byłby na to czas, ale nie, za chwilę. Jak znalazłeś tę drogę?

– Przypadkiem. To jedna z moich ulubionych tras.

– Myślisz, że on do nas nie przyjdzie? – Wskazała byka.

– Płot jest pod napięciem. Nie przejdzie.

– Jak on tu się dostał?

– Pewnie go tu przyprowadzono. No to jak ci się podoba?

– Nie spodziewałam się, że będzie tak cudownie. Szok, po prostu szok.

– Gdy Walt zaśmiał się tak głośno, że byk podniósł łeb i prychnął, dodała: – Spokojnie, nie powiedziałam, że już mnie kupiłeś, ale naprawdę jestem pod wrażeniem. Sceneria jest wspaniała.

– Lepiej niż zza szyby samochodu?

– Jasne. Zresztą samochodem nigdy byś tu nie trafił. Jesteśmy zbyt przywiązani do normalnych dróg.

– Pewnie tak. Motor prowokuje do włóczęgi, jazdy przed siebie bez celu.

– Może zrobimy tu mały postój?

– Oczywiście. Napijesz się kawy?

Cassie rozejrzała się.

– Nie widzę Starbucksa.

Wyjął z sakwy przytroczonej do motoru termos i plastikowe kubki. Napenił je kawą, podał jeden Cassie. Usiadł na trawie. Cassie przycupnęła obok niego, z niepokojem zerkając na przyglądającego im się byka.

– Na pewno nie przyjdzie?

– Nie przyjdzie. Byłem tu ze dwadzieścia razy i nic się nie stało.

Siedzieli, podziwiając pejzaże i popijając gorącą kawę. Byk od czasu do czasu popatrywał w ich stronę. Po dwudziestu minutach Walt zagadnął:

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Wal śmiało.

– Jak to się stało, że nie jesteś mężatką z trójką dzieci?

– A dlaczego sądzisz, że bym tego chciała? – odparła po chwili.

– Przepraszam, po prostu zastanawiałem się nad tym.

– Dlaczego o to zapytałeś?

– Jesteś bardzo fajna. Miła, wesola, kontaktowa. No i... tylko nie weź mi tego za złe... bardzo ładna. Myślałem, że nie zgodzisz się na tę

wycieczkę, splawisz mnie, bo masz takie wzięcie, że to cię nie zainteresuje.

– Walt, nie uwierzysz, ale pod tym względem wcale mi nie szło. – Uśmiechnęła się smętnie. – Zwykle kiepsko trafiałam. Jak nie na palanta, to na łobuza. Gdyby nie ty, to z tym ostatnim źle by się skończyło. Jakoś tak jest, że mam beznadziejne szczęście do facetów.

– Cassie, co ty gadasz. Nie wierzę. Do ciebie powinna ustawiać się kolejka porządnych mężczyzn marzących tylko o tym, byś dała im szansę. To mi się po prostu nie mieści w głowie.

– Dzięki, miło, że to powiedziałaś. Mówiąc szczerze, też tego nie pojmuję. Ostatnio sporo o tym myślałam. Może problem jest we mnie, bo za bardzo tego chcę... Wiesz, o czym mówię. Mam koleżanki i przyjaciółki, którym różnie się w życiu ułożyło. Takie, które wyszły za mąż bardzo młodo, takie, którym małżeństwo nie jest do niczego potrzebne. Ale nie znam nikogo takiego jak ja. Wciąż szukam tego jedyne go i trafiam jak kulą w płot. Czasami myślę, że tak naprawdę to wiem, że ktoś nie jest dla mnie, lecz wmawiam sobie, że prawda jest inna. Wolę mieć nadzieję niż podchodzić do tego rozsądnie, widzieć rzeczy takimi, jakie są. – Popatrzyła na niego. – Nie wiem, czemu to robię. – Potrząsnęła głową. – Bo przecież nie brak mi rozumu.

– Co do tego absolutnie się zgadzam.

– Dlatego postanowiłam skończyć z tym szukaniem. Mam dość. Poddaję się.

– Poddajesz się? Naprawdę?

– Jeśli coś takiego się mi się przydarzy, to tym lepiej, ale już nie będę ryzykować, znowu się łudzić, snuć marzeń. Ten ostatni raz dał mi do myślenia. To był dla mnie prawdziwy wstrząs. Intuicyjnie czułam, że

jest coś nie tak, coś mnie ostrzegało. Prawie nie znałam faceta, nie wszystko mi się składało, lecz wolałam machnąć na to ręką. Wydawało się, że generalnie jest w porządku.

– To znaczy?

– Powiedział, że pracuje w straży pożarnej, czym mnie sobie zjednał. Był uprzejmy, wygląd w porządku, dobra praca. Tak to wyglądało z wierzchu, a ja zawsze zadowalałam się powierzchownym osądem. Może byłam zbyt szybka, bo tak bardzo zależało mi... – Urwała gwałtownie. To krepujące przyznać się, że zawsze tak rozpaczliwie marzyła o swoim mężczyźnie, własnej rodzinie. – Ten rozdział mojego życia został zamknięty. Od samego początku źle to rozgrywałam. Pora, bym skoncentrowała się na swoim życiu. W końcu nie jest takie złe.

– To mi się podoba. Co przesądziło, że jednak dałaś mi szansę? Zgodziłaś się na ten wypad?

– Ty jesteś inny. – Położyła dłoń na jego tatuażu. – Okazałeś się świetnym kumplem. Pośpieszyłeś mi z pomocą w krytycznej sytuacji, twój brat pracuje w policji, do tego rozumiesz, dlaczego nie interesuje mnie nic więcej niż przyjaźń.

– Cassie, posłuchaj... Ciekawi mnie, czego szukasz w mężczyźnie?

– Sama nie wiem. Chciałabym mieć kogoś na stałe, kogoś solidnego, godnego zaufania. – Uśmiechnęła się. – Przystojnego, z dobrymi perspektywami na przyszłość, kto by pragnął dzieci, uwielbiał mnie... – Jednak w skrytości ducha wiedziała, że po prostu chodzi jej o mężczyznę.

– Nie powiem, bardzo rozsądne podejście – powiedział z uśmiechem.

– Zawsze miałam określone wymagania, i zawsze je sobie odpuszczałam. Jeśli ktoś jest miły dla ciebie, lecz nieuprzejmy w stosunku do kelnera, to źle o nim świadczy.

– To znaczy?

– Jest wiele osób, które potrafią być bardzo miłe, gdy im na tym zależy, gdy w ten sposób chcą osiągnąć cel. Jednak prawdziwa natura człowieka wychodzi u fryzjera, w restauracji, w myjni samochodowej. Gdy bezkarnie mogą kogoś poniżyć, zmieszać z błotem... no wiesz. – Nagle ją coś uderzyło. Walt był miły dla kelnerek, dla wszystkich. Jednak... owszem, podoba się jej, ale nie w tym sensie.

– Wiem, o czym mówisz.

– No więc ignorowałam te swoje zasady. Widziałam, że coś jest nie tak, lecz zarazem usprawiedliwiałam to czy ignorowałam, licząc, że będzie dobrze. Zwykle nie mijało wiele czasu, a zaczynałam być źle traktowana. Moje telefony pozostawały bez odpowiedzi, przestawałam się liczyć... Za każdym razem to był dla mnie cios, serce mi pękało. Wreszcie miarka się przebrała. Dałam sobie spokój z facetami. Jeśli kiedyś zmienię zdanie, to będę bardzo ostrożna.

– I bardzo dobrze. Zasługujesz na najlepszego.

– Jasne... – Zdała sobie sprawę, że jest z nim bardziej otwarta niż z najbliższymi przyjaciółkami, zwierza mu się ze swych najbardziej osobistych przeżyć. – A jak jest z tobą?

– Ze mną?

– Pytam o kobiety. Byłeś w poważnym związku? Zaręczony? Miliony razy miałeś złamane serce jak ja?

– Cassie, nie jestem taki – odparł z uśmiechem. – Moim życiem są motocykle, sklep. Może w obliczu wszechświata to nic takiego, ale pochłania masę czasu. Owszem, było kilka dziewczyn, które czasem zabierałem na przejażdżkę...

– W waszym gronie tak to się nazywa?

– W naszym gronie tak się mówi o wspólnej jeździe motorem.

– Aha! – Zaśmiała się. – Czyli co, jesteś nietknięty?

– Może nie aż tak. Ale teraz nikogo nie mam. Myślę, że jesteśmy w podobnym miejscu. Nic mi nie wyszło i dałem sobie spokój z szukaniem. Kocham to, co robię. Naprawdę jestem szczęśliwy. To proste życie, ale mi odpowiada.

Och, on naprawdę jest w sam raz dla mnie, pomyślała.

Walt upił łyk kawy, popatrzył na wzgórza. Po chwili odwrócił się do Cassie.

– Kontrolujesz czas?

– Tak. Wszystko w porządku.

– Jeśli się jeszcze nie śpieszymy, to w dolinie jest kilka winnic, robią degustacje win. Są też restauracje. Pewnie jeszcze nie zgłodniałaś, ale niedługo nabierzesz apetytu.

– Walt, chcesz mnie upaść, bym zrobiła się wielka jak ten byk?

– Nie ma mowy. Zresztą nawet gdybyś nabrała takich potężnych gabarytów jak on, i tak byłabyś śliczna. – Podniósł się z ziemi. – Gotowa?

– Gotowa. – Wyciągnęła rękę, by pomógł jej wstać.

Ruszyli w górę. Widoki stawały się jeszcze rozleglejsze, zapierały dech. Zrobili kilka przystanków, a potem zaczęli zjeżdżać w dół. Cassie nie czuła lęku, choć po raz pierwszy doświadczała takiej jazdy. Mocno trzymała się Walta, to jej pomagało. Był taki duży i mocny, że nic jej nie przerażało, wiedziała, że jest bezpieczna. Zatrzymali się w dolinie, odwiedzili kilka winiarni, gdzie Cassie popróbowwała różnych win. Walt kupił jej dwie butelki. Wylądowali w eleganckiej restauracji przy winiarni. Walt widać był tu stałym gościem, sądząc po tym, jak ciepło zostali powitani.

– Myślałam, że skończyłeś z piciem – zdziwiła się. – Przecież w winie jest alkohol.

– Czasem zdarza mi się wypić drinka, kieliszek wina albo piwo. Jak ci mówiłem, kilka lat temu definitywnie rzuciłem picie i tego się trzymam. Nie grozi mi nałóg. Nigdy nie piję, gdy jestem motorem. Kiedy prowadzę samochód, czasem pozwalam sobie na odrobinę alkoholu do jedzenia czy kawy. Stałem się znacznie ostrożniejszy. Mogę powiedzieć, że mi się poszczęściło, bo nigdy nie miałem poważnego wypadku. W młodości byłem nieźle postrzelony, nie chodziło tylko o alkohol. Ale opamiętałem się.

– Byłeś tutaj już wcześniej.

– Kilka razy. Kupiłem parę butelek dla rodziców. Lubią dobry trunek.

– Co oni robią?

– Tata zaczynał od sklepu spożywczego, mama uczyła w szkole specjalnej. Kupili dom do wynajęcia, potem kolejny. To okazało się dobrą inwestycją. Pilnujesz czasu? – spytał ponownie.

- Chyba daruję sobie wizytę u Julie. Wolę zostać tutaj na obiad.
 - Twój znajomi nie będą się martwić?
 - Nie. Jak ci mówiłam, mogę wpadać do nich, kiedy tylko mam wolną chwilę, bez zaproszenia. Wiesz co? Czuję się skonana.
 - Uprzedzałem cię, że tak będzie. Niby nic nie robisz, ale pod koniec dnia padasz z nóg.
 - Zaczynam rozumieć, co cię tak bierze w tych motorach. Jazda daje poczucie wolności. Upaja.
 - Masz mocno zaróżowione policzki – powiedział z uśmiechem.
 - Może po winie.
 - Albo od wina i wiatru.
 - Wiesz co, przyglądam ci się i coś mnie uderzyło. Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, byłam w strachu. Naprawdę się ciebie przeraziłam. Zastanawiałam się, który z was jest dla mnie większym zagrożeniem. Miałeś ręce skrzyżowane na piersi, groźną minę...
 - Pracowałem nad tym – skomentował kpiąco.
 - Ale potem już nigdy cię takim nie widziałam. Jesteś... otwarty, miły, ujmujący. Wszyscy cię lubią, dobrze się z tobą czują.
 - Cassie, wcale mnie nie cieszą takie akcje jak z tamtym popaprańcem.
 - Ujął jej dłoń. – Widziałem jednak, że jesteś w potrzebie, dlatego tak to rozegrałem.
 - Więc to była tylko gra?
- Podniósł rękę. Nadal miał gips.

– Nie, to była prawdziwa akcja. Koleś zwiął na swoje szczęście, ale potrafię iść ostro. Tyle że staram się tego nie robić.

Cassie roześmiała się.

– Czyli jesteś dwa w jednym.

– Nie, jestem sobą, tylko można powiedzieć, że mam różne oblicza. Albo też że staram się postępować odpowiednio do sytuacji.

Kiedy wracali, na dworze było już ciemno. Taka jazda, gdy migoczące w oddali światła rosły i przybliżały się do nich, była niesamowitym przeżyciem. Wreszcie zjechali z bocznej drogi i pomknęli autostradą, z poszukiwaczy przygód zmieniając się w typowych podróżnych. Szybko dojechali do domu Cassie. Była wykończona, odurzona wiatrem, szczęśliwa. To był wspaniały dzień. Cudowna wycieczka, a Walt okazał się idealnym partnerem. Przy nim czuła się rozluźniona i naturalna, jakby był starym druhem, kimś z rodziny. Wiedziała, że może mu ufać, choć nie był idealnym kandydatem, by brać go pod uwagę na przyszłość. Nie był w jej typie, nie miał dobrej pracy, nie był wyjątkowym przystojniakiem i nie szukał życiowej partnerki. Kiedy odprowadził ją do drzwi, Cassie zdjęła kurtkę, podała mu.

– Teraz sprzedacie ją jako używaną?

– Nie chciałabyś zostawić jej sobie na następną przejażdżkę?

– Walt, to bardzo droga kurtka.

– Świetnie ci w niej. Powinnaś ją mieć, ale najpierw należy mi się kilka wycieczek.

– Zwariowałeś! Nie możesz robić takich prezentów z pensji mechanika.

– Może ci opchnę motocykl i dostanę prowizję – rzekł z uśmiechem.

Ma piękny uśmiech, taki otwarty i ciepły, pomyślała. Jego oczy wydały się jej jeszcze bardziej niebieskie, migotały w nich wesołe iskierki. Właściwie Walt wcale źle nie wygląda.

– Cassie, jeszcze cię naciągnę na kilka przejażdżek. Dla mnie to był bardzo fajny dzień.

– Dla mnie też. Naprawdę miałam frajdę. Nie spodziewałam się, że będzie... tak miło.

Nie wziął od niej kurki. Wręczył jej dwie butelki wina, a potem leciutko przygarnął ją do siebie i musnął ustami jej usta. Nie zaoponowała. Przyjemnie było poczuć jego bliskość. Pochyliła się ku niemu. Szybki, ulotny pocałunek, nic więcej. Walt puścił ją.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi – wyszeptała.

– Nie ma jak przyjacielski pocałunek.

– Nie mogę się z tobą przyjaźnić, jeśli chcesz...

– Cassie, nie masz powodu do niepokoju. Ty tu rządysz. Przecież świetnie się nam układa. Zadzwoń. – Wskoczył na motocykl i odjechał.

Cassie odprowadzała go wzrokiem, przyciskając do piersi butelki z winem i kurtkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Walt nigdy nie należał do specjalnie rozmownych, zwykle ograniczał się do lapidarnych stwierdzeń, nie wpadał w afektację, natomiast Cassie gadała jak najęta, co go urzekało. W jej towarzystwie czas mijał mu błyskawicznie. Po kilku spotkaniach przy kawie, wspólnej kolacji i motocyklowej wycieczce, coraz częściej dzwonił do Cassie choćby tylko po to, by powiedzieć „cześć” lub spytać, jak minął jej dzień. Nie mógł się oprzeć pokusie, by tego nie zrobić, choć już nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak się zachowywał. Intuicja podpowiadała mu, że Cassie lubi te wspólne chwile, choć nie bardzo wie, jak go traktować. Obracała się w zupełnie innych kręgach, miała inne przyzwyczajenia. Jak się domyślał, wśród jej znajomych czy byłych facetów byli grający w golfa dobrze ustawieni lekarze, a na pewno nie gustowała w motocyklistach. Upłynie sporo czasu, nim zdecyduje się pokazać go swoim przyjaciółom. To będzie dla nich szok. Gdy jakiś czas temu wybierali w księgarni książki, Cassie pewnie była zaskoczona, że olbrzym harleyowiec w ogóle umie czytać. Wiedział, że musi dać jej czas, nie wolno mu niczego przyśpieszać. Zresztą powolne tempo mu odpowiadało, bo spokój był cechą jego charakteru. Od chwili, gdy ujrzał Cassie, wiedział, że ma przed sobą wyjątkową osobę. Urocza, zabawna i piękna. Urzekły go jasna karnacja, zaróżowione policzki, czerwone usta i wielkie brązowe oczy. I te jej gęste, proste i niesamowicie lśniące włosy, długie niemal do talii. Do pracy splatała je w warkocz i upinała wokół głowy, na wycieczkę związała w węzeł, z którego uwalniała je jednym ruchem, by jedwabistą kaskadą opadły na plecy. Marzył, by poczuć pod palcami ich dotyk, upewnić się, czy rzeczywiście są takie miękkie, jak wyglądają, lecz trzymał ręce przy sobie. Jak na razie między nimi doszło do jednego zdawkowego pocałunku. Oczywiście miał nadzieję, że na tym się nie skończy.

Po tamtym nieszczęsnym incydencie poczuł się za nią odpowiedzialny, dlatego poprosił brata, by namierzył pechowego zalotnika. Kevin oddzwonił nazajutrz. Auto było zarejestrowane na Ralpa Perkinsa.

– Jest ratownikiem? – z miejsca zapytał Walt.

– Nic więcej nie powiem – odparł Kevin. – Tak się umawialiśmy. Ale przyjrę się temu gościowi.

Dla Walta dwie rzeczy były oczywiste: Kevin nie zaprzeczył, że facet pracował w straży, a wiedział, że za takiego się podawał, by zdobyć zaufanie Cassie. Po drugie, znaczący był fakt, że Kevin się nim zainteresował, choć to zdarzenie miało miejsce nie w jego rewirze, a nie miał czasu na bzdety. Czyli coś podejrzewał. Walt postanowił spróbować szczęścia. Zadzwoił do straży i wyjaśnił, że w imieniu sąsiada, u którego był pożar, chciałby podziękować strażakom, a zwłaszcza jednemu z nich. I dowiedział się, że Ralph Perkins pracuje w północno-zachodniej części miasta. Szybko ustalił, o którą z miejskich remiz może chodzić. Kiedy zobaczył na parkingu niebieskozielonego chevroleta, wiedział, że jest w domu. Był koniec lipca, panował parny skwar, dlatego drzwi remizy najczęściej stały otworem. Walt przejeżdżał obok nich powoli nawet dwa razy dziennie. Czasami zatrzymywał się po drugiej stronie ulicy i czekał. Obiecał bratu, że nie zaczepi gościa, nawet do niego nie podejdzie. W porządku, wiedział przecież, że sam jego widok budzi lęk. Wyglądał jak członek gangu, który w każdej chwili może skrzyknąć kumpli. Oczywiście nawet gdyby należał do Aniołów Piekła, nigdy by nie posunął się do grózb, ale jest duża szansa, że któregoś dnia Perkins wyjdzie porobić coś przy spręcie czy wozie strażackim, a wtedy z pewnością zauważy wielkiego bikera z gipsem na prawej ręce. Niech poczuje się zagrożony, niech wie, że jeśli spróbuje zbliżyć się do Cassie, postraszyć ją czy zrobić jej krzywdę, to gorzko tego pożałuje.

Dopiero wtedy Walt coś sobie uświadomił. A mianowicie że przepadł z kretesem. Jest pod jej urokiem. Ludzie w takim stanie starają się rozszyfrować pragnienia drugiej osoby, zyskać w jej oczach, a to do niczego dobrego nie prowadzi. Łatwo popełnić błąd i zamiast polepszyć, pogorszyć swą sytuację. Jeszcze gorzej, jeśli kobieta uwierzy w nieprawdziwy obraz i obdarzy uczuciem kogoś, kto tak naprawdę jest kimś innym. Szczęśliwie nie gustował w takich zagrywkach, w mistyfikacjach. Był sobą i nie zamierzał niczego udawać, taka szczerość po prostu stanowiła istotną część jego natury. Satysfakcjonowało go życie, jakie wiodł, a szczególnie praca. Czuł przy tym, że Cassie już się do niego przekonała. Był dużym, zarosniętym facetem, fanatykiem motorów, który kocha wolność i otwarte przestrzenie. Cassie musi to wiedzieć, świadomie lokować uczucia. Co nie znaczy, że nie zamierza trochę się postarać. Kiedy następnym razem do niej zadzwonił, zaproponował kolejną weekendową przejażdżkę.

– Och, Walt, strasznie żałuję, ale nic z tego. Pracuję. Szpital działa na okrągło.

– Jeszcze nie orientuję się w twoim grafiku. Wiem tylko, że masz dzienną zmianę.

– Nie jest łatwo za tym nadążyć. Pracuję co drugi weekend i połowę świąt. Jeśli więc mam wolne w Nowy Rok i mogę zabawić się na sylwestra, to muszę pracować w Boże Narodzenie. Dzielimy się sprawiedliwie.

– Nie jest łatwo, co?

– Nie narzekam. Lekarze też rzadko mają wolne. Wprawdzie nie przyjmujemy pacjentów jak na innych oddziałach, mamy więc mniej rutynowych zajęć, za to musimy być stale w pogotowiu. Karambol na drodze i zaczyna się prawdziwe piekło. Wtedy następuje pełna

mobilizacja, nikt nie liczy czasu. Owszem, są nadgodziny, ale rodzinom to bardzo nie w smak.

– Nie pomyślałem o tym. To co, będziesz miała jakieś wolne dni?

– Do następnego weekendu mam tylko środę i czwartek.

– A co byś powiedziała na wycieczkę w czwartek?

– Nie pracujesz? Przecież to roboczy dzień.

– Cassie, jestem w firmie tyle czasu, że nikt nie powie słowa. Ale nie chcę stawiać cię pod ścianą. Pojedziemy, jeśli masz ochotę.

Pomyślałem, żeby wybrać się na północ od San Francisco drogą wzdłuż oceanu. Może poleniuchujemy na plaży?

– Naprawdę? To byłoby super. Ten straszny upał w ogóle nie odpuszcza.

– A tu wietrzyk znad oceanu – kusił. – No i znam sporo knajpek, gdzie dają pyszne ryby.

– Chętnie bym się z tobą wybrała, ale żebyś nie miał problemów w pracy.

– Tym się nie przejmuj – odparł ze śmiechem. – Sam ustalam swój grafik.

– Naprawdę?

– Wszyscy wiedzą, że gdy trzeba, zawsze jestem na miejscu. Jeśli w czwartek nic nie będzie się działo, ruszamy w drogę.

Julie siedziała w gabinecie ubrana w jednorazową koszulę i machała gołymi nogami. Bała się, że nie doczeka się przyjaciółki.

Wreszcie drzwi się otworzyły.

– Cześć – przywitała ją Beth. – Nie spodziewałam się ciebie. Jak leci?

– Jestem w ciąży – powiedziała Julie. Próbowała uśmiechnąć się, walcząc ze łzami. – Nic nowego, co?

– Hm, nie wyglądasz na zachwyconą.

– Och... – Łzy wreszcie popłynęły. – To nie mogło się przytrafić w gorszym momencie...

Beth usiadła, położyła na kolanach kartę Julie. Teraz przede wszystkim była lekarzem.

– Co się stało? – spytała.

– Kolejna wpadka. Czwarta! Nikt nie zachodzi w ciążę tak łatwo jak ja. Jestem jak klacz rozplodowa. Powinam z tego żyć. Stosowaliśmy już wszystkie zabezpieczenia. Teraz mam spiralę!

– Jesteś pewna, że jesteś w ciąży?

– Beth, cały ranek siedziałam nad rachunkami. Jesteśmy ugotowani. Billy pracuje od rana do nocy, nawet w dni wolne od służby. Wciąż się kłócimy. Codziennie rano męczą mnie torsje. Mamy dom pełen dzieci, zero pieniędzy, żadnych szans na wyjście z długów. Liczyłam, że jak w przyszłym roku Clint pójdzie do przedszkola, oddam Stephie do żłobka, a sama pójdę do pracy, to może nam się poprawi. – Pociągnęła nosem. – Beth, jestem u kresu wytrzymałości.

– Robiłaś test?

– Nie musiałam. Mogę ci dokładnie powiedzieć, od kiedy jestem w ciąży. Mam nadzwyczaj regularne cykle.

– To jeszcze nie przesądza sprawy. Wolałabym się upewnić.

– Tak? Proszę bardzo. Jestem w ciąży. Od sześciu tygodni. I zastanawiam się... – Położyła się na fotelu. – Mogłabyś nie wołać pielęgniarki? Bo jestem naprawdę załamana.

– Nie ma sprawy. Masz specjalne prawa. No dobrze, zostawmy teraz finanse. Na czym polega problem?

– Poza pieniędzmi? Gdy byliśmy na lunchu, Billy chciał zrobić dobre wrażenie, pokazać, że mi pomaga. Chciał naprawić rynnę, a padał ze zmęczenia. Był po dwudziestoczwierogodzinnej służbie, prawie nie zmrużył oka i nie nadawał się do żadnych prac. Spadł z drabiny.

– Nic mu się nie stało? – z niepokojem spytała Beth.

– Na szczęście nie, ale dla mnie to było ostrzeżenie. Co by było, gdyby doszło do tragedii? Jak utrzymałabym dom? Już i tak cienko przędziemy. Jak wychowałabym dzieci? Ze wsparcia opieki społecznej?

– Julie, naprawdę jest tak źle?

– Bardzo źle. Już opóźniłam się ze spłatą kilku rat. Dwóch w ogóle nie zapłaciłam. Tylko czekam, kiedy przyjdą mnie aresztować. – Położyła dłoń na czole. – Staram się nie zrzędzić non stop. Cassie uważa, że żyje mi się super, bo mam dobrego, atrakcyjnego męża i udane dzieci. Dla Marty moje problemy są abstrakcją. Brakuje jej uwagi ze strony męża, ale gdybym była na jej miejscu, wiedziałabym, jak sobie poradzić. – Gdy Beth włożyła rękawiczki i sięgnęła po wziernik, krzyknęła z rozpaczą: – Nie chcę być w ciąży!

– Teraz cię rozumiem. Wcześniej czy później musisz uregulować zobowiązania, skończyć z taką praktyką. Pewnie wpisali cię do rejestru.

– Myślisz, że nie wiem?

– Ustalmy najpierw fakty, zgoda? Zsuń się niżej. – Zbadła ją skrupulatnie. Julie rzeczywiście była w ciąży. – Hm, masz do tego talent... Przyjrzyjmy się dokładniej. – Sięgnęła po głowicę. Na monitorze pojawił się niewielki kształt z bijącym sercem i zarys spirali.
– Widzisz?

– Jestem jak maszyna – przez łzy wykrztusiła Julie. – Czy mi się wydaje, że ona zaciska palce na tej wkładce? I śmieje się ze mnie?

– Ona?

– Billy powiedział, że gdyby była dziewczynka, to by się wyrównało. A dla mnie zostanie kaftan bezpieczeństwa.

– Nie stresuje się tą sytuacją?

– Jest dumny jak paw. Najchętniej bym go udusiła. Nie podchodzi do tego jak ja, bo to ja zajmuję się rachunkami. Codziennie mam zgryz, który spłacić, a który sobie odpuścić...

– Rozmawiałaś z nim o dziecku?

– On uważa, że nie powinniśmy nic robić. – Rozpląkała się jeszcze bardziej. – Ale on nic nie rozumie. Zajmuję się finansami, bo on nie ma na to czasu. Tłumaczę mu, że jest źle, a on wciąż powtarza, że to się zmieni, że tak nie będzie zawsze. Jest wykształcony, mógłby znaleźć lepiej płatną pracę, lecz chce być strażakiem. Marzył o tym od dziecka... To szlachetne zajęcie, podziwiam go i jestem z niego dumna, ale przymieramy głodem!

– Och, na pewno nie przymieracie głodem.

– Nawet nie wiesz, jak często nie mam co do garnka włożyć! Czasami wyłudzam coś od mamy i czuję się z tym strasznie, jak bezdomny żywiący się resztkami ze śmietnika. Kupuję najtańsze rzeczy. Zrezygnowałam z najmniejszych przyjemności. Jak długo jeszcze dam radę? Przegrałam życie...

– Co takiego przegrałaś? – zapytała Beth.

– Mieliśmy być szczęśliwi, kochać się, cieszyć każdym dniem, a nie zamartwiać się o pieniądze, skakać sobie do oczu! Mogę trochę powalczyć, ale każdy dzień to nieustanna walka! Wczoraj dzieciaki błagały, żebym zabrała je do McDonalda, czego im zawsze odmawiam, a ja wyciągałam z torebki ostatnie drobne! Wystarczyło na dwie porcje na trójkę, musieli się podzielić, a potem byli głodni. Nie powinno być tak! Ja mam tak wiele dla siebie, choć ciąży na mnie kredyt za studia, pomyślała Beth. Stać mnie na elegancki szeregowiec w centrum, szykowne ciuchy, szpanerski samochód. Nigdy nie miałam takich problemów jak Julie! Jednak nie czas na takie rozważania.

– Może kiedyś, gdy twoje dzieci podrosną, opowiesz im, jak sobie radziłaś w trudnych czasach. Billy nie szasta pieniędzmi, prawda?

– Daj spokój! Jedyne, na co sobie pozwala, to jedno piwo po służbie, a i to nie zawsze. To jego największe szaleństwo.

– Jest obrzydliwie porządny, co?

– Nie masz pojęcia, jak ciężko jest tak żyć...

Beth uśmiechnęła się.

– Ja mam dwieście tysięcy do spłacenia za studia. Nie mam żadnego faceta, nawet beznadziejnego.

– Och, Beth. Przepraszam cię. Czasami myślę tylko o sobie! Wcale nie wyglądasz na zestresowaną. Nie jesteś u kresu sił.

Jestem bliska samobójstwa, pomyślała Beth, ale zachowała to dla siebie.

– Odpowiada mi moja praca, choć nie jest lekko. Raty bankowe są rozsądne, a ja dobrze zarabiam. – Czy jednak zdąży spłacić ten kredyt przed być może rychłą śmiercią? – Zależy, jak na to patrzeć. Beth, twoje życie ma również dobre strony. Billy jest świetnym mężem, masz udane dzieci, zdrowie ci dopisuje i wciąż jesteś niesamowicie piękna.

– Gdy byliśmy na przyjęciu u Marty i Joego, Chelsea robiła podchody do Billy'ego. Wyglądała lepiej niż my wszystkie razem do kupy.

– Chelsea? Nadal ma oko na niego?

– Na to wygląda...

– No dobrze, zajmijmy się teraz tobą.

– Nie mogę mieć kolejnego dziecka – wyszeptała. – Po prostu nie mogę.

– Rozmawiałaś o tym z Billym?

– Mówiłam ci, że...

– Powiedział, że decyzja należy do ciebie? Wiem, jak ci ciężko, ale on też się stara.

– Powiedział, że wszystko będzie dobrze – stwierdziła ponuro. – Zawsze to powtarza... A ja uważam, że jest niefrasobliwy! Nie rozumiem go. Przecież nie żyje w nierzeczywistym świecie. Ratuje ludzi na autostradzie, wyciąga ich z rozbitych samochodów, reanimuje. Jego świat jest bardziej realny niż większości z nas. Jednak gdy chodzi o nasze sprawy, po prostu je bagatelizuje. Beth, gdyby jemu coś się stało i potrzebowałabym pomocy, musiałabym prosić brata czy rodziców. Co już nieraz robiłam.

– Czyli nie rozważał przerwania ciąży.

– Nigdy by się na to nie zgodził. – Gdyby sama miała choć nikłą nadzieję na poprawę losu, sama też nigdy by na to nie poszła.

– Dla ciebie to może być dobra wiadomość. W zależności od usytuowania spirali prawdopodobieństwo poronienia jest większe niż zwykle. Równie dobrze może okazać się, że to ciąża podwyższonego ryzyka... Z drugiej strony usuwałam wiele wkładek i ciąży były donoszone.

– A gdyby wyjąć ją teraz?

– Czasami tak się robi, choć zwykle nieco później, pod kontrolą USG. Jednak taki zabieg może zagrozić ciąży.

– Później jest mniejsze ryzyko? Czy teraz?

– Ryzyko istnieje zawsze, ale możemy przedsięwziąć środki ostrożności.

– A gdybyś wyjęła ją dzisiaj? Teraz? – zapytała Julie, ocierając łzy.

– Nie musi stać się coś złego, najwyżej plamienie. Albo samoistne poronienie.

Wtedy nie musiałabym podejmować decyzji, pomyślała. Zastanawiać się, co dalej...

– Zrób to. Niech to już będzie za mną.

– Julie, posłuchaj. Jeśli chcesz usunąć spiralę, powinniśmy poczekać, aż płód będzie większy. No i zrobić to pod kontrolą USG.

– Nie chcę zaakceptować tego dziecka, a potem stracić. Nie chcę czuć jego ruchów i... Po prostu wyjmij mi tę cholerną spiralę, która mnie zdradziła!

Beth pomogła jej usiąść, popatrzyła na przyjaciółkę.

– Dobrze. Masz prawo o to prosić, ale proponuję, byś pogadała z psychologiem. Za to się nie płaci. Weź z sobą Billy'ego, by ta decyzja nie wpłynęła na wasze małżeństwo.

– Mam prawo zdecydować o usunięciu spirali?

– Julie, przemyśl to sobie spokojnie...

– Już to zrobiłam. Mówiłam, że nie chcę przyzwycząić się do dziecka, a potem poronić. Chyba bym się po tym nie podniosła.

– W takim razie umów się na wizytę i weź z sobą Billy'ego. Powiedz mu, że to ważna sprawa i potrzebujesz jego wsparcia...

– Możesz wyjąć tę wkładkę? Bez tych gadek?

Beth zacisnęła usta, wreszcie oznajmiła:

– Owszem, mogę. To może coś spowodować, ale nie musi.

– Wyjaśnij mi to jeszcze raz.

– Usunięcie wkładki nie musi wpłynąć na ciążę, może też skutkować plamieniem, krwawieniem, nawet poronieniem. Jeśli naprawdę nie chcesz donosić tej ciąży, powinnaś zwrócić się do lekarza, który zajmie się i spiralą, i ciążą. Jednak...

– Gdybyś usunęła ją teraz, może zaoszczędziłabym sobie kłopotu.

– Julie, nie chcesz sobie tego przemyśleć?

– Już to zrobiłam. Wyjmij ją. Teraz.

Beth przez długą chwilę patrzyła jej prosto w oczy.

– Do twojej karty zostanie wpisane, że usunęłam wkładkę na żądanie, informując cię przedtem o...

– Wiem.

– Jesteś pewna?

– Tak. Całkowicie.

Beth włożyła rękawiczki, wzięła wziernik.

– Możesz mieć skurcze, może wystąpić plamienie, które będzie trwało przez kilka dni. Może też dojść do poronienia. Wtedy będę musiała cię obejrzeć, może wyłyżeczковать macicę. W razie silnego krwawienia natychmiast daj mi znać. Jestem dziś na dyżurze. Masz moją komórkę. Gdybym nie odebrała, nagraj się i przyjeżdżaj, będę na ciebie czekać. Nie przewiduję komplikacji, ale musisz być uprzedzona. Tak czy inaczej pokaż się za dwa tygodnie. – Popatrzyła na Julie. – Na pewno?

– Zrób to.

Beth nie powtórzyła pytania. Julie płakała bezgłośnie, a ciężkie łzy płynęły jej z oczu i ginęły we włosach na skroniach. Cieszyła się na tę wycieczkę. Zapakowała kilka kanapek, na szorty i cienki top włożyła skórzaną kurtkę, dzinsy schowała do torby. Tym razem pojechali na północ od San Francisco. Zjechali z głównej drogi i ruszyli w kierunku wybrzeża. Znaleźli przytulny zakątek z nadzwyczaj malowniczą skalistą plażą. Cassie ściągnęła kurtkę, wyjęła jedzenie i picie. Walt rozłożył na ziemi koc. Usiedli na słońcu i zapatrzyli się na ocean.

– Ciekawa jestem, jak to było, gdy dorastałeś z trójką braci – zagadnęła.

– To był niezły cyrk! Między nami jest po dwa lata różnicy. Ja jestem drugi z kolei. Mama pracowała, więc kiedy byliśmy mali, zajmowała się nami babcia. Dożyła późnego wieku, zmarła kilka lat temu. Mama była nauczycielką, uczyła w szkole specjalnej. Mówiłem ci o tym?

– Tak – odparła, odgryzając kęs kanapki. – Mówiłeś też, że tata miał sklep spożywczy.

– Zaczął od niewielkiego sklepiku na rogu. Okolica była kiepska, ale biznes szedł świetnie. Jednak ojciec zajmował się głównie domami do wynajęcia. Dla niego super, dla nas beznadzieja.

– Dlaczego?

– Wyszukiwał różne okazje: domy licytowane przez komornika, ruiny w opłakanym stanie. Kupował je i remontował, a my w tym czasie tam mieszkaliśmy. Ledwie odrośliśmy od ziemi, dawał nam w rękę młotek czy pędzel. Kiedyś mieszkaliśmy w domu, gdzie w ogóle nie było kuchni. Mama miała lodówkę w garażu, a na podwórku grilla. Zdarzało się, że tata musiał odłączać wodę, a weź pod uwagę, że było nas czterech chłopaków. Siusialiśmy w ogródku, a przed szkołą chodziliśmy

do babci na prysznic. Mama groziła tacie, że go ukatrupi, jeśli nie podłączy nam prądu czy wody. – Zaśmiał się. – Wciąż przenosiliśmy się do kolejnej rudery. Czasami udawało się ją wyremontować szybciej niż w rok i znów nowe miejsce. Pamiętam je wszystkie, choć było ich ponad dwadzieścia. Były naprawdę straszne. Gdy już któraś została odnowiona, tata wynajmował ją i kupował następny zapuszczony dom. Mama próbowała go namówić, byśmy mieszkali w normalnym domu, a on niech sobie remontuje kolejne rudery, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Szkoda mu było tracić kasę.

– Nadal się tym trudni?

– Nie. Dobrze wylądował na tych swoich biznesach. Jakieś dwadzieścia lat temu zaczął się boom na rynku i ceny nieruchomości poszybowały dwa, trzy razy w górę. Poza tym tata kupował nieduże domy, z których zysk był większy i łatwiej było je sprzedać. Na dom za trzysta tysięcy jest więcej chętnych niż na taki za milion dolarów. A jeśli nie uda się sprzedać, można wynajmować. Też znajdują się amatorzy, bo czynsz jest niższy. Kiedy zaczęła się koniunktura na rynku, ojciec zaczął sprzedawać domy i kupować sklepiki spożywcze. Poszedł tą samą drogą, to znaczy wynajdywał tanie, chylące się ku upadkowi biznesiki, wyprowadzał je na prostą i sprzedawał. To było o tyle lepsze, że nie musieliśmy w nich mieszkać. Teraz rodzice mają bardzo ładny dom, mama wreszcie wymogła to na nim. Z braćmi wciąż narzekaliśmy, że nie mieszkamy jak ludzie.

– Opowiedz o swoich braciach.

– Wszyscy są żonaci. O Kevinie już wiesz, jest gliniarzem. Ma dwadzieścia osiem lat, ożenił się rok temu, niedługo zostanie ojcem. Joel robi doktorat, ma dwoje dzieci i żonę, która już jest profesorem. Tommy jest biegłym księgowym, ma niedużą firmę i stałych klientów. Prowadzi

też nasze rodzinne sprawy. Ma trzydzieści cztery lata, od ponad dziesięciu lat jest żonaty, ma trójkę dzieci.

– Sześcioro wnuków – podsumowała Cassie. – Tylko ty jeden się nie przyłożyłeś.

– Tak – odparł ze śmiechem. – Ale nikt się tego po mnie nie spodziewa.

– Nie powinni tak szybko spisywać cię na straty.

– To samo im mówię. Teraz twoja kolej. Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

– Cóż, byłam tylko z mamą. Jak miałam osiem lat, mama poznała Franka, mojego ojczyma. Była z nim naprawdę szczęśliwa. Po dwóch latach przyszło na świat ich pierwsze dziecko, a ja byłam zachwycona, że mam nową zabawkę. Gdy miałam dwanaście lat, mama urodziła córeczkę. Dwa lata później, gdy spodziewali się kolejnego dziecka, Frank awansował i został przeniesiony do Des Moines. – Popatrzyła na Walta. – Miałam wtedy czternaście lat i nie chciałam się przeprowadzać. Rodzice Julie zgodzili się, bym zamieszkała u nich, moi dali się uprosić i też się zgodzili. Dopiero później dowiedziałam się, że wszyscy spodziewali się, że szybko zmienię zdanie, lecz tak się nie stało. Frank i mama zaczęli życie od nowa, ja nigdy nie czułam się członkiem nowej rodziny.

– Tęskniłaś za nimi?

– Oczywiście. Przez kilka lat przyjeżdżałam do nich na wakacje. Potem, gdy zaczęłam pracować, nie miałam już na to czasu.

– A twój tata? Mam na myśli biologicznego ojca.

– Nie znalazłam go. – Wzruszyła ramionami. – Mama zmarła młodo, miała czterdzieści cztery lata. Zabił ją guz mózgu. Jej choroba trwała sześć miesięcy, przez ten czas byłam przy niej, opiekowałam się nią. Próbowałam odszukać ojca, lecz bez powodzenia. Kto wie, może on też już nie żyje? Tak czy inaczej postawiłam na nim krzyżyk. Nigdy go nie znalazłam, nie odegrał w moim życiu żadnej roli. Gdyby się teraz objawił, nie miałabym mu wiele do powiedzenia, co najwyżej wypytałabym go o pewne sprawy medyczne. No i o...

Walt odczekał chwilę.

– I o co?

– Dlaczego nas zostawił.

– Nic o tym nie wiesz?

– Mama powiedziała mi, że byli z sobą bardzo krótko. Zaszła w ciążę, pobrali się, lecz nigdy z nią nie mieszkał, nie był przy moich narodzinach. Rozwiedli się, gdy miałam pół roku. Oboje byli bardzo młodzi, ja przydarzyłam się przypadkiem. Uciekł od odpowiedzialności. To stało się tak dawno temu, że nie warto do tego wracać, łamać sobie tym głowy.

Walt delikatnie odgarnął jej pasmo włosów ze skroni.

– Już się z tym pogodziłaś? Czy wciąż boli?

– Co innego mnie boli. Mojej mamy już nie ma. Zawsze byłyśmy sobie bardzo bliskie. Godzinami gadałyśmy przez telefon o wszystkim. Strasznie mi jej brakuje.

– Rozumiem cię. Może tego wyraźnie nie powiedziałem, ale jestem bardzo związany z rodzicami. Wytrzymali ze mną, choć dałem im nieźle

popalić, buntowałem się przeciwko wszelkim ograniczeniom. Gdybym miał któreś z nich stracić, byłby to dla mnie ogromny cios.

– Nasza przeszłość rzutuje na naszą przyszłość – z zadumą powiedziała Cassie. – W jakiś sposób tłumaczy, jak to się stało, że przyszło mi walczyć o życie na przednim siedzeniu terenówki...

– To znaczy? – Zmarszczył czoło.

– Kiedy się nad tym zastanowić, to nie mam rodziny. Prawdziwej rodziny.

– Masz ojczyma i przyrodnie rodzeństwo.

– To nie to samo. Nie jestem z nimi zżyta. Najstarsza siostra właśnie zaczęła studia. Dla niej jestem kimś, kto od czasu do czasu przyjeżdżał do nich z wizytą. Dawniej byłyśmy tylko mama i ja. Ja dla niej, ona dla mnie, całkowite oddanie. Potem zjawił się Frank i ich dzieci, a mama była naprawdę szczęśliwa. Nawet ja czułam się szczęśliwa, że są te maluchy i mogę się nimi opiekować. To było dla mnie przesłanie, że człowiek naprawdę jest spełniony dopiero wtedy, gdy ma małżonka i dzieci. Dlatego później tak bardzo tego pragnęłam. Kogoś, kogo pokocham, kto sprawi, że będę szczęśliwa, kto da mi dzieci. Pewnie za bardzo mi na tym zależało, zbyt jawnie to wyrażałam, czym odstraszałam facetów. – Zadumała się na moment. – Owszem, wiedziałam, czego chcę od życia, ale tylko w ogólnym zarysie i nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Moja mama nie szukała partnera. Odkąd pamiętam, zawsze była ze mną, nigdzie nie wychodziła, nigdy nie zostawiała mnie samej czy z opiekunką. Franka poznała w pracy, tak to się zaczęło.

– Tak się zdarza. Nie wszystko da się przewidzieć.

– Tak? – Uśmiechnęła się. – Ciebie coś takiego spotkało?

– I to niemało. Myślisz, że planowałem tę półtoraroczną wyprawę? Po prostu zdecydowałem impuls. Wpieniłem się i ruszyłem w drogę. I to zmieniło moje życie. Podobnie było z pracą. To był skromny sklep połączony z warsztatem, który stopniowo się rozrósł, z czasem powstały cztery sklepy... Myślałem sobie, że dobrze nam idzie, lecz nie miałem pojęcia, jak dobrze. Nie widziałem tego, choć byłem tam od samego początku. Gdybyś dziesięć lat temu zapytała mnie, czy spodziewam się takich zmian, nigdy bym nie uwierzył. – Zaśmiał się. – Dziesięć lat temu myślałem, że skończę w więzieniu, po prostu się stoczę...

– Kochasz swoją pracę, co?

– Tak. Jest coraz lepiej. W moich prywatnych sprawach również. – Oczy mu rozbłysły. – Bo spróbuj popatrzeć na siebie w tych szortach. Tylko idiota by narzekał! A przecież nie poznaliśmy się przez serwis randkowy. – Uśmiechnął się do niej.

– Jesteś super. Świetny z ciebie kumpel.

– Dzięki, miło słyszeć. To co, ruszamy dalej wzdłuż wybrzeża?

– Chętnie. Spodobał mi się ten twój motor.

– W Bodega Bay jest restauracja rybna, która może nie wygląda okazale, ale mają najlepsze ryby prosto z oceanu.

– Też cię tam znają? – zapytała, wkładając dzinsy.

– No pewnie. Wiele razy tam byłem.

– No pewnie! – Roześmiała się.

O wpół do jedenastej Billy dotarł do domu po ośmiu godzinach pracy. Przycinał dziś drewno, marmur i granit, drobinki pyłu lepiły mu się do ciała. W domu było ciemno, tylko w kuchni palił się kinkiet. Julie już pewnie się położyła i śpi. Był wykończony; przez ostatnich sześć dni codziennie pracował, w tym były trzy całodobowe dyżury. Na szczęście przed nim cztery dni wolnego w straży, będzie tylko pracować w warsztacie. Sięgnął do lodówki po colę. Zaspokoi pragnienie i pójdzie wziąć prysznic.

– Billy?

Odwrócił się w stronę salonu.

– Julie? Jeszcze nie śpisz?

– Billy... – Jej głos brzmiał słabo. – Ze mną jest niedobrze. Chyba tracimy dziecko...

Pobiegł do salonu. Julie leżała na kanapie, przyciskała do brzucha kompres z lodu. Billy przykląkł obok niej, odgarnął jej z czoła pasmo włosów.

– Co się dzieje?

– Byłam dziś u Beth, by potwierdzić... no wiesz. Poprosiłam ją, by usunęła spiralę. Ostrzegła mnie, że tak może się zdarzyć. Bardzo krwawie. Muszę coś zrobić...

– Zadzwoń do niej? Spytałaś, co robić?

– Muszę pojechać do szpitala. Zadzwoń do mojej mamy albo do Cassie, ktoś musi popilnować dzieci. Chciałam poczekać na ciebie. Chcę, byś przy mnie był.

– Boże, a gdybym przyszedł później! – Popędził do telefonu. – Trzeba było do mnie zadzwonić! Natychmiast bym przyjechał! – Wybrał numer. – Cassie, muszę zawieźć Julie do szpitala. To chyba poronienie... Tak, dobrze słyszałaś... Nie, nikomu o tym nie powiedziała, jest w szoku... Bądź tu jak najszybciej... Dzięki.

Gdy Cassie przyjechała, Billy i Julie już siedzieli w samochodzie z włączonym silnikiem. Zdenerwowana Cassie podbiegła do nich.

– Poronienie? – wyszeptała przerażona. – Nie mówiłaś, że spodziewasz się dziecka.

– Nie mogłam – wydusiła z trudem Julie.

– Cassie, później – powiedział Billy i nim zdążyła się cofnąć, ruszył. – Bardzo krwawisz?

– Strasznie. Choć nie wiem, bo nigdy tego nie miałam.

– Co ci powiedziała Beth?

Żebym przyjechała do...

– Nie chodzi mi o teraz. Co ci powiedziała, gdy byłaś u niej? Dlaczego usunęła ci spirale?

– Poprosiłam ją o to.

– To rutynowa procedura? Zawsze tak robią?

– Nie – szepnęła po chwili. – Ale chciałam, żeby ją wyjęła. Beth uprzedziła, że może być różnie. Wkładka może wpłynąć na ciążę, wywołać poronienie. Może też być tak, że nic się nie stanie.

– Dlaczego jej nie zostawiłaś?

– Bo tak czy inaczej miałabym problem. Nie wiadomo, jak to by się skończyło. Może nic by się nie stało, może trzeba byłoby usunąć ją później, co też niesie zagrożenie, może byłaby to ciąża podwyższonego ryzyka. Dlatego chciałam od razu to przeciąć. Jak najwcześniej. Nim oswoimy się z myślą o dziecku.

Billy zacisnął zęby.

– Powiedziałaś wystarczająco jasno, że jesteś przeciwko...

– Billy, nie teraz...

– Nie powinniśmy najpierw tego obgadać? Podjąć decyzję wspólnie? A niech to! Wziąłbym więcej godzin w...

– Nie mogliśmy tego razem obgadać! – wybuchnęła. – Bo ty w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię! I niby kiedy mielibyśmy rozmawiać? Wciąż jesteś w pracy. W domu prawie cię nie ma. A kiedy już jesteś i próbuję coś ci powiedzieć, jak katarzynka powtarzasz, że wszystko będzie dobrze! Przekonujesz, że łączy nas coś wyjątkowego, a pieniądze się nie liczą! Otóż nie!

– Chciałabyś, żebym przez cały czas marudził i jęczał jak ty? – Podniósł głos. – Ktoś powinien mieć pozytywne podejście, bo co innego nam pozostaje?

– Co innego? Po prostu się postaraj i znajdź lepiej płatną pracę! Nie mam tych dzieci sama z siebie!

– Mam szansę na większe zarobki! Co rok dostaję podwyżkę! Szykuje się nowy kontrakt i...

– To zajmie co najmniej dwa lata! Jezu, Billy, czy ty nie rozumiesz? Nie wiążemy końca z końcem, jesteśmy spłukani! Czy to do ciebie nie trafia?

Przez kilka minut jechali w milczeniu, wreszcie Billy spytał cicho:

– Gdybyś chciała tego dziecka, to co byś zrobiła?

– Myślisz, że ja go nie chciałam? – Zaniósła się płaczem. – Myślisz, że to takie proste? Bałam się mieć to dziecko! Czy ty wiesz, co czuję, gdy za każdym razem mama ukradkiem wsuwa mi do torby dwadzieścia dolarów? Płaci za stroje piłkarskie i letnie zajęcia dla dzieci? Jak się czuję, przeszukując jej lodówkę i szafki, by wysepić dla nas coś do jedzenia? Gdy za każdym razem odmawiam dzieciom pójścia do McDonalda, choć tak proszą? – Popatrzyła na piękny profil męża. – Na kolację jem płatki albo groszowy makaron z serem, by dla ciebie zostało mięso, bo przecież musisz mieć siłę, pracując siedem dni w tygodniu. Billy... – Zakryła twarz dłońmi i załkała żałośnie. – Billy, nie zapłaciłam na czas rat za dom... Boję się, że go stracimy. Po prostu nie starcza pieniędzy... Jesteśmy spłukani... Jesteśmy na dnie.

– Już dobrze – łagodził, przesuwał dłońią po jej udzie. – Już dobrze, nie płacz. Wszystko się ułoży, będzie dobrze...

– Nie będzie! To nie jest problem, który pojawił się teraz! Tak jest od samego początku! Wciąż ci to mówię, a ty się nie przejmujesz. Uważasz, że przesadzam! Nie mamy pieniędzy na rachunki, a co dopiero na resztę!

Co miesiąc za coś nie płacę, byśmy mieli co jeść! – Po chwili dodała cicho: – Podałam się. Co ma być, niech będzie. To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu. I teraz Bóg ukarze mnie za to, wykrwawię się na śmierć. I może to wcale nie jest... takie złe...

– Julie, przestań! Nie wykrwawisz się na śmierć, nie zostawisz mnie!
Dobrze wiesz, że bez ciebie nie ma dla mnie życia! Skarbie, uspokój się,
proszę. – Wyjął komórkę. – Jaki Beth ma numer?

– Nie wiem. Już do niej dzwoniłam. Nawet nie wzięłam z sobą
torebki...

Jako ratownik Billy miał swoje dojścia. Zadzwoił do szpitala,
spowodował, że ją odszukano. Kiedy podeszła do telefonu, rzekł
szybko:

– Zaraz przywożę Julie, jesteśmy blisko. Beth, ona mocno krwawi, jest
przerażona i spanikowana. Za pięć minut jesteśmy, czekaj na nas. Tak,
dzięki. – Położył dłoń na ramieniu żony. – Julie, musisz się uspokoić –
rzekł stanowczo. – Zobaczysz, że sobie poradzimy. Obiecuję, że coś
wymyślę. Kocham cię, Julie. I proszę, nie wpadaj w histerię, nie
pogarszaj sprawy. Jesteś mi potrzebna...

Podjechali pod szpital. Bille okrążył samochód, wziął Julie na ręce i
zaniósł do środka. Oparła głowę na jego piersi i łkała. Beth już na nich
czekała. Wskazała drogę do gabinetu.

– Nie powinno dojść do krwotoku – szepnęła. – Zaraz ją obejrzę, od
tego zaczniemy.

Billy delikatnie położył Julie, pielęgniarka pomogła ją rozebrać.

– Nie musisz w innym miejscu zaparkować samochodu? – przez ramię
rzuciła Beth.

– Co mi tam samochód.

– Przez ten czas, jak będziesz go przestawiać, zobaczę, co dzieje się z
Julie. Idź. Zrób coś. Daj mi dziesięć minut.

– Tylko pilnuj, żeby Julie nic się nie stało. – W jego tonie dało się wyczuć i desperację, i groźbę.

– Idź – powtórzyła Beth, pomagając Julie ułożyć się na fotelu. – Dziesięć minut.

W drodze na parking zmagał się z przykrymi myślami, paniką i rozpaczą. Dlaczego Julie jadła płatki i makaron z serem? Przecież w remizie dostawał dobre jedzenie, mięsa aż nadto! Nie miał pojęcia, że ich sytuacja jest aż tak krytyczna. Dlaczego Julie brała wszystko na siebie? Dlaczego do tego dopuścił? Boże, tracę rodzinę, myślał spanikowany. Nawet nie wiedziałem, co dzieje się z moją żoną. Wciąż mam w głowie tylko pracę i pracę. Myślałem, że jeśli będę więcej zarabiał...

Gdy wrócił do gabinetu, Beth wycierała rękę.

– Nie jest tak źle – poinformowała. – Wprawdzie było dużo krwi, ale to nie krwotok...

– Straciła dziecko?

– Tak. Bardzo mi przykro, Billy. Posłuchaj, to mogło się stać niezależnie od tego, co zdecydowała Julie...

Niemożliwe, na pewno nie, pomyślał. Julie jest stworzona do rodzenia dzieci. Miałyby je, ale wpadła w panikę. Wbił wzrok w podłogę, kiwnął głową.

– Teraz muszę jej zrobić łyżeczkowanie macicy, to nie potrwa długo. Przez jakiś czas pozostanie na obserwacji. Będziesz mógł zabrać ją do domu, jeśli ktoś zajmie się dziećmi, bo jutro powinna poleżeć w łóżku. Musi dojść do siebie.

– Załatwię to.

– Trzymasz się? – Położyła mu rękę na ramieniu.

– Mhm... – Uniósł głowę. – Zostanę z Julie, póki się nie obudzi, nawet do rana. Potem zabiorę ją do domu. Jest u nas Cassie.

Billy był wdrożony do ciężkiej pracy. Życie nie obeszło się z nim łaskawie. Gdy miał czternaście lat, a jego brat szesnaście, ich ojciec uległ wypadkowi na budowie. Przez rok nie mógł się ruszyć, potem trochę mu się poprawiło, jednak do końca niedługiego życia pozostał kaleką. Przez jakiś czas żyli z odszkodowania, potem z zasiłku dla bezrobotnych, aż wreszcie pozostało im tylko wsparcie z opieki społecznej, czyli kropla w morzu potrzeb. Chłopcy chwytali się każdej pracy, by zarobić choćby na własne potrzeby. Dan zaczął pracować na budowie w wieku osiemnastu lat; kilka lat później zmarł ojciec. Teraz Dan miał żonę i dzieci, mieszkał i pracował w San Francisco. Mama mieszkała z nimi i opiekowała się dziećmi. Może dlatego, że Billy od małego był przyzwyczajony do zaciskania pasa i pracy od rana do nocy, nie dostrzegł tego, co najważniejsze, i dlatego powstał ogromny problem. Szkolne czasy wspominał z nostalgią. Dobrze się uczył, znajdował trochę czasu na piłkę, szybko związał się z Julie. Nie miał samochodu, ale Dan czasem pożyczał mu swój. Gdy to było niemożliwe, do pracy podrzuciła go Julie swoim wozem. Nie mieli pieniędzy, lecz sobie radzili. Wystarczało im towarzystwo rówieśników, szkolne im prezy, niedrogie atrakcje. Naprawdę fajne czasy. I choć rodzicom było ciężko, patrzyli pozytywnie na świat. Może również dlatego doszło do obecnej sytuacji. Zawsze optymistycznie oceniali przyszłość. Mieli zakodowane, że jeśli będą pracować, to jakoś dadzą sobie radę. Dan i jego żona wychodzili na prostą, pieniądze już nie stanowiły najpoważniejszego problemu. Billy zakładał, że jeszcze kilka lat w straży i im również powinno być łatwiej.

Ta praca była spełnieniem jego chłopięcych marzeń. Poza tym miała dużo plusów: stała posada, przyzwoita pensja, dobre świadczenia. Problemy finansowe zaczęły się wcześniej, gdy mieli słabo płatne zajęcia, lata nauki, rosnące długi. Rodzice Julie pomogli im kupić dom, by nie tracili pieniędzy na wynajem, lecz w Kalifornii nieruchomości słono kosztują. Dom był niewielki w przeciwieństwie do rat kredytowych. Jednak jeśli wytrzymają jeszcze kilka lat, powinno im się poprawić. Na pewno szybko awansuje. Planował, że szybko przejdzie na emeryturę i zacznie nabijać sobie staż w innej branży, by zwiększyć późniejsze świadczenia. Nim dzieci podrosną, powinni stanąć na nogi i wieść przyjemne życie. Dla Julie to była zbyt odległa przyszłość. Miała już dość nieustającej szarpaniny. Bała się mieć ich dziecko! Bała się, że do końca życia będzie jeść płatki na kolację. Jaki mężczyzna pozwala, by żona przechodziła przez taką golgotę? Usiadł przy jej łóżku, co kilka minut dotykał jej dłoni. Julie spała, oszołomiona po znieczuleniu. Tuż przed świtem otworzyła oczy. Billy poderwał się, pochylił ku niej.

– Cześć, kotku.

– Billy – wyszeptała. – Billy, tak mi przykro...

– Ciii, najważniejsze, że z tobą wszystko dobrze. Nie było tak źle, jak się bałaś. Teraz już wszystko jest jak trzeba.

– Nie zrobiłam tego, by cię zranić. Kocham cię, wiesz o tym...

– Julie, już dobrze. Nie przejmuj się. Mnie nie tak łatwo zranić. Póki z tobą jest dobrze, to wszystko gra. – Jednak wiedział, że prawda wyglądała inaczej. Dla Julie ich życie było koszmarem, teraz to rozumiał. Myślał, że jest zrzędliva i trudno jej dogodzić, lecz wreszcie dotarło do niego, jak źle jej się żyło. Nie dojadła, problemy ją przerastały. Musi znaleźć sposób, by to wszystko naprawić. Pocałował ją. – Skarbie, przetrzymamy to. Póki mamy siebie, damy sobie radę.

– Przepraszam, Billy. Tak mi przykro. Nie wiedziałam, co robić...

– Julie, to już zamknięta sprawa. Nie załamujemy się. Wiem, że na to nie zasługuję, ale jeśli jeszcze raz mi zaufasz, wymyślę coś. Klnę się na Boga, Julie. Postaram się, żeby było nam lepiej.

– Nie chciałam go stracić... to twoje dziecko, a ja tak kocham twoje dzieci.

– Już dobrze, skarbie. Prześpij się, póki działają leki. Potem zabiorę cię do domu.

Zamknęła oczy, Billy znów usiadł przy jej łóżku, odwracając się od pielęgniarek, by nie widziały jego łez.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cassie weszła do pogrążonej w półmroku sypialni, niosąc dwa kieliszki wina. Julie przez cały dzień nie wstawała z łóżka. Zjadła treściwą kolację, ogarnęła się, już nie była na środkach przeciwbólowych i... już nie była w ciąży. Cassie przezornie przyniosła wino, domyślając się, że u przyjaciółki nic nie znajdzie. Podała jej kieliszek. Julie opierała się na poduszkach, nie była już taka blada, oczy też patrzyły jaśniej.

– Myślisz, że mogę?

– Jeśli nie masz mdłości, to owszem. Gdy Billy przywiezie dzieci, w kuchni czeka na nich kolacja. Julie, nie miałam pojęcia o twoim stanie. Dlaczego?

– Przepraszam. To nie dlatego, że nie mam do ciebie zaufania czy nie wierzę w twoje wsparcie; wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć. Byłam w szoku, nie mogłam się pozbierać. Chciałam to zrobić w tajemnicy przed Billym, ale nie mogłam. Nie potrafię niczego przed nim ukryć. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Już wiem, jak czują się kobiety w podbramkowej sytuacji. Cokolwiek byś zdecydowała, i tak nie masz dobrego wyjścia. To, co zrobiłam, nie było dobre... tylko straszne. – Zamrugnęła, popłynęły łzy.

– Czy możesz zacząć od początku? – miękko spytała Cassie.

– Spróbuję. Poznałam Billy'ego, gdy miałam piętnaście lat. Kiedy skończyłam szesnaście, zaczęłam z nim chodzić.

– Na poważnie, jak pamiętam.

– Tak, na poważnie. Cassie, wiem, że wielu ludzi ma trudniej niż ja. Nigdy nie żałowałam, że wyszłam za najlepszego chłopaka pod słońcem, że mamy dzieci. Problem w tym, że nie starcza nam na nic.

Jedyna nadzieja, że wytrwamy, póki nie pójdę do pracy. Najszybciej jak się da. Nie możemy pozwolić sobie na jeszcze jedno dziecko, nie damy rady finansowo. Nie chodzi tylko o bieżące wydatki, lecz o zaciągnięte wcześniej kredyty na studia Billy'ego i na dom. Do tego mamy otwarte linie kredytowe, debety na kartach. – Zaśmiała się gorzko. – Tniesz kartę, a ktoś inny zaraz daje ci inną, choć gołym okiem widać, że nie jesteś w stanie spłacać rachunków. To jakieś szaleństwo!

– To co się stało? – naciskała Cassie.

– Znowu wpadliśmy. Sama powiedz! Zaszłam w ciążę z Jeffem, choć stosowałam pigułki. Brałam antybiotyki i nie wiedziałam, że wtedy pigułki przestają działać. Chyba nikt mnie o tym nie uprzedził, choć nie dam głowy, bo już nie pamiętam. Byłam bardzo młoda, przewrażliwiona. Potem stosowaliśmy prezerwatywy i środki plemnikobójcze, to się świetnie sprawdzało. Tylko raz się zapomnieliśmy. Na rocznicę ślubu pożyczaliśmy łódkę od Joego. Tylko we dwoje, było tak upojnie, że poszliśmy na całość i... urodził się Clint. Przysięgam, że to był jeden jedyny raz przez całych pięć lat! Zaraz po urodzeniu Clinta przeszłam na krążek i niemal natychmiast znów zaszłam w ciążę. Beth uważała, że coś z tym krążkiem było nie tak. Liczyłam, że spirala okaże się rozwiązaniem. Sprawdziła się, ale tylko przez trzy lata!

– Cóż, jesteś płodna jak króliczka. Lepiej pośpieszcie się z tą wazektomią. Coś zróbcie.

– Nie będę na niego czekać, skoro tak trudno mu się na to zdobyć. Podwiążę jajowody, nie wiem tylko, skąd na to wezmę...

– A Billy? Jak on to przyjął?

– Bardzo to przeżył. Jest smutny, przybity. Nie patrzy mi w oczy. Nie wiem, czy kiedykolwiek mi wybaczy.

– Julie, chwileczkę. Nie mów tak. Usunięcie wkładki to wybranie najłatwiejszej drogi, lecz gdybyś tego nie zrobiła, nie masz gwarancji, że ciąża by się utrzymała. Może doszłoby do poronienia, tylko później. Spirala uniemożliwia zagnieżdzenie się zapłodnionego jajeczka w macicy. Nie wiesz, czy miesięczne krwawienie to normalna miesiączka, czy...

– Dziecko?

– Albo zapłodnione jajeczko. Masz pojęcie, ile zapłodnionych komórek jajowych nie zagnieżdża się w macicy, niezależnie od tego, czy jest w niej wkładka, czy nie? Ile razy dochodzi do zapłodnienia? Nikt tego nie wie, bo to może zdarzać się bardzo często. Beth miała rację, gdy mówiła, że nie da się niczego przewidzieć. Nie możesz wiedzieć, czy usunięcie spirali spowoduje poronienie, czy nie. Owszem, istniało takie ryzyko, ale pozostawienie jej było obciążone takim samym ryzykiem, więc nie katuj się wyrzutami sumienia. Co innego, gdybyś zrobiła aborcję, nie mówiąc o tym mężowi...

– Rozważałam taką ewentualność.

– Rozważanie a zrobienie to coś całkiem innego. Julie, nawet nie mogłaś ukryć przed nim faktu, że jesteś w ciąży! Nie masz przed nim tajemnic. – Poklepała ją po dłoni. – On tak samo jak ty boleje nad stratą. Potrzebujecie czasu, by odżalować dziecko. Jest wam ciężko, lecz to minie. Zobaczysz.

Zadzwonił dzwonek, Cassie odstawiła kieliszek i podniosła się.

– Pójdę otworzyć, a ty tu leż.

Po chwili wróciła do sypialni z Beth.

– Jak się czujesz? – Beth usiadła na łóżku.

– Jestem pusta w środku – odparła przez łzy.

– Och, Julie, strasznie mi przykro, że to się tak skończyło...

– Powiedz, mogłam stracić to dziecko później? Gdy już czułabym jego ruchy?

– Takie ciążę zdarzają się rzadko. Wprawdzie medycyna idzie naprzód, jednak nie da się wykluczyć komplikacji. Im bardziej zaawansowana ciąża, tym większe szanse na szczęśliwe zakończenie, jednak każdy dzień jest nowym wyzwaniem, nigdy nic nie wiadomo. Najważniejsze, że dobrze się czujesz. Nic ci się nie stało. Z tego powinnaś się cieszyć.

Znow ktoś zadzwonił do drzwi.

– Idę. – Cassie poderwała się z miejsca.

Po chwili do sypialni weszła Marty i usiadła na łóżku obok przyjaciółek.

– Byłaś w ciąży? I nic nam nie powiedziałaś...

– Kolejna wpadka. Kto by mi uwierzył, że to naprawdę

Że tak się tłumaczę, a tak naprawdę igraliśmy z losem...

– Nie wygłupiaj się. Możesz być w depresji, ale nie wpadaj w paranoję – zganiła ją Marty. – Przecież cię znamy. Wiemy, że definitywnie skończyłaś z rodzeniem dzieci.

– Trójka mi wystarczy. To i tak ponad moje siły.

– Jak ja to rozumiem! – ze śmiechem skomentowała

Marty. – Gdybym miała jeszcze jedno, tobym się powiesiła!

– Jason jest taki nieznośny? – zdumiała się Beth.

– Nie, mój synek to anioł. Za to Joe jest nieznośnym bachorem. –

Marty popatrzyła na Julie. – No dobrze, o co chodzi? Domyślam się, że wolałabyś na tym skończyć, ale chyba o czymś nam nie powiedziałaś?

Gdy Julie w milczeniu opuściła głowę, odezwała się Cassie:

– Dobrze się domyślasz. Problemy finansowe. Billy i Joe pracują razem, więc nic więcej nie mogę powiedzieć. Obiecujesz dyskrecję?

– No jasne! – zapewniła Marty. – Boże, zastanawiasz się, czy można mi zaufać?

– Mnie tam wszystko jedno – powiedziała Julie. – Billy haruje jak wół i nie ma powodu wstydzić się przed kolegami. Prawda jest taka, że jesteśmy na skraju bankructwa. Jeśli któryś samochód odmówi posłuszeństwa, leżymy. Mamy stary kredyt za studia, debety na kartach, drugi kredyt na dom, kredyt konsolidacyjny... Aż trudno to wszystko ogarnąć. I zamiast się poprawiać, jest coraz gorzej. Nie widać końca. Wpadliśmy w pułapkę. Jeszcze jedno dziecko na pewno by mam nie pomogło wyjść z tego impasu. – Odetchnęła głęboko. – Po prostu spanikowałam.

– Rozwiązaniem jest ogłoszenie upadłości – oświadczyła Beth. – Rozmawialiście z kimś o tej ewentualności?

– To takie upokarzające...

– Rozmawialiście?

- Tak, byliśmy w banku. I zniechęcili nas.
- Oczywiście, że was zniechęcili! – Beth roześmiała się gorzko. – Bo wtedy by nie dostali swoich pieniędzy! O Boże, dziewczyno, nawet nie wiesz, czego nie wiesz!
- Beth, dla mnie to byłby taki wstyd, nie umiałabym ludziom spojrzeć w oczy. Przecież spłacamy rachunki, robimy, co tylko możemy.
- To bardzo szlachetne podejście, ale przychodzi taki czas, że rodzina staje się ważniejsza niż poczucie dumy i godności. Pracowałam z chirurgiem naczyniowym, który ogłosił upadłość, i zaręczam ci, że wcale nie był tym zawstydzony. Owszem, musiał oddać ferrari, które miał w leasingu, ale nie wyprowadził się z ogromnej rezydencji z basenem! Julie, potrzebujecie fachowej pomocy.
- Mamy kilka kredytów konsolidacyjnych i nie możemy ich spłacić. Chcą coraz więcej i więcej.
- Właśnie o tym mówię. Najpewniej spłacone odsetki wielokrotnie przekroczyły pożyczoną sumę. Są na to rozwiązania. – Czuła na sobie wzrok przyjaciółek. – Dla odprężenia czytam gazety finansowe.
- Boże, tylko ty jesteś zdolna do czegoś takiego! – Cassie pokręciła głową. – Relaksować się przy tekstach o finansach! – Popatrzyła na Julie. – Póki coś się nie wyklaruje, pomożemy wam.
- Nie – zaprotestowała Julie. – Nie...
- Nie mówię o pieniądzach – pośpiesznie dodała Cassie. – Ale możesz liczyć na dwie zapiekanki tygodniowo. Naprawdę duże. Takie, że nie dacie rady zjeść naraz. I wszystko, co rośnie u mnie w ogródku.

– Ja ci załatwię kolejne dwa dni – zobowiązała się Marty. – Przyrządę coś, gdy Joe będzie w pracy, i zamrozę. O niczym nie będzie wiedział.

– Skoro nie mam pojęcia o gotowaniu – zamyśliła się Beth – to jak mogę się włączyć?

– Możesz kupić sałatę i pomidory? – zapytała Marty.

– Jasne! – ucieszyła się Beth. – W kupowaniu owoców i warzyw jestem dobra. Z pieczywem też! Czyli to będzie na mojej głowie... Wprawdzie to nie rozwiąże problemów, ale trochę ułatwi życie.

Julie zakryła twarz dłońmi i zanosła się płaczem.

– Czemu tak beczysz? – Cassie pociągnęła ją za rękę.

– Bo przyjaciele tak się zachowują, gdy ktoś umiera! – zaszlochała.

– Albo gdy komuś akurat gorzej idzie. – Marty uścisnęła dłoń Julie. – Przestań już. Przecież też byś tak samo zrobiła. Czemu ryczysz?

– Nie wiem... Może mi wstyd, może się wzruszyłam, może z bezradności. Już nic nie wiem. Już nawet siebie nie poznaję...

– Wiem coś o tym – powiedziała Marty. – Ostatnio ciągle się tak czuję. Niedawno znów ścięłam się z Joem. Jak zwykle o to samo. Byłam wściekła, że nie był łaskaw posprzątać po sobie ani pójść pod prysznic. Wyszłam z domu, jeździłam po mieście, a w końcu zajrzałam do włoskiej knajpki i zgadnicie, na kogo wpadłam. Na Ryana Chambersa!

– No nie – powiedziała Cassie. – I co zrobiłaś?

– Pogadałam z nim, czekając na pizzę. Julie, gdybyś mogła rozwiązać moje problemy, przynosząc mi zapiekankę! Nie wiem, czy dojdziemy z Joem do ładu, czy jakoś wybrniemy.

Zajęły się sprawami Marty i Joego, co ostatnimi czasy było normą. Potem, zachęczone jej zwierzeniami, zaczęły mówić o swoich sprawach, nawet tych bardzo osobistych. Marty wyznała, że nie chce już dzielić z mężem sypialni, bo Joe ją odstręcza. Nie może patrzeć na jego wąsy, najchętniej pocięłaby mu szorty, utopiła łódkę, rzuciła bombę w ten cholerny wielki telewizor. Marzy o romantycznym partnerze, choćby tylko z doskoku. I o tym, by Joe przynajmniej od czasu do czasu wykapał się i ogolił przed pójściem do łóżka. Cassie opowiedziała o swym strasznym przeżyciu; Marty i Beth aż wbiło w ziemię z przerażenia. Nie ukrywała, że zaprzyjaźniła się ze swym wybawcą, choć zapewniła, że dała sobie spokój z randkami. Walt miał być tylko odskocznią, dobrym kumplem, z których spędzała wolny czas.

Tylko Beth nie miała im nic do powiedzenia.

Beth doskonale wiedziała, że nie powinna zamykać się przed ludźmi i ukrywać swoich problemów, bo w istocie było to niewykonalne. Będzie musiała spotkać się z szefami kliniki i uprzedzić o czekającej ją kuracji. Najpierw wypadnie z grafiku, potem osłabiona terapią nie będzie w stanie pracować tyle co teraz. Wiedziała, że może liczyć na zrozumienie i wsparcie. Lekarze najlepiej wiedzieli, że choroby nie omijają nikogo. Przełożona pielęgniarek kilka lat temu miała raka piersi, inna lekarka przeszła histerektomię, bo wykryto u niej guz nowotworowy w macicy. Jednak innym na razie nic nie powie, przynajmniej do czasu, gdy zaczną wypadać jej włosy. Zawsze była zamknięta w sobie. Woląca najpierw wszystko dokładnie przemyśleć, dopiero potem pozwalała sobie na emocje. Wynikało to zarówno z charakteru, jak i z doświadczeń zyskanych na początku kariery. Jako stażystka wciąż była pod obstrzałem, co wyostrzyło w niej rozwagę i dystans, skłoniło do obsesyjnego wręcz trzymania uczuć pod kontrolą. Poza tym już przeszła tę drogę, gdy nowotwór zaatakował ją po raz pierwszy. Studiowała

wtedy medycynę. Miała dwadzieścia pięć lat i była w udanym związku z Markiem, chirurgiem tuż po studiach. Wybrał staż w tym samym mieście, by być z Beth. Kilka miesięcy przed zdiagnozowaniem raka zamieszkali razem i zaczęli przymierzać się do wspólnego życia. Planowali zaręczyć się, gdy Beth skończy studia i zostanie lekarzem. Dla niej to był pierwszy poważny związek. Gdy okazało się, że guzek jest złośliwy, poczuła się zdruzgotana. Do tego choroba wytrąciła ją z normalnego życia. Trzymała się jednak dzielnie. Z natury była opanowana, nigdy nie wpadała w histerię, co najwyżej uroniła kilka łez. Oczywiście rodzice natychmiast pośpieszyli jej z pomocą. Chcieli jak najlepiej, lecz nie nadawali się do roli pocieszycieli. Przerażona matka, której wszystko leci z rąk, bezradny jak dziecko ojciec... Z zagubionymi we mgle intelektualistami więcej było zachodu niż pożytku. Po dwóch dniach Mark miał ich dość. Przyjaciółki okazały się bardziej pomocne, szczególnie Cassie, pielęgniarka z powołania. Beth nie musiała niczego mówić, o nic prosić, bo same doskonale wczuwały się w jej potrzeby. Nie przychodziły razem, lecz z osobna, by nie wprowadzać zamętu. Jednak smutek, współczucie i lęk widoczne w ich oczach dobijały Beth. Były niemożliwie miłe i uprzejme, wsłuchane w nią i wyciszone, choć wcześniej śmiały się i trajkotały bez umiaru. Przeszła operację, potem chemioterapię. Nie musiała rezygnować ze studiów, choć straciła sporo czasu. Rodziców starała się trzymać z daleka, nie informować zbyt dokładnie o swym stanie zdrowie i sprawach osobistych. Zamiast ich wątpliwej pomocy na miejscu, wołała kilka razy pojechać do nich, by na własne oczy przekonali się, że wraca do formy. Była blada i wychudzona, ale trzymała się nieźle. Tylko przez cały ten czas czuła, że Mark się od niej oddala.

Ten proces rozwijał się stopniowo, a zmiany były tak subtelne, że aż do samego końca nie była pewna, czy to nie jej przywidzenia. Podczas terapii trudno było stwierdzić, co naprawdę dzieje się z ich związkiem. Mark prawie nie bywał w domu, lecz dla początkującego lekarza to było normalne. Niczego nie podejrzewała. Rok po zdiagnozowaniu raka wróciła do dawnej formy. Wyniki badań były pozytywne, choroba się cofnęła, możliwe, że Beth została trwale wyleczona. Znow miała zaróżowione policzki, a włosy odrosły. I to właśnie wtedy Mark z nią zerwał.

– Przepraszam cię, Beth – oznajmił. – To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem komuś w życiu, ale nie mogę dłużej tego ciągnąć. Nie wiem, czy to konsekwencja choroby, czy może tak miało być. Klnę się na Boga, że naprawdę nie wiem.

– Co ja takiego zrobiłam? – To spadło na nią jak grom. – Czego nie zrobiłam?

– Nie zrobiłaś nic złego, niczego nie zaniedbałaś. Beth, podziwiam cię, wspaniale się trzymałaś. Może na tym zakończmy. Może tak miało być. Strasznie mi przykro.

Nie wierzyła, że człowiek, który był chirurgiem i kochał tę pracę, nie mógł pogodzić się z jej oszpeceniem, odstręczała go jej blizna. Powoli zaczynało do niej docierać, w czym rzecz. Mark miał dwadzieścia osiem lat i tak jak ona chciał mieć prawdziwą rodzinę, czyli żonę i dzieci, a nie zostać wdowcem w wieku trzydziestu czy trzydziestu paru lat. Trudno prorokować, jednak czuła, że gdyby wcześniej się pobrali, Mark zostałby przy niej. Cóż, tego już nie sprawdzi.

Jego odejście było dla niej najdotkliwszym ciosem, pod wieloma względami znacznie cięższym niż choroba i leczenie.

Myślała, że już ma to za sobą.

– Nie patrz na to jak na ciąg dalszy tamtej historii – przekonywał ją doktor Paterson. – Mówiąc prawdę, twój przypadek nie jest taki odosobniony, jak mogłabyś sądzić. To, co zdarza się rzadko, to rak piersi w wieku dwudziestu pięciu lat, ale właśnie dlatego tak wnikliwie obserwuje się młode pacjentki, by wykryć ewentualne predyspozycje. Tym razem zastosujemy agresywniejszą terapię. Rokowa nia są tak samo pozytywne jak w przypadku osoby, u której nowotwór został wykryty na bardzo wczesnym etapie i od razu podjęto właściwe leczenie. Beth, to nie jest żaden wyrok. Uwierz mi.

Polubiła go. Może niekoniecznie mu uwierzyła, ale lubiła go. Brała przepisane leki, tydzień po pierwszej wizycie rozpoczęła radioterapię, parę tygodni później chemię. Rozpoczęła długą, wyczerpującą, samotną wspinaczkę do wolności. Przeszła dwa miesiące chemii i naświetlań. I powoli traciła siły.

Billy przyniósł z remizy segregator i zaczął układać w nim rachunki, czekiny, paragony, różne kwitki i inne papiery.

– Co ty robisz? – zdziwiła się Julie.

– Przejmuję od ciebie tę działkę. Koszmarna robota, to ona doprowadziła cię do takiego stanu. Każdego by dobiła.

– Nie możesz tego robić! Pomieszasz papiery i całkiem się pogubię.

– Julie, niczego ci nie zabieram i niczego nie będę robić bez twojej wiedzy. Po prostu chcę cię odciążyć. To cię za bardzo stresuje. Tak jakbym zostawił cię ze wszystkimi pracami w ogrodzie i garażu, licząc,

że świetnie sobie dasz radę. Przez lata prosiłaś, bym się tym zajął, ale ciągle nie miałem czasu, bo za dużo pracowałem.

– Billy, starałam się najlepiej, jak mogłam – powiedziała przez łzy.

Odłożył papiery i objął Julie ramieniem.

– Kotku, nie zabieram ci tego, bo za mało się starałaś, tylko chcę ci ulżyć. Jak już się w tym rozpatrzę, razem pomyślimy, jak ustalić budżet, byś mogła w miarę spokojnie działać. Nie mogę się zgodzić, żebyś żywiła się płatkami...

– Niepotrzebnie ci powiedziałam – zachlipała, wtulając się w jego pierś. – Byłam na skaju wytrzymałości, tak mi się wyrwało. Dam sobie radę, dalej będę kombinować. Dobrze mi idzie, doszłam do wprawy. Mam swój system...

Billy pogładził ją po plecach. Ten system zbyt wiele ją kosztował, przygnębiał i rozbijał, doprowadzał do rozstroju nerwowego. To dlatego zaryzykowała stratę dziecka, choć niezależnie od tego, jak wyglądało ich życie, Julie promieniała ze szczęścia, gdy w ich rodzinie miało pojawić się nowe maleństwo. Gdy już oswoiła się z tą myślą, oczywiście.

– Wypytam cię o ten system, nim zacznę opłacać rachunki, ale teraz chcę zorientować się w sytuacji, zobaczyć, na czym stoimy. Potem może będę mógł zdjąć z ciebie część stresu.

– Jak chcesz to zrobić, mając dwie prace?

– Zobaczę, co mi się uda zdziałać w remizie. Czasami mamy trochę luzu. Wielu chłopaków w tym czasie siedzi nad rachunkami, robi opłaty. Mamy jednego, który przez cały czas się uczy, bo chce dokończyć studia. Kilku przygotowuje się do egzaminu na kapitana. Nie ma problemu. Postaram się przez to przegryźć.

– To się nie uda. Jak skoncentrujesz się na pracy, gdy głowę będziesz miał nabitą rachunkami i spłatami?

– Udaje mi się skoncentrować na pracy, choć przez cały czas myślę o tobie i dzieciach. Nie ma sekundy, bym nie był przy was myślami. Przecież prawie zawsze któreś choruje albo dzieje się coś niedobrego. – Uśmiechnął się do niej. – Jak się czujesz?

– Fizycznie nic mi nie dolega. Emocjonalnie... jestem pełna żalu.

– Julie, to już się stało i nie odstanie. Musimy iść dalej.

– Ty tak nie myślisz. Nie pogodziłeś się z tym, co się stało. Inaczej się do mnie odnosisz. Nie śpisz ze mną jak wcześniej...

– Przez sześć tygodni masz szlaban. W każdym razie nie mniej niż cztery.

– Wcześniej nie mogłeś wytrzymać. Zawsze już po dwóch błagałeś mnie...

– Teraz będzie inaczej. – Umknął wzrokiem. – Nie chcę namieszać.

– Nie przytulasz się do mnie. Nie całujesz i nie pytasz na okrągło, czy cię Kocham. Myślę, że wciąż jesteś na mnie zły.

– Skarbie, naprawdę nie jestem zły. Zabij mnie, że jestem taki niedobry, ale nie mogę się przytulać, wiedząc, że nie mogę cię tknąć. To ponad moje siły. Ostatnio dużo się zastanawiałem, myślałem...

– O mnie. O dziecku. O tym, co zrobiłam...

– Julie, myślałem o tym, co mogę zrobić, by zmienić coś w naszym życiu. Rozmawiałem z Chelsea. Chciałem...

– Z Chelsea?! – Odsunęła się od niego.

– Daj spokój. Wypytywałem ją o sprzedaż samochodów. Rozglądam się za czymś lepszym niż przycinanie blatów czy półek. Chelsea zaproponowała mi pracę...

– No oczywiście.

– Przy sprzedaży hummerów. – Uśmiechnął się. – Nie denerwuj się. Nie będę pracować dla Chelsea. Nie wierzę, że sprzedaż idzie im tak świetnie, na pewno ona bajeruje, ale prowizja za sprzedaż auta rzeczywiście jest niczego sobie. Problem w tym, że to nie dla mnie. Musiałbym czekać na kasę nie wiadomo jak długo, a nie wyobrażam sobie, by udało się nam przeżyć bez stałego dochodu. – Cmoknął Julie w czubek nosa. – Daj mi się rozejrzeć, dobrze? Potem pogadamy.

– Billy, mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły... jeszcze bardziej zły, ale powiedziałam Beth o naszych problemach. Spytała, czy zastanawialiśmy się nad ogłoszeniem upadłości. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – To jest jakieś rozwiązanie...

– Wiem, jakie są konsekwencje ogłoszenia bankructwa – powiedział pochmurnie. – Chcę spłacić to, co jesteśmy winni. W końcu to nasze długi.

– Ale...

– Później do tego wrócimy. Na razie zobaczę, na czym stoimy. Już wcześniej powinienem się tym zainteresować.

– Czy ty mi kiedyś wybaczysz? Że sama podjęłam tamtą decyzję? Czy wybaczysz mi naprawdę?

Przygarnął ją do siebie, przytulił mocno.

– Julie – wyszeptał – o nic cię nie winię. Owszem, mam pretensję, ale do siebie. Gdybym bardziej się o ciebie troszczył, gdybyś nie była zestresowana i przerażona...

– Billy, ja...

– Ciii. Oboje potrzebujemy czasu, by ochłonąć, pozbierać się, a potem zacząć wszystko prostować.

– Oby to tylko nie trwało zbyt długo. Dla mnie to też jest trudne. I nigdy wcześniej nie przechodziłam przez taki czas bez ciebie.

– No właśnie, malutka. W tym problem. Myślałem, że jeśli będę pracować, wszystko się ułoży. I za bardzo zaangażowałem się w robotę, przez co wszystko inne spadło na ciebie. Musimy to zmienić.

Cassie ładnie nakryła stół w swej niewielkiej jadalni i starannie wybrała strój, jakby celem tego spotkania było podjęcie istotnej decyzji, a przecież miała to być niezobowiązująca kolacyjka. Ta świadomość naprawdę cieszyła. Walt był świetnym kumplem, kimś w rodzaju starszego brata, porządnym i kontaktowym facetem, prawie jak Billy. Nie miała mu za złe tych skradzionych buziaków – sama nie mogła im się oprzeć. Naprawdę były przyjemne. I póki na tym się kończy, to nie ma powodu do obaw.

Ta kolacja była małym rewanzem. Zabierał ją na przejażdżki i zapraszał do knajpek, lecz nigdy nie pozwolił za nic zapłacić. Chciała się odwdzińczyć i podczas jednej z długich rozmów przez telefon zaproponowała spotkanie u siebie. Znali się już długo i świetnie się dogadywali. Spotykali się często. Mieli za sobą cztery wypadki motocyklowe, raz na tydzień spotykali się na kolacji, urywali się też na kawę, gdy Cassie wpadała do niego, wracając do domu.

Nie widzieli się już od ponad tygodnia. Opowiedziała mu o Julie, wyjaśniła, że chce pomóc przyjaciółce w trudnych chwilach. Walt miał nadzieję, że nie potrwa to długo, bo brakowało mu wspólnie spędzanych chwil, z czym wcale się nie krył. Dlatego Cassie zaproponowała to spotkanie. Przy okazji upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu, mianowicie szykując kolację, przyrządzi jedzenie dla rodziny Julie. Umówiła się z nim na siódmą, był niemal co do minuty. Gdy mu otworzyła, nie mogła ukryć zaskoczenia. Wyglądał inaczej. Był w spodniach khaki, bawełnianej koszuli, eleganckich ciemnobrązowych kowbojkach bez łańcuchów. Włosy związane w kucyk, lecz starannie przyczesane. Na twarzy śladu zarostu.

– No wiesz, Walt – powitała go z uśmiechem – gdyby nie ten dwumetrowy wzrost, pewnie bym cię nie poznała.

– Tylko sto dziewięćdziesiąt – sprostował, podając jej bukiet kwiatów i butelkę wina.

– Tylko! A niech cię, wielkoludzie. Proszę, wejdz. Tylko wstawię kwiaty do wody.

– Coś tu bardzo apetycznie pachnie.

– Lasagne. Co można zaproponować wielkiemu żarłokowi? Nie chciałam ryzykować steków z grilla, bo słabo mi wychodzą. Zastanawiałam się nad indykiem, jednak wybrałam lasagne. – Podeszła do zlewozmywaka, by odpakować bukiet, i zerknęła przez ramię. – Będzie pieczywo czosnkowe. I trochę sałaty dla zdrowia.

– Świetnie się zapowiada.

Rozwinęła papier i na moment zaparło jej dech. To nie był bukiet kupiony po drodze, a wypracowana kompozycja z dobrej kwiaciarni. I nie z typowych, lecz z egzotycznych kwiatów: białych kalii, strelcji, storczyków, lawendowych róż. Niesamowity jest ten Walt. Bezustannie ją zaskakuje.

– Chętnie skosztuję wina, jeśli otworzysz butelkę. Dla ciebie mam colę i kawę...

– Dziś nie przyjechałem motorem, tylko samochodem, dlatego wypiję z tobą kieliszek, a po jedzeniu z przyjemnością poproszę o kawę. Po takiej kolacji z kieliszka wina nie pozostanie śladu. Czy z dwóch.

– Chyba nie mam na ciebie złego wpływu?

– Możesz mieć tylko dobry. Zwykle co weekend zapraszam rodziców na kolację i wtedy biorę samochód. Czasami wypiję z nimi do towarzystwa. Nie ryzykowałbym, gdybym miał wracać motorem. Nie mogę pozwolić sobie nawet na minimalne ryzyko. Zależy mi na dobrej opinii. Muszę być stuprocentowo czysty. – Otworzył butelkę i napełnił dwa kieliszki.

Przez ten czas Cassie podcięła łądygi i wstawiła kwiaty. Walt zakręcił kieliszkiem, powąchał wino, upił łyk i westchnął:

– Chyba dobrze wybrałem, Cassie. Spróbuj. Dobrze trafiłem?

Postawiła wazon, wzięła od Walta kieliszek i skosztowała. Z aprobatą skinęła głową.

– Bardzo dobrze wybrałeś – potwierdziła z uśmiechem. – Powiedz, jak ci minął tydzień. Co robiłeś w pracy.

– Zanudzę cię na śmierć.

– Przekonajmy się.

Przy lampce czerwonego wina i bruschetcie opowiedział jej o problemach z gaźnikiem w remontowanym kultowym harleyu z 1988 roku. Włożył w to wiele pracy, ale był bardzo zadowolony z efektu. Gwarantował, że gaźnik wytrzyma co najmniej rok, może nawet dwa. Zainteresowany maszyną klient, który od dłuższego czasu nosił się z decyzją, wreszcie ją kupił. Koleżanka z pracy zaręczyła się i zaprosiła wszystkich na lunch. Dziecko najstarszego brata miało urodziny, więc była okazja do rodzinnej uroczystości.

– A jak tobie minął tydzień? Domyślam się, że nie miałaś problemów z gaźnikiem ani niczego nie sprzedawałaś.

– W zasadzie nic szczególnego. Rano mieliśmy odłamowe złamanie kości udowej, to był najtrudniejszy przypadek. Duża kość w nodze została połamana i kawałki sterczały na wierzchu...

– Uff!

– Tak, to poważna sprawa. Poza tym typowo: wypadki samochodowe, urazy, ostre stany chorobowe, usunięcie wyrostka robaczkowego, skomplikowany poród, rana postrzałowa. Plus przedawkowanie leków, przemoc, głównie domowa...

– Przemoc domowa?

– Występuje w różnych wariantach, ale najczęściej mąż bije żonę.

– To straszne.

– I to bardzo. W kręgu twoich kumpli od motorów to się nie zdarza?

– To znaczy?

– Czy ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Nic takiego nie obito ci się o uszy? Czytałam o gangach motocyklowych. Podobno ci faceci uważają kobiety za swoją własność. To może być naprawdę...

– Cassie, nigdy nie należałem do gangu. Nawet gdy byłem młody i głupi i zadawałem się z takimi jak ja, to nigdy nie był żaden gang. Byliśmy zbyt beznadziejni i nieciekawi, by mieć kobiety.

– Wcale nie chodziło mi o...

– Oczywiście, że o to. Chcesz potwierdzenia, czy aby na pewno nie wożę motorem dziewczyny z wytatuowanym na ramieniu napisem „Własność Walta”, nad którą się znęcam. – Uśmiechnął się do Cassie. – Ciekawi cię, czy mój tata tłucze moją mamę?

– Nie, ja...

– Tata w życiu nie podniósł na nią ręki. Mamy w domu starą strzelbę. Mama nie zawahałaby się jej użyć, gdyby ojciec zrobił coś takiego. Uczyła w szkole specjalnej i wychowała czterech rozrabiaków. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby któryś z nas nie odniósł się z szacunkiem i z zachowaniem odpowiednich manier do kobiety. Najgorszy był Kevin. Dziewczyny za nim przepadały, choć ja zawsze uważałem go za beznadziejnego nudziarza. Dasz wiarę, że co tydzień miał inną panienkę i nic go nie brały ich łzy oraz nieustające telefony? Mama chciała go za to ukatrupić. Ja nigdy nie dotknąłem palcem żadnej dziewczyny czy kobiety. Pewnie zdarzało się, że którąś potraktowałem nie najlepiej, lecz tylko dlatego, że byłem bezmyślny i nie zdawałem sobie sprawy z tego, co czynię.

– Zaskakujesz mnie.

– Dlaczego? – Uniósł brwi.

– Bo sprawiasz wrażenie faceta, który bez mrugnięcia okiem obedrze ze skóry pędzącą antylopę, a naprawdę jesteś łagodny z natury i uroczy.

– Wygląd bywa mylący – rzekł z leciutką drwiną. – Weźmy ciebie. Kto by przypuścił, że będziemy umawiać się na kolację? Wyglądasz tak, że już dawno ktoś powinien cię wyrwać.

– Jesteśmy przyjaciółmi – przypomniała.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. Ta ich przyjaźń zmierzała w dobrym kierunku. Nie wyjdzie dziś od Cassie bez zakosztowania smaku tych ślicznych ust.

– Zobaczę, jak nasza kolacja. – Podniosła się.

Przez następne dwie godziny jedli, wesoło gawędząc. Walt wypił jeszcze jeden kieliszek, wreszcie w butelce pokazało się dno. Na koniec kawa i deser, i zabrali się do sprzątanía. Cassie myła naczynia, Walt je wycierał.

– Lato niedługo się skończy – zagadnął. – Na północnym wybrzeżu wieczorami robi się chłodno. Mam pewien pomysł. Co byś powiedziała na weekendowy wyjazd?

– Na cały weekend? – Na jej twarzy pojawił się niepokój. – O tym mówisz?

Walt roześmiał się.

– Tak. Możemy wybrać łatwiejszy wariant.

– To znaczy?

– Zawsze jadę wzdłuż wybrzeża, wyszukuję fajne miejsce, rozkładam śpiwór na piasku i rozpalam ognisko. Zwykle biorę z sobą jedzenie, nic wyszukanego, ale uwielbiam jeść w plenerze. Możemy zatrzymać się na plaży i tam coś przekąsić. Potem urządzimy sobie miejsce na nocleg. Albo wybierzemy wygodniejsze rozwiązanie, czyli spędzimy noc w motelu na wygodnym łóżku i z łazienką z prysznicem. – Wzruszył ramionami. – Zależy od ciebie. Nie będę się natrząsał, jeśli wolisz mieć dach nad głową. Niedługo pogoda się zmieni, zacznie się jesień i będziemy podziwiać kolorowe liście.

– Motel? – zapytała nieufnie.

– Weźmiemy tyle pokoi, ile zechcesz, Cassie. To nie jest pułapka, nic nie kombinuję – zapewnił z uśmiechem.

– Jak jest na plaży? Zimno i niewygodnie?

– No co ty, po prostu super. Przy ognisku jest ciepło i przytulnie, przez całą noc słyszysz szum fal, piasek nie jest twardy. W drugiej połowie sierpnia noce bywają chłodne. Mogę zabrać przyczepkę, mielibyśmy łódzkę turystyczną, dodatkowe koce i co tylko nam się przyda.

– Przyczepkę? – Myślam była gdzie indziej. Co powie Julie, jak jej to wyjaśni?

– Niedużą przyczepkę zamocowaną z tyłu. Zmieszczą się w niej wszystkie potrzebne rzeczy.

– Przez cały weekend się nie myjesz?

– Cassie, to jest biwak! – Roześmiał się. – Nie wytrzymasz dwudziestu czterech godzin bez prysznica? Możemy wyjechać w sobotę rano, a wrócić w niedzielę po południu. Zazwyczaj nawet nie zmieniam

ciuchów, ale gdy zatrzymuję się na śniadanie, jest okazja, by się umyć i ogarnąć.

– Hm... Nigdy nie myślałam, że mogłabym wybrać się na taką eskapadę.

– To jest wielka frajda. Owszem, nad oceanem bywa chłodno, lecz zachody słońca są niesamowite. Jak wiesz, kiedyś byłem w trasie przez półtora roku i wcale nie chciałem, by to się skończyło. Pęd, motor, dzika przyroda... Ale jak chcesz, możemy wziąć pokoje w motelu. Ty zdecydujesz.

– Hm, nie wiem, czy się do tego nadaję...

– Cassie, dostosuję się. Nie powiem słowa, jeśli w środku nocy zmienisz zdanie i uznasz, że musisz spać w łóżku.

– Naprawdę? Nie czułbyś się tak, jakbyś zabrał na wycieczkę starszą panią? I tylko byś czekał, kiedy zacznę biadolić?

– Och, daj spokój... Po prostu spróbuj dla samej frajdy. Jeśli ci się nie spodoba, więcej tego nie powtórzysz.

– Hm... właściwie... Mogłabym spróbować. Hm, cały weekend na motorze...

– Jak na razie jazda ci się podoba.

O jedenastej Walt zaczął zbierać się do wyjścia. Przy drzwiach delikatnie przyciągnął Cassie do siebie i musnął jej usta, leciutko, z czułością, choć intuicyjnie wyczuwała drżącą w nim moc. Może nie powinna pozwalać mu na te buziaki? Ale to było takie przyjemne...

– Podoba mi się taka przyjaźń, Cassie – oznajmił z uśmiechem.

– Tylko przypadkiem nie wyobrażaj sobie zbyt wiele – ostrzegła.

– Oczywiście, że nie – odparł natychmiast. – Ty również.

Kiedy wyszedł, wyjęła z kosza na śmieci butelkę po wypitym winie. Zamierzała wypłukać ją i posadzić w niej bluszcz, bo spodobała się jej etykieta. Potem włączyła internet i weszła na stronę wytwórni w Napa Valley, skąd pochodziło to wino. Okazała się, że butelka kosztowała dziewięćdziesiąt pięć dolarów. On chyba zwariował. Może powinna ograniczyć ich kontakty, schłodzić relacje, nim Walt poczuje się odrażony, a w dodatku będzie splukany. Nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy ma takie myśli. Po raz pierwszy boi się, że to ona może kogoś zranić. Uśmiechnęła się. Fajnie choć raz być po tej stronie. Zastanowi się nad ich przyjaźnią. Przemyśli wszystko dokładnie, gdy wrócą z tej dwudniowej wyprawy. Dwa dni na motorze i spanie pod gołym niebem...

Co najmniej dwa razy dziennie Marty oglądała wizytówkę Ryana i coraz częściej o nim myślała. Łudziła się, że może rzeczywiście się zmienić, wydorosłać, jak sam zapewniał. Może popełniła błąd, wychodząc za Joego? Była rozczarowana, miała szczerze dość takiego życia, Joe ją irytował i wkurzał. Że też Żakurat teraz ni stąd, ni zowąd pojawił się jej dawny chłopak! Oczami wyobraźni widziała siebie wirującą w tańcu, w sandałkach na wysokich obcasach, kolacje przy świecach, romantyczne weekendy... Pragnęła znów poczuć się podziwianą, piękną, upragnioną. Ryan był w tym mistrzem! Pamiętała jego uwodzicielskie spojrzenia, czułe słówka, dotyk palców i... i wszystko inne. Tak było, gdy im się układało. Tak samo było z Joem, nim za niego wyszła.

Teraz zmienił się nie do poznania. Ich wzajemne kontakty przemieniły się w nieustającą kłótnię, zresztą zawsze o to samo. Joe nie pomagał w domu, choć tyle razy go o to prosiła, bałaganił, zaniedbał się i przestał się starać, by się jej podobać. Próżno oczekiwała od niego pochwał czy miłych słówek, szczytem czułości było klepięcie w pośladek. Im bardziej się go czepiała, tym było z nim trudniej. Starał się panować na sobą, lecz na koniec zawsze wybuchał. Tak ją złościł, że celowo go prowokowała. Wiedziała, że albo pogodzi się z tym, jaki jest, i przez całe życie będzie po nim sprzątać i mieszkać pod jednym dachem z brudasem, albo uporem wymusi zmianę na lepsze. Hm, było jeszcze jedno wyjście: poddać się i zażądać rozwodu. A jeśli Ryan nie skłamał i rzeczywiście się zmienił? Może warto się o tym przekonać? Czy to byłoby przekroczenie granicy? Coraz częściej nie dawały jej spokoju takie pytania. Niebezpieczne pytania. Szybko by się zorientowała, czy był z nią szczery, po prostu sam by się zdradził. Aż za dobrze pamiętała, jak jego oczy zapalały się na widok innej kobiety, jak pojawiał się w nich błysk zdobywcy gotowego do następnego podboju. Wolała nie dzielić się swymi wątpliwościami z przyjaciółkami, wiedziała przecież, co jej odpowiedzą: by zapomniała o tym pomysle. Jednak zadzwoniła do Ryana. Miała godzinne okienko między klientkami, więc wyszła na dwór i stanęła w zacisznym miejscu za budynkiem, gdzie nikt jej nie przeszkadzał.

– Cześć. Tu Marty.

– Wiem, że to ty. – W jego głosie usłyszała śmiech. – Co się dzieje?

– Pomyślałam sobie, że... Hm, pomyślałam, że moglibyśmy pogadać.

– Mogę, ale najwyżej dwie minuty. Pędzę na spotkanie. Ale może umówimy się w tej włoskiej knajpce? Napijemy się czegoś, pogadamy.

– Nie – wycofała się. – Nie, nie mogę...

– Dlaczego? Co za różnica między rozmową przez telefon a twarzą w twarz? Marty, spotkamy się w miejscu publicznym.

– Nie, nie mogę tego zrobić...

– Twój mąż tak cię sprawdza? Czegoś się lękasz? Chyba nie jest przesadnie podejrzliwy?

– Nie, nie sprawdza mnie. Zresztą teraz jest na służbie. Ale... po prostu wiem swoje.

– Jak uważasz, Marty. Zadzwoń do ciebie, jak już będę wolny?

– Nie dzwoń, ja tylko... – Nie dokończyła. Uległa tej dzikiej, nierozsądnej pokusie, bo wspomnienia okazały się silniejsze od rozwagi. Chciała choć przez moment poczuć się szczęśliwa, dlatego postąpiła idiotycznie. – Pomyślałam, że może masz wolną chwilę, ale nie przejmuj się. Leć na spotkanie. Kiedyś się jeszcze odezwę. – Rozłączyła się.

Dwie godziny później poczuła wibrowanie komórki. Nie wyjęła jej z kieszeni. Gdy skończyła obsługiwać klientkę, odsłuchała nagraną wiadomość:

– Cześć, Marty. Po pracy wpadnę do Martinello na piwo, koło wpół do szóstej. Wyczuwam, że chcesz się wygadać, pobyć z kimś bliskim. Słyszę po twoim głosie, że jesteś w nie najlepszej formie. Podejdź do tego na luzie, skarbie. Jeśli przyjdiesz, to dobrze, jeśli nie, to trudno. Dzwoń do mnie śmiało.

Boże, chyba straciłam rozum! – pomyślała spanikowana. Wystarczyło, że powiedział „skarbie”, a zaraz się rozklejam. Z Ryanem była tak samo długo, jak teraz z Joem. Tyle że Ryan stale ją zdradzał.

Ale wtedy był bardzo młodym chłopakiem.

Gdy poznała Joego, był dojrzałym mężczyzną, który wie, czego chce od życia i jest gotowy na stały związek. Jednak zmiana, która się w nim dokonała, gdy z ukochanego stał się narzeczoną, a potem mężem, była dla niej szokiem. W dodatku to poszło tak szybko! Ledwie wrócili z podróży poślubnej – biwakowej wędrówki po parku Yosemite! – dał sobie spokój z uszczęśliwianiem świeżo poślubionej żony. Wprawdzie okazał wielkie zrozumienie podczas ciąży, w którą zaszła zaraz po ślubie, lecz od tamtej pory zaczął sobie odpuścić. Z każdym dniem coraz mniej się starał. Ryan był jego całkowitym przeciwieństwem. Urodzonym czarusem, który ten dar doprowadził do mistrzostwa. Gdy byli razem, wiedziała, że nikt inny dla niego nie istnieje, a cały jego świat kręci się wokół niej. Wychodził ze skóry, by spełnić jej pragnienia i zachcianki, aranżował cudowne randki, nie szczędził komplementów. Czowała się przy nim jak królowa, ukochana, wyjątkowa, piękna i seksowna. Starła się odplacić tym samym, uszczęśliwić go, jak tylko potrafiła. Jednak po pewnym czasie ktoś inny zaczynał pochłaniać jego uwagę. Kiedy dowiadywała się o zdradzie, dochodziło do oskarżeń i kłótni, potem do zerwania. Sama już nie wiedziała, co gorsze. Niechlujny, zarośnięty Joe pakujący się do łóżka i oczekujący uniesień, ale który nigdy nawet nie spojrzał na inną kobietę, czy niewierny Ryan, który potrafił sprawić, że czowała się wyjątkowa i piękna.

– Naprawdę oszalałam – wymamrotała, siadając przy barze w Martinellim. Zadzwoiła wcześniej do mamy, że spóźni się po Jasona. – Co mi strzeliło do głowy? Co chcę przez to udowodnić? – Wolą nie myśleć, jaka byłaby reakcja męża, gdyby się o tym dowiedział. Był

zazdrosny i zasadniczy w tych sprawach, kategorycznie potępiał wiarołomstwo zarówno gdy dopuszczały się go kobiety, jak i mężczyźni. Kiedy chodziła z Joem, opowiedziała mu o Rynie. Jak bardzo była w nim zakochana, jak mocno przeżyła jego skoki w bok. Joe dobrze ją rozumiał. Nim się poznali, był w dwóch poważnych związkach, które nie przetrwały próby czasu, doskonale więc wiedział, jak druzgoczące i bolesne to doświadczenie. Próbowała przywołać uczucia, które przepełniały ją na początku ich znajomości. Była wtedy niewyobrażalnie szczęśliwa. Joe okazał się prawdziwą opoką – stały w uczuciach, całkowicie jej oddany. I tak się nią szczyił! Nawet teraz chwalił się nią przed kolegami. Zawsze dbała o siebie, chciała wyglądać jak najlepiej. Joe mrugał z dumą do kumpli i mówił konspiracyjnym szeptem:

– Popatrzcie tylko na nią. Jeszcze się dziwicie, że jestem padnięty?

Owszem, był to mało wybredny komplement, ale jednak. Lub też pytał:

– Kto ma najpiękniejszą żonę w całym mieście? Nikt nie ma do niej startu!

Co ja robię? – znów zapytała siebie w duchu.

– Hej, Marty! – Uśmiechnięty Ryan wszedł do baru. – Byłem ciekaw, czy się zdecydujesz.

– Nie powinnam była przychodzić...

– No to czemu przyszłaś?

W jej oczach błysnęły łzy.

– Nie wiem. Może zwariowałam. Może dlatego, że ostatnio czuję się nieszczęśliwa i... – Zapatrzyła się w wino w kieliszku.

Ryan otoczył ją ramieniem.

– Spokojnie, malutka. To tylko załamanie nastroju. – Popatrzył na barmana i zamówił piwo.

– Nie wiem, czemu do ciebie zadzwoniłam – wyznała. – Nie wiem, dlaczego tu przyszłam. Nie możesz mi nic poradzić...

– Nigdy nie wiadomo. Marty, jesteś dla mnie ważna. Zawsze tak było. Jeśli tylko mogę ci pomóc, zrobię to z największą chęcią.

– Przecież jestem mężatką! Nie powinnam nawet z tobą rozmawiać, co dopiero spotykać się na drinka!

– Skarbie, spokojnie. To tylko rozmowa, nic więcej. Już dobrze, rozluźnij się. Mów, co złego się dzieje...

Nie była w stanie otworzyć się przed nim, nie potrafiła być z nim równie szczerą jak z przyjaciółkami. Nie powie na Joego złego słowa, będzie lojalna. Nie zdradzi go przed Ryanem. Powiedziała więc tylko, że ostatnio nie mogą się dogadać i tego typu bzdety. Za to sama zadała mu wiele pytań o jego sprawy. Ryan zarzekał się, że nikogo nie ma. W ciągu ostatnich trzech lat związał się tylko z jedną kobietą i liczył, że zostaną z sobą na zawsze, jednak nic z tego nie wyszło. Na pewno chodzi o Jill, uznała. Ryan wyjaśnił, że tym razem to nie on zawiódł, lecz ona znalazła kogoś innego.

– Pewnie mi się należało. – Uśmiechnął się gorzko. – Jednak od tamtej pory bardzo się zmieniłem. Mam opory, by znów spróbować. Wreszcie wiem, co człowiek wtedy czuje.

– Szkoda, że nie potrafię cię żałować.

– Nie oczekuję współczucia. Marty, zawsze byłaś dla mnie najważniejsza. Gdyby było inaczej, nie wracałbym do ciebie. Byliśmy dla siebie stworzeni. To ja wszystko psułem, i to nieraz... Teraz, kiedy zmadrzałem, oddałbym wszystko za jeszcze jedną szansę.

– Już na to za późno – powiedziała cicho.

– Za późno? Przecież nie jesteś szczęśliwa.

– Ale zależy mi, by naprawić nasze małżeństwo. Joe jest porządnym człowiekiem. Kocha mnie. Mamy syna.

Ręką nakrył jej dłoń.

– Jeśli okaże się, że nic nie da się zrobić, to masz mój numer.

Popatrzyła mu w oczy. Wydawał się szczery, lecz tak wiele razy ją zawiódł...

– Muszę już iść. Jason jest u mojej mamy...

Ryan położył pieniądze na blacie, płacąc za siebie i Marty.

– Odprowadzę cię.

– Może lepiej nie...

– Myślisz, że wynajął detektywa, który cię śledzi? – skomentował ze śmiechem. – Marty, rozluźnij się. Odprowadzę cię do samochodu.

Kiedy zatrzymali się przy jej aucie, Ryan przyciągnął ją do siebie i pocałował tak, że natychmiast przypomniała sobie ich dawne szczęśliwe czasy. Jakże to było cudowne! Wspaniale całował, pięknie pachniał... Przesunął palcami po jej bokach, ale nie dotknął piersi. Gdy wreszcie cofnął się nieco, była tak odurzona, że prawie zapomniała o bożym świecie.

– Zadzwoń do mnie, Marty – wyszeptał, zanurzając palce w jej włosach. – Coś wymyślimy, jakoś z tego wybrniemy.

– Z czego wybrniemy? – zapytała bez tchu.

– I ty, i ja znaleźliśmy się w trudnym momencie życia, lecz wspólnie damy radę. Ja zostałem sam, ty nie jesteś szczęśliwa. I jesteśmy przyjaciółmi...

– Masz na myśli...

– Ciii... – wszedł jej w słowo. – Nie chcę komplikować ci życia. Chcę tylko, byś wiedziała, że możesz na mnie liczyć, bo jesteś dla mnie ważna. Nie mogę patrzeć, że czujesz się nieszczęśliwa, to mnie boli. – Nim zdążyła odpowiedzieć, znów przykrył ustami jej usta i pocałował gorąco. Zagarniając ją, jak swoją własność. Nigdy nie myślała, że może być tak jak teraz, że może w ten sposób odczuwać. Kiedy ją puścił, omdlała i odurzona, omal nie osunęła się na ziemię.

– Zadzwoń do mnie, gdy będziesz wolna – wyszeptał Ryan na pożegnanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W czerwcu Beth usunięto guzek z piersi. Pocieszające było to, że tym razem był jeden, a nie trzy, do tego węzły chłonne nie zostały zaatakowane. Jednak gdy radiolog nie zgodził się pokazać wyniku rezonansu, poczuła lęk. Zgodnie z planem w sierpniu zgłosiła się na wizytę do doktora Patersona.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Trochę zmarnowana, ale to pewnie z powodu stresu.

– Jak zniosłaś naświetlania?

– Mam drobne oparzenie, ale generalnie rzecz biorąc, całkiem nieźle.

– Beth, jesteś ginekologiem i orientujesz się w tych sprawach – oznajmił z powagą. – U kobiet, u których wyleczono złośliwy nowotwór, rzadko pojawia się ponownie. Co innego przerzuty, z tym stykamy się często, jednak twój przypadek jest inny. To nowe ognisko i nic nie wskazuje, by było jakieś inne. Rezonans wykazał, że radioterapia była skuteczna, podejrzone miejsca prawie całkowicie zniknęły, lecz obawiam się, że historia może się powtórzyć. Takie jest moje zdanie. Boję się, że problem wciąż będzie istniał, dlatego proponuję przeprowadzenie mastektomii. A potem rekonstrukcji piersi. Nie ma powodu, by kobieta w twoim wieku z tego rezygnowała. Rekonstrukcja daje świetne rezultaty. Chciałbym cię prosić, żebyś rozważyła moje sugestie. Owszem, wszystko miała dokładnie przemyślane i była przygotowana na taką ewentualność. Wszelkie argumenty przemawiały za tym, by zminimalizować ryzyko. Co jej po piersiach, gdy stawką jest życie! Zresztą i tak ma tylko jedną pierś. Gdyby rak zaatakował jajniki, usunęłaby wszystko, choć marzyła, że kiedyś zostanie matką. A jednak doznała szoku. Zabawne, do czego posuwa się umysł w takich

momentach – przed oczami stały jej miłosne sceny z Markiem, czuła na piersiach jego czułe dłonie, usta... Jednak szybko otrząsnęła się w tych wspomnień.

– Oczywiście wszystko dokładnie rozważę – powiedziała cicho.

– Przykro mi, że to tak wygląda. To bardzo radykalny krok, jednak amputacja oszczędzi ci problemów w przyszłości.

– Rozumiem. Po prostu trzeba to zrobić.

– Beth. – Paterson obszedł biurko i usiadł blisko niej. – Niewiele mi o sobie powiedziałaś, lecz domyślam się, że przy poprzedniej historii pojawiły się problemy osobiste. Być może stąd się bierze twoje zastanawiające podejście. Przyjmujesz to ze spokojem, nie buntując się, choć to przecież...

– Amputacja – dokończyła za niego obojętnym tonem.

– Przepraszam. Nie chciałem być wścibski. Chciałem tylko pomóc.

– Więc nie zadawaj takich pytań. – Wstała. – Jeśli to możliwe, wolałabym zrobić operację bliżej domu, w Sacramento czy w Davis. Wiem, że potem długo dochodzi się do siebie. Możesz mi kogoś polecić?

– W twoim szpitalu pracuje znakomity chirurg. Z czystym sumieniem mogę też polecić chirurgów plastycznych z Sacramento.

– Wszystko po kolei. Jak szybko możesz zaklepać mi termin operacji?

– Jeszcze dziś zadzwonię, zorientuję się. Pasuje ci za tydzień?
Wyrobisz się?

– Na pewno. Pracuję w klinice dla kobiet, więc mogę liczyć na zrozumienie. Nie spodziewam się problemów. W takim razie czekam na wiadomość. – Odwróciła się, by wyjść.

– Beth... – Gdy odwróciła się do niego, powiedział: – Naprawdę bardzo mi przykro, jednak ryzyko istnieje, dlatego zalecam operację. Chciałbym definitywnie odsunąć od ciebie zagrożenie. To nie musi być problem, z którym będziesz się zmagać przez całe życie.

– Tak, oczywiście.

Billy miał w tygodniu trzy dyżury po dwadzieścia cztery godziny, a w pozostałym czasie pracował w warsztacie, póki starczało mu sił. Nosił z sobą gruby segregator z rachunkami, wyciągami, fakturami. Przez cały czas liczył i sprawdzał.

Koledzy, mijając jego biurko, zerkali ciekawie i pytali, nad czym tak ślęczy.

– Rachunki – odpowiadał. – Do tej pory finanse były na głowie Julie. Próbuje rozszyfrować jej system, nim puści nas z torbami. – Miał wyrzuty sumienia, że tak kłamie. Z drugiej strony czuł się fatalnie, a jego duma cierpiała katusze. Jako mężczyzna powinien zarobić na utrzymanie rodziny, lecz temu nie sprostał.

Im dłużej wczytywał się w rachunki, tym bardziej nie pojmował, jakim cudem Julie dotychczas sobie radziła. Musi szybko wypytać ją o ten jej cały system, bo za nic nie mógł pojąć, jak to wszystko działało. Patrzył na daty płatności, porównywał z wypłatą, daremnie szukając rozwiązania. Nic dziwnego, że Julie doszła do takiego stanu, na jej miejscu każdy już dawno by się załamał.

Cieszył się, że późno bo późno, ale przejął od żony tę działkę. Choć to nie poprawiało mu humoru. Jej zmartwienia i rozterki stały się jego udziałem. Przeżywał tę sytuację, wyciszył się, stracił radość życia. Julie dopytywała się, czy nic się nie stało. Odpowiadał, że ma głowę nabitą liczbami. Chciał wyznać, że już rozumie, czemu chciała go walnąć, gdy wciąż chodził radosny jak skowronek. Najchętniej by się poddał i płakał jak dziecko. Ich kapitan, Eric Sorenson, mijając biurko Billy'ego, zerkał bez komentarza na rozłożone papiery. Eric był porządnym, solidnym mężczyzną. Podwładni lubili go i darzyli szacunkiem, choć był trochę jakby z innego świata. Należał do wspólnoty mormońskiej, był szczerze oddany wierze. Nie dystansował się od podwładnych, miał poczucie humoru, lecz zachowywał szlachetny umiar, a niewybredne uwagi czy dowcipy w jego wykonaniu były wprost nie do pomyślenia. Rzadko dołączał do strażaków, gdy szli na piwo, a jeśli już, to poprzestawał na coli. Był świetnym szefem, bystrym i lojalnym. Nikt nie wątpił, że za swymi ludźmi skoczyłby w ogień. Po kilku tygodniach niemej obserwacji Eric wreszcie przysiadł przy biurku Billy'ego.

– Widzę, że to poważna sprawa – zagaił. – Może mógłbym ci jakoś pomóc?

– Mógłbyś dać mi podwyżkę. – Billy uśmiechnął się blado.

Eric wskazał stertę papierów. Wielu strażaków korzystało z wolnych chwil i komputera, by popłacić rachunki.

– Robisz opłaty, co?

– Geniusz z ciebie – nie przestając się uśmiechać, rzekł Billy. – Zawsze mówiłem, że...

– Siedzisz nad tymi papierami już od jakiegoś czasu. Coś pewnie nie gra, skoro wciąż dodajesz i odejmujesz.

– Dobra, szefie, powiem ci. Przejąłem finanse od żony. Wiesz, że ma za sobą poronienie. Stresowała się tymi rachunkami, więc zająłem się nimi. No i okazało się, że to dramat. Chcę zorientować się w sytuacji, nim wypytam ją, jak ona sobie radziła. Zrobiłem wielki błąd, pozwalając, by przez tyle czasu było to na jej głowie. Wciąż się tylko denerwowała...

– Też poznałem tę cierniową drogę – oznajmił Eric. – Doskonale cię rozumiem.

– Też to przeżywałeś? – z niedowierzaniem spytał Billy.

– Cóż, mam pięcioro dzieci – powiedział z uśmiechem.

– Wiem, ale...

– Myślałeś, że tylko tobie jest ciężko, bo strażakom marnie płacą, a masz na utrzymaniu rodzinę? Posłuchaj, może mógłbym ci pomóc. – Spojrzał wymownie na stertę rachunków.

– Dzięki, ale... – Pośpiesznie zagarnął papiery. Za nic nie chciał, by szef zorientował się, w jak fatalnym jest położeniu, jakiej sumy sięgnęły ich długi, jak rozpaczliwie to wygląda.

– Boisz się, żebym nie dowiedział się prawdy? Billy, mam pięcioro dzieci, a gdy zacząłem pracę w straży, miałem już trójkę. Doskonale wiem, jak to jest. – Pochylił się bliżej. – Myślisz, że nie potrafię zachować dyskrecji, jeśli wtajemniczysz mnie w swoje prywatne sprawy?

– Nie, nie chodzi o to. Po prostu...

– Chodzi właśnie o to, Billy. Pewnie też się boisz, że zwolnię cię albo przesunę do lżejszych zadań, póki nie wygrzebieś się z problemów i będziesz miał głowę do pracy. Nic z tych rzeczy! Strzelam w ciemno, ale jeśli trafiłem, to mógłbym ci pomóc. Mam praktykę, jak prowadzić rachunki w wieloletniej rodzinie. – Wyprostował się, położył dłonie na blacie. – Nie naciskam cię. Zrozumiem, jeśli uznasz, że wolisz mierzyć się z tym sam. Też kiedyś taki byłem. Pomyślałem sobie, że zaproponuję...

– Wspomniałeś, że kiedyś też tak miałeś.

– Zaraz ci opowiem. Miałem sześć niezapłaconych rat hipotecznych, groziło nam wyłączenie prądu, a samochód się sypał. Mieliśmy jeden samochód, nie dwa. Do tego moja żona wciąż płakała. Rozumiesz, jak się z tym czułem...

– I co zrobiłeś?

– Uciekaliśmy się do modlitwy. – Uśmiechnął się gorzko. – W naszym domu często to robimy. Liczyliśmy, że wiara nas ocali. Rozumiesz, jeśli będziemy pokorni i żarliwi, to znajdziemy pieniądze na ulicy... Wtedy włączył się w nasze sprawy biskup. Powiedział, że Pan mną pokieruje, jeśli sam będę pedałować. Innymi słowy, mam jak najszybciej znaleźć fachową pomoc. Poszedłem więc po bezpłatną poradę do doradcy kredytowego, przedstawiłem mu nasze położenie. Dał mi wskazówki. Skonsultowałem je z jednym z moich współwyznawców, który jest biegłym księgowym. Chciałem się upewnić, czy dobrze wyjdę na wskazówkach tamtego doradcy. Byłem bardzo nieufny.

– Jakie to były wskazówki?

– Zawsze dotyczą konkretnej sytuacji. W moim przypadku radził renegocjacje niektórych kredytów, ustalenie harmonogramu spłat i dopasowanie go do dochodów, czyli odwrotnie niż dotąd. Wydatki na rodzinę stały się priorytetem, dopiero potem szła reszta. Miałem plan na długie lata, wydawało się, że nie widać końca. Przede wszystkim musieliśmy zrezygnować z kart kredytowych, pociąć je na kawałki.

– Rozumiem, szefie, ale dla mnie to nic nowego. Wszystkiego już próbowałem. Nie ma szans, by dali nam jeszcze jeden kredyt konsolidacyjny. Co do kart, to chętnie bym je pociął, ale czasami nas ratują.

– Billy, nie masz pojęcia, ile potrafią wywojować doradcy kredytowi – z zapalem przekonywał Eric. – Weź te papiery i chodźmy do mnie. – Wstał. – Może się założymy? Stawiam dziesięć dolców, że moja sytuacja była gorsza niż twoja.

Billy ociągał się. Nie miał ochoty ujawniać dramatycznego położenia swojej rodziny.

– Chcesz się założyć?

– Mhm. Bo wiem, że wygram. – Eric ruszył do swojego gabinetu.

Billy nawet nie drgnął. Tego właśnie się bał, przynosząc do pracy rachunki – że ktoś się zorientuje. Zacznie oceniać go gorzej, niż sam oceniał siebie. A miał do siebie tyle pretensji i żalów. Przez niego Julie poroniła, bo była wyczerpana nerwowo, zestresowana.

Miał dłonie wilgotne od potu, gdy zbierał papiery i wkładał je do segregatora. Poszedł do Erica, stanął przy jego biurku i oznajmił:

– Zobaczysz, że pożałujesz.

– Uwielbiam wyzwania.

Billy wyjął brulion, podsunął go szefowi.

– To się powinno sumować. – Był niespokojny i spięty. – Mamy pięcioosobową rodzinę. W obu pracach zarabiam mniej więcej pięć i pół tysiąca miesięcznie. Rata za kredyt hipoteczny wynosi półtora tysiąca. Mam jeszcze drugą taką pożyczkę i linię kredytową.

Eric założył okulary i zaczął studiować zapiski. Kredyt hipoteczny, drugi kredyt, linia kredytowa, stary kredyt za studia, jeszcze jeden na naukę, media, ubezpieczenia, karty kredytowe, długa lista różnych wydatków, poczynając od opłat za zajęcia sportowe Jeffa, a kończąc na wizytach lekarskich.

– To absolutne minimum? – zapytał kapitan.

– Mhm.

– Nie spłacasz samochodu, plus dla ciebie!

– Tak. I zero możliwości na kupno nowego.

– Pokaż mi wyciągi za karty, po jednym na każdą. Z dowolnego miesiąca, nie muszą być najświeższe. – Billy podał wyciągi. Spodziewał się, że Eric złapie się za serce, lecz tylko przebiegł je wzrokiem i zapisał coś na kartce. – Teraz rozliczenie kredytu hipotecznego. Może też tego drugiego. I linii kredytowej... – Obejrzał je szybko, coś zanotował. Dokonał kilku obliczeń i popatrzył na Billy'ego. – Cóż, nie da się ukryć, że wygrałem. Na mojej liście były niespłacone rachunki za jedzenie i ubrania, poza tym zalegałem z dziesięciną. Czyli wyglądałem o niebo gorzej niż ty.

– W tym właśnie problem. Musimy oszczędzać na jedzeniu i zakupach ubraniowych. O co chodzi z tą dziesięciną?

– Dziesięć procent dochodu oddaję na Kościół. Dla mnie to bardzo ważna sprawa. Jestem mormonem, ale to wiesz. Należę do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Miałem poważne problemy ze spłatą kredytu za studia, bo ożeniłem się zaraz po powrocie z misji. Wyprawa misyjna to był kolejny kredyt. Myślałem, że moja jest opłacona, lecz na koniec okazało się, że jestem zupełnie spłukany.

– Misja?

– Tak. Młodzi mormoni wyjeżdżają na misję, to dla nich sprawa wielkiej wagi. Nie tylko mężczyźni, również kobiety. Nie żałuję, że to zrobiłem, bo pogłębiłem swoją wiarę i wiele się nauczyłem o sobie, swojej rodzinie. To było wspaniałe doświadczenie.

– Czyli poszedłeś na studia już po tym, jak się ożeniłeś?

– Tak. Studiowałem i pracowałem jednocześnie, więc zabrało mi to kilka dobrych lat. Ale to też było warte wysiłku. Billy, musisz sobie coś uprzytomnić. Nie tylko ty przyczyniłeś się do tego, że znalazłeś się w takiej sytuacji.

– Kapitanie, Julia skąpi sobie na wszystko...

– Nie miałem na myśli twojej żony. Przede wszystkim dobijają was tymi odsetkami. – Przerzucił kartki wizytownika, zapisał coś na kawałku papieru. – Gdy mówiłem ci o renegocjacji długu, nie chodziło mi o to, byś wziął kolejny na pokrycie już istniejących. Musisz skontaktować się z wierzycielami, zarówno z bankami, jak firmami, od których masz karty, i uzyskać od nich lepsze warunki spłat...

– Już dzwoniłem do kilku z nich. Niestety...

– Wiem, to nie jest prosta sprawa. Z indywidualnym klientem raczej nie idą na ustępstwa, próbują wycisnąć, ile się tylko da. I każdy chce być pierwszy na twojej liście spłat. – Podał mu kartkę. – Ten człowiek jest licencjonowanym doradcą kredytowym. Z nim inaczej będą rozmawiać. Doskonale wiedzą, że jeśli dzwoni w twojej sprawie, to znaczy, że prawie sięgnąłeś dna. Jeśli jemu się nie powiedzie, po prostu się poddasz, a oni stracą swoje pieniądze. Znam gościa. Nigdy nie korzystałem z jego usług, ale spotykam się z nim w kościele i już podsyłałem mu ludzi w potrzebie.

– Ze straży?

– Przede wszystkim młodych mormonów, którzy zmagają się z takimi samymi kłopotami jak ty i ja. Znasz to doskonale. Zaczynają dorosłe życie, pojawiają się dzieci, rosną koszty, przychodzą coraz większe rachunki... – Eric umilkł na chwilę. – Billy, znam cię nie od dziś i wiem, że nie szastasz pieniędzmi, nie jeździsz na kosztowne wakacje, a Julie nie nosi torebki od Gucciego. Nie jesteś nieodpowiedzialny. Takim ludziom jak my czasami się nie układa, choć staramy się, jak możemy...

Billy popatrzył na nazwisko widniejące na kartce. Nie podnosząc oczu, powiedział:

– Julie. Poronienie. – Podniósł wzrok na kapitana. – Kiedy się dowiedziała, że dziecko jest w drodze, zapytała mnie, czy nie jestem zakonspirowanym mormonem. To byłoby nasze czwarte dziecko.

– Zakonspirowany mormon – powtórzył ze śmiechem Eric. – Fakt, lubimy nasze szkraby...

– Masz piątkę.

– Miałbym drugie tyle, gdybym tylko mógł. Jednak to nie ja rozdaje karty, nie ja powołuję je na świat, więc mój głos niewiele się liczy. Strasznie ci współczuję z powodu tego dziecka. Twoje małżeństwo i rodzina są najważniejsze. Nieporównywalnie więcej warte niż brak zaległości na kartach. I o wiele więcej niż kredyt hipoteczny. Te rachunki nie tylko spędzają ci sen z oczu, ale też rujną twoje małżeństwo. Nie mieści mi się w głowie, że ten bank wcisnął ci takie wysokie ubezpieczenie kosztów kredytu. Cztery stowy miesięcznie, których mógłbyś w ogóle nie płacić.

– Nie ma szans, by mi to darowali. Dom jest zadłużony na dziewięćdziesiąt procent wartości.

– Oczywiście, że mogą ci to darować – zaproponował Eric. – Poza tym mogą obniżyć ci ratę. Jasne, że wykręcą się, jak tylko mogą. Najchętniej by ci wyrwali ostatni grosz, ale jeśli ogłosisz upadłość, nie dostaną nic. Instytucja finansowa, która dała ci pożyczkę hipoteczną, wszystko straci, bo dom jest prawnie chroniony. A ci od kart kredytowych? Toż to rozbój w biały dzień. Od osiemnastu do dwudziestu dwóch procent. Złodziejskie oprocentowanie. Jeśli wywalczysz niższą ratę, będziesz stopniowo obniżał dług. Małymi krokami, ale jednak. Zadzwoń do Johna. Dam ci wolne, byś spokojnie z nim wszystko omówił. Może zabierzesz z sobą żonę?

– Myślisz, że on naprawdę mógłby coś poradzić?

– Oczywiście. Miał do czynienia z jeszcze gorszymi sytuacjami.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział, śmiejąc się niewesoło i potrząsając głową. – Ile on sobie liczy za usługi?

– Nie wiem. Dogadacie się, na pewno nie weźmie dużo, a i tak większą część wynagrodzenia odbierze później, gdy zaczną być widoczne rezultaty. – Podał mu brulion z wyliczeniami.

– Zawsze tak czeka na honorarium?

– Nie mam pojęcia, jednak gdy polecam mu kogoś, tak po prostu się dzieje. Tylko przygotuj się, że proces obniżania kosztów i wychodzenia z długów trwa dość długo. Choć lepiej czekać ze świadomością, że coś robisz, niż liczyć, że problem sam się rozwiąże. W każdym razie to już będzie światełko w tunelu. Powodzenia, stary.

– Skończyłem studia. – Billy podniósł się z miejsca. – Powinienem być bardziej rozgarnięty, umieć wygrzebać się z tarapatów, wiedzieć to wszystko, co usłyszałem od ciebie. I wykombinować rozwiązanie.

Eric roześmiał się.

– Łatwo powiedzieć. Mój wybawca, ten doradca kredytowy, zaczął grać ze mną w Monopol, w ten sposób mnie uczył. No to chyba jesteś mi winny dziesiątaka.

– Ustaw się w kolejce – odparował Billy, uśmiechając się smętnie.

Nie martwiła się o swoje bezpieczeństwo, bardziej o wygodę, bo jak wytrzyma tyle godzin na motorze? Na pewno cała ścierpnie. Miała też obiekcje przed ujawnieniem, że wyjeżdża z Waltem na cały weekend. Przemogła się jednak i prosząc Julie o zaopiekowanie się psem, zdradziła swoje plany.

– Czy nie zaczynasz poważnie o nim myśleć? – spytała Julie.

– Nie! – odparła ze śmiechem. – Walt jest świetnym facetem, fajnym i bezpretensjonalnym, poza tym jazda motorem strasznie mnie rajcuje. Jeździmy w ciekawe miejsca, oglądamy piękne widoki. Walt zna okolice

i knajpki z pysznym jedzeniem. Jesteśmy singlami, łączą nas zainteresowania. Zabiorę komórkę, choć zjeżdżamy z głównych dróg i często nie ma zasięgu. Zostawię ci jego namiary, no wiesz, nazwisko, telefon, nazwa i adres firmy. Na wszelki wypadek.

– Łączą was tylko zainteresowania, tak?

– Tylko to. Walt jest wielkim, włochatym, wytatuowanym facetem, który żyje z serwisowania motocykli. Ktoś taki niezbyt nadaje się na dłuższą metę. Ale bardzo go lubię. Wciąż mnie zadziwia, że mamy tyle wspólnych tematów, choć jesteśmy z zupełnie innych światów.

– Gdzie się zatrzymacie?

– Będziemy biwakować na plaży, a awaryjny plan to motel. Oczywiście każdy w swoim pokoju.

– Nie boisz się z nim jechać? Myślisz, że to bezpieczne?

– Och, można na nim polegać.

– Poznamy go kiedyś?

– Mała szansa. Przypuszczam, że ta znajomość wkrótce się urwie, choć fajnie mieć kogoś, z kim czasem można się zabawić. – Owszem, chodziło tylko o to, dlaczego jednak tak niecierpliwie czeka na każde spotkanie?

W sobotę wyruszyli wczesnym rankiem, kierując się w strony, które poznali podczas letnich eskapad. Jechali wzdłuż wybrzeża, ciągle na północ. Po kilku godzinach zatrzymali się na lunch w barze dla tirów. Walt i tu był stałym bywalcem. Stamtąd pojechali w głąb lądu, potem znów skręcili w kierunku oceanu. Mijali mariny, obserwowali wracające z połowu kutry, pod wieczór zjedli w gospodzie świeżo złowioną rybę, podziwiając zachodzące słońce. Na koniec zjechali na plażę usianą

wielkimi głazami. Walt uznał, że będzie to doskonałe miejsce na biwak. Cassie zabrała piankowe cukierki, czekoladowe batoniki i razowe krakersy. Walt rozpromienił się na widok tych smakołyków. Gdy rozsiedli się na ziemi, Cassie otworzyła butelkę czerwonego wina i wyjęła szklaneczki. Walt rozpałił ognisko z ekologicznych brykietów, które przywiózł z sobą, po czym wypił nieco wina. Płomyki ognia migotały wesoło, od ogniska niosło się miłe ciepło. Cassie rozgrzała piankowego cukierka i zlepiła nim krakersy przełożone batonikiem. Walt zjadł kawałek czekoladki, potem wsunął sobie do ust garść cukierków i krakersy, popił to wszystko winem.

– Byłaby z ciebie świetna skautka – ze śmiechem pochwaliła go Cassie, a gdy Walt objął ją ramieniem i oblizał z jej palców resztki pianki, dodała: – Gdybyś rok temu powiedział mi, że po dniu jazdy na harleyu będę biwakować na plaży przy ognisku, z miejsca bym cię wyśmiała. A tu proszę! Jest tak pięknie. Aż dziwne, że poza nami nikogo nie ma. Nikt nie zna tego miejsca?

– Zawsze może ktoś się pojawić, dlatego należy palić ognisko. Widać nas z daleka, więc żaden nocny jeździec nas nie przejedzie.

– Ale ognisko kiedyś zgaśnie.

– Będę podtrzymywać ogień. W nocy zrobi się zimno, chłód mnie obudzi. Zwykle dokładam kilka razy.

– Nic nam tu nie grozi? Jesteśmy zupełnie sami.

– Daj spokój! Owszem, zawsze może napatoczyć się jakiś agresywny włóczęga albo świr, ale popatrz tylko na mnie. Wyglądam, jakbym na gwizdnięcie mógł ściągnąć cały gang. Z takimi się nie zadziera.

– No tak. Nosisz broń?

– Nie. Mógłbym, ale wiesz już, że jestem notowany, więc wolę nie drażnić glin. Broń w rękach wielkiego, odstręczającego motocyklisty działa na nich jak płachta na byka.

– Nie mów tak o sobie! – obruszyła się. – Wiesz, że jak się trochę ogarniesz, to jesteś całkiem przystojny?

– Serio? – Z uśmiechem przyciągnął ją jeszcze bliżej. – To miód dla moich uszu.

– Poza tym nie masz aż tyle na sumieniu. Byłeś wtedy bardzo młody..

– I bardzo głupi. Nigdy nie chciałem wymazać tego z pamięci. Dostałem nauczkę i to doświadczenie ukształtowało mnie, otworzyło mi oczy.

– Chciałabym być taka jak ty.

– Jak ja? – powtórzył z niedowierzaniem, zaglądając jej w oczy.

– Mhm. Po tej przygodzie w fałszywym ratownikiem nie mogłam się otrząsnąć, wciąż się nad sobą użalałam. Nie z powodu tego faceta, tylko uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem samotna, i to od zawsze. Mama i ojczym mieli swoje życie, ja zesłam na dalszy plan. Potem mama umarła, a na mojej drodze nie pojawił się nikt wyjątkowy... Nigdy nie wyciągnęłam wniosków z tego, co mnie spotkało, żadnej nauki. Niczego się nie nauczyłam, nie zmądrzałam. Tylko przez cały czas jęczałam, jak jest mi źle.

– Cassie, nie mów tak. – Ścisnął ją za ramiona. – Popatrz na siebie z innej perspektywy. Codziennie walczysz o ocalenie ludzkiego życia. Skaczesz ludziom po klatkach, by pobudzić serca, składasz porozbijane czaszki, by nie wyciekł z nich mózg, chwytasz niemowlęta, które zbyt szybko pchają się na świat... Jesteś niesamowita, jak żołnierz na froncie!

A kiedy tak sobie gadamy, jesteś delikatna, łagodna i urocza jak anioł. Najmilsza osoba pod słońcem. Gdybym nie wiedział, czym się zajmujesz, nigdy bym nie pomyślał, że jesteś twardą, zdecydowaną siostrą z ostrego dyżuru...

– Sprawdzam się w tym. Przez cały dzień na wysokich obrotach, bez przerwy coś się dzieje, wciąż ocieramy się o ryzyko. Ratuję komuś życie albo przynajmniej pomagam je ratować. Nie wyobrażam sobie innej pracy. – Umilkła na moment. – Dla mnie to coś więcej niż praca. To sposób życia. Powiem ci coś jeszcze. Nie jestem typową pielęgniarką z takiego oddziału. Nie jestem uzależniona od ciągłego napięcia, sytuacji kryzysowych.

– To znaczy?

– Adrenalina. Wiele pielęgniarek z pomocy doraźnej tego doświadcza. Muszą mieć poczucie, że coś się dzieje, coś się wali i pali. Nie tylko w pracy, również w życiu prywatnym. Ja taka nie jestem. W pracy się sprężam, ale wracam do domu i zachowuję się inaczej. Spójrz na mojego pieska, czyż nie jest uroczy? Wiedziemy spokojne życie, ja i Steve.

– Ten psiak to straszny głuptas – powiedział ze śmiechem. – Wciąż nosi pluszowe zabawki. Gdyby mógł, sam by je karmił piersią.

– To prawda. Do ciebie pasowałby rottweiler albo owczarek niemiecki. Taki pies dla faceta.

– Gdy byłem mały, miałem cocker spaniela. Nieduży i głupiutki. Potem mieliśmy Shebę. Wciąż zaganiała całą rodzinę do kuchni, jak to collie...

– Stale mnie zaskakujesz – rzekła Cassie, podnosząc głowę, by spojrzeć na Walta.

– Faceci od dwukołowych maszyn nie mają psów. Albo jestem na motorze, albo w pracy. Choć uważam, że dzieci powinny mieć psy. Opiekując się zwierzakiem, uczą się odpowiedzialności, cierpliwego podejścia do innych, zresztą czasami kosztem tych biednych stworzeń.

– Zastanawiam się nad pewnym szalonym pomysłem

– odezwała się Cassie. – Myślę o zafundowaniu sobie dziecka, bez męża.

– Co zamierzasz zrobić? – Odsunął się, popatrzył jej w oczy. – Znaleźć chętnego?

– Nie! Myślałam o anonimowym dawcy.

– Doszłaś do takiego etapu? Jesteś pewna, że nie wyjdiesz za mąż?

– Mam jeszcze trochę czasu, ale jakoś czarno to widzę. Zostało mi kilka lat na dziecko, ale czy warto szukać odpowiedniego mężczyzny i narażać się na ryzyko, skoro są inne możliwości? Czemu z nich nie skorzystać? Gdybym wyszła za mąż, to i tak nadal bym pracowała w szpitalu. Ta praca jest dla mnie ważna, spełniam się w niej. Tylko ona dodaje mi wiary w siebie, bo przecież nie moja figura...

– Cassie, nie jesteś zadowolona z tego, jak wyglądasz? Szkoda, że nie możesz popatrzeć na siebie moimi oczami. Jesteś piękna. Dziwię się, że sama tego nie wiesz.

– Od liceum przytyłam prawie dwanaście kilo! Już wtedy byłam zbyt pulchna. Wiesz, jak wyglądałam w porównaniu z przyjaciółkami, które zawsze były chudzinami?

– Przytyłaś akurat tam, gdzie powinnaś. Dla mnie jesteś idealna. – Cmoknął ją w skroń.

– Albo jesteś uparty, albo ślepy – podsumowała z uśmiechem.

– Mylisz się. To co, rozłożymy śpiwory? Możemy przegadać całą noc albo spać, ale już kilka razy zadrzałaś z zimna.

– Dobra myśl. Będzie cieplej. Na pewno dopilnujesz ognia? Trochę się boję uzbrojonych włóczęgów czy nocnych jeźdźców.

– Nic się nie martw. Naprawdę nie ma powodu do obaw. Tysiące razy nocowałem na plaży i nigdy nic złego mnie nie spotkało. – Dorzucił do ognia, płomienie strzeliły w niebo.

Zdjęli buty i kurki, wsunęli się w śpiwory. Leżeli tuż obok siebie. Walt podłożył ramię pod głowę Cassie, przygarnął ją do siebie. Czowała bijące od niego ciepło. Jego twarz była tak blisko. Drugim ramieniem obejmował ją lekko. Po chwili przysunął usta bliżej i musnął jej wargi. Raz, potem drugi. I jeszcze. Po raz pierwszy, odkąd się znali, pocałował ją mocniej. Nie mogła się powstrzymać i oddała mu pocałunek. Walt zamruczał, całował ją jeszcze goręcej. Wysunęła rękę ze śpiwora i przyciągnęła Walta do siebie, obdarzając namiętym, długim pocałunkiem.

Wreszcie odsunęła się nieco.

– Nie powinniśmy tego robić – powiedziała. – Mamy być przyjaciółmi.

Walt roześmiał się cicho.

– Spokojnie, Cassie. Przecież całowałaś się wcześniej, choć nie byłaś zaręczona.

– To prawda. Robiłam też coś więcej.

– Dlatego się nie przejmuj. Przecież wiesz, że nic ci z mojej strony nie grozi. Niczego nie zrobię, jesteś całkowicie bezpieczna.

– Nawet nie wiesz, jakie to wspaniałe uczucie – wyszeptała. – Po raz pierwszy, odkąd skończyłam czternaście lat, nie muszę się wszystkim zadrećzać, zamartwiać ewentualnymi komplikacjami i oczekiwaniami, zastanawiać, jak to się skończy.

– Niczym się nie martw. Choć przyznam, że cudownie się z tobą całować.

– Marty, moja przyjaciółka, jest strasznie wkurzona, że jej mąż nie goli się przed pójściem do łóżka. Ty jesteś zarośnięty i masz wąsy, ale mnie to nie przeszkadza.

– Mam maszynkę do golenia – powiedział z uśmiechem. – Tylko oszczędzam nożyki.

Cassie zachichotała.

– To pewnie trzydniowy zarost.

– Mhm. Aspołeczne podejście, co?

– Właśnie. – Pocałowała go przeciągle. I jeszcze raz. Pocałunki oszalały, budziły dzikie emocje. – Czegoś takiego nie przeżywałam od liceum. Bo jest cudownie, ale nie posuniemy się ani odrobinę... Walt, jeśli dla ciebie to trudne, po prostu powiedz. Możemy przestać...

– Ani odrobinę?

– Na pewno nie na plaży, gdzie w każdej chwili może się ktoś wynurzyć z mroku... I nigdzie indziej. Wiesz, że jestem daleka od tego, by się w coś angażować. Ale też nie jestem z kamienia. Też lubię być z kimś blisko... a ty cudownie całujesz.

– Nawet z tymi wąsami?

– Zwłaszcza z tymi wężami...

– Dobrze, Cassie. Jeśli chcesz, możemy się całować całą noc. Mnie też to się podoba.

– Myślisz, że popełniamy wielki błąd? Chodzi mi o to, że jesteśmy przyjaciółmi. Kumplami. Mamy co robić, o czym gadać. Nie jesteśmy, no wiesz...

– Nie popełniamy żadnego błędu. – Odszukał jej usta. – To świetny pomysł.

Miała mętlik w głowie. I była absolutnie pod urokiem Walta. Nie tylko z powodu pocałunków, które wprawiały ją w odurzenie. Wszystko ją w Walcie urzekało – jego podejście do życia, wrażliwość, czułość, prostolinijność, nawet wariackie hobby przemierzania świata na motorze. Przez całą noc całowali się i zasypiali, budzili się, by dołożyć do ognia, i znów nie mogli się oprzeć pokusie rozkosznych pieszczot. Obudzili się o świcie, ogarnęli, zwinęli i byli gotowi do drogi. Nim wsiedli na motor, Walt delikatnie pocałował Cassie.

– To jedna z najcudowniejszych nocy w moim życiu. Dziękuję.

– Walt! – Roześmiała się. – Jeśli to była jedna z twoich najlepszych nocy, to strasznie mi cię szkoda. Bo to znaczy, że niewiele dotąd zaznałeś.

– Pewnie tak – odparł z uśmiechem. – Zresztą dla mnie zawsze szklanka jest w połowie pełna. Jestem optymistą.

– Tylko nie zacznij sobie myśleć...

– Cassie, daj spokój, przecież nawet tobie chodzą po głowie różne myśli. – Potężną dłonią przesunął po jej czarnych włosach. – Tylko się całowaliśmy. I było super. W każdym razie dla mnie.

Boże, chyba zwariuje... na jego punkcie. Jest uroczy, dobry, delikatny i świetnie wychowany! Od dwunastu lat nie trafił się jej ktoś taki jak on, prawdziwy dżentelmen, który nie naciska, jej pozostawia decyzję. Nigdy takiego nie miała! Walt jest bezkonkurencyjny, najlepszy!

Jak się w tym wszystkim pozbierać? Przecież on ma się nijak do jej wyobrażeń o przyszłym życiu. Zawsze myślała, że zwiąże się ze szczupłym przystojniakiem, wytwornym, ustawionym życiowo, z perspektywami na przyszłość. Idealem byłby strażak czy ratownik – człowiek solidny, zadbany, wykonujący pracę godną podziwu... Spotykała się z kilkoma takimi, lecz nie zaiskrzyło. Walt jest z zupełnie innych kręgów. Wygląda jak wyrzutek społeczny, sam to zresztą powiedział. Jak odbiorą go jej przyjaciółki? Albo Billy? Na pewno uzna, że straciła rozum. Nawet przy najlepszych chęciach nie da się o Walcie powiedzieć, że jest dobrze ustawiony. I ma zero perspektyw na przyszłość. Jednak każda spędzona z nim chwila była taka cudowna...

Czy podobnie było u Marty i Joego? Joe, startując do Marty, był niesamowitym uwodzicielem, czarującym mężczyzną, o jakim marzy każda dziewczyna. I gdy tylko ją zdobył, przeobraził się w niechlujnego, zgnuśniałego i nieczułego lenia. Walt może mieć trudne do wyplenienia nawyki, więc nie powinna zbyt na niego liczyć, jeśli nie chce się srogo rozczarować. Tylko że jej usta wciąż jeszcze były zaróżowione od pocałunków, twarz leciutko podrapana jego zarostem, a w duszy jej grało. Uwielbia te wspólne przejażdżki, kiedy zatrzymują się na oglądanie widoków, zjedzenie czegoś dobrego, ucięcie pogawędki.

Kiedy wreszcie Walt podwiózł ją do domu i znów pocałował, uśmiechnęła się i zapewniła, że ten weekend był po prostu wspaniały.

Pojechała do Julie po psa. Przyjaciółka popatrzyła na nią ciekawie, po czym spytała, jak udała się wyprawa.

– Było świetnie. Jedliśmy pyszne owoce morza, Walt rozpałił ognisko, poza nami na plaży nikogo nie było i... i polubiłam biwakowanie.

– Czy on jest fajny?

– Och, bardzo, tylko nie jest w moim typie, niestety.

– Jesteś ogorzała od wiatru?

Cassie dotknęła lekko piekących policzków.

– Mhm. Może też od słońca.

– Wyglądasz jakoś... zdrowo. Czy coś w tym stylu.

– Tak? No wiesz, był wiatr, słońca też nie brakowało. Dwa dni na motorze zrobiły swoje. – I przy ognisku, dodała w duchu. Cała noc pocałunków. Jaka szkoda, że to już pewnie długo nie potrwa.

Billy wrócił do domu późnym popołudniem. Wszedł do kuchni, położył papiery i usiadł przy stole. Z sypialni dochodziły ciche odgłosy. Julie mówiła do dzieci, podśpiewywała im cicho, śmiała się. Chyba budziły się z poobiedniej drzemki. Ktoś skakał po łóżku. Na pewno Clint, pomyślał z rozczuleniem Billy. Ten malec to żywe srebro. Poczul ucisk w gardle. Biedna Julie. Bez reszty oddana dzieciom, cudowna matka. Użała się na nieplanowane cięższe, i nie miał jej tego za złe, ale rodzina i dzieci to był jej żywioł. Nawet w najtrudniejszych momentach były dla niej najważniejsze pod słońcem. On niewiele włączał się w rodzinne sprawy, bo rzadko bywał w domu. Wszystko było na głowie Julie i sprawdzała się w tym doskonale. Niesamowita jest ta jego żona.

Silna, piękna i mądra. Wrócił z dwugodzinnego spotkania z doradcą kredytowym i przed pójściem do pracy chciał zdać relację Julie. Doradca był dla niej pełen szczerego podziwu, uważał, że tylko dzięki jej staraniom znacznie wcześniej nie znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Świadomość ich beznadziejnego położenia musiała być dla niej potwornym obciążeniem, dobijała ją. A przecież zasługiwała na coś o wiele lepszego...

– Tatuś! – zawołała na całe gardło Stephe, ujrzawszy go przy stole, i pędem puściła się w jego kierunku. Rzuciła mu się w ramiona. – Tata!

Poczuł łzy w oczach. Bardzo go kochają, a chyba nie zasługiwał na taką miłość dzieci. Co dla nich ostatnio zrobił?

– Jesteś? – Z sypialni wynurzyła się Julie, niosąc naręczę ubranek do prania.

Cmoknął córeczkę w policzek i pomógł jej zejść na ziemię. Mała pobiegła do salonu. Billy oparł łokcie na kolanach, złożył ręce i opuścił głowę.

– Julie, chciałbym z tobą porozmawiać.

– Jezu! – Na jej twarzy odmalował się niepokój. – Zwolnili cię z pracy czy co?

Wyprostował się.

– Skarbie, zanieś te rzeczy i przyjdź na chwilkę.

Julie wrzuciła ubrania do pralni i wróciła do kuchni. Usiadła, wlepiła w niego wzrok.

– Widziałem się z doradcą kredytowym. Przykro mi to mówić, ale doszliśmy do ściany. Toniemy w długach. To, co chcę ci powiedzieć, to nie jest dobra wiadomość.

– To znaczy? – zapytała, trwożnie wstrzymując dech.

– Wiedzieliśmy to wcześniej, tylko nie chcieliśmy przyjąć tego do wiadomości. Nie jesteśmy w stanie spłacić zobowiązań. Prawdopodobnie będziemy zmuszeni ogłosić upadłość.

Nie chciała płakać, jednak nie mogła powstrzymać łez. Płakała nawet bardziej nad nim niż nad sobą. Wiedziała, jak trudno mężowi pogodzić się z taką sytuacją, jaki to dla niego cios. Jak spojrzy w oczy kolegom z pracy?

– Och, Billy! Co on ci powiedział?

– Bardzo cię chwalił. Powiedział, że dokonałaś niemożliwego – dodał z bladym uśmiechem. – I nie pojmuje, jak ci się udawało ciągnąć to tak długo. Przejrzał nasze papiery, przekalkulował wszystko. Wyszło mu to samo co mnie. Dochody są niższe od wydatków. I nawet jeśli jakimś cudem spłacałaś niektóre rachunki, nie pozostawało dosłownie nic. Nic.

Julie zacisnęła usta.

– Zabiorą nam dom? – wyszeptała.

– Tego nie musimy się bać. Domu i emerytury nikt nie może ruszyć, takie jest prawo. Julie, tak mi przykro. To moja wina. Gdybym wcześniej się do tego zabrał, to może...

– Przestań. – Wyciągnęła do niego rękę. – Ja pilnowałam finansów, mogłam pójść do doradcy. Zresztą przecież byliśmy...

– Nie, byliśmy tylko w banku. Dwa razy. I dwa razy dali nam kolejne pożyczki na spłatę długów, których i tak nie mogliśmy spłacić.

– To co teraz będzie? I kiedy?

– Nie wiem. Ten doradca zapewnił, że na razie jeszcze nie bankrutujemy, choć zagrożenie jest poważne. Musimy spotkać się z nim ponownie, chce wspólnie z nami przeanalizować naszą sytuację, sprawdzić wszystkie możliwości. Potem porozmawia z naszymi wierzycielami i wybada, czy są skłonni do kompromisowego rozwiązania. Powiedział, że zwykle tego nie robi. Zazwyczaj sprawdza, czy da się dostosować wydatki do budżetu, tnie koszty i pomaga sporządzić harmonogram spłat, jednak ten etap już jest za nami. Znaleźliśmy się w takim punkcie, że albo uzyskamy coś dla nas u kredytodawców, albo ogłaszamy upadłość. Nie ma innego wyboru.

– I co dalej?

– Będziemy posługiwać się wyłącznie gotówką. Wystarczy na najniezbędniejsze potrzeby: jedzenie, ubrania, rzeczy dla dzieci. Dopiero po siedmiu latach mamy szansę na odzyskanie zdolności kredytowej.

– Siedem lat – powtórzyła. – To nie jest wieczność...

– Ale tak to odczuwamy. Nasze samochody się rozpadają, a nikt nie da nam kredytu. Nie będzie łatwo. – Ujął jej rękę. – Przynajmniej nie będziemy musieli spłacać rachunków...

– Jak to?

– On się wszystkim zajmie. Dał nam po sto dolarów. Tobie na jedzenie do końca tygodnia, z moich dwadzieścia pięć pójdzie na składkę prowiantową w remizie, reszta na benzynę. Oczywiście to pieniądze do zwrotu. Jak zacznie się nam klarować, ściągnie z nas te sumy. A teraz

musimy wypełnić te formularze. Jesteśmy umówieni na czwartek. Pamiętaj, Julie, by bardzo dokładnie wypełnić ten druk. Postaraj się o niczym nie zapomnieć.

– Co to za druk?

– Koszty. Wydatki. Zapisuj wszystko, co kupiłaś, poczynając od jedzenia i ubrań, a kończąc na takich drobiazgach jak przegryzki i napoje dla Jeffa i jego kolegów z drużyny. Również opłaty za lekarza, leki, wycieczki, po prostu wszystko. I nie poprzestawaj na najtańszych rzeczach. Doradca twierdzi, że wydajesz bardzo mało i nie ma z czego ciąć. Zapisuj normalne wydatki i w normalnych cenach. Prawdziwe jedzenie, a nie płatki na kolację. Nie musisz kupować filetów, ale wybieraj z głową. Jeśli uda ci się coś zaoszczędzić, zostanie dodatkowa suma na kolejny miesiąc. Notuj to przez dwa dni, dobrze?

– Oczywiście, choć nie będzie to takie proste. Pewnie nie o wszystkim pamiętam. Zawsze staram się zdobyć gdzieś kilka dolarów, raz tu, raz tam...

– Wpisz na swoją listę McDonalda, powiedzmy dwa razy w miesiącu. Dobija mnie, że dzieciom wszystkiego odmawiamy. Jeśli cokolwiek dostają, to od naszych mam. – Przeciągnął ręką po czuprynie. – Boże, tak cię zawiodłem, Julie. Wciąż powtarzałem: „Wszystko będzie dobrze, na pewno nam się ułoży”. Nie zdziwiłbym się, gdybyś przywaliła mi cegłą w łeb!

Łzy pociekły jej po policzkach. Nie mogła patrzeć, gdy mąż tak cierpiał. O ileż łatwiej było prowokować awantury, wściekać się na ten jego cholerny optymizm, niż widzieć zgaszony wzrok, zwieszona ramiona, twarz pełną żalu i wstydu.

– Billy, będzie dobrze – powiedziała z mocą. – Na pewno nam się ułoży. A wiesz dlaczego? Bo trzymamy się razem. – Gdy milczał, dodała przez zaciśnięte gardło: – Bo wciąż jesteśmy razem, prawda, Billy? Na dobre i na złe?

Ucałował jej dłoń.

– Umówiłem się na wazektomię, za tydzień od piątku. Wcześniej będziesz musiała wybrać się ze mną do lekarza i podpisać zgodę. To niedaleko stąd. Na zabieg pojedę sam.

– Wybij to sobie z głowy. Zawiozę cię.

Billy milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

– Jeśli uda się nam z tego wyjść, klnę się na Boga, Julie, że to nigdy się nie powtórzy. Zawiodłem cię. Zawiodłem nasze dzieci.
– Otarł łzę z oka.

– Przestań tak gadać! – rzekła stanowczo, wstając. – Masz natychmiast przestać! Już!

– Przepraszam... – powiedział cicho.

– Billy, to nie jest koniec świata. Takie rzeczy ciągle się zdarzają, a rodzina nie da nam umrzeć z głodu. Na litość boską! Gwiazdy filmu i sportu codziennie ogłaszają upadłość! W gazetach dają to na pierwszych stronach, ale życie toczy się dalej. Jakoś z tego wychodzą! Beth opowiadała o chirurgu, który ogłosił bankructwo, ale nadal mieszka w rezydencji i nadal operuje jakby nigdy nic!

– Wiem, ale myślałem, że jeśli mógłbym pracować jeszcze więcej...

– Billy, przestań! Masz się wyprostować i przyjąć to jak mężczyzna!
Jest jak jest. Trudno. W naszej rodzinie pieniądze nigdy nie były
najważniejsze!

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę i wreszcie powiedział cicho, z
ogromnym smutkiem:

– Masz w tym cholerną rację.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O szóstej Marty wróciła z pracy. Była obładowana zakupami i odebranymi z pralni służbowymi spodniami Joego. Po całym dniu na nogach marzyła, by odpocząć. Z pokoju Jasona dobiegały dziwne hałasy. Mały pewnie rzucał zabawkami. Poza tym w domu było cicho. Joe pewnie śpi. Skrzywiła nos, czując nieprzyjemny zapach. Rozpakowała zakupy, na wierzchu zostawiła mięso, ziemniaki i fasolkę. Pociągając nosem, zajrzała do piekarnika. Musi znaleźć źródło tego zapachu. Z mielonego mięsa przygotowała klops i włożyła go do piecyka. Obrała i nastawiła ziemniaki, odcięła końce fasoli i wstawiła ją do garnka do gotowania na parze. Potem zaczęła zbierać porozstawiane w salonie talerze, rozrzucone zabawki, ubrania, buty i gazety, poprawiała poduszki na kanapie. Odnosząc zebrane rzeczy, wpadła na Joego. Siedział w pokoju służącym mu za gabinet. Tu przykry zapach był jeszcze mocniejszy. Niemożliwe, by to on tak śmierdział, pomyślała z niedowierzaniem.

– Już jestem – powiedziała.

Joe odwrócił się od komputera i uśmiechnął szeroko.

– Cześć, kotku. Dziś jest pierwszy mecz przedsezonowy!

– Joe, czy to ty tak paskudnie śmierdzisz?

– Rozrzucaliśmy z Jasonem kompost pod drzewami i na rabatach. Już prawie jesień. Umyłem potem ręce.

Nie wytrzymała, zamiast powiedzieć, wykrzyczała:

– Ręce to za mało! Przed kolacją weź prysznic. Nie będziemy siedzieć przy stole w takim smrodzie!

– Nie przesadzaj, nie jest tak źle – rzucił bagatelizująco. – Za niecałą godzinę zaczyna się mecz... – Odwrócił się do komputera.

– To ci zajmie najwyżej kwadrans!

– Mhm, jasne – mruknął.

– Co ty tam robisz?

– Gram w ligę, coraz bardziej się wciągam. W tym roku na pewno wygram.

Marty zacisnęła usta i wyszła. Poszła do synka, pocałowała go na powitanie, pozbierała z podłogi brudne ubrania i nastawiła pranie. Kiedy kolacja dochodziła, zdążyła jeszcze przejechać odkurzaczem duży pokój, zebrać okruchy z chleba i chipsów, odkurzyła ściereczką część mebli, starła ślady palców z drzwi tarasowych, przetała kuchnię i łazienkę. Joe wciąż siedział przed komputerem. Marty nakryła do stołu i przełożyła pranie do suszarki. Gdy kolacja była gotowa, zawołała Jasona i Joego. Joe wszedł do kuchni, gdy tłukła ziemniaki. Stanął za nią, objął ją w talii i potarł zarośniętą twarzą o jej kark. Zapach, jaki wydzielał, był dla Marty nie do zniesienia. Nie wytrzyma z mężem przy stole, to ponad jej możliwości.

– Bardzo seksownie dziś wyglądasz, maleńka – zamruczał. – Miałaś dobry dzień?

– Póki nie przyszedłam do domu – odpowiedziała chłodno.

– Co? – zapytał, cofając się.

– Mówiłam sto razy, ale do ciebie nic nie dociera! – Patrzyła na niego gniewnie. – Wątpię, byś teraz usłyszał, mimo to spróbuję. Chodzi o twoją higienę, Joe. Śmierdzisz. Cuchniesz kompostem i potem. Musisz się wykapać, nim siądziesz ze mną do stołu.

– O czym ty mówisz? – Powąchał się pod pachami.

Marty z obrzydzeniem potrząsnęła głową, zaniósła jedzenie na stół. Joe stał, nie ruszając się z miejsca, i przyglądał się jej z taką miną, jakby coś z nią było nie tak. Kiedy postawiła na stole potrawy, wziął tacę, nałożył sobie pełen talerz, poszedł do salonu i usiadł przed telewizorem. Mecz jeszcze się nie rozpoczął, szedł program rozrywkowy, który Joe mógłby obejrzeć, siedząc przy stole, jako że zajmował strategicznie wybrane miejsce. Nie przywołała go, bo zapach obornika i trawy odrzucał ją. Niech sobie siedzi w salonie, byle dalej od niej. Jason też chciał zabrać talerz i iść przed telewizor jak tata, lecz Marty nie zgodziła się. Pomogła synkowi jeść klopsa i fasolkę, z ziemniakami sam sobie świetnie poradził. Zerknęła na zegarek w chwili, gdy zabręczał sygnał suszarki. Pranie było gotowe do wyjęcia i złożenia. Siódma dwadzieścia... Nie, nie mogę dłużej tak żyć! – krzyczała w duchu. Mam dość! Pracować cały dzień, potem stać przy kuchni, sprzątać i gotować, w nocy leżeć u boku męża, który tak śmierdzi, że robi się jej niedobrze. To już lepiej wracać z pracy do pustego domu. Wokół unosił się zapach klopsa i kompostu. Joe siedział na kanapie pochłonięty meczem, przez cały dzień nawet nie kiwnął palcem. Wrócił z pracy rano. Jason całe przedpołudnie spędził u babci, by tata mógł się wyspać. Resztę dnia Joe spędził w ogródku, buszował po kuchni, zabawiał się i szykował na wieczorny mecz. Nienawidzę mojego życia! – buntowała się. Nie muszę codziennie świetnie się bawić, ale mam prawo żyć w czystym otoczeniu i dzielić łożę z kimś, kto nie cuchnie jak nawóz. Po kolacji posprzątała ze stołu, załadowała i puściła zmywarkę. Wykąpała Jasona, przeczytała mu bajkę i ułożyła do snu. Kiedy wróciła do kuchni, na blacie stała taca z brudnymi talerzami Joego. Czekały, by je umyła. Zmywarka była pełna, więc tylko splukowała je i wstawiła do zlewozmywaka. Poszła do sypialni.

Od upojnych pocałunków z byłym chłopakiem z determinacją starała się być jak najlepszą żoną. Pucowała dom, gotowała, powstrzymywała się przed narzekaniem czy zmuszaniem Joego do czegokolwiek, choć nie zawsze jej to wychodziło. Dziś miała za sobą ciężki dzień: marudzące klientki, bezsensowna sprzeczka między dwiema kosmetyczkami, klientki zapisane na jedną godzinę, przez co musiała się śpieszyć i nie miała czasu na lunch. Nogi ją bolały, głowa ćmiła, dłonie paliły od chemikaliów. A w domu powitał ją ten koszmarny zapach. Jakie ma możliwości? Zmyć pod prysznicem trudy dnia, a potem zapakować się do łóżka z romantyczną książką, obejrzeć telewizyjną powtórkę albo... albo zrobić coś innego. Wzięła prysznic, uczesała się, umalowała i przebrała w najnowsze nabytki: seksowne spodnie, obcisłą bluzeczkę pięknie eksponującą dekolt i sandaalki na wysokim obcasie. Delikatnie spryskała się perfumami. Gdy weszła do salonu, Joe, co było do przewidzenia, kimał przed telewizorem. Zawsze tak było. Najadł się do oporu, wypił kilka piw, może poprawił czymś mocniejszym, i zrobiło mu się tak błogo, że zasnął przed końcem meczu. Nie wykapał się i nie ogolił, choć go o to prosiła. Nie usiadł z nimi do stołu. Ona nie ogląda telewizji na tym wielkim ekranie, bo to królestwo Joego. Nieważne, czy patrzy, czy śpi. Zaczynają się mecze, jak to jesienią. Skończył się sezon na łódki, ale będzie futbol. Wieczne mecze w każdy poniedziałek, czwartek i niedzielę, no i podczas weekendów. Joe ma długi staż w straży, ma mocną pozycję, dlatego praktycznie sam ustala sobie grafik. Będzie oglądać wszystkie mecze, jak nie w domu, to w barze. Oto jej najbliższa przyszłość. Przez kilka miesięcy albo będzie sama z Jasonem, gdy Joe będzie w pracy, albo po całym dniu będzie wracała do domowego bałaganu i śmierdzącego męża, coraz bardziej rozżalona i wściekła.

Przez chwilę myślała, by wyjść bez słowa. Niech Joe się o nią pomartwi, zastanowi trochę. Jednak nie mogła tak zrobić. Obudziła go.

– Joe – powiedziała, potrząsając nim. – Joe...

– Co? – zamruczał. – Co jest?

– Joe, wychodzę na chwilę. Jason jest w łóżku, już śpi. Dom jest na twojej głowie.

– Hm... Dokąd się wybierasz, maleńka?

– Na lampkę wina.

– Tak? Z dziewczynami?

– Mhm, z dziewczynami.

Joe z uśmiechem pogładził ją po ramieniu.

– Przyjdiesz niedługo? Bo już minęło sporo czasu, odkąd...

– Oczywiście. – Zmusiła się do uśmiechu. – Umyj się i ogól, a ja niedługo wracam.

– Umowa stoi. Zrobię to dla ciebie.... To znaczy będę na ciebie czekał – poprawił się.

Przez pół godziny jeździła samochodem, wreszcie zatrzymała się na parkingu przed centrum handlowym i z komórki zadzwoniła do Ryana.

– Cześć, nie obudziłam cię?

– Ależ skąd. Co się dzieje?

– Jestem na mieście. Musiałam na chwilę wyrwać się z domu. Nie miałbyś ochoty spotkać się na drinka?

- No pewnie. – Stłumił ziewnięcie. – To gdzie i kiedy.
- Może w Red Lion Inn? Moglibyśmy umówić się w barze...
- Daj mi chwilkę. Właśnie oglądałem mecz.
- Zostawisz mecz? – zapytała, uśmiechając się do siebie.
- Oczywiście. To do zobaczenia za pół godziny.

Pojechała do Red Lion Inn, wybrała miejsce przy końcu baru i zamówiła kieliszek wina. Nie mogła wmówić sobie, że w tym, co robi, nie ma nic złego. Wiedziała, że postępuje źle. Nie powinna umawiać się w Ryanem, nawet na drinka, nawet na pogawędkę. Jednak to, co powinna zrobić, było jeszcze trudniejsze. Jak miała powiedzieć Joemu, że ma dość takiego życia i nie zamierza w taki sposób przeżyć kolejnych pięćdziesięciu lat? Gdyby była choćby minimalna szansa, że coś się zmieni na lepsze i znów staną się sobie bliscy, na pewno by spróbowała. Jednak wiedziała, że to mrzonki, bo będzie tylko gorzej. Joe zapaści się jeszcze bardziej, ona z wiekiem będzie stawać się coraz bardziej zgryźliwa. Jeśli trzeba przeciąć ten układ, musi zrobić to teraz. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby zrobić coś takiego. Tyle razy została zdradzona, czuła się zraniona i bezradna, a jednak znów spotka się z tym, który wielokrotnie sprawił jej ból. To jakieś szaleństwo! Może powinna się wycofać? Czy jest mi aż tak źle? – myślała gorączkowo. Na pewno nie dam rady dłużej tak żyć? Argumenty znała na pamięć, wciąż je powtarzała. Marzy o wspólnych wyjściach, nie takich, na które są zapraszani jako małżeństwo czy na imprezy sportowe, lecz o romantycznych wieczorach we dwoje. Machnie ręką na to, że Joe kiepsko tańczy, choć sama przepada za tańcem. Może polubić wyjazdy na kemping i łódkę, pogodzi się z faktem, że nie będzie okazji, by się wystroić. Co do prac domowych... Gdyby Joe choć trochę się postarał, zaczął sprzątać po sobie, wzięłaby

na siebie całą resztę: gotowanie, sprzątanie domu, zakupy, pranie. Bo w sumie Joe ma wiele plusów. Przede wszystkim kocha ją bezgranicznie. Inne kobiety dla niego nie istnieją, choć wiele jest nim zainteresowanych. Jest oddanym ojcem, dobrze zarabia. Daruje mu ten zarost, ale Joe musi być czysty. No dobrze, zgodzi się odpuścić mu jeden dzień w tygodniu – niech wtedy chodzi w najgorszych łachach, brudny i spocony. Jeden dzień w tygodniu jakoś zniesie. Ale reszta musi się zmienić. Musi mieć poczucie, że jest ważniejsza niż mecz, że coś znaczy dla męża, a on liczy się z nią choćby tyle, że się dla niej wykąpie. Bo to, co robi, nie powinno się zdarzyć...

Naraz ujrzała wchodzącego do knajpki Ryana i poczuła, że w środku dzieje się z nią coś dziwnego. Uśmiechnęła się mimowolnie. Och, ten Ryan! Był w domu przed telewizorem, oglądał ten sam mecz, co jej mąż, a jednak przyjechał natychmiast i wygląda jak spod igły. Wyprasowana koszula, wyjściowe spodnie, świeżo ogolony, brązowe włosy starannie uczesane, promienny uśmiech i dołeczki w policzkach. Jest kawalerem, nawet nie mieszka z kobietą, a jednak jest taki zadbany. Czysty i porządny. Podszedł do niej, objął ją ramieniem i pocałował w skroń.

– Wyglądasz bardzo seksownie – wyszeptał, siadając obok niej. – Co się dzieje?

– Musiałam wyjść z domu. – Uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami.

– Jakież problemy?

– Nie. Tylko nie miałam się z kim umówić, moje przyjaciółki były zajęte – skłamała. – No i pomyślałam, że od lat nie tańczyłam. Naprawdę od lat.

– Chętnie z tobą zatańczę, a ty mi powiesz, co się stało. Wiesz, bo wolałbym nie łądować się w jakiś skomplikowany układ.

– Nie martw się. Wszystko w porządku.

– To nie jest dla ciebie problem?

– Co masz na myśli?

– Nas. To, że się spotkaliśmy.

– Niby dlaczego?

– Więc bierz wino i chodźmy na dół, tam puszczaają muzykę.

– Z największą chęcią – odparła z radosnym uśmiechem.

Ryan nie puszczał jej ręki, gdy schodzili po spiralnych schodach do klubu na dole. Prawie jak randka, pomyślała Marty. To już się więcej nie powtórzy. Tylko ten jeden raz. Potańczę z nim, pośmiejemy się, nie będę o niczym myśleć, a potem wrócę do domu i z bożą pomocą jakoś się pozbieram. Było, jak chciała. Zatańczyła z Ryanem trzy, cztery, pięć tańców pod rząd. Potem poszli do baru. Ryan zamówił piwo i przeprosił ją na chwilę. Marty poprosiła o wodę z lodem. Gdy wrócił, zaczął się wolny utwór. Znowu poszli na parkiet. Ryan przyciągnął ją do siebie, kołysząc się w tańcu, przesuwał dużymi, delikatnymi dłońmi po jej plecach, przygarniał coraz mocniej. Łzy zabłyszczały w jej oczach. Jak dawno nie czuła się tak jak teraz, jak prawdziwa kobieta, a nie czepiająca się wiecznie jędza.

Ryan w tańcu pocałował ją w kark.

– Marty, czy ty wiesz, co ty mi robisz?

– Wiem, tylko że mam dobrą pamięć. Każda tak na ciebie działa.

- Hm... Znajdźmy spokojniejsze miejsce, pogadamy...
- Nie, Ryan. Nie chcę posunąć się tak daleko, wiesz o tym.
- Oczywiście, że możesz, inaczej by cię tutaj nie było.
- Bardzo kuszące – odparła ze śmiechem. – Jednak nie, dzięki.
- W takim razie czego chciałaś?

Odsunęła się trochę.

- Trochę potaćzyć...
- Marty, gdy mam cię w ramionach, odżywają dawne uczucia. Myślę, że ty też to czujesz, inaczej byś do mnie nie dzwoniła.
- Ryan... – Oczywiście, że też to czuję, pomyślała. I chciałabym, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.
- Proszę, wyjdźmy stąd.
- Do ciebie?
- Nie. Kolega z pracy zatrzymał się u mnie na kilka tygodni. Nie mówiąc już o bałaganie. No chodź. – Pociągnął ją do wyjścia.

Podeszli do windy.

- Dokąd idziemy?

Ryan pocałował ją tak, że zabrakło jej tchu.

- Niespodzianka.

Poprowadził ją korytarzem do hotelowego pokoju. Wyjął plastikową kartę i wsunął ją do zamka, by otworzyć drzwi.

– Masz tu swój pokój? – Zatrzymała się jak wryta.

– Pokój z jacuzzi. – Uśmiechnął się szeroko.

Kiedy otworzył drzwi i przed oczami Marty ukazał się piękny, przestronny pokój z ogromnym łóżem, przez chwilę z zachwytu stała jak wmurowana. Zawsze marzyła o czymś takim... i ta świadomość zawstydziła ją. Gdyby Joe miał takie pomysły co jakiś czas, pewnie między nimi byłoby inaczej. Jednak ten atrakcyjny, pachnący czystością, seksowny mężczyzna to nie jej Joe, a ona nie powinna tu się znajdować.

– Ja tylko chciałam trochę potańczyć – powiedziała cicho.

Nawet się nie spostrzegła, jak leżała na łóżku, a wprawne dłonie Ryana gorączkowo błądziły po jej ciele, czuła na sobie jego gorące usta... Och, może się zapomnieć ten jeden jedyny raz? Sprawdzić, czy nadal jest tą dawną kobietą, seksowną, dziką, nieokiełznaną...

Ryan pieścił ją coraz goręcej. Minęły lata, a ona wciąż doskonale pamiętała ich wspólne chwile, każdy centymetr jego ciała.

– Wciąż cię kocham, najdroższa – szeptał tuż przy jej ustach.

– Nie... Wcale mnie nie kochasz.

– Nigdy się z ciebie nie wyleczyłem. I myślę, że ty ze mnie też nie. Jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Możliwe... – Jednak nikt tak dobrze jak ona nie wiedział, jakim ciosem jest zdrada ukochanej osoby. Doświadczyła tego tyle razy, właśnie przez Ryana. Idąc do ślubu, przysięgła sobie, że nigdy się do tego nie posunie. Jeśli mąż okaże się do bani, najpierw zakończy ich związek, dopiero potem zacznie coś nowego. – Nie mogę tego zrobić. Nie mogę. Nie mogę zdradzić męża...

– Marty, możesz. Już prawie to zrobiłaś...

– Nie! – Odepchnęła go od siebie. Łzy napłynęły jej do oczu. – Przepraszam, niepotrzebnie do ciebie dzwoniłam. To był błąd...

– Co jest, do diabła?

Podniosła się, poprawiła na sobie ubranie. Łzy płynęły jej po policzkach.

– Wynagrodzę ci to. Obiecuję. Ale nie dzisiaj. Najpierw muszę posprzątać w domu...

– Posprzątać? Chcesz wracać do domu, żeby sprzątać?

Zaśmiała się przez łzy, patrząc na jego zdumioną minę.

– W pewnym sensie – powiedziała. – Dzięki, Ryan. Dzięki tobie zrozumiałam, co powinnam zrobić. Kiedy już będę wolna, zadzwonię do ciebie. Myślę, że niedługo.

– O rany – zamruczał, znacząco przeciągając dłońią po podbrzuszu. – Żartujesz sobie ze mnie, prawda? Nie mówisz serio.

– Nie skasują cię za pokój. – Chwyciła z krzesła torebkę. – Powiedz, że się rozmyśliłeś i wracasz do domu, niczego tu nie ruszyłeś. – Niemal wybiegła z pokoju. Nie chciała, żeby Ryan ją dogonił, więc nie czekała na windę, tylko szybko zeszła po schodach. Minęła lobby i wskoczyła do samochodu, włączyła silnik i wyjechała z parkingu.

Dopiero wtedy zaniósła się płaczem. O Boże! Co się dzieje? – myślała spanikowana. Naprawdę była gotowa, by...

Łzy obeschły, gdy dojechała do domu. Jej nastawienie też się zmieniło. Zyskała poczucie nieodwracalności tego, co powinna zrobić. Niewiele brakowało, a przekroczyłaby cienką linię, na szczęście w porę się

opamiętała. Mieć męża i dziecko, a do tego kochanka na boku, to nie jest dla niej przyszłość. Owszem, miała nadzieję, że jeszcze wiele rzeczy przed nią, być może czekają na nią nowe, miłe doznania, lecz najpierw musi zakończyć obecny etap. W domu było ciemno, tylko nad kuchenką świeciła się lampka. To Joe zostawił dla niej światło. Na palcach weszła do sypialni i popatrzyła na śpiącego męża. Nie wykapał się, nie ogolił. Biedny Joe, pomyślała. Mógł wszystko zmienić, pucując się na jej przyjście. Tylko że nie chciał niczego zmieniać. Weszła do wspólnej łazienki i zebrała kosmetyki do makijażu, suszarkę do włosów, inne drobiazgi, po czym poszła do gościnnej sypialni, rozebrała się i położyła do łóżka. Nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok, pochlipując. Wstała wcześniej i weszła pod prysznic, by wyszykować się do pracy. Gdy wyszła z łazienki, w sypialni ujrzała Joego. Stał z chmurną miną.

– Kiedy wróciłaś? – zapytał smętnie.

– Koło wpół do dwunastej.

– I nie spałaś w naszym łóżku?

– Nie – odparła, owijając się ręcznikiem. – Mam już dość spania razem z tobą. Mam dość biwakowania, oglądania meczów, chodzenia do barów dla kibiców, sprzątania po tobie. Robi mi się niedobrze, gdy czuję twój zapach, zapach brudnego, spoconego ciała. Już mnie to do reszty zbrzydziło.

– Cholera, o czym ty mówisz? – zaatakował ją gniewnie.

– I mam dość gadania do ciebie jak do ściany! Łudziłam się nadzieją, że wreszcie coś do ciebie trafi, wysłuchasz mnie, zrozumiesz, ale to się nigdy nie stało. Jesteś głuchy na moje prośby. Szkoda mojego gadania. Jesteś beznadziejny! – Włączyła suszarkę, odcinając się od niego, zainteresowana jedynie swoją fryzurą. Julie pojechała z Billym do

lekarza, podpisała zgodę na wazektomię, po czym ruszyli na spotkanie z doradcą. Wysoki, szczupły mężczyzna o ujmującym, życzliwym uśmiechu i miłym spojrzeniu wywarł na Julie dobre wrażenie, choć wciąż była negatywnie nastawiona do tego, co zamierzali zrobić. Myśl, że będą musieli otworzyć się przed tym nieznanym, zdradzić mu najdrobniejsze szczegóły swej sytuacji finansowej, budziła w niej opór i zażenowanie. Doradca obejrzał listę wydatków, porównał ją ze swymi zestawieniami, by upewnić się, czy ujęli wszystko.

– Fryzjer? – zapytał. – Kosmetyczka?

– Sama podcinam Billy'emu włosy – wyjaśniła Julie. – Dzieciom też. I sobie.

– Hm... – Odfajkował ten punkt. – A rozrywki? Okazjonalne wyjścia na miasto? Na pizzę, do kina?

– Są tylko spotkania z rodziną i ze znajomymi. Składkowe, każdy coś przynosi. My zwykle butelkę niedrogiego wina i dwa sześciopaki piwa. To góra piętnaście dolarów. Ujęłam to w wydatkach na jedzenie. Zresztą takie wyjścia nie zdarzają się często.

– Widzę tu bardzo skromną sumę na ubrania.

– Ubranka dla dzieci kupuję na wyprzedażach, czasami w lumpeksie. Dla siebie prawie nic nie kupuję, jeśli już to szorty czy dżinsy w Costco. Billy do pracy ma służbowy mundur, a do warsztatu chodzi w starych dżinsach, czyli na niego prawie nic nie idzie.

– Weterynarz?

– Bardzo rzadko. Na szczęście Tessie to okaz zdrowia.

– Postarajcie się maksymalnie obniżyć wydatki na telefon i internet, ale nie rezygnujcie z tych mediów, broń Panie Boże. Recepty i wizyty u pediatry to spore koszty...

– Tę pozycję dokładnie przekalkulowałam. Mamy trójkę dzieci. Jak jedno coś złapie, pozostałe zaraz też są chore, zaś leki na receptę często są tańsze.

– Prezenty? Urodziny? Rocznice ślubu? Inne okazje?

– Na to niewiele wydajemy. – Ogarnął ją smutek. Brat, bratowa, rodzice i przyjaciele dostawali od nich taniutkie drobiazgi: papeterię, choć już dawno wszyscy zaprzestali pisania listów, kupione na wyprzedaży akcesoria do kąpielni, zabawne świece, inne gadżety. Nic się nie zmieniło od lat. Nie miała nawet zaręczynowego pierścienia. – Od tak dawna jesteśmy pod kreską, że nikt nie oczekuje od nas drogich prezentów. – Jednak rodzina i przyjaciele hojnie ich obdarowywali pięknymi i drogimi prezentami, a także rozpuszczali dzieci, wiedząc, że ich rodzice tego nie zrobią. Bo nie mogą.

– No dobrze, Julie, przyjrzyjmy się teraz zakupom spożywczym. Czy to tylko jedzenie, czy może coś jeszcze?

– Czasami drobny prezent lub coś na spotkanie rodzinne czy przyjacielskie, na przykład kurczak, sałatka, butelka wina za dwa dolary...

– Za dwa dolary?

Julie uśmiechnęła się.

– Wiem od Billy'ego, że jesteś mormonem, więc unikasz alkoholu. Wino za dwa dolary wcale nie jest najgorsze. Naprawdę nie trzeba wydawać majątku. Do wydatków spożywczych zaliczyłam też piwo,

batoniki i napoje, drobne upominki dla dzieci na imprezy urodzinowe. Kartki, opłaty pocztowe, kosmetyki, niewiele i bardzo tanie. Billy nalegał, bym wpisała McDonalda dwa razy w miesiącu, ale do tej pory jakoś bez tego wytrzymaaliśmy. Sami tam niczego nie zamawiamy, bierzemy tylko porcje dla dzieci.

– A opłaty za media? Czy to wystarcza?

– Zimno w zimie, gorąco w lecie – odparła bezradnie.

– Jak widzę, Julie, ograniczyłaś wydatki do absolutnego minimum.

– Tak, ale wygląda na to, że jeszcze za mało.

– Na razie nie możemy tego stwierdzić. Mam już orientację w waszych możliwościach spłaty zadłużenia, teraz skontaktuję się z wierzycielami, przedstawię propozycje. Zawsze ostrzegam, żeby za wcześnie nie robić sobie nadziei. Teraz też to czynię. Trudno przewidzieć, jaka będzie reakcja. Niektórzy wierzyciele z początku odmawiają współpracy, bo chcą docisnąć dłużników do ściany, sprawdzić, czy rzeczywiście są gotowi ogłosić upadłość. Takich można przetrzymać, na koniec coś zyskać. Gorzej, gdy wierzyciel przyjął twardą strategię pod tytułem: żadnych kompromisów. Z takim nic się nie osiągnie, przekonałem się o tym nieraz. – Zadumał się na moment. – Nie mogę zacząć rozmów, póki nie będę wiedział, do czego jesteście skłonni się zobowiązać.

– Do czego my jesteśmy skłonni?

– Dajcie mi trochę czasu, rozpatrzę się i przekalkuluję wszystko punkt po punkcie. Musicie mi jednak na coś odpowiedzieć. Jeśli uda mi się przekonać choć jednego wierzyciela, by poszedł wam na rękę, to w tej nowej sytuacji będziecie chcieli uniknąć ogłoszenia bankructwa?

– Chcę odzyskać męża – powiedziała Julie, nie kryjąc emocji. – Do tej pory nigdy się nie załamał, nie wpadał w depresję. – Ujęła Billy'ego za rękę. – Od dawna jesteśmy w beznadziejnej sytuacji, lecz on zawsze był pełen optymizmu. Chcę, by znów był taki, a pieniądze to rzecz wtórna. Mogę do końca życia żywić się piaskiem. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście. – Doradca uśmiechnął się życzliwie. – Też mam rodzinę, więc doskonale wiem, co czujesz.

– Ale czy kiedykolwiek byłeś w takiej sytuacji jak my?

– Nie, akurat tego udało mi się uniknąć. Cóż, jestem specem od finansów. Nasze problemy są innej natury. – Uśmiechnął się blado. – Mamy dziecko specjalnej troski. Wychowanie syna wymaga wiele energii, nie omijają nas zmartwienia, lecz jakoś sobie radzimy. Dlatego pamiętajcie, najgorsze, co możecie zrobić, to wpaść w panikę. Nawet gdy sprawy przybiorą najbardziej niekorzystny obrót, i tak jakoś przeżyjecie. Jesteście młodzi i zdrowi. Billy ma dwie prace, macie solidny dom w dobrym stanie. Co do samochodów, to zastanówcie się, czy wśród bliskich wam osób nie ma mechanika, który dałby wam upust na jakiś czas.

– Współczuję ci z powodu synka – powiedziała Julie. – Mam nadzieję, że macie wsparcie. Dla nas dzieci są błogosławieństwem, są wszystkim. To dlatego... Nieważne. Jeśli będziemy musieli ograniczyć się do jednego samochodu, mogę wozić Billy'ego do pracy. Skoro o tym mówimy... On pracuje niemal non stop. Zwykle wraca do domu, gdy już śpię, i wychodzi, nim się obudzę. Jest krańcowo wyczerpany i fizycznie, i psychicznie, choć z uwagi na służbowe obowiązki powinien być w dobrej formie. Chciałabym, żeby miał więcej czasu na wypoczynek.

– Będę to miał na uwadze. Kto wie, może kiedyś przyda mi się pomoc ratownika. Chciałbym, żeby był zdrowy, dobrze odżywiony, wypoczęty...

– Julie przesadza – wtrącił Billy. – W remizie dobrze się odżywiamy, w wolnych chwilach mogę się trochę przespać. Nie jest źle.

– Zorientuję się, co da się zrobić, byś miał więcej czasu dla dzieci. To by ci pasowało?

Billy ścisnął dłoń żony.

– Oczywiście. I to bardzo. Wiedz o tym, że przed niczym się nie cofnę i zrobię wszystko, co będzie trzeba.

Cassie skończyła pracę na oddziale i zaczęła przebierać się do wyjścia, rozmyślając o dzisiejszym spotkaniu z Waltem. Zaprosiła go do siebie. Może zamówią pizzę i obejrzą film. W skrytości serca miała nadzieję, że gdy już zasiądą razem na kanapie, to znów do czegoś dojdzie... Walt ją pocałuje. Od weekendowej wyprawy upłynął tydzień i choć miała wiele obaw i obiekcji... to dręczące przeświadczenie, że układ z Waltem nie ma przyszłości... myśl o kolejnych pocałunkach była niesamowicie kusząca. Walt jest porządnym facetem. Musi o tym pamiętać i liczyć się z jego uczuciami. Nie może iść na żywioł, posunąć się za daleko, bo może go zranić.

– Cześć, Cassie! – powitała ją wchodząca do szatni pielęgniarka.

– Cześć, Jen. Długi dzień, co?

– Tak, męczący. A jak tam... twoja przyjaciółka?

– O którą pytasz? – zapytała, zdejmując fartuch i wrzucając go do kosza na pranie.

– O tę, która dziś miała operację. Tę ginekolog, którą znasz od zawsze.

Cassie znieruchomiała. Stała jak sparaliżowana, w staniku i spodniach. Wlepiała wzrok w koleżankę.

– Operację?

– Mhm – wymamrotała Jen, odwracając się.

Złapała ją za ramię i obróciła do siebie.

– Jaką operację?

– Cassie, skoro o niczym nie wiedziałaś...

Przerażona potrząsnęła ramieniem Jen.

– Jaką operację?

– Dokładnie to nie wiem – wykręcała się Jen. – Au!

– Mów, co wiesz! – rozkazała, puszczając jej ramię.

– Przewoziłam pacjentkę na oddział operacyjny, na pilną cesarkę. Twoją znajomą akurat wywozili z sali – dokończyła, masując sobie ramię.

Cassie działała jak automat. Włożyła fartuch, przypięła służbową plakietkę i wyszła z szatni. Poszła do rejestracji.

– Cześć – zagadnęła uprzejmie. – Gdzie leży Beth Halsley? Doktor Halsley?

Rejestratorka poszukała w komputerze, popatrzyła na Cassie.

– Jest na chirurgii. Skrzydło 6-A.

– Dziękuję. Miłego wieczoru.

Wjechała na górę, podeszła do stanowiska pielęgniarek i zaczęła przerzucać w komputerze karty pacjentów. Kiedy wróciła dyżurna pielęgniarka, Cassie uśmiechnęła się.

– Jak leci? – zagadnęła miło.

– Dobrze, dzięki. Pomóc ci coś znaleźć?

– Nie, dziękuję. Przesłałam pacjentkę na operację i przed wyjściem chciałam sprawdzić, jak się miewa.

– Jak na waszym oddziale?

– Urwanie głowy, jak zwykle – odpowiedziała, znajdując kartę. – Zmywam się, nim zacnie się jeszcze większy młyn. – Przebiegła wzrokiem raport z operacji. Radykalna mastektomia. Dory Boże...

Zamknęła stronę. Była porażona. To nie mogła być nagła decyzja, operacja musiała być zaplanowana. Nawet w wyjątkowych wypadkach takich operacji nie przeprowadza się z dnia na dzień. Czy Beth choć słowem o tym wspomniała, powiedziała coś, co mogło nasunąć podejrzenia? Nie, na pewno nie. Coś takiego by się jej wryło w pamięć. Od poprzedniego razu minęło już prawie pięć lat. Przed pójściem do przyjaciółki musiała zebrać się w sobie, uspokoić rozedrgane nerwy. Beth jest tuż po operacji, ale nie wiadomo, czy będzie z nią kontakt. Może bardzo cierpi, fizyczny ból, no i ta rozpacz... Nie dochodząc do sali, zatrzymała się, wyjęła komórkę i zadzwoniła do Walta. Włączyła się poczta głosowa. Musiał być bardzo zajęty, skoro sam nie odebrał.

– Cześć, to ja. – Zdawała sobie sprawę, że ma zmieniony, spięty głos. – Niestety muszę odwołać nasze spotkanie. Mam problem w szpitalu. Nagły przypadek, masa komplikacji. Postaram się zadzwonić do ciebie

później, wtedy wszystko wyjaśnię. Strasznie cię przepraszam. – Wyłączyła komórkę. Zatrzymała się przed pokojem Beth. Miała prywatny pokój, jako że medycy dbali o kolegów po fachu. Na palcach weszła do środka. Beth była podłączona do kroplówki, zabandażowana łącznie z ramieniem. O Boże, to nie może dziać się naprawdę! – krzyczała w duchu Cassie. Beth spała. Nikogo przy niej nie było. Czyli w ogóle nikomu nic nie powiedziała. Jej rodzice natychmiast by przylecieli i czuwali przy córce. Zapewne krążyliby nerwowo po pokoju, szepcząc i nie dając jej spać, jednak nie byłaby sama jak palec. Z drugiej strony wiele by jej nie pomogli. Pięć lat temu sytuacja ich przerosła, nie potrafili się w niej odnaleźć. Byli przerażeni i bezradni, sami potrzebowali wsparcia. Cassie usiadła przy łóżku, zadumała się. Beth celowo trzymała to w tajemnicy. Wprawdzie operowano ją tutaj, lecz było mało prawdopodobne, by Cassie się o tym dowiedziała. Pielęgniarki nie kursują po innych oddziałach, poza tym szpital jest wielki. Jeśli operacja się udała, za kilka dni Beth zostanie wypisana do domu. Jeśli Cassie czy ktokolwiek inny zadzwoniłby, proponując spotkanie, wymówiłaby się dyżurem. Co od dawna robiła. Czuwała przy łóżku Beth. Chciała zadzwonić do Julie i Marty, ale nie zrobi tego, póki Beth się nie ocknie i czegoś jej nie powie. Wprawdzie trudno wyobrazić sobie rozsądny powód takiego postępowania, jednak niech ma szansę się wytłumaczyć. Siedziała tak kilka godzin. Słońce już zaczęło zachodzić, gdy Beth poruszyła się. Wolną ręką dotknęła piersi i jęknęła. Ból zawsze obudzi pacjenta. Nie otwierając oczu, Beth nacisnęła guzik przywołujący pielęgniarkę. Otworzyły się drzwi. Pielęgniarka skinęła głową do Cassie i podeszła do łóżka.

– Dobry wieczór, pani doktor. Boli?

– Dosyć. Może już pora na leki?

– Prawie. Sprawdzę ciśnienie i inne odczyty. – Sprawnie zrobiła swoje.
– Wszystko jest dobrze. Zaraz wracam z lekami.

– Im szybciej, tym lepiej – wymamrotała Beth.

Gdy pielęgniarka zniknęła za drzwiami, Cassie odezwała się cicho:

– Bardzo sprytnie.

Beth niespokojnie obróciła głowę. Zwężyła oczy i zacisnęła usta.

Cassie podniosła się, podeszła bliżej i pochyliła się nad przyjaciółką.

– Co się stało? Dlaczego zrobiłaś to beze mnie?

Spięta twarz Beth rozluźniła się. Przymknęła oczy.

– Nie chciałam przechodzić tego jeszcze raz. Po prostu.

– Dlaczego wolałaś to zrobić w pojedynkę?

– Udawałam przed sobą, że to nic takiego. Wmawiałam sobie, że to jak wyrwanie zęba. Nie chciałam niczyjej pomocy. Niepewnych nadziei. Liczenia na cud. Starań. I poczucia obezwładniającego lęku. Nie jest tak źle, jak wygląda...

– To mastektomia. Druga z rzędu. To nie jest wyrwanie zęba.

– Według onkologów to rak pierwotny, tak też jest leczony. Skoro tkanka piersiowa została usunięta... Cassie, ten pierwszy raz mnie dobił. Teraz nie czułam się na siłach...

– Beth, będzie, jak chcesz. – Delikatnie pogładziła ją po policzku. – Ale przy mnie nie musisz udawać. Przy żadnej z nas.

– Cassie, ty świetnie się sprawdzasz w takich przypadkach, ale inni... na przykład moi rodzice... Cóż, skoro znów muszę przez to przechodzić...

– Kochanie, my cię nie zostawimy – czule powiedziała Cassie. – Mark zachował się podle, ale my zawsze będziemy przy tobie. A zawsze to znaczy bardzo, bardzo długo.

– Tego nie wiemy... – Beth zacisnęła powieki. – Na razie w ogóle nic jeszcze nie wiemy. To może trwać miesiące, lata.

– I nie chcesz, żeby przez ten czas ktoś przy tobie był? Nie wierzę.

– Cassie... – Beth załkała. – Cassie...

– Już dobrze, kochanie. Proszę cię, o nic się nie martw – powiedziała ciepło. – Poza mną nikt o niczym nie wie. Nikomu nie pisnę słowa, ale nie odejdę od ciebie.

– Cassie, nie potrzeba, poradzę sobie. Przed pójściem do szpitala kupiłam zapas jedzenia. Zrobiłam pranie, nakarmiłam kota...

– Przecież nie masz kota! – Cassie zaśmiała się, ledwie panując nad emocjami.

– No tak, racja. Więc kogo nakarmiłam? Jak wrócę do domu, zlegnę na kanapie, będę oglądać filmy, faszerować się lekami przeciwbólowymi. Szybko się pozbieram, nawet się nie obejrzysz. Wrócę do pracy...

– Dobra, dobra. Już dzwoniłam do mojego szefa – skłamała. – Mam kilka wolnych dni, wezmę dodatkowe. Gdy już cię puszczą, będziemy razem oglądać filmy i przysypiać. Pamiętasz, jak to było? Dla ciebie środki przeciwbólowe, dla mnie wino. Zobaczysz, że jestem świetną pielęgniarką. O niebo lepszą niż te z chirurgii.

– Nie rób sobie zachodu. Naprawde...

– To juz załatwione – rzekła Cassie. – Za nic nie pozwolę, byś w takich chwilach była sama. Miałabym wyrzuty sumienia do końca życia.

Beth złapała Cassie za nadgarstek.

– Moi rodzice... Proszę, nic im nie mów.

Pięć lat temu zadzwoniła do państwa Halsleyów z informacją o Beth. Natychmiast przylecieli. Pamiętała ich nieudolne próby zaopiekowania się córką. Było z nimi więcej kłopotów niż pożytku. Świetnie zadbali o wykształcenie Beth, motywowali ją do nauki, doskonalili talenty, lecz na tym ich rola się zakończyła. Dobrze, że mieli tylko jedną Beth, obdarzoną rozlicznymi talentami i siłą woli, bo tylko ktoś taki mógł wytrzymać podobny program edukacyjno-wychowawczy. Natomiast choroba córki wprawiła ich w szok, ogarnięci paniką przestali działać racjonalnie.

– Hm... no dobrze. Z nim nie było ci lżej. Zrobisz, jak uważasz, ale wiesz, że oni kochają cię nad życie?

– Wiem – opowiedziała sennie. – Tyle że w takich momentach kiepsko się sprawdzają.

Cassie uśmiechnęła się.

– Na szczęście ja się sprawdzam.

Weszła pielęgniarka ze strzykawką.

– To pani pomoże. Zaśnie pani i lepiej się poczuje – powiedziała, wkłuwając się do kroplówki.

– O rany! – Cassie roześmiała się. – Masz przody u lekarza, bo dostaniesz prosto w żyłę. Beth, będę się zbierać, bo nic tu po mnie. Odurzą cię na całą noc, a ja stracę coś fajnego w telewizji, siedząc tu z tobą. Wpadnę z samego rana.

– Cassie... tylko nie mów...

– Nic nie powiem, póki nie uzgodnimy, jak chcesz to rozegrać, ale ode mnie się nie uwolnisz.

– Dobrze... – Powieki jej się zamknęły.

Pielęgniarka zostawiła je same. W pokoju zapadał zmrok. Cassie długo stała przy łóżku Beth. Tak bardzo jej zazdrościłam, pomyślała. A jak ułożyło się jej życie? Dlaczego nie miała zwykłych problemów jak my? Ze znalezieniem chłopaka czy zaliczeniem chemii? Albo nawet z kiepskim wynikiem testów na studia? Jak to jest, że przez tyle lat wszystko się jej udawało, wszystko szło jak z płatka, no i zawsze zachwycała urodą. Gdyby ktoś wiedział tylko o jej świetnych ocenach, osiągnięciach i urodzie, byłby święcie przekonany, że słyszy o kimś, kto ma bajkowe życie, stąpa do przodu po różach. Przesunęła dłonią po lśniących, gęstych, falujących brązowych włosach Beth. Jakie to było przykre, gdy po chemii wyłysiała. Na szczęście włosy odrosły, nawet mocniejsze niż przedtem. I w przeciwieństwie do większości przypadków, nie zmieniły koloru. Nadal był głęboki i nasycony, piękny. Co będzie teraz? Z żalem patrzyła na śpiącą przyjaciółkę. Gdy smutne myśli stały się nie do zniesienia, pocałowała Beth w czoło i wróciła na swój oddział. Przebrała się w cywilne ciuchy i powlokła do samochodu. Wyjęła komórkę i odsłuchiwała wiadomość od Walta:

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Wiem, jak to jest z nagłymi wypadkami. Strasznie żałuję, że kiedy dzwoniłaś, nie mogłem odebrać, ale tak wyszło. Jeśli zechcesz, zadzwoń do mnie wieczorem, o dowolnej porze. Na pewno odbiorę. Cóż, nie zadzwoni do Marty czy Julie, bo obiecała Beth dyskrecję. Za to zadzwoniła do Walta, a kiedy w słuchawce rozległ się jego głos, wybuchnęła płaczem.

– Och, Walt... Miałam koszmarne dzień.

– Skarbie, co mogę zrobić? – Jego słowa były jak balsam na jej duszę. – Powiedz, proszę. Co tylko chcesz. Wszystko, co choć trochę poprawi ci nastrój.

– Właśnie wyjeżdżam spod szpitala...

– Jesteś w pracy od siódmej rano?!

– Tak, ale... Och, Walt... – Zaszlochała.

– Cassie, możesz w takim stanie jechać do domu?

– Tak... – Pociągnęła nosem. – Zaraz się uspokoję.

– Kochanie, wyłącz telefon i skup się na prowadzeniu. Zaraz do ciebie przyjadę.

– Ale już tak późno...

– Och, już jadę. Tylko uważaj, proszę. Jesteś bardzo poruszona.

– Miałam straszny dzień.

– Cassie, rozłączmy się. Nie rozmawiaj podczas jazdy, skoncentruj się. Już ruszam.

Nigdy dotąd żaden chłopak czy facet nie ruszył jej na ratunek, gdy była w dołku. Zdarzyło się jej dzwonić, gdy była we łzach, ale nigdy nie

spotkała się z takim odzewem. Żaden z jej adoratorów nie rzucał wszystkiego, by śpieszyć jej z pomocą. I to tak błyskawicznie. Ledwie weszła do domu i zaczęła wyplakiwać się w mięką sierść Steve'a, na progu stanął Walt. W jednej ręce trzymał pudło z pizzą, w drugiej sześciopak piwa.

Wtuliła się w Walta.

– Pizza i piwo... – Była tak roztrzęsiona, że nic więcej nie zdołała powiedzieć.

– Nie wiedziałem, czy w tym koszmarnym dniu cokolwiek zjadłaś. – Balansował pizzą i piwem. – Poczekaj, niech to odłożę. – Po chwili mocno przygarnął Cassie i poprowadził do saloniku, gdzie usiedli na kanapie. Steve ułożył się obok Walta, trzymając w pysku pluszową zabkę. – Co się stało? – Jedną ręką gładził Cassie, drugą Steve'a.

– To długa historia.

– Mamy mnóstwo czasu.

– Moja przyjaciółka Beth...

Nim doszła do tego, jak dowiedziała się o operacji, Walt posadził ją sobie na kolanach. A gdy opowieść dobiegła końca, pokiwał z niedowierzaniem głową.

– No nie, w życiu nie słyszałem czegoś podobnego.

– Biedna Beth tyle przeszła. Walka o życie, operacja, no i Mark ją zostawił... Teraz chciała być sama. Ale dlaczego? Boi się, że wszyscy ją opuszczą?

– Na pewno tak nie myśli...

– Nie rozumiem, co chciała osiągnąć. Przed pięciu laty miałam poczucie, że jej pomagamy. A może przez nas było jej trudniej?

– Skarbie, na pewno nie...

– Powiedziałam, że niezależnie od wszystkiego będę przy niej. Wezmę urlop, będę z Beth w szpitalu, a jak ją wypiszą, zamieszkać z nią na czas rekonwalescencji. Potem też będę nad nią czuwać. Ale jeśli sprawa jest beznadziejna? Jeśli nie uda się jej uratować?

– Nie dopuszczaj do siebie takich myśli. Poczekaj, aż coś będzie wiadomo.

Spojrzała na niego.

– Przyjechałeś do mnie.

Przesunął dłonią po jej rozwichrzonym warkoczu.

– Wydało mi się, że mnie potrzebujesz.

– I to jak! Nie mogłam zadzwonić ani do Julie, ani do Marty, bo obiecałam Beth dyskrecję. Póki się nie zgodzi, będę milczała jak grób.

Otarł łzę z jej policzka.

– Daj jej trochę czasu. Otrząśnie się, spojrzy na wszystko inaczej i wtedy zadzwonisz do przyjaciółek.

– Walt, skąd wiesz, co trzeba zrobić?

– Bo kieruję się prostą zasadą: najpierw trzeba zaspokoić podstawowe potrzeby: jedzenie, picie, towarzystwo. W pozostałych sprawach dzwoni się na policję.

– Ale skąd ty to wiesz? Chodzi mi o mnie, o mój problem z przyjaciółką.

– To coś poważniejszego, Cassie. A ty jesteś dla mnie naprawdę ważna.

– Jesteś świetnym przyjacielem. – Oparła się o jego pierś.

– Staram się nim być – odparł z westchnieniem. – Jesteś dla mnie wyjątkową osobą. Wiesz o tym, prawda?

Przeciagnęła dłonią po jego szorstkiej twarzy.

– Tak. I to naprawdę wiele znaczy.

– To dobrze. – Uśmiechnął się. – Bo właśnie o to mi chodzi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Beth podniosła oczy znad gazety. W drzwiach stał Jerod Paterson, który zupełnie nie wyglądał na lekarza. Nonszalancko opierał się o futrynę, ręce trzymał w kieszeni, nie miał przy sobie kart, nie towarzyszyła mu pielęgniarka. Stał w swobodnej pozie i uśmiechał się.

– No proszę, aż miło popatrzeć – rzekł pogodnie. – W fotelu, ze świeżą gazetą. Jak się czujesz?

– Jak zdechłak. A ty?

– Całkiem nieźle, dzięki. Co ci najbardziej dokucza?

– Miejsce, gdzie jeszcze niedawno miałam jedyną pierś. Choć gardło też pali jak diabli.

– To po intubacji. Ile kwiatów! – Popatrzył na tonący w bukietach pokój. – Masz wielu gości?

– Tak, choć prosiłam, by nikogo nie wpuszczać. Ty jesteś dziesiąty, ale domyślam się, że przyjechałeś służbowo.

– Nie. Przyjechałem cię odwiedzić.

– Przecież to kawał drogi od ciebie. Zwykle jeździsz po całym stanie, by dowiedzieć się o zdrowie pacjentów po operacji?

– Skąd wiesz, czy nie przyleciałem helikopterem? Byłem w pobliżu. Zaaranżowałem coś, by się tu znaleźć. Strasznie jesteś zadziorna. Czujesz się podminowana i rozdrażniona?

– Delikatnie to ująłeś. Ja bym taką nazwała wredną zołzę.

– Co zamierzasz robić, gdy cię wypiszą?

– Miałam w planie zaszyć się w domu i w spokoju pooglądać sobie filmy, lecz jedna z przyjaciółek dowiedziała się o operacji i uparła się, że się mną zajmie. Zamierza przenieść się do mnie. Jest tu pielęgniarką.

– Pielęgniarka nie będzie ci potrzebna. Czy ona gotuje?

– I to doskonale, choć po chemii i lekach straciłam smak, więc nie docenię w pełni jej potraw.

– Jeszcze trochę i odstawisz leki. Co tak na mnie patrzysz? Naprawdę jesteś zdrowa. Wszystkie wyniki masz świetne, poczynając od ciśnienia aż do zawartości hemoglobiny i liczby białych krwinek. Rozmawiałem z twoim chirurgiem i powiedział, że blizna wygląda super.

– Hm, powiedzmy...

Jerod usiadł na łóżku, patrzył na Beth.

– Dzisiaj po południu zostaniesz wypisana. Gdybym miał się zakładać, to czuję, że będziesz chciała pojechać sama, masz samochód na parkingu dla lekarzy... – Gdy Beth skrzywiła się, roześmiał się. – Czyli dobrze się domyśliłem. A twoja przyjaciółka pielęgniarka?

– Wpada do mnie codziennie, pracuje na dole na oddziale opieki doraźnej. Mną ma się zająć, gdy wyjdę ze szpitala i będę w domu.

– I nie powiedziałaś jej, że zamierzasz pojechać sama, boby ci nie pozwoliła. Za godzinę mam spotkanie. Gdy skończę, przyjdę i sam odwiozę cię do domu.

– Nie. Wracam moim samochodem.

– Po pierwsze, jesteś na lekach. Po drugie, prowadzenie jedną ręką jest niewskazane. Po trzecie... No, te dwa wystarczą... Aha! To wbrew zaleceniom lekarza!

– Samochód będzie mi potrzebny!

– Mam swoje znajomości i tutejsi lekarze na pewno przyznają mi rację. Ściągniesz samochód, gdy poczujesz się lepiej i będziesz mogła prowadzić. Masz tu przyjaciółkę... – Popatrzył na zegarek. – O drugiej powinienem być wolny. Bądź gotowa, okay?

– Wiesz, że jesteś strasznie namolny?

– Mhm. I mógłbym się założyć, że właśnie to najbardziej ci się podoba. Do zobaczenia niedługo... – Ruszył do wyjścia.

– Jerod! – Gdy odwrócił się w progu, rzuciła zaczepnie: – Czy przypadkiem nie przesadzasz z tą swoją opieką?

– Jestem lekarzem.

– A jeśli nie życzę sobie takiej pomocy? Wrócę do domu taksówką. Nie chcę, byś oglądał bałagan, jaki mam w domu!

– Doktor Halsley, znam cię od niedawna, ale jestem przekonany, że u ciebie panuje wzorowy porządek – oznajmił pogodnie. – Założę się, że nawet bieliznę masz poskładaną w kosteczkę. Zjedz lunch, zaraz potem się zjawię. – Ruszył na korytarz, pomrukując: – Bałagan w domu, niezła zagrywka! Odprowadziła go uśmiechem. Oczywiście, że ją przejrzał. Zawsze miała idealny porządek, a teraz tym bardziej. Przed pójściem do szpitala wysprzątała dom od dołu do góry. Gdy człowiek ma rodziców bałaganiarzy, może stać się taki sam albo przemienić w ortodoksyjnego pedanta.

Mogła wykręcić się od pomocy Jeroda, poprosić Cassie, by po nią przyjechała, bo inaczej znajdzie się na łasce nadgorliwego onkologa. Jednak było coś, co ją intrygowało. Dlaczego ten lekarz jest taki uczynny? Bezlitośnie katuje ją chemią, od czego całkiem osłabnie i wyłysieje, bo taka jest jego rola. Lekarze ratują pacjentom zdrowie i życie, nieraz zadając ból, natomiast nie świadczą uprzejmości, bo to nie ich rola, zresztą są na to zbyt zalatani. Na przykład jej nigdy nie przyszło do głowy, by zamówić pacjentce taksówkę. Aż ją olśniło. Widzi w niej koleżankę po fachu. Dlatego tak ją traktuje. Pewnie zdarzały mu się pacjentki lekarki, ale może ona jest najmłodsza. Współczuje jej, zastanawia się, co sam by przeżywał na jej miejscu, jak wyglądałoby jego życie, gdyby w wieku dwudziestu pięciu lat zachorował na raka. Zwłaszcza że był onkologiem i doskonale wiedział, jakie ta choroba czyni spustoszenie. Bardzo prawdopodobne, że nie miałby dzieci. Tych nastoletnich córek, przez które rwał sobie włosy z głowy. Chemioterapia i nowotwór dramatycznie zmieniają ludziom życie, choćby odbierają szansę na zostanie matką czy ojcem.

Dzieci. Chciała mieć dzieci z Markiem. Po pierwszym ataku nowotworu i rozpadzie związku wiedziała, że musi odczekać przynajmniej pięć lat, nim zacznie planować przyszłość. W wieku dwudziestu pięciu lat to nie była druzgocząca perspektywa. Trzydzieści, trzydzieści dwa lata to jeszcze dobry czas na dziecko. Teraz to wszystko się przesunie. Ta myśl ją dobijała. Dopiero mając trzydzieści sześć, trzydzieści siedem lat będzie mogła pomyśleć o macierzyństwie, a po dwóch nowotworach spadają szanse, że zdoła wychować swe dzieci. Coraz mocniej docierało do niej, że musi pożegnać się z marzeniami, co nie przyjdzie łatwo, zwłaszcza że niemal każdego dnia odbiera porody, czerpiąc z tego ogromną satysfakcję i poczucie spełnienia. Bo pragnie być jedną z tych kobiet, które stają się matkami. Po drugiej do pokoju wszedł Jerod. Beth była w znacznie gorszym stanie niż rano, nie miała

siły z nim walczyć. Czowała się wyczerpana, potwornie zmęczona. Zastrzyk przeciwbólowy ją osłabił, stała się senna.

– Widzę, że jesteś gotowa.

– Nie wiem, czemu jesteś taki pomocny. Lekarze raczej tak się nie zachowują.

– Z natury jestem uczynny. – Sięgnął po jej torbę. – No i mam do czynienia z koleżanką po fachu. Wiadomo, że lekarze ostro rywalizują, ale w potrzebie możemy na siebie liczyć.

Aha, czyli jest tak, jak myślała. Poczucie solidarności zawodowej. Powoli podeszła do wózka, usiadła.

– Pewnie się zastanawiasz, jak byś się czuł na moim miejscu. Gdybyś zachorował na raka w tak młodym wieku i przeszedł poważną operację.

– To prawda. W wieku dwudziestu dziewięciu lat byłem zupełnie zielony, i to pod każdym względem. Dopiero pracowałem na stażu.

– Od tamtej pory wyrobiłeś sobie nazwisko.

– Tak mówisz? – Popchnął wózek na korytarz. – Po prostu miałem szczęście.

– Nawet nie pamiętam, ile masz lat.

– Niedługo stuknie mi magiczna pięćdziesiątka.

– Świetnie się trzymasz.

– Dzięki – odparł ze śmiechem. – Rany, jesteś bardzo miła. Co się dzieje? Nagle straciłaś pazurki?

– Och... – Też się uśmiechnęła. – Operacja mnie wykończyła. Zwykle nie jestem taka milutka.

– Nie przesadzaj, bo to nie jest prawda. Zawiozę cię do domu, wypoczniesz i nabierzesz sił. Ta twoja koleżanka nie będzie cię zameczać? Mam nadzieję, że nie jest jednym z tych sierżantów przebranych za siostry, co to nie dają człowiekowi zipnąć, wciąż go instruuja i dyscyplinują?

– Jest wyjątkową pielęgniarką. Lepszej nie znajdziesz. Dałabym wszystko, by taką przy sobie mieć. I jest wspaniałą przyjaciółką. Fanatycznie oddana pracy. Od samego początku pracuje na ostrym dyżurze.

– Lubię te dziewczyny z ostrego dyżuru – skomentował z uśmiechem.
– Tylko śmigają, bo wciąż coś się tam dzieje. Trzeba być byстрыm i działać błyskawicznie.

– U ciebie wszystko toczy się wolniej – podjęła Beth, lecz w jej głosie słychać było znużenie.

– Owszem, choć mamy pewne plusy. Jeśli wykazemy cierpliwość, dobrze dobierzemy leczenie i dopisze nam szczęście, widzimy wyleczonego pacjenta. Na ostrym dyżurze chorego poskładają i pozszywają, a potem znika z oczu. Praca na onkologii wymaga poświęcenia.

– To widzę... łącznie z odwożeniem pacjenta do domu.

Podjechał wózkiem do samochodu, wsunął torbę na tylne siedzenie i przyglądał się, jak Beth zręcznie, choć bardzo powoli wsiada do środka. Ciężko oparła głowę o zagłówek.

– Nim uśniesz, podaj mi adres – poprosił Jerod, gdy już zajął miejsce kierowcy. – Potem możesz się odprężyć.

Beth podyktowała adres, Jerod wbił go do GPS-u. Marzyła tylko o tym, by wejść do sypialni i położyć się do łóżka. Nagle coś sobie przypomniała.

– Muszę jeszcze wpaść do apteki po leki...

– Te? – Wyjął z kieszeni niewielką fiolkę z tabletkami

– Och, Jerod, jesteś super. – Gdy samochód ruszył, Beth oparła się wygodnie, zamknęła oczy i powiedziała cicho: – Chyba nie flirtujesz ze mną, co? No wiesz, podwożenie, lekarstwa...

– Chętnie bym poflirtował, gdybym miał nadzieję, że coś mi z tego przyjdzie – odparł miękko. – Nie jesteś teraz w nastroju, Beth.

– Cóż, masz rację. – Popatrzyła na niego sennymi oczami. – Dziesięć minut temu dostałam zastrzyk przeciwbólowy, czuję, jak mnie otępia. Podczas jazdy nie będziesz mieć ze mnie wielkiego pożytku.

– Nie przejmuj się, śpij. Jestem dobrym kierowcą.

Nie wiedziała, jak długo jechali do jej domu. Jerod pomógł jej wysiąść, podtrzymał ją, gdy szła na chwiejnych nogach. Poprowadził ją do sypialni. Beth położyła się na łóżku, nie otwierając oczu. Jerod zdjął jej buty, pod lewe ramię podłożył poduszkę, by nie uraziła operowanej strony. Chciała mu podziękować, lecz tylko wyszeptała coś bezgłośnie i zasnęła. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Leki otumaniały ją, złagodziły ból. Niech śpi i nabiera sił. Pochylił się i musnął ustami jej czoło.

– Czuję to – powiedziała.

Jerod tylko się roześmiał.

Billy, choć nie bez obaw, dzielnie poddał się wazektomii. Julie siedziała pod gabinetem. Wreszcie lekarz wyszedł i oznajmił, że pacjent musi poleżeć dwadzieścia, może czterdzieści minut.

– Może pani wejść do męża – dodał na koniec.

Billy był wyraźnie poruszony, ale i dumny z siebie. Pokonał uprzedzenia, przemógł się i pozwolił się pociąć.

Wziął kilka dni zwolnienia, co dotąd mu się nie zdarzało, ale po zabiegu musiał dojść do siebie. Potem wrócił do pracy.

Doradca finansowy odezwał się kilka razy, choć na razie niewiele miał do przekazania. Zapewniał jednak, że są postępy, a mianowicie wystawcy kart kredytowych wyrazili gotowość do negocjacji. Niestety bank, który kredytował kupno domu, stanowczo odmówił. Billy nie mógł zrozumieć takiego podejścia, bo przecież to bank najwięcej straci, jeśli ogłoszą upadłość. Miał teraz wiele na głowie. Jeszcze nie wydobrzał po zabiegu, co czasami boleśnie odczuwał; martwił się finansami, miał poczucie winy, że tak beztrąsko podchodził do narastających problemów i tak późno zorientował się w sytuacji, dręczyły go wyrzuty sumienia, że tyle zwałił na barki Julie, a sam był radosny jak szczygiełek, gdy próbowała otworzyć mu oczy. Żałował dziecka, które mogli mieć, a które stracili. Nie było planowane, jak zresztą żadne z trójki, lecz kochali dzieci i chcieli mieć dużą rodzinę. Gdyby nie problemy finansowe, bez namysłu postaraliby się o czwarte. Takie myśli pochłaniały go bez reszty, nic więc dziwnego, że niewiele z zewnątrz do niego dochodziło. Spostrzegł jednak, że Joe jest rozdrażniony i ponury. Zazwyczaj był do rzeczy. Może trochę narwany, lecz miał poczucie humoru, był wesoły, energiczny, rozmowny i skory do pomocy. To się zmieniło. Przez cały dzień mieli sporo wezwań, lecz

tuż przed kolacją udało mu się pogadać z kumplem w cztery oczy. Joe z chmurną miną polerował samochód. Billy oparł się o auto.

– Stary, coś cię gryzie. Nic nie mówisz, ale widać po tobie, że jesteś wkurzony.

– Tak? – Joe nawet nie podniósł oczu. – Spadaj.

– Skoro nie chcesz gadać, to tylko znaczy, że powinieneś wyrzucić to z siebie, nim komuś przyłożysz.

– Chcesz być pierwszy? – Joe wyprostował się.

– Ho, ho! Aż tak fatalnie? Jeszcze nikt nie chciał mi przywalić.

– A to niby dlaczego, cwaniaczku?

– Bo wszyscy wielbią mój urok osobisty – odparł z uśmiechem. – Zapytaj Julie.

Joe znów sięgnął po ścierkę i zaczął trzeć karoserię, wreszcie burknął:

– No właśnie, mógłbyś się czegoś od niej wywiedzieć.

– Aha, czyli chodzi o Marty. Julie nic mi nie powie, nie ma szans. Te nasze kobitki gadają jak najęte i nie mogą się zamknąć, choćbyś nie wiem jak prosił, ale jak chcesz dowiedzieć się jakichś konkretów, to mają buzie na kłódki. Chcesz dusić to w środku i warczeć na każdego, kto się do ciebie zbliży, czy może wyrzucisz to z siebie?

– Nie wiem, o co jej chodzi – rzekł posepnie. – Coś ją ugryzło, ale nie mam pojęcia, w czym rzecz.

– Pytałeś ją?

– A co mi z tego przyjdzie? – Skrzywił się. – Zrobiła się z niej straszna żółta, wciąż ma mi wszystko za złe, wciąż się mnie czepia. Nic jej się nie podoba. Pewnie jej się marzy, bym czekał na nią w drzwiach, gdy wraca do domu, roznegliżowany i z lampką wina w ręku. Cokolwiek zrobię, jest niezadowolona.

– Znam to aż za dobrze – ze śmiechem odparł Billy.

– Tak?

Żebyś wiedział. Ostatni raz, gdy też wszystko wkurzało ją jak cholera, była w ciąży. Po raz czwarty.

Joe przesunął palcami po czarnych gęstych włosach.

– Och. Myślisz, że Marty może być...

– Do diabła, Joe, niby skąd ja mógłbym wiedzieć? To twoje poletko!

– No tak, ale... Czy Julie zrobiła coś dziwnego? Zachowywała się nienormalnie?

– To znaczy?

– Na przykład wyprowadziła się z sypialni?

Billy zbaraniał. Owszem, w jego małżeństwie bywało różnie, mieli gorsze okresy, jednak gdyby Julie wyniosła się ze wspólnej sypialni, uznaliby, że to koniec. Nawet gdy zmagali się z najgorszymi problemami, zawsze spali razem, przytuleni do siebie, wzajemnie czerpiąc z siebie wiarę i siłę.

– Do diabła, Joe... To naprawdę niedobrze – powiedział ponuro.

– Myślisz, że nie wiem? – Joe znów zaczął polerować chromy.

- Wyprowadziła się z waszej sypialni?
- Do pokoju gościnnego. Zabrała suszarkę i kosmetyki, potem całą resztę łącznie z ubraniami. Wyniosła się z naszego pokoju. Nie wiem, co teraz będzie. I nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, co to za gra...
- Joe – powiedział Billy, kładąc mu rękę na ramieniu – to nie jest gra. Lepiej dowiedz się, co się stało, póki nie będzie za późno. Ona odchodzi od ciebie. Masz mało czasu.
- Jak może ode mnie odejść? Przysięgaliśmy sobie!
- Jeśli uważasz, że przysięga załatwia sprawę, to jesteś nie z tego świata. Obudź się, stary! Przysięga zobowiązuje dwie strony, obie muszą się starać. Joe, coś ci powiem, ale tylko do twojej wiadomości. Zgoda?
- Jak chcesz. – Wzruszył ramionami. – Trzymam język za zębami, przecież wiesz.
- Chodzi mi o dziewczyny.
- Przestały ze mną rozmawiać – stwierdził ponuro. – Nawet ta, z którą się ożeniłem.
- No dobra. Nie wiem, czy to ci coś rozjaśni, czy nie, ale gdy Julie była na mnie wściekła, chodziło nie tylko o ciążę. Bała się urodzić kolejne dziecko, bo z pieniędzmi było bardzo krucho.
- Billy, pierwsze lata w straży zawsze są ciężkie, szczególnie gdy człowiek ma na utrzymaniu rodzinę...
- Nie w tym rzecz. Julie od co najmniej dwóch lat użalała się, że nie może związać końca z końcem. Wiesz, jaka była moja reakcja? Staralem się ją pocieszyć, namawiałem, żeby myślała pozytywnie, zamiast wysłuchać, co do mnie mówi. Ale cóż, harowałem od rana do nocy i nic

do mnie nie docierało. Myślałem tylko, by jak najwięcej zarobić i w ten sposób rozwiązać nasze problemy. Byłem na nią zły, że nie jest wdzięczna za moją ciężką pracę, nie docenia mnie. Joe, ona do mnie mówiła, a ja powtarzałem, żeby się wyluzowała, przestała się przejmować, zapewniałem, że wszystko będzie dobrze. Gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, była przerażona, a ja zdołałem się opamiętać, dopiero gdy stało się jasne, że sami nie wyjdziemy z długów i grozi nam upadłość, a już na pewno nie damy sobie rady bez pomocy profesjonalnego doradcy. Dopiero wtedy otworzyły mi się oczy. Ten doradca jest pełen podziwu dla Julie. Powiedział, że tylko dzięki jej znakomitym pomysłom udało nam się przetrwać tak długo i nie pomarliśmy z głodu.

– Boże, Billy. – Joe popatrzył na niego ze współczuciem. – Nie miałem pojęcia, że jest wam tak ciężko...

– Nie mówię ci tego, byś się nade mną litował. Zrobiliśmy pierwsze podejście, mam nadzieję, że jakoś się wygrzebiemy. To, co chciałem powiedzieć, jest bardzo proste: moja żona mówiła, a ja nie słuchałem. Powiedziałaś Marty, żeby się nie przejmowała, żeby wyluzowała? Kiedy się o coś wścieka, mówisz jej, żeby dała sobie spokój, zrelaksowała się? Może zarzucasz jej, że połowa problemów wynika z jej nastawienia?

– A co innego można powiedzieć?

– Tak samo do tego podchodziłem, i to był wielki błąd. O co Marty ma największe pretensje? Kojarzysz coś? Pamiętasz?

– Och, pamiętam aż za dobrze! – rzucił z irytacją. – Wkurza ją piłka, nienawidzi futbolu, a właśnie zaczyna się sezon. Chce, żebym zajmował się domem, a ja wypruwam sobie żyły, żeby wszystko było jak należy! Na całej ulicy nie ma lepiej utrzymanego ogródka, samochodów, łódki czy garażu! Wszystko lśni, do niczego się nie przyczepisz. Zachciewa

się jej randek! Łapiesz? Randek! Po co chodzić na randki z własną żoną? W dodatku nie cierpi moich szortów! A są takie wygodne. Ja się nie wtrącam do jej strojów, nie mówię, co ma na sobie włożyć.

– Rany, przecież Marty zawsze wygląda super i to chyba ci nie przeszkadza...

– Ona nie cierpi wszystkiego, co ma jakikolwiek związek ze mną! Co mam zrobić? No i zamiast siedzieć w domu zaczęła wychodzić, spotykać się z dziewczynami.

– Z jakimi dziewczynami?

– Z naszymi. Tak myślę.

Julie nigdzie nie wychodziła. Billy poczuł lodowaty chłód. Małżeństwo kumpla najpewniej wisiało na włosku.

– No dobrze, porozmawiaj z nią. Masz na to szansę? Tylko we dwójkę?

– Marty stwierdziła, że już nie mamy o czym.

– Wiesz co? Spróbuj inaczej... Zapytaj Marty, co masz zrobić, byś ją odzyskał. Poproś, by ci pomogła, bo masz zakuty łeb i nie możesz wpaść na dobry pomysł. Niech na początek da ci coś prostego, łatwego, a ty to zrobisz. Na pewno będzie ci łatwiej, niż tak się zadręczać!

– Rany, ona zaraz wymyśli jakąś niesamowitą bzdurę...

– Joe! Pozbędziesz się tych wygodnych szortów, jeśli to będzie cena za jej powrót do waszej sypialni? Wyłączysz mecz i powitasz ją w drzwiach w negliżu i lampką wina?

– Mógłbym powitać ją nawet w odblaskowych ochraniaczach na moje klejnoty. Masz pojęcie, jak dawno nie byłem z nią w łóżku?

Billy uśmiechnął się. Może to pewien przyczynek do ich problemów. Joe jest porządnym facetem, ale ma duże potrzeby, za to brak mu cierpliwości.

– Musiałeś kiedyś choć trochę się o nią starać? Jeszcze przed ślubem?

– Stary, złożyliśmy sobie przysięgę, umowa stoi. Przynosisz dobrą kasę, robisz w domu, co do ciebie należy, i na tym basta. Jeszcze miałbym się prosić?

– Człowieku, nie masz pojęcia o kobietach! – ze śmiechem skwitował te mądrości Billy. – Kobietę trzeba zawsze uwodzić, nie można przestać po ślubie. Co ona sobie pomyśli? Będzie pewna, że już jej nie kochasz, nie chcesz jej, nie zależy ci na niej...

– Ona dobrze wie, że jej pragnę – obruszył się Joe.

– Coś mi się widzi, że nawet jeśli jej chcesz, to nie w taki sposób, by czuła się zadowolona i szczęśliwa. Stary, lepiej się dowiedz, czego ona od ciebie potrzebuje. I bądź przygotowany na wyłączenie meczu i włożenie tych odblaskowych gaci. Rób, co trzeba, jeśli ci na niej zależy. Bo nie wiem... może tak nie jest.

– Chcę, by wróciła na swoje miejsce.

Na swoje miejsce. Piękne podejście. Jakby była jego rzeczą.

– Joe, posłuchaj mojej rady. Pozwól jej przejąć stery w domu. Niech cię oswoi, udomowi. Niech mówi, czego od ciebie chce, a ty spełniaj jej zachcianki. Wydaje się, że to przerąbane życie, ale tak naprawdę to czysta fantazja.

– Z tego, co mówisz, wychodzi na to, że to kobieta powinna rządzić. Oto sekret do szczęścia – kwaśno stwierdził Joe.

– Joe, ona już u was rządzi. Wyprowadziła się z waszej sypialni. Słuchałeś, co do ciebie mówiłem? Daj jej to, czego pragnie, a zacznie cię traktować jak króla, za jakiego i tak się uważasz.

– Ale ty bredzisz!

– Tak? Znam Marty już ze dwadzieścia lat. Nigdy nie wymagała od ciebie za dużo, nie ma nadmiernych oczekiwań. Kiedyś kręciło się wokół niej wielu chłopaków, robili podchody, stawali na rzesach, by na nich spojrzeć.

– Ja nigdy tak nie robiłem.

– Wiem. Mówiła o tobie, że poznała księcia. Nadal jesteś księciem, Joe? – Billy zadumał się na moment. – Przez kilka lat żyłem w nieświadomości i za to beztrudnie podejście zapłaciłem wysoką cenę, ale moja żona nigdy nie wyniosła się z naszej sypialni. Zrób, jak uważasz. Życzę powodzenia.

Joe przez całą kolację był ponury i zamyślony. Gdy z kolejnego wezwania wracali do remizy, znów zapadał się w siebie, pochłonięty mrocznymi myślami, choć zwykle był wesoły i skory do żartów. Billy przyglądał mu się dyskretnie. Pewnie zastanawiał się nad tym, co usłyszał. I rozważał, co powinien zrobić. Bardzo żałował, że wcześniej był głuchy na utyskiwania Julie. Gdyby w odpowiednim czasie zainteresował się rachunkami, wcześniej poszukaliby pomocy. Wciąż brzmiały mu w uszach słowa Johna, który przekonywał, że małżeństwo i rodzina to największe wartości. Niby to wiedział, jednak dopiero teraz to pojawił. Kiedy rano wrócił do domu, Julie siedziała w kuchni. Przy porannej kawie robiła listę zakupów. Pocałował ją.

– Co jest z Marty i Joe? – zapytał. – Powiedział mi, że wyniosła się z małżeńskiej sypialni.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, że jest aż tak źle!

– Joe od tygodnia chodzi jak struty, więc wreszcie go przycisnąłem. Powiedz mi, o co tam chodzi? Pytam, bo nie wiem, czy udzieliłem właściwej rady.

– Marty ostatnio wciąż się na niego skarży, poczynając od tego, że przed pójściem do łóżka Joe nie bierze prysznic i nie goli się, tylko pakuje się na nią, jakby była dmuchaną lalką. A gra wstępna ogranicza się do pytania, czy nie śpi.

– No nie! Choć jakoś mnie to nie zaskakuje.

– Co mu poradziłeś?

– Żeby słuchał, co żona do niego mówi. Rada, którą powinienem wziąć sobie do serca już dawno temu.

Od operacji minął tydzień i Beth czuła się o wiele lepiej.

– Już pora powiedzieć dziewczynom – zagadnęła ją Cassie.

– Dobrze, teraz już mogę, a potem muszę wybrać się do rodziców. Odkładałam to, aż będę w lepszej formie. Wiem, że chcą dobrze, ale sama wiesz, jak im to wychodzi. Bałam się, że gdy będę wykończona chemią, zaczną mnie po swojemu wspierać. Hm, straszna ze mnie małpa, co?

– Nie, przecież widziałam ich w akcji. Załatwisz z nimi, jak uważasz, jednak dziewczyny powinny wiedzieć, dlatego zadzwoń do nich...

– Jasne.

Julie i Marty zjawiły się u niej o siódmej. Opowiedziała im o swoich przeżyciach, nie szczędząc szczegółów.

– Beth, jeśli wolisz o tym nie mówić, to nie ma sprawy. Powiedzieli ci, jakie są rokowania?

– Podobno dobre. Wprawdzie historia się powtarza, lecz staram się podejść do tego racjonalnie. Rak piersi najczęściej przerzuca się na węzły chłonne i płuca, lecz u mnie to nie były przerzuty, tylko pierwotny nowotwór, który powtórnie zaatakował. Zgodziłam się na agresywną terapię, czyli radykalną operację i chemoterapię. Niech ten drań zginie, nim mnie uśmierci. Owszem, mam predyspozycje do raka piersi, lecz do innych typów nowotworów raczej nie.

– Boisz się? – zapytała Marty.

– Tak, choć jeszcze bardziej jestem wściekła. Włożyłam tyle trudu, żeby zostać lekarzem i co, tylko po to, by umrzeć młodo, nie wykorzystać tego, czego się nauczyłam, nie zasmakować tej pracy? Gdybym mogła przewidzieć, że tak potoczą się moje losy, inaczej bym zaplanowała życie. Pojeździłabym po świecie, poszalała, zakosztowała wszelkich przyjemności...

– Przecież zawsze chciałaś zostać lekarzem – zdziwiła się Julie.

– To we mnie dojrzewało. Najpierw było wyzwanie, czyli trudne studia na renomowanej uczelni, planowanie kariery naukowej, jak wszystko pójdzie dobrze po latach uhonorowanej Noblem. Lecz coś się we mnie zmieniło. Odkryłam, że inaczej niż moi rodzice, uwielbiam kontakt z ludźmi, sprawdzam się w tym. No i zafascynowała mnie ginekologia, i to nie tylko od medycznej, naukowej strony, ale i od czysto ludzkiej. Co za ironia losu... Uwielbiam sprowadzać dzieci na świat, a sama

najpewniej nigdy nie zostanę matką. Owszem, jakaś szansa istnieje, ale...

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś?

– Nie bierzcie tego do siebie – odparła cicho. – Problem był we mnie. Przed pięciu laty wszyscy starali się mnie wspierać, a ja miałam poczucie, że moje dni są policzone i dlatego tak koło mnie skaczecie. Potem Mark mnie zostawił, przez co jeszcze bardziej poczułam się naznaczona, skazana na stracenie. Myślałam, że to moje ostatnie dni. Człowiek w takim stanie umysłu nie zdrowieje. Teraz chciałam tego uniknąć. Wmawiałam sobie, że muszę zmienić podejście, nie traktować tego jak choroby, a coś, co się zdarzyło i minie, tylko muszę się sprężyć i przez to przejść. Zdaję sobie sprawę, że to nie będzie łatwe, mimo to...
– Popatrzyła na przyjaciółki. – Chciałam mieć normalne życie, nic więcej. Tylko że to życie wciąż mi się wymyka.

– Boże, Beth, czy to znaczy, że ostatnim razem dobijałyśmy cię, zamiast ci pomóc? – spytała wstrząśnięta Julie. – Jeśli tak, to nie...

– Julie, nie o to chodzi – weszła jej w słowo Beth. – Dobijała mnie powaga mojej sytuacji. Wiesz, że nie znoszę tragedii, załamywania rąk. Samotność nie była dla mnie ciężarem czy cierpieniem. Co innego, gdy zostałam porzucona. Najpierw diagnoza i leczenie, potem odejście Marka, to tylko podkreślało beznadziejność mojej sytuacji, a nie widoki na wyzdrowienie. – Przerwała na moment. – Co bym poczęła, gdybyście wtedy nie były przy mnie? Teraz widzę, jak wiele wam zawdzięczam, gdy jednak okazało się, że mam nawrót raka, opanowało mnie irracjonalne przekonanie, że jeśli nic nie pisnę o mojej chorobie, nim nie wyjdę na prostą, to nam wszystkim będzie lepiej i łatwiej. Dalej będziemy korzystać z życia, mieć z niego frajdę.

– I korzystamy – powiedziała Cassie. – Pracujemy, bawimy się, a teraz pomożemy ci przetrwać najtrudniejsze dni. Tylko nie możesz się przed nami czać. Koniec z tym, Beth. Masz nieskazitelną charakter, z jedną rysą niestety, a mam na myśli ten twój okropny introwertyzm, zamykanie się w sobie. Uważaj, bo kiedyś się na tym ostro przejedziesz.

– Pewnie masz rację – przyznała Beth. – Mój onkolog tylko by ci przyklasnął. Na pierwszej wizycie wyciągał ze mnie szczegóły z mojego życia, wypytywał o rodzinę i przyjaciół. Powiedziałam mu, że to oddane mi osoby, które zamierzam pozostawić w niewiedzy, nie wciągać w swoje problemy.

– Jej onkolog dzwoni codziennie – zdradziła Cassie.

– To porządny człowiek. Jesteśmy kolegami po fachu, dlatego powiedział mi o swoich przemyśleniach w kontekście mojej choroby. Zastanawiał się, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby w wieku dwudziestu pięciu lat zdiagnozowano u niego raka. Wciąż jest pod wrażeniem. To mój lekarz, lecz zarazem chce być dla mnie bratnią duszą. Nie widzę w tym nic złego, przynajmniej na razie. Lubię go, jest dobrym przyjacielem. To mi pasuje.

– Aha, przyjaciel... On cię uwielbia – zawyrokowała Cassie.

– Jako pacjentkę i koleżankę. – Beth uśmiechnęła się lekko. – A niejaki Walt wydzwaniał do Cassie co najmniej trzy razy dziennie.

– No proszę! – wykrzyknęła Marty.

– Hm, to mi wygląda na poważną sprawę – powiedziała Julie.

– Przestańcie, to tylko Walt – uciszyła je Cassie. – Powiedziałam mu, że wzięłam trochę wolnego, by opiekować się Beth. Walt wie, że chodzi

o moją przyjaciółkę, więc przejmuję się tym, co ją spotkało. Jest dla mnie bardzo miły i... wspiera mnie.

– To oczywiste. Tylko nie rozumiem, dlaczego nam próbujesz wmówić, że to nic poważnego? – dziwiła się Julie.

– Bo nie chcę, żeby nasz układ się zmienił – wyjaśniła Cassie. – Walt jest świetnym kumplem, na którego zawsze mogę liczyć. To idealny układ, również dla niego. Jesteśmy z dwóch różnych światów, nic nas nie łączy, mamy krańcowo różne gusta. Szybko byśmy się sobie znudzili.

– Cassie, czemu uważasz, że do siebie nie pasujecie? – dociekała Julie.

– Na przykład Walt ma wytatuowaną gołą babę, o tu, na ramieniu – pokazała na sobie – nie gdzieś wysoko, czyli pełna ekspozycja. Niech cały świat podziwia sterczące cycki. Walt jest super jako kumpel, ale jeśli myślicie, że mogłabym zadać się z motocyklistą, to dajcie sobie spokój.

Dochodziła jedenasta, gdy Marty dotarła do domu. Spotkanie u Beth przeciągnęło się ponad miarę. Gdy wychodziły, przyjaciółka, choć robiła dobrą minę, wyraźnie opadła z sił. Jednak ta wieczorna rozmowa dobrze im zrobiła, była jak sesja terapii grupowej. Każda wyrzuciła z siebie, co ją bolało. Beth otwarcie opowiedziała o swym gniewie i panicznym lęku, Julie zaszokowała je wyznaniem o przytłaczających ją i Billy'ego problemach finansowych i rozpaczliwych staraniach o utrzymanie rodziny i małżeństwa. Cassie zwierzyła się ze swych relacji z Waltem i próbach zachowania znajomości na dotychczasowych zasadach, co rozśmieszyło przyjaciółki. Nawet Beth wybuchnęła histerycznym śmiechem. Śmiech przeplatał się ze łzami, rozbawienie ze smutkiem.

Marty też pozwoliła sobie na szczerość. Nie dość, że wciąż była pod urokiem Ryana, to snuła dzikie fantazje na przyszłość. Gdy już rozstanie się z Joem, odezwie się do Ryana i może dawne uczucie odżyje. Jak się spodziewała, przyjaciółki nie kryły zdumienia i sceptycyzmu. Nie wierzyły w przemianę Ryana, przypominały Marty, jak źle ją traktował, ile razy ją zawiódł. Zresztą Marty sama nie do końca mu wierzyła, jednak przez te dwie godziny z Ryanem czuła się tak dobrze, jak już dawno nie czuła się z Joem. To ją intrygowało i kusilo. Ryan okazał jej zainteresowanie, traktował jak kobietę.

– Bo chce się do ciebie dobrać! Jak zawsze! Tylko o to jedno mu chodzi!

To jej nie przekonało. Bo czy wiedzą, jakie to cudowne uczucie, gdy mężczyzna się o ciebie stara, zadaje sobie trud, by się do ciebie dobrać? Joe już dawno przestał zawracać sobie tym głowę, bo uważał, że wszystko mu się należy. Skończyły się czule słówka, romantyczne randki, pomoc w domowych zajęciach, zgadywanie jej zachcianek. Nawet w łóżku ją popędzał, choć wcześniej był inny. Stał się gruboskórnym, zapatrzonym w siebie dupkiem, dla którego liczą się tylko jego potrzeby. Opowiadały o swoich problemach, lecz doskonale zdawały sobie sprawę, że te opowieści są jakby koniecznym dodatkiem, a prawdziwy powód przedłużającego się spotkania był inny – Beth i choroba, która trwale ją oszpeciła. Gdy pokazała bliznę na piersi, wstrzymywały oddech i łzy cisnęły się do oczu.

– Miejmy to za sobą – rzekła Beth, zdecydowanym ruchem rozpinając bluzkę i specjalny stanik. – Oto jak teraz wyglądam. Możecie płakać, ja też nie mogłam się opanować. Ale cóż, jest, jak jest.

Nie pozwoliły sobie na płacz. Beth twierdziła stanowczo, że chce iść do przodu, nie poddawać się. Twardo trzymała się nadziei, że okrutna terapia da efekty i wreszcie będzie mogła zacząć żyć bez strachu. Potrzebowała wsparcia i akceptacji przyjaciółek, a nie żalu, litości, dramatyzowania. Oczywiście były wstrząśnięte, lecz trzymały się i dodawały jej otuchy. Musi zwalczyć raka, nim on ją pokona. Dokopać draniowi! I żyć sto lat, a potem jeszcze dłużej! Bo czeka ją jeszcze tyle fajnych rzeczy. Co tam piersi, bez nich można żyć! Weszła do pogrążonego w mroku domu. Idąc do kuchni, spostrzegła, że Joe zostawił dla niej zapaloną lampkę. Musi wcześniej wstać, by odwieźć Jasona do mamy, a o dziewiątej stawić się w pracy. Wiedziała jednak, że teraz nie zaśnie, była zbyt poruszona, by iść do łóżka. Tak długo wstrzymywane łzy wreszcie mogły popłynąć. Biedna Beth! Wszystkie jej zazdrościły, marzyły po cichu, by być takie jak ona. Dlaczego młodą, piękną, zdolną i mądrą kobietę spotkało coś takiego? Gdzie tu sprawiedliwość? Nie dość, że się nacierpi, to w każdej chwili może umrzeć. Nawet jeśli choroba jej nie pokona, to tak wiele musiała przejść i mnóstwo jeszcze przed nią. Tak nie powinno być! Długo rozmawiały o śmierci, o tym, ilu ludzi umiera, nie Żniwiarz nie ustaje w swej pracy. Na amerykańskich drogach każdego roku ginie prawie pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nagle i bez uprzedzenia, bez szans, by się do tego przygotować, oswoić z tą perspektywą. Nie zdążą zrobić porządku w swoich sprawach, usunąć tego, co nie było przeznaczone dla postronnych. Jedyna różnica to czas, stwierdziła Beth. Ona dostała ten czas: świadomość nadchodzącej śmierci i możliwość przygotowania się do niej. Na swój perwersyjny sposób błogosławiony dar, nieważne, czy masz dwadzieścia dziewięć, czy dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Dla Marty było to słabe pocieszenie. Myśl, że jedna z nich może odejść, zdruzgotała ją.

Nie piły drinków, bo Beth chciała jak najdłużej pozostać w formie, a leki i chemoterapia podkopywały jej siły, więc alkohol był dla niej owocem zakazanym. Przyjaciółki solidarnie ograniczyły się do soku. Beth zarzekała się, że jeśli kiedyś wyjdzie na prostą, odbiją to sobie z nawiązką, ubzdryngolą się w damskim gronie! Marty wyjęła z kredensu butelkę likieru pomarańczowego. Trochę alkoholu ją rozluźni, uciszy smutek i przygnębienie. Cóż, gdy serce jej ściska się z żalu, pozostał tylko samotny drink w tonącej w półmroku kuchni. W sumie żadna nowość, bo odkąd wyszła za męża, jest zdana tylko na siebie. Joe nigdy nie widzi jej nastrojów, jest ślepy na jej emocje...

– Wróciłaś?

Odwróciła się. Joe stał w drzwiach. Nawet w przytłumionym świetle widziała, że był w tych paskudnych, śmierdzących szortach. Zrobił kilka kroków do przodu. No tak, nawet się nie ogolił.

– Tak – powiedziała, łykając łzy. – Wracaj do łóżka.

Wszedł do kuchni, stanął na wprost Marty.

– Płaczesz?

Otarła łzy, upiła łyk likieru.

– Nic mi nie jest. Idź spać. Nie mamy o czym rozmawiać. Jest późno. Jestem zmęczona.

– Zmęczona i na coś wkurzona – powiedział szorstko. – Może wcale nie byłaś z dziewczynami, może chodzi o coś innego, coś na boku?

– Byłam u Beth – odpowiedziała podniesionym głosem. – Znów zdiagnozowali u niej raka. Usunęli jej drugą pierś i nic już jej nie pozostało poza nadzieją, że pożyje jeszcze kilka lat. Masz rację, przez to jestem wkurzona. A teraz zostaw mnie samą!

– Och, Marty – powiedział, wyciągając do niej rękę, lecz powstrzymał się, znieruchomiał. – O rany.

Marty opuściła głowę, zaszlochała cicho. Upiła łyk, by się uspokoić. Czemu on stąd nie idzie?

– Marty... wiem, że to dla ciebie straszne. Chciałbym ci jakoś pomóc.

– Nic nie możesz zrobić, Joe. W zasadzie już nawet nie mieszkamy razem.

– Skarbie, myślałem o nas... Gdybyś powiedziała mi, czego chcesz...

– Już na to za późno, Joe. Tak długo wciąż ci to powtarzałam. Czas minął. Przez ostatnie trzy lata mówiłam jak do ściany, nic do ciebie nie docierało. Już tego nie naprawisz. Idź spać. Ja też zaraz się kładę. I nie chcę o tym rozmawiać.

– To dlatego płaczesz? Z powodu Beth?

– Tak, Joe. – Roześmiała się gorzko. On jeszcze pyta? Co za idiota! To tylko pokazuje, jak niewiele ich łączy. – Beth jest jedną z moich najbliższych przyjaciółek, a teraz po raz drugi ma raka. Dlatego płaczę. Nie mogę znieść myśli, że jej życie wisi na włosku. Taka mądra, doskonała, młoda...

– No tak. – Poskrobał się po głowie. – Tak, to okropne. Strasznie mi przykro, Marty. Naprawdę. – Odetchnął głęboko. – Marty, powiedz, co mógłbym zrobić.

– Już nic nie możesz zrobić. Ani ja.

– Wymień jedną rzecz. Chciałbym coś zrobić, byś poczuła się lepiej. Co tylko chcesz.

– Daj sobie spokój. Już przestałam na ciebie liczyć.

– Byłem skończonym bałwanem, teraz to widzę. To prawda, nie brałem do serca tego, co mówiłaś, ale teraz naprawdę cię słucham. Powiedz mi coś. Proszę.

– Chciałam, żebyś pomagał mi w domu – powiedziała ze znużeniem. Ile razy mu to mówiła?

– Marty, przecież pomagałem! Za każdym razem, gdy suszyłaś mi głowę, starałem się jeszcze bardziej. Każdą wolną chwilę poświęcałem na pracę w ogrodzie, przy samochodach, przy domu, łódce...

– Joe, czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? Nic do ciebie nie dociera?! – wykrzyknęła, będąc u kresu sił. – Chcę, żebyś sprzątał po sobie! O to jedno tylko cię proszę! Żebyś odnosił po sobie talerze i choć trochę ogarnął bałagan po sobie, gdy masz wolny dzień i jesteś w domu! Prosiłam, żebyś odwieszał mokre ręczniki, a nie zostawiał. Żebyś brudną bieliznę chował do kosza na pranie, a nie rzucał na ziemię i czekał, aż ja ją pozbieram i upiorę! Chciałam, żebyś pomagał sprzątać ze stołu, wycierał po sobie lustro w łazience, nie zostawiał włosów pod prysznicem i na podłodze! Co z tobą jest, do cholery?

Widok jego miny był bezcenny. Joe był w szoku. Odezwał się dopiero po dobrej chwili:

– Chcesz, żebym sprzątał w domu? W środku?

– Na litość boską! – Znów upiła z kieliszka.

– W środku domu?

Popatrzyła na niego jak na dziwny stwór natury.

– Naprawdę jesteś aż tak ograniczony?

– Chyba mogę... – Przełknął nerwowo. – Skarbie, za każdym razem, gdy się na mnie wściekałaś, jeszcze mocniej przykładałem się do pracy w ogrodzie i garażu. Wydawało mi się, że mamy podział. Moi rodzice tak się umówili, każde miało swoją działkę. Do diabła, Marty. Przez ostatnie dwa lata posadziłem dziesięć nowych drzewek... Sądziłem, że docenisz, jak bardzo się staram. Płacę za wszystko, inwestuję, by zabezpieczyć naszą przyszłość, pomalowałem dom, obudowałem patio, zbudowałem grilla, mieszałem beton i układałem cegły na alejce do domu... Pracowałem jak dziki osioł, dzień w dzień.

Marty pokręciła głową, widząc pomieszanie malujące się na twarzy męża. Był zdumiony, nie dowierzał, nie rozumiał...

– Joe, jak byś się czuł, gdybym po kolacji zabrała swoje talerze, mokre ręczniki i brudne ciuchy, zniosła je na łódkę i rozrzuciła jak leci, żebyś posprzątał ten cały bałagan? Albo myła zęby na przednim siedzeniu twojego samochodu, pryskając pastą na szybę?

– No to dlaczego...

– Owszem, mamy podział obowiązków. Dom to jest mój ogród i garaż. Zostawiam każde pomieszczenie w idealnym stanie, a kiedy wracam z pracy, wszystko wygląda tak, jakby grasował tu jakiś potwór demolki. Albo jakiś bezdomny niechluj, który wcale sobie nie poszedł, tylko wyleguje się na kanapie. Codziennie zmieniasz wysprzątaną dom w śmietnik! Twój ogród i garaż są jak z obrazka, a ja nawet tam się nie zbliżam. Niczego ci nie psuję. Ty przychodzisz do stołu i do łóżka brudny i śmierdzący, bo przez cały dzień przerzucałeś kompost. Jaka to dla mnie pomoc? Czego jeszcze nie rozumiesz? Naprawdę jesteś aż taki głupi?

– No tak... – mruknął Joe po chwili ciszy. – Przyznaję, nie tak to widziałem...

– No widzisz? To naprawdę bez sensu!

– Dlaczego za mnie wyszłaś, skoro jestem taki beznadziejny? Wiedziałaś, że jestem bałaganiarzem. Wypominałaś mi to, ale jednak...

– Wyszłam za ciebie, bo się starałeś! Gdy prosiłam, byś odnosił po sobie talerze, robiłeś to. Gdy zwracałam ci uwagę na włosy na podłodze w łazience, od razu ją zamiatałeś, bo zależało ci, by zatrzymać mnie na noc i wziąć razem prysznic w tej łazience! Nie zalecałeś się do mnie, śmierdząc potem i kompostem!

– Skarbie, poczekaj. Powiedz, co mam zrobić, żebyś była zadowolona. Co tylko chcesz...

– Joe, znowu mnie nie słuchasz! Nie wrócę do naszej sypialni. Nieważne, czy coś zrobisz, czy nie, po prostu mam dość! O nic już nie będę cię prosić! Mam teraz inne zmartwienia niż zastanawianie się, czy w końcu się opamiętasz, zaczniesz traktować mnie po partnersku!

– Po partnersku... – wymamrotał. – Po partnersku – powtórzył, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy. – No tak, zasłużyłem sobie na to...

– Właśnie, Joe, właśnie... – Znużonym gestem oparła się o blat.

– No tak, jestem tumanem. Marty, naprawdę byłem święcie przekonany, że bardzo się staram. Klnę się na Boga. Mógłbym paradować po domu w twoim biustonoszu na głowie i z piórami w pupie, gdybym uznał, że to cię rozbawi, że choć raz się uśmiechniesz. Jezu.

– Daj spokój, Joe...

– Kiedyś wciąż się do mnie uśmiechałaś – powiedział cicho.

– Kiedyś starałaś się, bym była szczęśliwa.

– Wydawało mi się, że choćbym nie wiem, co zrobił, nic ci się nie spodoba. Przysięgam, że tak myślałem. Wszystko cię denerwowało. Myślałem, że robię, co do mnie należy, że jestem dobrym mężem. – Oparł się o szafkę. – Zależy mi, byś była szczęśliwa. Boże, oddałbym wszystko, byś znów była zadowolona.

– Zostawmy to, Joe. Idź do łóżka, mam teraz inne problemy. Nie dotyczące ciebie i mnie, tego, czy się dogadamy. Nie chcę ciągnąć tego tematu. Nie widzisz, że jestem wstrząśnięta z powodu Beth? Na Boga, idź już i zostaw mnie samą!

Wyprostował się. Widziała, jak bardzo jest urażony, głęboko dotknięty. No i co z tego? – pomyślała. Niech spada. Nic ode mnie nie wydebi, teraz co innego mnie martwi. A jeśli Beth, przyjaciółka ze szkolnej ławy, przegra walkę z nowotworem?

Milczała jednak, zbyt była wściekła i na Joego, na chorobę Beth, na to, jak czasem układa się los. Ostro popatrzyła na męża. Gdy Joe wyszedł, ogarnęło ją poczucie pustki i przygnębienia. Odrzuciła męża, choć wreszcie zaczął słuchać, co do niego mówiła. Nie chciała jednak tego rozpamiętywać, to było ponad jej siły. Łzy znów zapiekły ją pod powiekami, choć nie do końca wiedziała, czemu płacze. Może dlatego, że ostatecznie skreśliła swoje małżeństwo? Może z powodu Beth, którą znów dopadł nowotwór? A może bała się, że już zawsze będzie sama... Wzięła butelkę i poszła na kanapę. Zrzuciła pantofle, skuliła się w rogu. Szlochała, tłumiąc łkanie, by nie obudzić Jasona. Płakała rozpaczliwie, wtulając twarz w sweter, i było w tym coś pocieszającego, sprawiającego dziwną satysfakcję. Beth tak się trzymała. Jeszcze im

dodawala otuchy. Zapewniała, że będzie dobrze, że ten zły czas się przewali. Była silna aż do bólu.

Nie wiedziała, jak długo tak szlochała, straciła poczucie czasu. Zorientowała się, że Joe przy niej jest, nim jeszcze go zobaczyła czy usłyszała. Usiadł obok, odstawił kieliszek i butelkę na stolik.

– Chodź, mała – powiedział, przygarniając do siebie. – Chodź. Przytul się.

Szarpnęła się gniewnie, z całej siły uderzyła go w pierś. A potem oparła głowę na jego ramieniu i zaniosła się głośnym, rozdzierającym płaczem. Joe przyciągnął ją jeszcze mocniej.

– Boże – wymamrotała przez łzy. – Boże, Boże! Jakie to niesprawiedliwe!

– Tak, wiem. – Pocałował ją w czubek głowy, przeciągnął palcami po jej włosach. Marty nie przestawała zawodzić. Wtulała twarz w jego owłosioną pierś, oddychała szybko, płytko. Wyglądało, że nigdy nie przestanie płakać. Tak długo wstrzymywane łzy przerwały tamę, nie miały końca. Jak przez mgłę dochodziły do niej ciche słowa Joego. To, co spotkało Beth, to niegodziwość i niesprawiedliwość i nigdy nie powinno się zdarzyć. On to rozumie, też czuje żal i smutek.

Dobrze jej było w jego ramionach.

Minęło dużo czasu, nim uniosła głowę i popatrzyła na niego.

– Wiesz, jak wygląda jej klatka piersiowa? – wyszeptała z trudem. – Po prostu strasznie!

– Och, Marty... – Przycisnął usta do jej czoła.

– Aż serce się ściska na ten widok. A Beth jest taka dzielna, nie masz pojęcia, jak się trzyma. Mówi, że jest, jak jest i musimy się z tym pogodzić. – Zaszlochała. – Gdyby mnie to spotkało, nawet w części nie byłabym tak dzielna jak ona.

– Na pewno byś była. Jesteś dzielna jak mało kto.

– Nie, wcale nie jestem. Wciąż się boję, nawet nie wiesz, jak bardzo. Boję się, co może się stać mnie czy Jasonowi. Boję się, by nie spotkało mnie coś takiego jak Beth, w dodatku gdybym była sama, tak jak ona. Wciąż martwię się i boję.

Joe uśmiechnął się blado.

– Nie opowiadaj takich rzeczy. Potrafisz się postawić. Twarda z ciebie sztuka. – Poglaskał ją po włosach. – Marty, nic nie jest przesądzone. Beth może się wykaraska. Może najgorsze już za nią. Pokona chorobę, to przecież możliwe. A jeśli czeka ją długie, udane życie.

– Szykowaliśmy się do ślubu, gdy po raz pierwszy wykryto o niej raka. Beth była na naszym ślubie, nosiła perukę, pamiętasz? Straciła włosy. Mark miał się z nią ożenić, ale zostawił ją, uciekł jak podły tchórz.

– Nie znałem go, ale po tym, jak się zachował, mam o nim jak najgorsze zdanie. Beznadziejny mięczak.

– Teraz Beth znowu zachorowała i ma tylko swoje przyjaciółki. Jaki ma z nas pożytek? Co my możemy?

– Lepiej mieć was niż tego tchórza. Marty, gdyby spotkało cię coś takiego, to nigdy cię nie zostawię. Wiesz o tym, prawda? Choćby wycięli wszystko z twego pięknego ciała, obeszli się z nim brutalnie, i tak zawsze będę przy tobie, nigdy cię nie opuszczę. Owszem, jestem

idiotą, który puszy się jak paw i szczyci piękną żoną, ale wygląd nie jest najważniejszy. Przecież nie dlatego cię kocham. O to się nie martw.

– Ładnie powiedziałeś – rzekła z niedowierzaniem, śmiejąc się przez łzy. – Zwłaszcza że chciałam od ciebie odejść, bo nie chcesz się myć i golić... – Przesunęła dłonią po jego policzku. Wciągnęła powietrze. – Wziąłeś prysznic i się ogoliłeś.

– Inaczej nie dałabyś się przytulić.

Opuściła rękę na jego kolano, przesunęła nią wyżej.

– To nie są te obleśne stare szorty. – Szarpnęła za elastyczny pas i poczuła pod palcami kartoniki. – Jeszcze mają metki.

– Powinienem je odciąć, co? Przyznaję, trochę nabałaganilem w szafie, ale nastawiłem budzik i wstanę wcześniej. Wszystko posprzątam, obiecuję.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć...

– Przysięgam na Boga!

– Lubię, gdy jesteś ogolony... – Znów musnęła jego policzek. – Twój zarost strasznie mnie drapie.

– W narzeczeńskich czasach nigdy ci to nie przeszkadzało.

– Bo przed ślubem zawsze się goliłeś.

– Tak było? Jezu, Marty, jaki ze mnie tępak. Przepraszam. Masz taką delikatną skórę... jestem skończonym kretynem.

– I tak śpię w gościnnej sypialni.

– Oczywiście. Jasne. Wykąpałem się i ogoliłem tylko po to, byś mnie nie odepchnęła. Nie chciałem, żebyś siedziała tu i płakała w samotności. Może chcesz, żebym cię odprowadził, posiedział przy tobie, aż zaśniesz? Wiem, jak przeżywasz chorobę Beth.

– Nie, Joe. Nie chcę, żebyś szedł ze mną. Na razie wystarczy. Nie mogę zdobyć się na nic więcej.

– Dobrze. Tylko błagam, uwierz we mnie. Nigdy cię nie zostawię, w zdrowiu i w chorobie. I niełatwo mnie wystraszyć.

– Mam nadzieję, że nic takiego nas nie spotka, bo... skoro ja wyprowadziłam się z naszej sypialni, żebyś zaczął się myć, to wolę nie myśleć, jak ty byś się zachował w naprawdę poważnej sytuacji.

Pocałował ją w czoło, przytulił.

– Daj mi szansę, skarbie. Może nie jestem taki całkiem beznadziejny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minął sierpień i lato powoli zaczynało się kończyć, choć wciąż zdarzały się upalne dni. Po tygodniach nerwowego oczekiwania Billy i Julie wreszcie zostali poproszeni o spotkanie przez doradcę finansowego. Nie mieli pojęcia, czym skończy się ta rozmowa. Przyjdzie im ogłosić upadłość, a może John zaleci jeszcze bardziej ograniczyć wydatki? Jechali spięci i pełni najgorszych myśli.

– Billy, zgódź się na każdą propozycję Johna – powiedziała Julie. – Jeśli uzna, że nie mamy innego wyjścia, to ogłosimy upadłość. Jakoś to przeżyjemy.

– Wolałbym tego uniknąć, ale zrobię, co każe. Wiesz o tym.

– Chciałabym, żebyś znów mnie lubił.

– Julie, kocham cię, tylko trudno mi się pogodzić, że dopuściłem do takiej sytuacji.

– Ja zajmowałam się finansami. Myślisz, że jest mi łatwo? To ja nie umiałam zaradzić problemom. Billy, jesteśmy w tym razem, staraliśmy się najlepiej, jak potrafimy. Jesteś mi potrzebny. Mam poczucie, że mnie zostawiasz, nawet gdy jesteś tuż obok. To mnie dobija.

Zdjął dłoń z kierownicy i uściśnął ją lekko, lecz wzrok miał wbity przed siebie.

– Postaram się to zmienić. Nie chcę, żebyś się tak czuła.

Z nadzieją i obawą weszli do gabinetu Johna.

– Witajcie – rzekł pogodnie. – Udało mi się dotrzeć do wszystkich wierzycieli. Na razie sytuacja nie przedstawia się najlepiej, ale nie jest beznadziejna, są szanse na uzdrowienie. – Otworzył teczkę i wyjął dwa identyczne druki. – Oto wasz nowy plan finansowy. Zaraz wszystko

wytłumaczę. Spłata kredytu na studia została zamrożona na dwa lata. Nie macie pojęcia, ile osób nie jest w stanie uregulować takich należności. Nic dziwnego, że bank był taki skory do negocjacji, bo ma szansę na odzyskanie pieniędzy, w dodatku pożyczonych na cztery procent. Jako pracownik straży, czyli funkcjonariusz publiczny, masz dodatkowe fory, dlatego pozostała suma zadłużenia została zredukowana. – Przerwał na moment. – Teraz kredyty hipoteczne i linie kredytowe. Udało mi się załatwić refinansowanie, i to na dogodnych warunkach, poza tym bank weźmie na siebie część kosztów. Dzięki temu zaoszczędzicie osiemset dolarów miesięcznie. Byli bardzo chętni do współpracy, poszli na wszystko. Nie będziecie zalegać z płatnościami, więc nie ma mowy o komorniku. Będą dostawać raty na bieżąco, w dodatku z odsetkami, czyli powinni być mi wdzięczni. – Wziął inną kartkę. – Ubezpieczenie i opłaty za media są nie do ruszenia, ale korzystacie z usług trzech firm wydających karty kredytowe. Wszystkie zgodziły się umorzyć część zadłużenia, na sześć miesięcy zrezygnowały z oprocentowania kredytu, po tym czasie zgodziły się na dwanaście procent. To nadal dużo, lecz i tak się z nimi pożegnamy. Mógłbym poprosić o wasze karty? – Gdy Julie i Billy z niedowierzaniem wpatrywali się w swój nowy plan finansowy, musiał ich ponaglić, po czym oznajmił: – Z tymi kartami musimy skończyć. Nie możecie mieć ich w zanadrzu. Wydaje się, że są pomocne, ale to złudzenie. Załatwię was na cacy opłatami, prowizjami, karami za opóźnione spłaty. Pora się z nimi rozstać. Jeśli będziecie pilnować się i nie przekraczać nowego budżetu, nie będą wam potrzebne.

– Tak, oczywiście – entuzjastycznie powiedziała Julie. Wiedziała doskonale, jaka pułapką mogą okazać się karty kredytowe.

Natomiast Billy z niedowierzaniem wpatrywał się w doradcę.

– No dobrze. – John odłożył karty na biurko. – Żyjecie bardzo oszczędnie, więc teraz będzie was stać na ogrzewanie domu i indyka na Święto Dziękczynienia. Zwiększyłem pulę na potrzeby domowe, poczynając od zakupów spożywczych i ubrań, a kończąc na okazjonalnych wydatkach. A teraz posłuchajcie, co powiem wam nie jako doradca, ale zwyczajny facet, który też zna życie. Powinniście od czasu do czasu zabrać gdzieś dzieciaki, bo to poprawi nastrój całej rodzinie. Pizza, kino, piknik nad jeziorem. No i czasami koniecznie wyjdźcie gdzieś tylko we dwoje. Nie mam na myśli rodzinnej okazji czy spotkania u znajomych, gdzie jest mnóstwo ludzi. Należy wam się trochę czasu tylko dla siebie. Kolacja czy choćby spacer po parku. Nie musicie wydawać pieniędzy odłożonych na czarną godzinę, ale zawsze można pójść na tańszy seans popołudniowy czy wybrać niedrogą knajpkę. Ważne, byście pobyli tylko z sobą, pogadali, poczuli się sobie bliscy. Tych trzydzieści dolarów znakomicie przysłuży się waszemu związkowi i wspólnej przyszłości. Dbajcie o swoje małżeństwo. Nigdy tego nie pożałujecie. – Zadumał się na moment, odbiegł gdzieś daleko, zaraz jednak spojrzał na Julie i Billy'ego. – Tak, małżeństwo i rodzina to coś, co macie najcenniejszego. Nie mówię tego jako mormon, samo życie podpowiada tę prawdę. Zastanawialiście się może, co by było, gdybyście się rozstali? Wasze wydatki by się podwoiły, niespłacone kredyty i rachunki by was zniszczyły, rzuciły na samo dno. Celowo pomijam sprawy duchowe, bo nie chcę prawić kazania, mówię tylko o stronie praktycznej. Pomyślcie, co w przypadku rozwodu stałoby się z dziećmi? Nie mówię już o psychicznym spustoszeniu, o tej strasznej świadomości, że rozstaliście się z powodu pieniędzy, a raczej ich niedostatku. Pieniądze są tylko pieniędzmi, ważne, ale nie najważniejsze. Dlatego proszę, dbajcie o siebie. – Pokiwał głową, po czym powiedział: – Dobrze, to teraz...

– Poczekaj! – przerwała mu Julie, podnosząc kartkę. – John, musiałeś się gdzieś pomylić! Coś tu nie gra!

– Co takiego? – Sięgnął po swoją odbitkę. – Och! – roześmiał się. – Przepraszam. – Wyjął z teczki dwie kartki, podał im. – Tu macie wszystko czarno na białym. Kredyt hipoteczny został powiększony o sześć tysięcy, to koszty manipulacyjne, ale raty będą niższe, a na obniżce opłat za karty kredytowe i umorzeniu części kredytu studenckiego mamy do przodu więcej niż tych sześć tysięcy, poza tym spłata kredytu za studia została zamrożona. Oczywiście musicie podpisać umowy, ale wszystko jest załatwione. Przejrzyjcie to sobie, przeliczcie jeszcze raz. Nie ma pośpiechu. Chcecie kalkulator?

Julie milczała, z niedowierzaniem przesuwając wzrokiem po kolumnach. Minęło trochę czasu, nim podniosła oczy na Johna.

– Może jednak skorzystam z kalkulatora. Nigdy nie miałam do dyspozycji takiej sumy po zapłaceniu rachunków...

– Julie – z uśmiechem oznajmił John – z tego, co zdążyłem się zorientować, po zapłaceniu rachunków na życie nie miałaś nic. Nie wiem, jak ty to robiłaś.

– John, a jak ty to zrobiłeś?

– Przyjrzałem się waszym potrzebom, pozostałą sumę podzieliłem na rachunki. Takie mam podejście. Rodzina na pierwszym miejscu. Potem skontaktowałem się z wierzycielami i każdemu z osobna cierpliwie wyjaśniałem, ile możecie wydać na spłatę zobowiązań. Jeśli uważasz, że uda ci się zmieścić w takim budżecie, to dam ci radę.

– Jaka? – spytała z przejęciem.

– Z sumy na wydatki odkładaj choć dwadzieścia procent, bo w waszej sytuacji warto mieć rezerwę. Nie wiadomo, jak długo pociągną wasze samochody, a na nowe nie będzie was stać. Rata hipoteczna nie wzrośnie, ale podatki mogą pójść w górę. Jeśli będziesz regulować rachunki przez internet, a w waszym banku ta usługa jest darmowa, przez rok zaoszczędzisz z pięćdziesiąt dolarów, akurat by zabrać dzieci na pizzę. Jeśli nie będziecie płacić kar za opóźnione spłaty i rocznych opłat za karty, to patrząc na wasze zeszłoroczne wydatki... – Przez chwilę wyszukiwał w papierach odpowiedni dokument. – To było dziewięćset trzydzieści osiem dolarów. Tyle mielibyście do przodu.

– O cholera! – Julie zaczerwieniła się. – Przepraszam, tak mi się wyrwało...

John uśmiechnął się.

– Ten budżet zapewnia wam lepsze warunki spłaty, niższe odsetki, racjonalną konsolidację długów, odroczenie niektórych pożyczek... To dla was duża szansa.

– Próbowałem coś takiego uzyskać – powiedział Billy. – Dzwoniłem w sprawie kart... Byłem w banku...

– Dziesięć lat działałem w tej branży. Czasem radzimy klientowi ogłoszenie upadłości, a wtedy nikt nic nie dostaje. Jeśli nie możemy się dogadać, odrzucają ugode, to nie mamy wyjścia. Liczy się dobro klienta. Już wiedzą, że kiedy do nich dzwonię, to nie blefuję.

– Ale to obniżone oprocentowanie... Mam poczucie, że robię ich w konia...

– Już wyciągnęli od was tyle kasy, że dawno wyszli na swoje. Tacy jak wy to ich ukochani dłużnicy. Wysokie oprocentowanie, kary za spóźnienia, podwyższanie salda. Nie macie powodu do wyrzutów sumienia. Mam bzika na punkcie etyki i zareczam wam, że nikt nie został wykołowany. Poza wami. Weszliście w spiralę długów, bo zabrakło wam doświadczenia w tej dziedzinie. Ja doskonale się w tym od lat.

Billy przez chwilę milczał, wreszcie oznajmił:

– Chyba jesteśmy ci bardzo dużo winni za twoje usługi.

– Wszystko jest tu ujęte – rzekł John, wskazując pozycję długopisem. – Nie robię niczego za darmo, lecz satysfakcję daje mi wasze przekonanie, że to najlepiej wydane przez was pieniądze. I że moja praca była tego warta.

– Boże – przez łzy powiedziała Julie. – Oczywiście!

– Jeśli to wam pomoże, to polećcie mnie innym.

Billy popatrzył mu w oczy, przygarnął ramieniem Julie.

– To ci odpowiada? – zapytał cicho.

– Tak – wyszeptała.

Billy znów popatrzył na doradcę.

– Ile minie czasu, nim wyjdziemy na prostą?

– Jeśli nie będziecie musieli kupić nowych samochodów, to za cztery lata powinniście mieć tylko zwykłe wydatki plus ratę kredytu hipotecznego, no i coś odłożonego. Nie wiem, ile wtedy będziesz zarabiać, ale pracownicy budżetówki są niezłe wynagradzani, gdy już mają odpowiedni staż. Początki zwykle są ciężkie, lecz...

– Jak cztery lata to spokojnie.

– Pamiętaj o jednym. Opracowałem ten budżet z założeniem, że druga praca zajmuje ci dwa dni w tygodniu, nie jak teraz prawie cztery. Musisz mieć więcej czasu dla rodziny. To jest najważniejsze.

Billy zacisnął usta, oczy mu się zaszklily, lecz siedział nieruchomo, natomiast Julie nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Od ośmiu lat nie widziała żadnego światełka w tunelu. Billy przytulił ją czule i wreszcie uronił łzę. Minęła dobra chwila, nim trochę ochłonęli.

– Przepraszam, John – sumitował się Billy. – Od tak dawna zmagaliśmy się z tym...

– Daj spokój, stary – wszedł mu w słowo. – Nie tylko was to spotkało. Cieszę się, że poczuliście ulgę. Mnie też kamień spadł z serca, gdy zaczęło mi się klarować ostateczne rozwiązanie. Teraz wszystko w waszych rękach. Pamiętajcie o tym. Jeśli zaciągniecie nowy kredyt, wystąpicie o nową kartę, to cały ten program weźmie w łeb. Rozumiecie to, prawda?

– Oczywiście. Nie masz pojęcia, ile dla nas zrobiłeś, co nam dałeś. To wręcz nie do wyobrażenia.

– Jak myślisz, po co to robię? Myślisz, że tylko dla pieniędzy? Dzięki tej pracy czuję się szczęśliwy. – Uśmiechnął się promiennie. – Nie masz pojęcia, jak dobrze śpię w nocy. No to jak, ciachamy ten plastik? Bo z tych kart nie macie nic dobrego.

– Tnij śmiało – rzekł Billy.

W lecie motocyklowe wyprawy na dzikie plaże były wspaniałą ucieczką od codzienności, a jesienne jazdy po górach jeszcze je przebijały pod względem malowniczych widoków. Cassie kochała tę porę roku, a teraz

wydała się jej jeszcze piękniejsza, jakby dopiero ujrzała ją w pełnej krasie. Te barwy listowia! Do tego oglądane nie zza szyby samochodu, a z motocyklowego siodelka! Co weekend wybierali się z Waltem na długie wycieczki, a jeśli miała dyżur, wykorzystywali jej wolny dzień w tygodniu. Walt brał wtedy urlop. Tak minął wrzesień. Październik powitał ich jeszcze bardziej intensywnymi kolorami. Tym razem pojechali dalej na północ, w dzikie góry. Drzewa mieniły się złotem i purpurą, zachwycaly grą barw. Im wyżej wjeżdżali, tym robiło się chłodniej. Zostawili za sobą kolorowe lasy, otaczały ich zielone sosny i jodły. Walt doskonale znał te tereny, miał ulubione miejsca na postój, kameralne i z cudownymi widokami. Nie mówiąc już o tym, że zawsze wiedział, gdzie warto coś przekąsić. Po kilku godzinach jazdy zjechał w zaciszne, porośnięte trawą miejsce.

– Stajemy? – zapytała Cassie, zdejmując kask.

– Nie zdrętwiała ci pupa?

– Odkąd cię poznałam, moja pupa bardzo się zahartowała. – Zeszła z motoru. – Ale tu pięknie!

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Kawy?

– Z przyjemnością. A kocyk?

– Już rozkładałam. – Rozścielił koc na trawie, wyjął termos i kubki. – A skoro już poruszyliśmy ten temat, to powiem ci, że z tyłu też prezentujesz się fantastycznie.

– No wiesz! Nie powinieneś tak na mnie patrzeć.

– Nie? W takim razie powinnaś mnie uprzedzić. Od czterech miesięcy ci się przyglądam, podziwiam twoje kształty. Nie wiem, czy zdołam przestać.

Cassie ze śmiechem wzięła od niego kawę.

– Rzeczywiście już tyle czasu jeździmy na wycieczki, a ty za każdym razem zaskakujesz mnie, bo zawsze zwiedzamy nowe miejsce. To niesamowite.

– Już ci mówiłem, że świat jest pełen niespodzianek. I miejsc, które warto poznać. Zawsze jest coś, czego jeszcze nie widzieliśmy.

– Smutno to mówić, ale niedługo skończymy te nasze jazdy – rzekła w zadumie.

– Dlaczego?

– Bo robi się zimno i zaczną się deszcze. Takie wyzwania to nie dla mnie.

– Jeszcze będzie wiele słonecznych dni, poza tym możemy zmienić rejon, jeździć tam, gdzie klimat jest łagodniejszy. Do tej pory poznałaś Sonomę, więc gdy się ochłodzi, możemy zacząć penetrować południe. Ja nigdy nie robię sobie przerwy. Jeżdżę, ile się da.

– Podczas tej półtorarocznej wyprawy musiałeś trafić na fatalną pogodę.

– W Luizjanie ledwie uciekłem przed huraganem. Zwiewałem jak szalony. Myślałem, że już nigdy w życiu nie wyschnę.

– No widzisz. Nie chcę mieć takich doświadczeń. To nie dla mnie.

Walt roześmiał się wesoło.

– Cassie, przecież wiesz, że dbam o ciebie i na nic takiego cię nie narażę. – Wyjął jej z ręki kubek i postawił na kocu. – Chodź do mnie. – Objął ją, położył na plecach, dotknął ustami jej ust.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie. Traciła głowę, kiedy ją tak całował. Zawsze ostrożnie i delikatnie, lecz czuła drżącą w nim siłę, co kusiło ją i intrygowało. Co za dziwna sytuacja! Walt stał się jej taki bliski, że nie wyobrażała sobie, jak mogłaby funkcjonować bez niego, a jednocześnie zupełnie do niej nie pasował. Było jej z nim fantastycznie, jednak nie chciała niczego zmieniać w tym układzie.

Popatrzył Cassie w oczy.

– Martwisz się o Beth? A może o coś innego?

– Beth dochodzi do siebie, jest z nią coraz lepiej. Zastanawiałam się tylko... może z tym całowaniem to nie jest dobry pomysł.

– Według mnie po prostu świetny.

– Walt, boję się, czy nie powiedzie nas na bezdroża. Nie jestem na to gotowa. Może powinniśmy dać sobie spokój z tym obściskiwaniem.

– Myślałem, że to ci się podoba.

– W tym problem, że aż za bardzo.

Roześmiał się, po czym oznajmił:

– Mam pomysł. Skończymy z tym po dzisiejszym dniu, dobrze? Szkoda nie skorzystać z takiego pięknego miejsca. – Pochylił ku niej usta, jednak powstrzymała go gestem. – Co się stało, Cassie?

– Postanowiłam, że nie zaangażuję się na poważnie. Przynajmniej nie teraz...

– Czujesz, że to coś poważnego? – Uniósł brwi.

– Nie chcę, żeby tak się stało.

– Nie ma sprawy. Z niczym nie musisz się śpieszyć. – Znow przysunął ku niej usta, lecz gdy Cassie znow odepchnęła go lekko, cofnął się.

Tak niewiele trzeba, by go powstrzymać, przebiegło jej przez myśl. Spotykała się z wieloma facetami, drobniejszymi i mniej umiejętnymi niż Walt, a zawsze miała z nimi mnóstwo problemów.

– Cassie, o co naprawdę chodzi? – spytał niespokojnie. – Widzę, że coś cię dręczy. Przecież wiesz, że możesz być ze mną szczerą.

– Och, sama do końca nie wiem. Po prostu mam mieszane uczucia.

– Mieszane uczucia w związku z...?

– Spędzam z tobą dużo czasu, rozmawiamy o wszystkim. Jesteś wspaniałym kumplem, z każdym dniem zbliżamy się do siebie. Ale...

– Ale?

– Kiedy wpadłam do twojego warsztatu, by ci podziękować, nie spodziewałam się, że to się tak skończy. Nie miałam takich planów. Przeciwnie, byłam nastawiona na coś zupełnie innego. Teraz czuję się trochę... skołowana. Jakby wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

– Cassie, tak nie jest – rzekł łagodnie. – Dobrze wiesz, że w każdej chwili możesz powiedzieć stop, a ja nawet nie mrugnę. Z mojej strony nic ci nie grozi. I choć usilnie forsujesz ten pomysł, byśmy pozostali jedynie przyjaciółmi, dobrze wiesz, jak wiele mam dla ciebie ciepłych uczuć. Myślę też, że i ty bardzo mnie lubisz.

– Cóż...

– Nie pośpieszam cię, Cassie, i wiesz o tym. Czym więc się martwisz?

– Po pierwsze, dałeś mi kurtkę wartą siedemset dolarów, co przy twojej pensji...

– Widziałaś mój pasek z wypłatą? – Kpiąco mrugnął do niej.

Pacnęła go w ramię.

– Przyniosłeś flaszkę wina za stówkę, podczas gdy ja poprzestaję na takim za dwa dolce...

– Przecież wiesz, że jestem sam, więc nie mam na kogo wydawać. Owszem, są rodzice, ale to co innego. Mogę trochę zaszaleć, po to są pieniądze. Nie zadłużam się, by dać ci coś fajnego, butelkę dobrego wina czy bukiet kwiatów. Lubię to robić. Podziękuj i na tym koniec.

– Dziękuję, ale jednak jest to dla mnie powód do zmartwienia.

– Martwisz się, bo nie chcesz obciążać moich finansów, czy też dlatego, że czujesz się przez to do czegoś zobowiązana?

Odepchnęła go i usiadła. Nastął właściwy moment, by wyjaśnić kilka spraw.

– Jedno i drugie, Walt.

– W takim razie możesz odetchnąć. Stać mnie na takie wydatki. Gdyby tak nie było, na pewno bym się na nic nie szarpnął. A co do tej drugiej sprawy, to wiedz, że do niczego nie musisz się poczuwać.

– Tak mówisz, ale co innego słyszeć, a co innego uwierzyć. Jeśli powiem, że powinniśmy trochę zwolnić, rzadziej się widywać, to pewnie będzie ci przykro.

– Owszem, byłoby mi bardzo przykro. No i kompletnie bez sensu, bo przecież razem dobrze się bawimy. Może niepokoisz się, co powiedzą twoi znajomi, gdy mnie zobaczą? Pomyślą, że zwariowałaś?

Gdy opuściła głowę, Walt się roześmiał.

– To wcale nie jest zabawne! – Popatrzyła na niego.

– Lubisz się zamartwiać, taką już masz naturę. Boisz się, co przyjaciółki sobie pomyślą, gdy ujrzą wielkiego faceta z kucem i wytatuowaną gołą kobitką. Cassie, wyluzuj. Wyglądam trochę na menela, ale w gruncie rzeczy jestem miłym gościem. Nie brudzę się przy jedzeniu, ludzie się do mnie przekonują, gdy mnie trochę poznają. Naprawdę.

– Wcale nie uważam, że jesteś śmieszny.

– Owszem, uważasz. – Objął ją w talii i przycisnął do ziemi, na co Cassie zachichotała mimowolnie. – Uważasz, że jestem komiczny. I jesteś zła na siebie, że mnie lubisz. I to jest super. – Pocałował ją. – Mam pomysł. Dziś wieczorem zabieram rodziców na kolację do ulubionej knajpki mamy. Miło tam i przytulnie, spodoba ci się. Chodź z nami. Przyjadę po ciebie. Zobaczysz, że mam normalną rodzinę.

– Zupełnie normalną, tak?

– Hm, w każdym razie jak dla mnie. Przecież to normalne, że para sześćdziesięciolatek siada na wielkiego harleya ubrana w skórzane spodnie, z długimi włosami, masą metalu na twarzach i w uszach, z tatuażami na ramionach. No nie? – Gdy Cassie szturchnęła go w ramię, dodał: – Moi starzy są całkiem normalni. Naprawdę mili ludzie. Opowiadałem im o tobie i są przekonani, że wyssałem to sobie z palca. Wciąż się dopytują, kiedy cię poznają.

– Co im powiedziałaś?

– Prawdę. O tym, że poznałem wspaniałą pielęgniarkę z ostrego dyżuru i od kilku miesięcy spotykam się z nią przynajmniej raz w tygodniu...

– Spotykasz się?

– Cassie, próbujesz przedstawiać to w inny sposób, ale przecież się spotykamy, czy tego chcesz, czy nie. Pytanie tylko, czy to będzie trwało nadal, lecz decyzja należy do ciebie. No to jak? To naprawdę fajna restauracja, a moi rodzice są do rzeczy.

– Odkąd cię poznałam, przybrałam pięć kilogramów.

– I wszystkie kilogramy ulokowały się we właściwych miejscach. Mam na oku knajpkę dla nas, gdy będziemy wracać do domu. Z zewnątrz wygląda jak buda, ale mają doskonałego szefa kuchni, Węgra. Pewnie przysiądzie się do stolika i poczęstuje się naszym winem. Na pewno ci się tam spodoba.

Cassie westchnęła.

– Wiesz co? Naprawdę już nie wiem, co z tobą zrobić...

– Owszem, wiesz. – Uśmiechnął się, po czym znów zaczął ją całować.

Te pocałunki ją oszałamiały. Walt jest fantastyczny, myślała rozmarzona. Tak świetnie całuje, jeszcze lepiej smakuje. W dodatku znają się już od kilku miesięcy, spędzili z sobą całe lato, a on do niczego jej nie popycha.

– Dlaczego nie próbowałaś czegoś więcej? – zapytała między pocałunkami.

– Bo nie jesteś gotowa. Chcesz powiedzieć, że jesteś?

– Nie.

– No właśnie. Kiedy będziesz gotowa, ja również będę...

Wybrała się nad rzekę, by Steve się wybiegał. Spacer trwał dobrą godzinę; przez ten czas przemyślała sobie parę spraw. Gdy oboje mieli już dość, zadzwoniła do Julie. Właśnie wrócili z parku i dzieci miały porę drzemki, więc Julie ją zaprosiła. Cassie zastukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Steve wpadł jak szalony i pobiegł do Tess wylegującej się na dywaniku. Na kanapie spał Jeff. Julie krzątała się w kuchni.

– Co się dzieje? – zagadnęła Cassie.

– Maluchy poszły spać, a Jeff padł ze zmęczenia. Billy go wykończył grą w piłkę.

Cassie wsłuchiwała się w hałasy dobiegające zza ściany. Dziecinne śmiechy, odgłosy, jakby ktoś rzucał zabawkami czy piłką, piski i chichoty.

– Poszły spać? Tak to nazywasz?

– Już wyrosły z popołudniowej drzemki i szaleją. Miałam na nich nakrzyczeć, ale co tam, jeśli trochę posiedzą same, to mam chwilę spokoju, a tego mi trzeba.

– Co robisz?

– Postanowiłam upiec szarlotkę dla Billy'ego. Mam nadzieję, że jeszcze wszystkiego nie zapomniałam. Strasznie dawno jej nie piekłam.

– Jakaś okazja?

– Robię kolację z prawdziwego zdarzenia. Przyłączysz się do nas?

– Dzięki, ale już mam coś w planie na wieczór. Nowy budżet rzeczywiście działa?

– To jest jak cud! – Julie rozpromieniła się. – Od lat starałam się wydawać jak najmniej, więc bez problemu utrzymuję się w wyznaczonej kwocie. Przez ostatnie tygodnie odłożyłam na urodziny Jeffa, teraz odkładam na Boże Narodzenie, i to niezależnie od naszego konta oszczędnościowego, na którym już coś jest. Niewiele, ale czuję się z tym fantastycznie. Nie ucieszysz się, gdy na Gwiazdkę dostaniesz od przyjaciółki coś lepszego niż czerwoną świecę?

– Nie potrzebuję niczego lepszego – zapewniła Cassie. – Stańcie na nogi, a wtedy wybierzemy się razem do Paryża.

– Może raczej na lunch do knajpki. I lepiej twoim samochodem. – Zaczęła obierać jabłko. – Co robisz wieczorem?

– Idę na kolację z Waltem. I z jego rodzicami.

– Hm, zaczyna robić się ciekawie.

Przez okno Cassie dostrzegła opartą o ścianę drabinę, po której wspinał się Billy. Wreszcie miał czas na zajęcia przy domu.

– Ciekawie to mało powiedziane. Nigdy wcześniej nie miałam takich dylematów. Jestem w kropce.

– Dlaczego?

– Walt jest świetnym facetem. Interesujący człowiek, dobrze się z nim gada. Opowiada mnóstwo zabawnych historyjek z dzieciństwa, jak jego ojciec remontował kolejne domy, a on i jego trzech braci mu w tym pomagali, albo o wyprawie na motocyklu po Stanach. Ale nie mówi tylko o sobie; zawsze pyta, co u mnie słyszeć, doskonale pamięta wszystko, co mu powiedziałam. Wypytuje, co u mojej przyjaciółki z

trójką dzieci, jak Beth się czuje po ostatniej chemii. Nie myśli tylko o sobie, ale również o innych.

– To dla ciebie problem? – zdumiała się Julie.

– Tak, bo jak inaczej określić taką sytuację? Lubię być z nim, nie wyobrażam sobie, że mogłabym nie widzieć go przez tydzień czy miesiąc, nie wybrać się z nim na wycieczkę czy na kolację, a z drugiej strony nijak nie potrafię zobaczyć w nim kogoś, z kim mogłabym być przez całe życie.

– Polubiłaś te przejażdżki?

– Aż sama nie mogę uwierzyć, ale tak, i to bardzo. Fantastyczna sprawa. Przez tych kilka miesięcy zobaczyłam więcej niż przez dwadzieścia lat, poznałam nasz region. Mówiłam ci, że to nie dla mnie i tylko spróbuję. A tu popatrz, jak bardzo mnie wciągnęło.

– Związałaś się z kimś – z uśmiechem powiedziała Julie. – I wszystko wskazuje na to, że tym razem dobrze trafiłaś.

– Nie chcę, by z Waltem to był prawdziwy związek. Dziwne, bo nigdy wcześniej tak nie było. Gdy kogoś poznawałam, natychmiast traciłam głowę, roiłam sobie nie wiadomo co. Teraz jest inaczej. Chciałabym, żeby między mną a Waltem nic się nie zmieniło, żebyśmy nadal byli przyjaciółmi, ale... Julie, spotykam się z nim od czerwca. I przez ten czas tylko mnie pocałował.

– Naprawdę? Przez cztery miesiące?

– Mhm. Nawet miałam wątpliwości, czy to dobry pomysł, ale nie mogłam się powstrzymać. No wiesz, każda kobieta potrzebuje trochę romantyzmu, takich chwil we dwoje. Pocałunków i tych rzeczy.

– Jest w tym dobry?

– Dawniej ledwie kogoś poznałam, od razu nie widziałam poza za nim świata. I byłam załamana, gdy okazywało się, że nic z tego nie będzie. Dzwoniłam jak najęta, kupowałam prezenciki, ściszałam się na drugiej randce, na czwartej wskakiwałam do łóżka... Z Waltem jest inaczej. Staram się trzymać od niego na dystans, nie wyobrażać sobie Bóg wie czego, lecz ten układ zaczyna mnie przerastać. Nie wiem, co począć... W całowaniu jest równie dobry jak w gadaniu. A świetnie się z nim rozmawia.

– I nigdy niczego nie próbował?

– Powiedział, że jeszcze nie jestem na to gotowa, więc czeka. Ale chyba dalej się nie posunę, nie mogę.

– On ci się nie podoba?

– Chyba nie do końca. To znaczy jest całkiem inny niż nasi mężczyźni. Mówiłam ci, jak wygląda. Tyle że zaczynam zauważać w nim coraz więcej plusów. Na przykład ma cudowne, niesamowicie niebieskie oczy. Podoba mi się też jego podejście do życia. Dla niego wszystko jest fajne. Zawsze jest pogodny, ma piękny uśmiech. Jeśli wyobrazić go sobie bez tych baków, brody i wąsów, bez tatuażu, to byłby bardzo atrakcyjny. – Pokręciła głową. – Muszę to przerwać, nim sprawy zajdą zbyt daleko...

– Przechodzisz załamanie psychiczne i wszystko ci się miesza w głowie? Walt jest super, wariujesz na jego punkcie, wydaje się uczciwym, przyzwoitym człowiekiem, więc chcesz jak najprędzej o nim zapomnieć... Czy ty coś bierzesz?

– Już dobrze, taki mam problem, pomóż mi znaleźć jakieś wyjście. To facet, jakiego bym sobie życzyła na stałe, ale nie mam pewności, czy chciałabym z kimś takim spędzić resztę życia. Czy jest w tym jakiś sens?

– Nie – oznajmiła stanowczo Julie.

– Ma marną pracę. Serwis motocyklowy. Wygląda jak członek gangu, Anioł Piekła. Owszem, czasem się ogarnie i wtedy wygląda jak człowiek, ale ta broda, kucyk, wytatuowana goła panienka pozostają. On tak lubi, to jego styl. Tylko że ja chcę żyć normalnie! I mieć normalną przyszłość, nie jakąś wyjątkową, szpanerską, ale solidną. Chciałabym mieć rodzinę, a nie potrafię wyobrazić sobie Walta stojącego pod oknem porodówki i z rozmarzoną miną wpatrującego się w noworodka. Nie będzie pasował do naszych spotkań. Wątpię, by przypadł do gustu naszym chłopakom, bo choć jest uroczy, to przypomina zbira. Kiedy pomyślę, jak by wyglądał na rodzinnym zdjęciu, to aż mnie wstrząsa.

– Cassie, w życiu nie słyszałam, żebyś mówiła w ten sposób. Uważasz, że on nieodpowiednio wygląda? Pod każdym względem jest super, ale jego wygląd odbiega od twojego ideału?

– To też. Po prostu inaczej wyobrażam sobie mężczyznę, z którym mogłabym się związać na stałe...

– Zachowujesz się jak facet, który od razu przekreśla dziewczynę, bo ma za dużą pupę.

– Walt uważa, że świetnie wyglądam. Pewnie tylko tak mówi, ale...

– Czy ten lekarz, ten cały George, wyglądał jak twój ideał? Ten chuderlawy nadęty chłoptaş w wielkich cynglach i łysy jak kolano?

– Poniekąd tak. Mniej więcej o kimś takim myślałam...

– Był beznadziejnym dupkiem! – zawołała Julie. – Naprawdę myślałaś, że nasi faceci się z nim skumplują? Z tym nieuprzejmym zarozumialcem, który odnosił się do ciebie z wyższością, jakby uważał,

że wyświadcza ci wielką łaskę, umawiając się z tobą? Nie mogłam na niego patrzeć!

– No tak, w gruncie rzeczy okazał się niewart funta kłaków – przyznała Cassie. – Dobrze chociaż, że się z nim nie przespałam. Aha, jest jeszcze coś. Jeśli miałabym się z kimś związać, to chcę, by ten ktoś dokładał się finansowo, żeby cały ciężar utrzymania domu i rodziny nie spadał na mnie. Poza tym... – Usiadła, zadumała się na moment. – Och, sama już nie wiem, co naprawdę czuję. Naprawdę go lubię, ale nie jestem zakochana do szaleństwa.

– Nie wyobrażasz sobie tygodnia bez niego, ale nie jesteś zakochana? To się nie składa.

– Mylisz, że nie wiem?

– Cassie, ty chyba naprawdę nie wiesz, co mówisz.

– Nie wiem?

– Tysiące razy byłaś zadurzona, ale nigdy nie trafiłaś na porządnego, uczciwego i solidnego mężczyznę. Ani razu. I boję się, że jeśli takiego spotkasz, nie poznasz się na nim. Boję się, że właśnie coś takiego się dzieje.

– Ty nie wiedziałaś, że jesteś szaleńczo zakochana w Billym?

– Gdy miałam piętnaście lat? Do diabła, byłam szaleńczo zakochana w samej idei, dopiero kilka lat później dotarło do mnie, że to nie była miłość, a fizyczne zauroczenie. Prawdziwa miłość przyszła później. Wiem, że mogę polegać na Billym, że nigdy mnie nie opuści, zawsze będzie przy mnie. Jest moim życiowym partnerem, przyjacielem, mężem. Rozśmiesza mnie, pociesza, przytula, gdy płaczę, jest oddany dzieciom i naszemu wspólnemu życiu, podobnie jak ja. Jest dobrym

człowiekiem. Nie tylko go kocham, ale lubię i szanuję. Ja Walta bardzo lubię, pomyślała. I szanuję. Mogłabym go pokochać, gdybym pozwoliła sobie na to.

– Hm, nie wiem, co mam robić – powiedziała bezradnie.

– Cassie, od dziesięciu lat przyprowadzasz różnych facetów i prędzej czy później każdy albo zaczynał cię źle traktować, albo się ulatniał. Uważasz, że byli lepsi od tego, który odnosi się do ciebie jak do królowej, ale ma włosy związane w kucyk? A nie pomyślałaś, że za bardzo zwracasz uwagę na jego wygląd? To co, ma się ogolić, ściąć włosy i na szyi zawiesić stetoskop?

Cassie aż zamruwała. W dobrze zrobionej fryzurze i w białym fartuchu Walt wyglądałby niesamowicie seksownie...

– Czy ja naprawdę jestem taka powierzchowna?

– Na to wygląda – srogo podsumowała Julie.

– Ładnie mnie zażyłaś...

Z ogrodu dobiegł dziwny dźwięk. Gwałtownie odwróciły się w stronę okna i zdążyły zobaczyć zsuwającą się na bok drabinę. Rozległ się głuchy huk.

– Boże! – wykrzyknęła Julie, rzucając na blat jabłko i nóż. – Znów? Nie, tylko nie to!

Julie dobiegła do drzwi, Cassie tuż za nią. Podbiegły do leżącego na ziemi Billy'ego. Julie uklękła i uniosła jego głowę.

– Nie! – krzyknęła Cassie i przycupnęła z drugiej strony.

– Mówiłem ci, żebyś nigdy nie podnosiła człowiekowi głowy – odezwał się Billy. – Cześć, Cassie.

– Znowu spadłeś z drabiny.

– Nie całkiem. Pomogłem drabinie się przewrócić, a potem położyłem się na trawie, żeby sprawdzić, czy mnie usłyszycie. Mogłem doznać uszkodzenia rdzenia kręgowego.

– Och, ty głupku! – Julie puściła jego głowę.

Billy pochwycił ją i przewrócił, położył się na niej i połaskotał. A potem pocałował.

– Idę do domu – oznajmiła Cassie. – Już sama nie wiem, co gorsze: jak skaczeć sobie do oczu, czy jak zbiera się wam na bara bara. Czy choć raz moglibyście zachowywać się jak normalni ludzie?

– Co w nią wstąpiło? – zapytał Billy.

– Walczy z sobą, żeby się nie zakochać – odparła Julie.

Kiedy zaczęła szykować się na wieczorne wyjście, zdała sobie sprawę, że nie spytała Walta, dokąd się wybierają. Walt miał wiele ulubionych miejsc, poczynając od zajazdów dla tirów, a na lichych jadłodajniach kończąc, lecz czasami zabierał ją do eleganckich restauracji, takich jak ta przy winiarni, w której byli podczas pierwszej wycieczki. Zjawili się w zakurzonych dżinsach, z włosami potarganymi wiatrem, czyli teraz też by jej wiele nie powiedział, gdyby zapytała, jak powinna się ubrać. Jest absolutnie nieprzewidywalny. Nagle uświadomiła sobie, że do tej pory żaden z facetów, z którymi się spotykała, nie chciał przedstawić jej swoim rodzicom. Ani jeden. Tym bardziej chciała dobrze wypaść w oczach państwa Arnesonów, choć wciąż miała mieszane uczucia na temat znajomości z Waltem. Zapewniał, że jego rodzice są

zwyczajnymi, miłymi ludźmi. Ojciec prowadził sklepy spożywcze, mama była nauczycielką. Zdecydowała się na bladozielone spodnium, włosy zostawiła rozpuszczone, bo tak lubił Walt. Wprawdzie nie wiązała z nim nadziei na przyszłość, lecz teraz nie miało to znaczenia.

Przyjechał po nią o szóstej. Wspaniale się prezentował w wyjściowych spodniach i niebieskiej jedwabnej koszuli. Ten kolor jeszcze bardziej pogłębił barwę jego oczu. Naprawdę atrakcyjny facet, do niczego nie można się przyczepić. Prawdopodobnie nosi wyłącznie kowbojki, pomyślała, przesuwając wzrokiem po czarnych, skórzanych butach, wyglądających na kosztowne. Czarne włosy jak zwykle związał w kucyk, podciął baki i wąsy.

– Widzę, że postarałeś się dla mamy. – Przeciągnęła palcem po jego wąsach. – Wyglądasz super. Jak na ten kucyk reagują twoi rodzice?

– Już się przyzwyczaili, czego nie da się powiedzieć o tym tatuażu. Mama najchętniej odcięłaby mi rękę. – Wyeksponował gołą babę. – Gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, rzuciła tylko, że wykazałem się klasą.

Wyjawił, że na kolację pojedą do kameralnej francuskiej knajpki nad rzeką. I znów się okazało, że musi tam być częstym bywalcem, bo powitano go jak stałego gościa. Restauracja rzeczywiście była nieduża – niecały tuzin stolików, za to imponująca liczba obsługi. Eleganckie miejsce. Na ścianach dzieła sztuki, wykrochmalone obrusy, szlachetna porcelana, świece. Gdy weszli, starsi państwo przywołali ich do siebie gestem zza stolika w rogu. Nie tak Cassie ich sobie wyobrażała. Walt dokonał prezentacji. Dick, jego ojciec, był wysokim mężczyzną, łysym, za to z wydatnymi brwiami i ujmującym uśmiechem. Judy, matka Walta, okazała się zaskakująco piękną kobietą. Wysoka, zgrabna i smukła, wyglądała jak okaz zdrowia. Uśmiech rozpromieniał jej miłą twarz. Miodowe włosy przycięte na pazia, staranny manikiur i makijaż, ubrana w czekoladowy kostium z pewnością od Chanel i brzoskwiniową

jedwabną bluzkę. Na palcu brylantowy pierścionek. To po niej syn miał te piękne niebieskie oczy.

– Walt powiedział, że jesteś pielęgniarką na ostrym dyżurze – zagadnęła, gdy usiedli. – Bardzo mnie to ciekawi.

– Mamo, lepiej niech przy jedzeniu nie opowiada o swojej pracy – wtrącił się Walt. – Chcesz usłyszeć o wypadających flakach, kościach sterczących przez skórę, mózgu na podłodze i takich rzeczach?

– Niesamowite! – zawołała Judy. – Od dawna się tym zajmujesz?

Cassie nie dała się długo prosić. Dick i Judy okazali się wdzięcznymi słuchaczami. Szykowni i elegancy, przysłuchiwali się jej z ciekawością, nie zadając niewygodnych pytań. Przyniesiono karty, oczywiście bez cen. Walt zaproponował, że wybierze wino, na co Cassie chętnie przystała. Judy nie szczędziła jej komplementów. Czy to możliwe, że jego matka ma sześćdziesiąt lat? W życiu by jej tyle nie dała. Jednak skoro skończyła studia, a jej najstarszy syn ma trzydzieści cztery lata, to musi mieć coś koło tego. A wyglądała tak młodo i świeżo. Piękna dojrzała kobieta w kwiecie wieku.

Kiedy skończyli przystawkę, Cassie zapytała:

– Jechała pani z Waltem motorem?

– Ależ skąd! – Roześmiała się pogodnie. – Czasem Dickowi uda się namówić mnie na przejażdżkę, ale długie dystanse to nie dla mnie. Przez całe życie walczyłam z motorami, lecz wszyscy moi panowie są nimi urzeczeni. A już Walt najbardziej. Dick nie ma na to za wiele czasu. Zresztą sama mam motor. Różowy, z małym silniczkiem – dodała z uśmiechem. – Choć rzadko z niego korzystam.

Rozmawiając z Judy, usłyszała fragment rozmowy między ojcem a synem:

- Byłeś dziś w salonie?
- Wpadłem na kilka godzin. Wszystko jest jak trzeba.
- Co myślisz o tej ofercie?
- Zobaczymy. Mamy czas.

Cassie znów zwróciła się do Judy.

– Przepraszam, że to mówię, ale nie wygląda pani na matkę czterech synów.

- Dziękuję. – Uśmiechnęła się z satysfakcją.
- Czterech chłopców to wielkie wyzwanie.

– To moja wina. Koniecznie chciałam dziewczynkę, ale kiedy na świat przyszedł Kevin, poddałam się. Dopóki nie skończył dwunastu lat, pracowałam na cały etat, jednocześnie wychowując czwórkę urwisów. Wreszcie dałam za wygraną, zrezygnowałam z etatu i zaczęłam pracować na zastępstwa. Miałam trzech rozrabiaków w domu, jednego na studiach. Ktoś musiał czuwać, bo inaczej wszystko by zdemolowali. Kolacja upływała w miłym nastroju. Rodzice Walta rzeczywiście okazali się uroczymi, kontaktowymi ludźmi. Przez mgnienie wręcz żałowała, że są tacy fajni, bo to wytrącało jej ořeż z ręki, gdy szukała powodów, by nie pogłębiać więzi z Waltem. Julie zarzuciła jej, że jest powierzchowna i ocenia Walta po wyglądzie, jednak to nie była do końca prawda. Z każdym dniem poznawała go lepiej, widziała w nim coraz to nowe zalety. Spotkanie z jego rodziną ją uspokoiło, tak jak prorokował Walt.

– Domyślam się, że macie swoje plany na wieczór – zagadnął Dick, gdy skończyli deser i wypili kawę. – My wracamy do domu, pooglądamy telewizję.

– Odwiozę Cassie do domu. – Walt popatrzył na nią. – Ale jeśli masz ochotę jeszcze się gdzieś wybrać...

– Dzięki, ale na dziś mi wystarczy. Wieczór był uroczy. Pani Arneson, pani syn jest wybitnym znawcą knajpek w całym stanie. To chyba jego hobby.

– Kochana! – roześmiała się Judy. – Wystarczy na niego spojrzeć. Musi się dobrze odżywiać, żeby funkcjonować.

Na pożegnanie rodzice Walta serdecznie ucałowali Cassie w policzek, zapewniając, że miło im było ją poznać. Cassie milczała, gdy szli do samochodu. Kiedy ruszyli, zagadnął:

– Jak ci się podobają moi rodzice?

– Są cudowni – powiedziała szczerze. – Choć spodziewałam się czegoś innego.

– Tak? – Zerknął na nią z uśmiechem.

– Są bardzo wytworni. Szykowni. Bogaci.

– Cóż, tata pierwszy powie, że mu się powiodło. Miał nieduży sklepik, kilka domów do wynajęcia, gromadę dzieci. Musiał się dwoić i troić. Przeszedł długą drogę. Inwestował, rozwijał interes. Sam sobie wszystko zawdzięcza. Jest świetnym biznesmenem. Gdy byłem mały, co drugi dzień na kolację jedliśmy makaron z serem, rodzice pracowali, nosiliśmy ubrania po sobie, oczywiście z wyjątkiem mnie, bo zawsze byłem za bardzo wyrośnięty.

- Nikt nie zapłacił rachunku. W ogóle go nie przynieśli.
 - To ulubiona restauracja mojej mamy. Mają odbitkę mojej karty. Nie martw się, wszystko zostało zapłacone. Jutro rano dostanę potwierdzenie.
 - Twój tata ma tyle kasy, a pozwala ci płacić z kolacją w szpanerskiej knajpie?
 - Cassie, uważasz, że jestem spłukany? – Zmarszczył czoło.
 - Jesteś mechanikiem. Na pewno dobrze sobie radzisz, jednak...
 - Przecież ci mówiłem, że motocykle to świetny interes. Ludzie nie żałują pieniędzy na ukochane maszyny. Dobrze na tym wychodzę.
- Zastanowiła się nad tym, co powiedział. Walt ma trzydzieści dwa lata, bardzo dużo pracuje, z pewnością ma nadgodziny. Praca go pochłania, nie ma innych zajęć. Raz na tydzień zaprasza rodziców do restauracji, wolne chwile spędza na motorze. Na pewno ma dostęp do tańszych części, na siebie niewiele wydaje. Czyli zostają mu rezerwy.
- Nagle coś sobie uświadomiła.
- Jeszcze nigdy u ciebie nie byłam. – Miała nadzieję, że Walt nie mieszka w norze w kiepskiej dzielnicy, co wyjaśniałoby jego niewielkie wydatki i szczodrość.
 - Mieszkam w jednym z dawnych domów taty. Kiedyś był ruiną, ale to się zmieniło. Jest niewielki, ale bardzo przyjemny. Chciałabyś się przekonać?

To wiele wyjaśniało. Mieszka w tym domu na specjalnych warunkach, ojciec poszedł mu na rękę. Zaprasza więc ich na kolacje, obdarowuje kosztownym winem, bo przynajmniej tak może im się odwdzięczyć.

– Zaproszę cię. Zrobiłbym to wcześniej, ale zawsze po ciebie przyjeżdżam, no i jak wiesz, nie umiem gotować.

Zaparkował pod domem Cassie i odprowadził ją do drzwi. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Uwielbiała te ich pożegnania. Powoli zaczynała dopuszczać do siebie myśl, że łączy ich coś więcej niż tylko przyjaźń. Może Julie miała rację, zarzucając jej, że jest powierzchowną snobką. Co by się stało, gdybym poszła za głosem instynktu? – myślała.

Kiedy Walt ją puścił, zachwiała się lekko.

– Dziękuję ci, Cassie.

– Hm... – wymruczała, nie otwierając oczu. – Nie, to ja ci dziękuję.

– Zadzwoń.

Wyszedł, a ona zamknęła drzwi. Była w połowie drogi do sypialni, gdy usłyszała pukanie. Wróciła i otworzyła. Walt patrzył na nią.

– Nie chcę jeszcze odchodzić – powiedział. – Mógłbym na chwilę zostać?

Położyła rękę na jego szerokich barach, podała mu usta. Poczowała siłę i namiętność, jakich do tej pory tylko się domyślała. Ten cudowny, upojny pocałunek! Czowała, jak Walt podnosi ją, obejmując mocno, nie odrywając od niej ust. Zanurzyła palce w jego gęstych włosach, pocałowała go gorąco. Jego opanowanie słabło, wyczuwała to instynktownie. Roześmiała się cichutko.

- Całuję zabawnie? – zapytał.
- Nie, pomyślałam tylko, że nici z naszej przyjaźni. I że może teraz...
- Może teraz... Cassie, może teraz?
- Sypialnia jest tam. – Wskazała ręką.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Walt, choć wyglądał na potężnego osiłka, okazał się zaskakująco czułym i wrażliwym mężczyzną, delikatnym, a jednocześnie pewnym siebie i bardzo doświadczonym. Zaniósł Cassie do sypialni, rozebrał ją powoli, z siebie też wszystko zrzucił. Wspaniale było czuć na sobie dotyk jego palców, widzieć, jak bardzo jest zachwycony. Całował ją i szeptał w uniesieniu:

– Cassie, o Boże... Cassie...

Jego pieśczoły upajały, doprowadzały na szczyty. Nie pośpieszał jej, ciesząc się każdą sekundą, wsłuchując się w jej zdyszany oddech i urwane westchnienia, a potem obsypał ją drobnymi pocałunkami. Kiedy omdlała w jego ramionach, uspokojona i szczęśliwa, wyszeptał:

– To było niesamowite.

– Tak, Walt... – Bo to był najlepszy jej pierwszy raz w życiu.

Przetoczył się na bok, nie wypuszczając jej z objęć, po chwili powiedział:

– Niczego nie użyliśmy.

– Dałam się ponieść.

– Dla mnie to było zaskoczenie.

– Nie przejmuj się, biorę pigułki. Czy może ty...

– Jestem absolutnie zdrowy, nic ci z mojej strony nie grozi. Uznałem, że skoro jesteś pielęgniarką, to wiesz wszystko o tych sprawach. Mam na myśli antykoncepcję i takie rzeczy.

– Takie rzeczy?

– Twoja przyjaciółka jest ginekologiem. Uznałem, że jesteś zabezpieczona i... – urwał.

– Pod pełną kontrolą?

– Rany, może cię uraziłem? Naprawdę się nie martwię, chodziło mi tylko o ciebie.

– Zapytam cię o coś, z czystej ciekawości. Kiedy ostatni raz byłeś z kobietą?

– Ze dwa lata temu. To nie trwało długo. Przed nią też miałem długą przerwę. Mówiłem ci, że nie jestem z tych, co zawsze kogoś mają.

– Walt, ja wciąż się z kimś spotykałam. Nie myliłeś się, jestem pod kontrolą i nic mi nie dolega. Jeszcze czas, byś mógł się wycofać, nim nie zabrnęliśmy dalej. Miałam wielu mężczyzn, powinieneś to wiedzieć.

– Ale ich tutaj nie ma? – Uśmiechnął się. – Cassie, nie obchodzi mnie, co robiłaś wcześniej. Interesuje mnie tylko to, co dzieje się między nami. I jak dotąd jest fantastycznie.

– Nie chcesz wiedzieć, ilu ich było?

Potargał ją po włosach.

– Czy to naprawdę problem? No dobra, spytam. Więcej niż setka? – rzucił pogodnie. – Cassie, to mnie nie rusza. Tylko ty mnie obchodzisz.

– Nadal daję ci szansę, byś się wycofał...

– Zapomnij! Nic z tego! Mam to, co mi pasuje. – Przyciągnął ją do siebie. – Chcesz się przespać, czy masz ochotę na ciąg dalszy?

– Na ciąg dalszy? – Roześmiała się.

– Wciąż mi ciebie mało – wymruczał, przyciągając ją do siebie i całując gorąco. – Hm, jak przyjemnie, jak miło... Oddała mu pocałunek i zatraciła się w jego ramionach.

Obudziły ją pierwsze promienie słońca; za oknami śpiewały ptaki. Przekreśliła się na bok i w rozmarzeniu popatrzyła na pogrążonego we śnie Walta. Choć taki olbrzymi, teraz wyglądał jak chłopiec, spokojny, rozluźniony, łagodny. Nigdy dotąd nie przeżyła tak cudownej, upojonej nocy. To niesamowite. Po raz pierwszy ma kogoś, z kim nie wiązała żadnych planów, w kim nie zamierzała się zakochać. I jak to się skończyło! Walt jest fantastycznym, wręcz nieprawdopodobnym facetem. Miała obiekcje co do jego wyglądu, ale to już przestało jej przeszkadzać. W łóżku też się sprawdził; wcale nie był niezgrabny czy nieostrożny. Okazał się czuły i jednocześnie zdecydowany, idealny, po prostu doskonały. Sprawiał, że czuła się piękna, ubóstwiana. Gdy pogładziła go delikatnie, uniósł powieki, z uśmiechem przytulił Cassie. Czy można żyć miłością? – pomyślała leniwie. Bo jeśli on może, to ja też.

– Hm, coś mi chodzi po głowie, tylko boję się, czy nie poczujesz się nieswojo...

– Śmiało – wyszeptał, całując ją w kark.

– Nie rozmawialiśmy na ten temat, a mężczyźni i kobiety inaczej traktują te sprawy, jednak jak dla mnie po tej nocy już nie jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Popatrzył jej w oczy.

- Wcale nie czuję się nieswojo. Dla mnie to nie problem. –
Pieszczotliwie dotknął jej piersi.
- Pracujesz przy motocyklach, a masz zadbane dłonie. Jak to robisz?
- Obiecujesz, że nie będziesz się ze mnie nabijać?
- Obiecuję.
- Kiedy naprawiam motor, nakładam krem do rąk, wtedy smar się nie trzyma. Poza tym raz w tygodniu chodzę na manikiur.
- Na manikiur? Ty?
- Owszem. Mam więcej sekretów. Chcesz poznać je od razu, czy wolisz rozpracowywać mnie powoli?
- Teraz, jasne, że teraz!
- No więc jestem mocno owłosiony.
- To widzę.
- Ha, nie widziałaś nawet połowy. Mama mówi, że zostałem podrzucony pod drzwiami i tak naprawdę nie jestem człowiekiem, tylko Yeti.
- O rany, Yeti! – Cassie zachichotała.
- Regularnie poddaję się depilacji woskiem, plecy i ramiona. Również brwi. A kiedy podcinam włosy, co zdarza się częściej, niż przypuszczasz, fryzjer usuwa mi włosy z nosa i z uszu.
- Przestań! Bajerujesz! Faceci nie robią sobie takich zabiegów.
- Niektórzy owszem.

– Zafundowałeś je sobie, licząc, że zaciągniesz mnie do

Żeby nie uciekła z wrzaskiem?

– Nie, robię je od kilku lat. Byłem u rodziców na basenie i potem mama wzięła mnie na stronę. Powiedziała, że nie muszę wyglądać jak King Kong. Dała mi numery telefonów, poinstruowała, co mam robić, i powiedziała, że już na mnie czekają.

– Niemożliwe!

– Naprawdę tak było. Owszem, opierałem się, a jednak spróbowałem. Nie zrobiłem tego dla jakiejś dziewczyny. Choć dla ciebie tak. – Pocałował ją w usta. – Kocham cię, Cassie. Wiesz o tym.

– Och... – Zastrzelił ją. Przez mgnienie była jak porażona. Stało się. Teraz nie mają odwrotu.

– Zdenerwowałem cię.

– Nie... Po prostu... ja też cię kocham.

– Czy to źle?

– Boże, nie wiem. Staralam się do tego nie dopuścić...

– Wiem – odparł z uśmiechem. – Nie tak wyobrażałaś sobie idealnego faceta. Chciałaś kogoś w garniturze, z dobrą pracą, starannie ostrzyżonego...

– Skąd ty to wiesz?

– Na twoim miejscu też bym miał takie marzenia. Przykro mi. Chociaż nie, wcale mi nie jest przykro. Może przekonasz się do mnie, zobaczysz we mnie dobre strony. Dla mnie nasz układ jest super. I myślę, że dla ciebie również, chyba że kompletnie się mylę.

– Nie, nie mylisz się. Dla mnie też jest super. Tylko że... wiąże się z tym pewna odpowiedzialność. Nie wiem, czy ty to widzisz, ale ja tak.

– Co masz na myśli?

– Zaczniemy od tego, że nie będę spotykać się z nikim innym. To na początek.

– Podoba mi się – rzucił pogodnie. – Inaczej mógłbym się czepiać.

– Czy dla ciebie wszystko jest zabawne? – zapytała, uśmiechając się mimowolnie.

– Prawie. Ja też nie będę się z nikim spotykać, choć takiego zagrożenia nigdy nie było. Od dawna nie byłem w poważnym związku... od bardzo dawna.

– Mówiłeś, że od dwóch lat.

– Tamta znajomość była raczej z tych letnich. Nie żałowałem, kiedy się skończyła i w ogóle dałem sobie spokój.

– Przestań tak gadać. Założę się, że interesuje się tobą wiele kobiet.

– Ale ja nimi nie. No dobrze, powiedziałaś, że to było na początek. Co dalej?

– Na razie możemy się tym nie przejmować.

– Chciałbym cię o coś spytać.

– Tak?

– Jak myślisz, kiedy to się stało... no wiesz, od kiedy mnie kochasz?

– Szybko zrozumiałam, jak bardzo mi zależy na naszej znajomości. Miałam nadzieję, że połączy nas przyjaźń, rozumiesz, dwie bratnie dusze. Potem pojawiły się inne uczucia, które odpychałam. Nie chciałam posuwać się dalej, lecz coraz trudniej było mi walczyć z sobą. Wreszcie poddałam się, a stało się to tuż przed tym, jak ściągnąłeś ze mnie bluzkę...

– Określiłaś moment nader precyzyjnie – skomentował ze śmiechem. – Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek dojdziemy do tego etapu. Cassie, naprawdę musiałem się bardzo starać, nie poszło mi z tobą lekko.

– Nie zawsze tak było – przyznała samokrytycznie.

– Czuję się pochlebiony, bo to dla mnie plus. Chciałaś być pewna, czy jestem tym właściwym.

– Och, jestem pewna. Tylko uważaj, by tego nie popsuć, bo łatwo ode mnie się nie odczepisz. Jak już raz się zdecyduję...

– Co cię do tego skłoniło?

– Jesteś bardzo sympatyczny. I ujmująco miły dla kelnerów.

– To wszystko? – marudził.

– Walt, po prostu jest mi z tobą dobrze. Nikt nie zna przyszłości, może to nie będzie idealny układ, ale coś mi mówi, że jednak będzie. A jak było z tobą? Od kiedy wiesz?

– Od razu, tyle że miałaś za sobą przykre przeżycia, byłaś zrażona do facetów, straciłaś wiarę w ludzi. Wiedziałem, że potrzebujesz czasu, nie można cię pośpieszać. Potem powtarzałaś, że w grę wchodzi jedynie przyjaźń. Nie chciałem cię spłoszyć. Wciąż jeszcze masz problemy.

– Nie.

– Owszem, masz. Nie zadałaś mi żadnego z typowych pytań. Nie upewniłaś się, jak się zapowiadam, czy dobrze rokuję, jak to określają kobiety.

– Więc o co pytają typowe kobiety? – zapytała, choć wiedziała oczywiście, w czym rzecz.

– Czy jestem zainteresowany stałym związkiem? Czy chcę się ustabilizować? Czy jestem gotowy na założenie rodziny? Czy dam radę ją utrzymać? Czy jestem ustawiony?

– Walt, a chcesz mieć rodzinę? Dzieci? – spytała spontanicznie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Chciałbym mieć z tuzin dzieci, ale będę szczęśliwy, jeśli uda się mieć choć jedno. Chciałbym je dobrze wychować, choć w połowie być w tym tak dobry jak moi rodzice. Ale jeśli nie miałbym dzieci, i tak bym nie narzekał. Bracia postarali się o potomków.

– Ty nie zadałeś mi takich pytań.

– Nie musiałem, bo wiem, co bym usłyszał. Przecież powiedziałaś mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Ty świetnie rokujesz, Cassie.

– Walt, naprawdę nigdy nie byłeś z kimś na poważnie związany? Z nikim nie byłeś dłużej? Czy to prawda?

– Nigdy nikogo takiego nie miałem. Oferma ze mnie, co?

– Przestań, co ty gadasz. To znaczy tylko tyle, że zawsze byłeś sam, wolny i niezależny. Nikt niczego od ciebie nie chciał, z nikim nie musiałeś się liczyć, nikt cię nie ograniczał. Nie miałeś na kogo wydawać kasy, a teraz szastasz pieniędzmi jak dziki.

– Chętnie się ograniczę, by więcej być z tobą. A sprawianie ci drobnych przyjemności to dla mnie radość.

– Postaram się nie zabierać ci dużo czasu i nie domagać się zbyt wiele, żebyś powoli się wciągnął, zobaczył, czy ci to pasuje. Ale musisz przestać tyle na mnie wydawać. Nawet się nie obejrzysz, jak zostaniesz bez grosza przy duszy, utoniesz w długach, a tego ci nie życzę i nie chcę przykładać do tego ręki.

– Martwisz się o pieniądze, Cassie?

– Walt, pieniądze zawsze były moim problemem. Mówiłam ci, jak wyglądało moje dzieciństwo i młodość. Gdy skończyłam piętnaście lat, praktycznie zostałam sama. Musiałam myśleć o sobie, zacząć się utrzymywać. Julie też wciąż zamartwia się o pieniądze, ale w razie czego ma brata i rodziców. Ja nie mam nikogo, jedynie ojczyma, z którym nie jestem zżyta i który też cienko przedzie. Jestem bardzo ostrożna, jeśli chodzi o pieniądze. Zawsze taka byłam.

Walt pogładził ją po jedwabistych włosach.

– To wyjaśnia, dlaczego jesteś taka powściągliwa i oszczędna. Skarbie, nie musisz się martwić o moje finanse. Nie brakuje mi kasy.

– Najważniejsze, by kochać to, co się robi – powiedziała z uśmiechem.
– Wiem, że jesteś fanatykiem swojej pracy. Ja też nie wyobrażam sobie życia bez ostrego dyżuru. To rodzaj uzależnienia.

– Zarabiam naprawdę nieźle, wystarcza mi na dostatnie życie, ale gdyby była taka potrzeba, dla ciebie znajdę dodatkową pracę. Choć nie wydaje mi się, by do tego doszło. Pielęgniarki podobno dobrze zarabiają.

– Na tyle dobrze, że jeśli wydaje się z głową, można mieć niewielki domek i niezły samochód, tak jak ja. Zresztą w szpitalu chronicznie brakuje wykwalifikowanego personelu i w razie potrzeby zawsze mogę pracować dłużej.

– Cassie, kocham cię, wiesz już o tym, a to znaczy, że zrobię wszystko, byś nigdy nie musiała się martwić – powiedział ze śmiertelną powagą. – Rozumiesz to, prawda? Wierzysz mi?

– Ależ jesteś uroczy! Walt, to nie jest pora na takie rozmowy. – Pocałowała go. – Przepraszam, nie powinniśmy schodzić na tak poważne tematy, tylko cieszyć się tym, jak miło jest budzić się rano we dwoje.

– Och, dlaczego dziś nie jest niedziela! – Przygarnął ją do siebie. – Bo niestety muszę iść do pracy. Z tym również będziesz musiała się pogodzić. Czasami bardzo długo pracuję. – Pocałował ją. – Kiedy się zobaczymy?

– Chcesz zapytać, kiedy znowu pójdziemy do łóżka?

– O to bym nie pytał. Ale z chęcią pośpię przy tobie.

– Dziś mam wolne. Co byś powiedział na kolację u mnie? Jestem w domu, więc mogę wybrać się na zakupy.

– Wspaniale...

– Jeśli kupię steki, upieczesz je na grillu? Bo mnie to marnie wychodzi...

– Akurat z tym sobie radzę doskonale. Tylko pamiętaj, kup duże steki.

– Jasne. Potężne steki, ziemniaki, sałata. A jutro rano zrywam się skoro świt i przed wschodem słońca pędzę do szpitala. Ale chyba nie masz nic przeciwko temu, byśmy położyli się wcześniej?

– Pasuje jak najbardziej, Cassie.

Marty odsłuchiwała w komórce nagranie Joego. Pytał, czy nie ma ochoty wybrać się na kolację. Coś mu się pomyliło, uznała. Przecież jest poniedziałek, więc w telewizji będzie mecz. Na pewno z niego nie zrezygnuje, by iść z nią na kolację. Chyba że nie miał na myśli restauracji, tylko bar dla kibiców. Spotkanie z koleżkami przy półmisku skrzydełek. Nie oddzwoniła. W salonie był młyn, nie miała wolnej chwili. Joe ostatnio bardzo się starał, choć dla niej to było za mało i za późno. Zdarzało mu się odkurzyć dywan czy ogarnąć kuchnię, brudne ciuchy wrzucał do kosza, ręcznik coraz częściej odwieszał na miejsce. Tylko gdy zabierał się do szykowania kolacji, bałaganił ile wlezie, nie do końca radził też sobie ze zbieraniem rozrzuconych gazet, poprawianiem poduszek na kanapie i odnoszeniem talerzy. Kiedy ostatni raz zajrzała do łazienki, lustro było brudne, podłoga niezamieciona. Później już tam nie wchodziła, korzystała z gościnnej łazienki. Cały Joe! W domu sprząta po łebkach, ale samochód czy łódkę wypucuje do błysku. Staranniej się ubierał, po domu chodził w czystych dresach lub w dżinsach, golił się. Trochę to było na pokaz, wykalkulowane, przemyślane. Nalegał, by wróciła do małżeńskiej sypialni. Odzywało się jego włoskie dziedzictwo...

Do domu wróciła o szóstej. Padała z nóg. Od razu zauważyła, że Joe odkurzył dywan. Celowo wybierał takie prace, które jej nie umkną. Telewizor był wyłączony. Joe wynurzył się z głębi domu.

– Cześć, kotku. Nie oddzwoniłaś. Masz ochotę wybrać się na kolację?

Był w wizytowych spodniach, swetrze w serek i niebieskiej koszuli rozpiętej pod szyją. Wyglądał czysto i świeżo. Miał cztery wolne dni. Jeszcze niedawno chodziłby jak łajza, nieogolony, w starych szortach. Teraz to ona czuła się nieświeżo po całym dniu pracy. Popatrzyła na ciemne włoski widoczne w wycięciu koszuli męża. Kiedyś ten widok się jej podobał, Joe wydawał się męski i seksowny, ale do czasu, aż przyszło jej zbierać te włosy z wanny i podłogi.

– Gdzie Jason?

– Zawiozłem go do twojej mamy. Jeśli chcesz wyjść na kolację, odbierzemy go, wracając. Jeśli wolisz nie ruszać się z domu, pojedę po coś na wynos i przywiozę Jasona. Decyzja należy do ciebie.

– Muszę wziąć prysznic i się przebrać.

– Nie ma sprawy. Pojedziemy, jak się wyszykujesz.

– A twój mecz? Obejrzymy go w barze?

– Pojedziemy, gdzie zechcesz. Jeśli nie masz pomysłu, możemy sprawdzić tę nową rybną restaurację. Zawsze też jest Martinelli. Co do meczu, to nie zamierzałem go oglądać...

– Joe, co z tobą? Nigdy nie przepuszczałeś meczu!

– Co tam mecz. Kolacja z tobą jest ważniejsza. Poniedziałki zawsze masz ciężkie, a ja mam wolne. No, trochę posprzątałem dom...

Zaskoczył ją wzmianką o pracowitych poniedziałkach. Nie sądziła, że o tym pamięta.

– Dzięki, Joe. Daj mi pół godziny. Pojedziemy, gdzie zechcesz.

Pod prysznicem zmyła z siebie zmęczenie, poprawiła fryzurę, umalowała się i po dwudziestu minutach była gotowa. Na pewno zaraz przydybie Joego przed telewizorem. I nieprędko wyjdą z domu. A gdy już to zrobią, wylądują w barze dla kibiców na pizzy lub kawałkach kurczaka. Tak będzie wyglądało ich wyjście na kolację, po prostu Joe taki już jest. Minęło sporo czasu, odkąd wyprowadziła się z małżeńskiej sypialni, lecz nie mogła zdecydować się na ostateczny ruch. Miała dużo czasu na rozmyślanie, gdy w nocy samotnie przewracała się w łóżku. Od dawna narastała w niej złość na Joego, a teraz wręcz podsyciała, karmiła się nią, szukała zemsty. Cóż z tego, że wreszcie zaczął się starać?

Poza tym fantazjowała na temat Ryana...

Od ich definitywnego zerwania minęło osiem lat. Przez kilka lat byli parą, rozstawali się i znowu do siebie wracali. Była niedoświadczoną dziewczyną, a Ryan, choć sprawił jej tyle rozczarowań i bólu, okazał się fantastycznym znawcą kobiecej duszy i urodzonym uwodzicielem. Wprowadził ją w tajniki miłości, rozkochał w sobie, otworzył jej oczy na tyle rzeczy. Była z nim szczęśliwa, choć nacierpiała się jeszcze więcej. Teraz, gdy Joe stał się dla niej obcy, nie mogła odepchnąć od siebie natrętnych myśli o Ryanie. Może przez tych osiem lat naprawdę się zmienił? Może wreszcie się opamiętał, zaczął inaczej podchodzić do życia, poważnie traktować zobowiązania wynikające ze związku z drugą osobą? Jeśli odrzucić jego zdrady, zapomnieć o samotności i przelanych łzach, to byłby dla niej idealnym partnerem. Sama nie wiedziała, dlaczego jeszcze nie zażądała rozwodu. Pieniądze nie grały roli. Mieli oszczędności, oboje nieźle zarabiali, mogą żyć osobno, a Joe na pewno będzie się troszczył o syna. Nie chodziło też o małżeńską przysięgę. Poczula się z niej zwolniona, bo to on jej nie dotrzymał, gdy zaczął traktować ją jak gosposię. Powstrzymywało ją tylko jedno. Joe naprawdę zaczął się starać, próbował wszystko naprawić, kochał ją.

Potrzebowała trochę czasu, by przekonać się, czy zdoła znów pokochać Joego, czy też nie ma już takiej szansy. Wiedziała, że dla Joego sprawa jest oczywista. Tak było od początku. Gdy Billy ich z sobą poznał, Joemu zapaliły się oczy. Po kilku randkach przypadkiem usłyszała, jak dziękował Billy'emu, obiecywał mu wdzięczność po grób. Bardzo się o nią starał, wychodził ze skóry, żeby ją zdobyć, udowodnić swą miłość. Po ślubie strasznie się zapuścił, ale nawet nie spojrzał na inną kobietę, nigdy nie dał odczuć żonie, że przez nią coś ominęło go w życiu, choć ona wciąż narzekała. Zmieniła się w sekutnicę, nie było mu z nią łatwo. Czowała się wewnętrznie rozdarta. Z jednej strony marzyła o Rynie, choć intuicja podpowiadała, że tak naprawdę wcale się nie zmienił, z drugiej zaś cierpiała, wiedząc, że Joe kocha ją i jest jej oddany. Nie mogła otrząsnąć się z tych rozterek, postąpić choćby krok dalej. Szykowała się niecałe dwadzieścia minut, jednak nie przyłapała męża przed telewizorem. Ku jej zaskoczeniu siedział na kanapie i przeglądał gazetę. Telewizor był wyłączony. Na jej widok Joe podniósł się.

– Szybka jesteś. Wyglądasz bosko. – Złożył gazetę.

– Joe, naprawdę mnie zaskakujesz. Co ty knujesz?

– Przejmuję się tobą, Marty. Sama mówiłaś, że tego ci brakuje. – Gdy przyglądała mu się bez słowa, dodał: – Gdzie chcesz iść na kolację?

– Zrób mi niespodziankę. – Ruszyła do samochodu.

Dwadzieścia minut później usiedli w eleganckiej restauracji. W poniedziałkowy wieczór gości było niewiele, dlatego bez rezerwacji dostali przestronną łóżę. Zamówili drinki i zaczęli przeglądać karty.

– To nie jest lokal w twoim stylu – zauważyła Marty. – Spodziewałam się, że zaprosisz mnie na pizzę czy skrzydełka.

Restauracja była natomiast w jej stylu, i dlatego Joe ją wybrał. Paradoks polegał na tym, że akurat teraz wolałaby bardziej hałaśliwą, niesprzyjającą rozmowie knajpkę. Jemu natomiast o rozmowę chodziło, bo gdy przyniesiono im napoje, oznajmił:

– Marty, musimy poważnie pogadać.

– Na jaki temat?

– Przeniosłaś się do gościnnej sypialni, a za każdym razem, gdy na mnie spojrzysz, przeszywa mnie chłód. Może od tego zaczniemy. Jaki masz plan? – spytał zasadniczym tonem.

– Joe, nie mam żadnego planu. W tym problem.

– Nie rozumiem. Mam zrobić coś więcej, żebyś przeniosła do szafy swoje rzeczy? Bo jeśli powinienem jeszcze coś zrobić, to nie wiem co.

– Chodzi ci o moje rzeczy w szafie?

– Chodzi o nasze małżeństwo. O moją żonę. Zamierzasz wystąpić o rozwód? Masz kogoś na boku? Czy taki stan rzeczy potrwa tydzień? Rok? Spotykasz się z adwokatem czy z kochankiem? Marty, to już tak długo trwa. Starłem się być cierpliwy, ale należy mi się odpowiedź.

– Z nikim się nie spotykam, ani z kochankiem, ani z adwokatem. Wyprowadziłam się z sypialni, bo nie mogłam już dłużej. Dopiero to dało ci do myślenia, ale teraz, choć przykro mi to mówić, mam opory, żeby tam wrócić. Boję się, że znów będzie jak wcześniej, a ja już nie mogę dłużej tak żyć. Przeraza mnie wizja takiej przyszłości.

– Nie możesz mi zaufać? Nie wierzysz, że będę się starał ze wszystkich sił?

– Joe, potrzeba mi więcej czasu. Jeszcze nie jestem gotowa.

– Marty... Czy ty mnie kochasz?

O do diabła! Co mu odpowiedzieć? Wahanie trwało wystarczająco długo, by Joe zwiesił głowę, zapatrzył się w blat stołu i zaklął pod nosem.

– A jaki ty masz plan, Joe?

– Na pewno nie chcę oddzielnych sypialni, skoro jednak kobieta, z którą mieszkam, nie może na mnie patrzeć, to nie będę się napraszać. Chciałem zrobić wszystko, by do mnie wróciła, ale jeśli nic z tego nie wychodzi, to dalsze starania nie mają sensu. Chcesz mieć wychuchany dom, a ja sobie z tym nie radzę. Chcesz mieć osobną sypialnię, a ja nie tak wyobrażam sobie małżeńskie współżycie.

Zdumiały ją te słowa. W swych rozważaniach i kalkulacjach zapomniała o dumie i uporze Joego. Jest typowym macho, nie daje się owinąć kobiecie wokół palca, tańczyć, jak mu zagra. Owszem, był zdolny do ustępstw i kompromisów, ale oczekiwał, że zostanie doceniony.

– Zostawiasz mnie? – wykrztusiła ze zdumieniem.

– Marty, to ty mnie zostawiłaś. Tylko jeszcze nie wykopałaś mnie z domu.

– Zaraz, Joe. Potrzebowałam trochę przestrzeni dla siebie, bo czułam się dotknięta i niekochana. Nie zamierzałam...

– Marty, coś sobie planujesz, tylko jeszcze nie wpasowałaś mnie do tego planu. Przez te dwa miesiące, odkąd mieszkasz oddzielnie, nie zastanawiałaś się, co dalej? Nie myślałaś o rozwodzie? Bo jeśli tamta histeria ci przeszła, to ja tego nie zauważyłem.

– Histeria? Uważasz, że to był atak histerii? Tak myślisz?

– Już dobrze, miałaś rację. Byłem idiotą i nie zdawałem sobie sprawy, co jest dla ciebie ważne. Potrzebowałem porządnego kopa, przyznaję. Otrzeźwiłaś mnie. Teraz ponawiam pytanie... jak widzisz to dalej?

– To dlatego zaprosiłeś mnie na kolację? – spytała po dłuższej chwili. – Żeby mnie przycisnąć?

– Nie Marty. Pytając, czy mnie kochasz, liczyłem, że odpowiesz natychmiast. Już i tak czułem się jak idiota, że nie umiem zadbać o własną żonę, choć wypruwam z siebie flaki. Ale czuję, że chodzi o coś więcej niż te cholerne ręczniki, które zapominam odwiesić na miejsce. Coś mi mówi, że mnie skreśliłaś. Nas skreśliłaś.

Kelner przyniósł sałatki, zagadując wesoło. Kiedy odszedł, Marty powiedziała:

– Może nie będziemy teraz tego ciągnąć...

– Ja w ogóle nie chciałbym prowadzić takich rozmów. Czy ty wiesz, co do ciebie czuję? Zrobiłbym wszystko, gdybym tylko wiedział, co i jak. Oświadczyłem ci się nie dlatego, że szukałem kobiety, chciałem się ustatkować, bo nadszedł taki czas w moim życiu. – Pokręcił głową. – Przyznaję, nie zawsze byłem idealny, przyznaję, złościłem się, że wciąż ci coś nie pasuje, ale nigdy nie pomyślałem, że popełniłem błąd, wiążąc się z tobą. Ogarnęło mnie przerażenie, gdy wyniosłaś się do gościnnej sypialni, liczyłem jednak, że rozejdzie się po kościach i znów będzie dobrze. Tak myślałem, bo wciąż byłem w tobie zakochany po uszy. I naprawdę myślałem, że ty też mnie kochasz, choć się na mnie złościś.

Poczuła łzy pod powiekami.

– Myślałam, że tobie w ogóle na mnie nie zależy... To znaczy wiedziałam, że mnie kochasz, ale...

– Marty, posłuchaj tylko, co mówisz – wszedł jej w słowo. – Wiedziałaś, że cię Kocham, ale uważałaś, że mi na tobie nie zależy? Kiedy ostatni raz pokazałaś mi, że tobie na mnie zależy? Że doceniasz to, co dla nas robię? Przynoszę dobrą pensję, ale czy choć raz skomentowałem twoje wydatki? Wściekałaś się na te różne zabawki, ale nie powiedziałaś słowa, gdy zajmowałem się twoim samochodem, malowałem dom, pielęgnowałem ogród czy wykladałem podłogę na patio. Miałaś mi za złe, że nie lubię tańczyć, ale gdy wytapetowałem ściany, zainstalowałem frontowe drzwi i położyłem parkiet, byłaś zadowolona. Czy wypominałem ci, że nie chcesz mieć więcej dzieci, choć je planowaliśmy? Po Jasonie, a myślę, że wykonałem dobrą robotę, chciałem powiększyć naszą rodzinę. – Zamilkł na moment. – A nasz portfel inwestycyjny, wspólny, na ciebie i na mnie. Zacząłem odkładać, jeszcze nim cię poznałem. Jest naprawdę spory. Szedłem w ogień, by zarobić więcej, każdy to potwierdzi. To wszystko dla ciebie! – Gniewnie nabił kęs na widelec i podniósł do ust.

– Joe, proszę... – Łza spłynęła jej po policzku. – Doceniam, co dla mnie zrobiłeś...

– Tylko że to za mało, prawda? Chciałem zrobić więcej, naprawdę się starałem. W końcu doszedłem do wniosku, że nie ma szans, bym cię zadowolili. Byś mnie kochała.

Odwróciła od niego oczy i ujrzała wchodzącego do baru Ryana. Obejmował ramieniem kobietę. Poznała ją. To Jill. Przelotnie widziała ją kilka razy, kiedy Ryan i Jill zaczęli razem mieszkać. Wraz z nimi weszła jeszcze jakaś para. Cała czwórka usiadła przy wysokim stoliku. Byli rozbawieni, a Ryan nie mógł utrzymać przy sobie rąk, masował Jill

po karku i szyi, kładł dłoń na jej ramieniu. Tłumiąc szloch, Marty przeniosła wzrok na Joego.

– Muszę stąd wyjść – powiedziała cicho. – Nie mogę tu dłużej zostać. Nie mogę jeść.

– Dobrze. – Położył na stole kilka banknotów, po czym ruszył za żoną. Objął ją w talii, choć był na nią wściekły.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – zatrzymał ich kelner.

– Jeśli chodzi o restaurację, to owszem. Wszystko inne beznadziejne. – Wskazał głową na stolik. – Zapłaciłem za zamówienie. Przepraszam, że tak wyszło.

Kiedy rozmawiał z kelnerem, Marty ruszyła do baru. Nie mogła się powstrzymać. Podeszła do stolika Ryana. Czowała podążającego za nią męża. Wiedziała, jak bardzo jest na nią wściekły, a jednak delikatnie położył rękę na jej ramieniu, zaznaczając, że są razem.

– Cześć, Ryan, Jill – odezwała się miękko, choć łyzy jeszcze jej nie obeschły. – Miło was widzieć. Cieszę się, że znowu jesteście razem...

Jill zerknęła na Ryana, zmarszczyła brwi.

– A niby nie byliśmy? – Na jej palcu błyszczał imponujący pierścienek zaręczynowy.

– Mówisz o tym, co zdarzyło się przed rokiem – z wymuszonym śmiechem rzekł Ryan. – Mieliśmy drobne nieporozumienia...

– Drobne nieporozumienia? – zdumiała się Marty. – Dwa miesiące temu, kiedy przypadkowo na siebie wpadliśmy, powiedziałeś, że od roku nie jesteście razem. – Uniosła brwi. – Coś nie tak zrozumiałam?

– Najwyraźniej – odparł, pochmurniejąc.

Jill popatrzyła na niego zwięzonymi oczami.

– Tak było?

Ryan skrzywił się tylko.

– Znacie mojego męża? Joe, to Ryan i Jill. Znamy się z Ryanem od liceum. To już tyle czasu. – Joe, choć zwykle był uprzejmy, nie wyciągnął ręki na powitanie. Czują, jak bardzo jest spięty. – Musimy iść. Chciałam się tylko przywitać. Miło było was spotkać.

Wiedziała. Gdy tylko wszedł do baru, wszystko stało się jasne. Wymyślił sobie kolegę, który u niego mieszka. Równy ją bujał. Gdy zadzwoniła, na poczekaniu opowiedział Jill jakąś historyjkę, pewnie oznajmił, że umówił się z kumplami na piwo. Zostawił narzeczoną w domu, a sam zarezerwował pokój w hotelu. Liczył, że mu się uda. Gdyby zaczęli romans, po jakimś czasie przyznałby się do układu z Jill, a na jej wymówki miałby proste stwierdzenie, że przecież jest mężatką. Nieuleczalny kobieciarz, nic się nie zmieniło. Jedna mu nie wystarcza, musi wciąż polować. Zapewne łatwo przekona Jill, że Marty coś sobie ubzdurzyła bo przecież nigdy nie mówił o rozstaniu. Mistrz manipulacji i skończony łgarz. Wsiadł do samochodu, lecz Joe nie ruszał z miejsca. Patrząc przed siebie, zapytał:

– Czy to on?

– Kto?

– Facet, przez którego odwróciłaś się ode mnie i wyniosłaś z sypialni?

Roześmiała się, choć w oczach lśniły jej łzy.

– To tylko ktoś, z kim kiedyś chodziłam do liceum.

Widziała, że jej nie uwierzył. Joe, wysoki, silny i męski na pewno nie mógł pojąć, co kobieta widzi w takim przystojniaczku. Sama też zadawała sobie to pytanie, myśląc ponuro, jaka jest głupia. Łzy płynęły jej po policzkach. Wreszcie dotarło do niej, że jej problem jest głębszej natury, chodzi o coś więcej niż o awersję do bałaganiarskiego stylu Joego. Stracili z sobą kontakt, przestali się rozumieć. Dopiero gdy wyprowadziła się z małżeńskiej sypialni, Joe przeżył szok, coś do niego trafiło. Ona też go nie doceniała, nie liczyła się z jego uczuciami, nie zdawała sobie sprawy, ile jest gotów dla niej zrobić. Kiedy przestali z sobą rozmawiać, rozumieć siebie nawzajem? Przecież kiedyś było inaczej. Oboje się starali, budowali kompromisy, wiedzieli o sobie wszystko. I nagle coś radykalnie się zmieniło. Dwa osobne światy... Miała w sobie głęboko osadzone, niepodlegające dyskusji wyobrażenia i zasady o wspólnym życiu. Podobnie Joe. I pozostały tylko one, ztratili umiejętność budowania kompromisów. Przez całą drogę do domu gorzko płakała, nie mogła się opanować. Czy dlatego, że Ryan tak ją wyrolował? Może z poczucia winy, że odstawiła męża, choć chciał dać jej wszystko? Joe nie odzywał się, nie pytał, co się stało. Nie próbował jej pocieszyć. Została w samochodzie, gdy Joe poszedł po Jasona. Kiedy dojechali do domu, wyjął śpiącego synka i poszedł go położyć. Marty weszła do swojej sypialni, skuliła się na łóżku i płakała w poduszkę. Wiedziała, że Joe świetnie poradzi sobie z synkiem. Nie dziwiła się, że zostawił ją samą, choć widział, w jakim jest stanie. Miał dość. Uznał, że to przegrana walka i odpuścił. Minęło dużo czasu, nim wreszcie się uspokoiła.

Dziwne, bo nie dobiegały żadne odgłosy. Spodziewała się, że Joe zasiądzie przed telewizorem i będzie oglądać sport. Jednak w domu,

mimo dość wczesnej pory, panowała głucha cisza. Przemyla twarz, włożyła szlafrok i ruszyła do małżeńskiej sypialni. Zatrzymała się przy łóżku i popatrzyła na męża. Po długiej chwili Joe odchylił kołdrę i przesunął się dalej. Marty położyła się przy nim, oparła głowę na jego ramieniu i zapłakała.

Przesunął dłonią po jej włosach, przytulił ją.

– Przespałaś się z nim, Marty?

Podniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nie! – wykrzyknęła. – Klnę się na Boga, że nie.

Odetchnął z ulgą, przygarnął ją mocniej.

– Chcesz dać nam szansę? Spróbować, czy coś z tego będzie, czy nam się uda? Czy wolisz od razu stwierdzić, że to przegrana sprawa, i rozstać się, nim zrobi się jeszcze gorzej?

Dotknęła dłonią jego policzka.

– Chcę, żebyśmy jeszcze raz spróbowali, choć myślę, że potrzebujemy pomocy. Nie wiem, jak do tego doszło, ale staliśmy się sobie obcy, straciliśmy kontakt. Kiedyś było inaczej...

– Masz rację, Marty.

– Postaram się, jeśli i ty tego chcesz, Joe. Nie chcę cię stracić. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Nie zostawiaj mnie, proszę.

Pocałował ją w czoło.

– Obiecałem ci to. Przysięgałem świadomie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przed przyjaciółkami i współpracownikami Beth utrzymywała, że doktor Paterson poświęca jej tyle uwagi, bo są kolegami po fachu, a ona przechodzi morderczą chemoterapię. Sama poniekąd w to wierzyła i takie postawienie sprawy jej odpowiadało, jednak po kilku miesiącach znajomość z Jerodem przekształciła się z koleżeństwa w zażyłą przyjaźń. Dzwonił prawie codziennie, wypytywał o zdrowie i samopoczucie, a potem przechodził do innych tematów. Rozmowy przeciągały się i coraz częściej opowiadali sobie o codziennych sprawach, o pracy, jego córkach, prozaicznych zajęciach, o wszystkim i o niczym. Dwa razy Beth pojechała do niego na wizytę do San Francisco, wieczorami szli do restauracji. Teraz był w Sacramento i również zabrał ją na kolację. Odłożył kartę dań i przesunął wzrokiem po wynikach badań Beth.

- Dobrze, dobrze i jeszcze raz dobrze. Tak jak się spodziewałem.
- Zaczynasz grać w otwarte karty.
- Nareszcie – odparł z uśmiechem. – Myślałem, że będziesz mnie w nieskończoność zwodzić.
- Wcale cię nie zwodzę, coś ci się pokręciło. Chyba że masz jakieś obłąkane upodobanie do chorych kobiet.
- Zabawne, bo nie postrzegam cię jako chorej, chociaż pewnie powinienem. Jak na kogoś zdrowego wiele przeszłaś, masz za sobą ciężkie przeżycia. Głupio mi. Gdy tylko cię poznałem, byłem pod wrażeniem, ale powtarzałem sobie, że nie mam prawa stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Jednak straciłem głowę.

– Bardzo nieprofesjonalne zachowanie.

– Hm, to zależy, z jakiej perspektywy oceniasz. Gdybyś nie była pacjentką, nie czekałbym ani minuty, by poznać cię lepiej. Myślałem, żeby zaproponować ci innego lekarza, lecz ty chciałaś mnie. Zresztą wydaje mi się mało prawdopodobne, by jakiś onkolog zastosował inną terapię. Uważam, że postępowałem obiektywnie, całkowicie profesjonalnie.

– Ile pacjentek cię intrygowało? Z iloma się spotykałeś?

– Z żadną. Przez długi czas byłem żonaty, no i moje pacjentki nie są młodymi pięknymi lekarkami. – Uśmiechnął się. – Zawsze byłem dżentelmenem.

– Zaczynają wypadać mi włosy.

– Odrośną. Beth, tyle widziałem, że nie zniechęcisz mnie czymś takim.

– A co będzie, jeśli się od ciebie uzależnię?

– Pewnie jakoś sobie z tym poradzę, ale powiem szczerze, że jedną z cech, która mnie w tobie ujęła, jest twoje uparte dążenie do niezależności. Dokończysz chemię, wyjdiesz z tej choroby, odrosną ci włosy, odzyskasz formę, zaczniesz normalne życie. Jeszcze wiele dobrego przed tobą. Może powinienem cię ostrzec, że nie warto interesować się pięćdziesięcioletnim mężczyzną?

– Skąd pomyśl, że się kimś takim interesuję?

– Bo moje akcje powoli rosną. – Gwałtownie spowaźniał. – Beth, następne miesiące mogą być ciężkie. Może będziesz musiała ograniczyć pracę, pójść na zwolnienie. Ale gdy najgorsze minie, zaczniesz wracać do zdrowia. Stopniowo odzyskasz siłę. Na początku przyszłego roku powinnaś wrócić do dawnej formy.

– Mam taką nadzieję. – Upiła łyk wody. – Te pierwsze miesiące przeszły mi w miarę gładko, lecz zaczynam czuć skutki terapii. Jestem osłabiona, wyczerpana.

– Tak to już jest. Chciałbym ci tego oszczędzić, przerwać leczenie, widzieć, jak rozkwitasz, lecz byłby to niewybaczalny błąd. Beth, szczerze wierzę, że idziemy w dobrym kierunku. Może na wiosnę gdzieś pojedziemy, relaksująca wycieczka, na przykład statkiem na Karaiby.

– W co ty się ładujesz? – Pokręciła sceptycznie głową.

– Myślisz, że to ja coś tracę? Ty się wykurujesz, ale mi się nie poprawi.

– Co ci się nie poprawi?

– Mam pięćdziesiąt lat. Gdy stracę włosy, to bezpowrotnie. To tylko przykład, chodzi o tę jazdę w dół po pięćdziesiątce.

– Gadanie... – Popatrzyła na niego z uwagą. – Jerod, nikomu nic nie powiedziałam. Nie chcę, by to się rozeszło. Jeszcze ktoś pomyśli, że się spotykamy.

– Przecież się spotykamy. Nie obchodzi mnie, czy ktoś o tym wie. – Wzruszył ramionami. – Jest coś, co nie daje mi spokoju... Czy po tym narzeczonym był jeszcze ktoś, tak na poważnie?

– Nie. Po tamtej nauce stałam się bardzo ostrożna. Nie chciałam ryzykować.

– Bardzo się dziwię, że tak postąpił, zrezygnował z ciebie. Co on sobie myślał...

– Był bardzo młody i przeraził się tego, co go czeka. Bał się związać z kobietą, która być może jest przewlekłe chora, nigdy nie urodzi dzieci...

– Może bał się kusić losu, uznał, że to jedyne rozsądne wyjście – rzekł w zadumie. – To bardzo krótkowzroczne podejście. Nigdy nie wiadomo, co komu sądzone. Możesz być z kimś wyjątkowym, wszystko zapowiada się idealnie, a los cię zaskoczy. Możesz stracić tę drugą osobę. Nieszczęśliwy wypadek, rozwód, możliwości jest wiele... – Przerwał na moment. – Beth, mnie przed niczym nie musisz chronić. Oczywiście pod warunkiem, że nie zamierzasz podać mnie do sądu – dokończył z uśmiechem.

– Myślałam o czymś innym. Buziaku na dobranoc. Ten ostatni, z nudnym, skupionym na sobie lekarzem, najchętniej wymazałabym z pamięci.

– Z przyjemnością ci w tym pomogę.

– Zastanawiałam się... sam uznasz, że trochę ze mną nie tak... no więc zastanawiałam się, czy cię zaprosić na spotkanie z moimi przyjaciółkami. – Uśmiechnęła się na jego zdziwioną minę. – Dziewczyny urządzą kameralne przyjęcie. Cassie, która jest pielęgniarką, wreszcie ma przyprowadzić nowego faceta. – Uśmiechnęła się. – Spotyka się z nim od kilku miesięcy, ale w wielkiej konspiracji, żadna z nas jeszcze go nie widziała.

– Dlaczego?

– Podobno jest z zupełnie innego świata niż mężczyźni, z którymi mamy do czynienia. Olbrzymi, wytatuowany motocyklista. Cassie chce go rzucić na głęboką wodę i popatrzeć, jak sobie poradzi. Utopi się, a może wypłynie? Jeśli przyjdę z tobą, to będzie absolutne zaskoczenie i szok. Powiem, że mam potajemny romans z moim lekarzem.

Jerod zachichotał.

– Po pierwsze, nie potajemny. Po drugie, żaden romans. Nawet się do tego nie zbliżyliśmy. I szybko to nie nastąpi, bo najpierw musisz stanąć na nogi. A ten pomysł z buziakiem... cóż, nawet mnie zaskoczył.

– Chyba nie fantazjujesz na temat mojej pociętej klatki piersiowej i łysej głowy? Jakbyś kochał się z kosmitą.

– Fantazjuję na temat twoich ramion, talii, długich nóg i ślicznej pupy. Twojej szyi i ust. A także o trzymaniu cię za rękę na plaży, wspólnym żeglowaniu i o twoim śmiechu. Uwielbiam, gdy się śmiejesz. I że jesteś taka mądra. Nie przepadam za towarzystwem lekarzy, bo zwykle są przeraźliwie nudni, ale z tobą nawet rozmowa przez telefon jest inspirująca i ciekawa. Do tej pory nie interesowałem się ginekologią. Ty sprawiłaś, że zmieniłem zdanie. Mówisz o niej tak zajmująco, jesteś zafascynowana tą dziedziną. Beth, czy to tylko zadurzenie, czy to ty jesteś fascynująca?

– Owszem, jestem fascynująca – oznajmiła z uśmiechem. – To przyjęcie będzie w przyszłą sobotę. Masz jakieś plany z córkami?

– Wszystko da się dopasować. Na pewno przyjadę.

– Może skorzystasz z mojego pokoju gościnnego? Od razu uprzedzam, że nie będzie żadnego seksu czy choćby niewinnego przymilania.

– Dzięki za miłą propozycję. W zamian zaproszę cię na śniadanie.

– Na razie wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że jesteśmy jedynie przyjaciółmi – podsumowała.

– Dobrymi przyjaciółmi. Z ogromnym potencjałem.

Przemknęło jej przez myśl, że powinna poprosić Walta, by trochę się odszykował na pierwsze spotkanie z jej przyjaciółkami, lecz natychmiast z tego zrezygnowała. Co ze mnie za idiotka! – skarciła się w duchu. Przez całe lata przyprowadzałam do nich nieciekawych facetów, łudząc się, że skoro ubierają się jak należy i wiedzą, jak się zachować, to wpasują się w nasze towarzystwo. A okazywali się beznadziejnymi palantami. Kiedy więc Walt z własnej woli zapytał, jak powinien wystąpić, powiedziała tylko, że normalnie. Wyjaśniła jedynie, że gdyby zdecydował się na motor, to ona przyjedzie samochodem, bo musi dostarczyć wiktuały.

– Co tam zabierasz?

– Dużą porcję sałatki, pieczywo, sześciopak dobrego piwa i butelkę wina.

– Mogę się jakoś dorzucić?

– To impreza dla ciebie. Wystarczy, że się pojawisz i będziesz gwiazdą.

– Na pewno przyjmą mnie lepiej, jeśli coś przyniosę. Pojedziemy samochodem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Julie i Billy wydawali u siebie kolację, ale poprawiło im się na tyle, że stać ich było na taki gest. Zapewniali pieczone i deser, goście mieli przynieść resztę. Julie denerwowała się, lecz było to zwykle zdenerwowanie gospodyni, która ma ugościć przyjaciół. Cieszyła się, że wreszcie zaczynają żyć jak ludzie, a nie serwować gościom bagietki, tanią sałatkę, piwo i kiepskie wino. Wydała trzydzieści dolarów na steki i upiekła dwa tuczące serniki. Niby niewiele, lecz dla niej była to prawdziwa rewolucja, cudowna odmiana losu.

Walt przyjechał po Cassie o szóstej. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, jak się ubrał. Niczego nie zmienił, tylko starannie przystrzygł baczki, lecz pewnie ze względu na nią, by jej nie podrapać. Przejmował się nią, był bardzo uważający, co ją rozbrajało i urzekało. A strój? Skórzana kamizelka z łańcuchami, kowbojki i dżinsy, no i odsłonięte przedramiona, czyli goła panienka na wierzchu. Na tylnym siedzeniu dostrzegła wielki kosz zakryty celofanem.

– Co to takiego? – zainteresowała się.

– Podjechałem do jednej z naszych ulubionych knajpek w Sonomie. Pamiętasz? Byliśmy tam za pierwszym razem. Przygotowali mi kosz prezentowy, naprawdę fajnie wygląda. Myślisz, że im się spodoba?

– Nakupiłeś wina po sto dolarów za flaszkę?

– Nie! Owszem, są jakieś butelki, ale prosiłem przede wszystkim o dobrą polędwicę i filet z łososia. Będą to mogli zamrozić. – Uśmiechnął się. – Jeśli przejdę test, może Billy zaprosi mnie na grilla.

– Ty lizusie! – Pacnęła go w ramię. – Mam nadzieję, że ich polubisz. Ze wszystkimi, poza Joem, mężem Marty, przyjaźnię się od dziecka.

– Skarbie, ja już ich lubię. Muszą być wyjątkowymi ludźmi, skoro wytrzymali z tobą przez tyle lat.

Znów musiała go pacnąć.

Weszli do środka. Walt z koszem, Cassie ze swoimi wiktuałami. Joe i Marty już byli, pomagali rozkładać przekąski. Cassie dokonała prezentacji. Walt nakłonił Julie, by zajrzała do kosza.

– O mój Boże! – Julie aż jęknęła, gdy wyjmowała z kosza wielką polędwicę, ogromny filet z łososia i cztery butelki wina.

– Pomyślałem, że zamrozićie je sobie na następny raz, gdy będziecie mieć gości. – Walt uśmiechnął się promiennie. – Jak mi się poszczęści, to i mnie.

– Naprawdę za dużo...

– To mój debiut, więc postanowiłem zaszpanować.

– Rozumiem – skwitowała pogodnie – ale na dłuższą metę daj sobie z tym spokój. Spotykamy się, jemy i pijemy. Nawet się nie spostrzeżesz, jak będziesz splukany.

– Brzmi nieźle. A gdzie dzieciaki? – zapytał, rozglądając się po domu.

– Nocują u mojej mamy, czyli mogę się skupić na przypiekaniu ciebie.

– Zaraz, Cassie mówiła, że będziesz przypiekać steki.

– Steki i ciebie. Idź się rozgościć.

Mężczyźni zawołali Walta do ogródka. Gdy zniknęli, Cassie powiedziała do Julie:

– Schowaj to wino w dobre miejsce. On ma taki zwyczaj, że kupuje naprawdę drogie rzeczy.

Julie podniosła butelkę i przyjrzała się jej. Marty sięgnęła po drugą.

– Nie powinnam podać tego wina?

– Oczywiście możesz, ale lepiej zostaw na specjalną okazję. Walt wciąż przynosi do mnie wino po sto dolarów za butelkę. Nie mogę go tego oduczyć.

– Jak on to robi?

– Dotąd z nikim nie był na poważnie, więc nie miał na kogo wydawać. Tak w każdym razie twierdzi. – Wzruszyła ramionami. – Dla niego to przyjemność, a mnie doprowadza do szału. Przecież wystarczy mi tania butelczyna.

– Podamy je na stół – zdecydowała Julie.

– Walt prawie nie pije – zaznaczyła Cassie. – Billy i Joe nie zauważą różnicy. Szkoda marnować dobre wino.

Drzwi otworzyły się i na progu stanęła Beth z towarzyszącą osobą.

– Cześć – przywitała się. – Poznajcie Jeroda Patersona, mojego lekarza. I przyjaciela.

Julie i Cassie zaniemówiły, na co Beth i Jerod wybuchnęli śmiechem. Gdy skończyli się witać, Cassie wyszeptała do Julie:

– Dobra, dawaj na stół to dobre wino.

Jak zwykle podczas takich spotkań panie zostały w kuchni, szykując jedzenie i gawędząc, zaś panowie rozmawiali w ogródku, popijając piwo. Dziwny to był skład – dwóch strażaków i motocyklista, wszyscy w okolicach trzydziestki, oraz pięćdziesięcioletni lekarz. To, co ich łączyło, to ich kobiety. Walt, a szczególnie Jerod podpytywali pozostałych. Ciekawiła ich przeszłość, lecz znał ją tylko Billy. Joe ożenił się z Marty przed sześciu laty i wrósł w jej środowisko, wiedział, jak bliskie są sobie cztery przyjaciółki.

– Znają się jak łyse konie i skoczą za siebie w ogień – wyjaśnił Waltowi i Jerodowi. – Wiedzą o nas nawet to, o czym sami nie mamy pojęcia. Czasami to aż przeraża.

Potem przeszli do innych tematów. Billy i Joe opowiedzieli o kilku dramatycznych akcjach, w których brali udział jako strażacy, natomiast Walt przez chwilę snuł epizody z motocyklowych włóczęg po kraju, po czym spytał Jeroda o jego pracę.

– Daje mi ogromną satysfakcję – odparł. – Poświęcam jej mnóstwo czasu, lecz każda sekunda jest tego warta.

– Nie wpływa na ciebie trochę depresyjnie? – dociekał mocno poruszony Joe.

– Absolutnie nie. To prawda, że nie wszystkim pacjentom jestem w stanie pomóc, lecz wyleczonych jest znacznie więcej, co bardzo motywuje. – Zadumał się na moment. – Działam trochę jak strażak. Koncentruję się na tych, których mogę uratować.

Zapadła znacząca cisza, którą przerwał Billy.

– Jak naprawdę jest z Beth? Jakie są rokowania?

Jerod uśmiechnął się.

– Jako jej lekarz powiem, że bardzo dobre. Jako przyjaciel ograniczę się do stwierdzenia, że ma właściwe nastawienie, stawia czoło chorobie. Pokona ją. – Pociągnął z puszki piwo. – Co do tego nie mam wątpliwości. Liczę na długie wspólne lata.

– Przyszłaś z lekarzem? – spytała zdumiona Julie.

– Owszem – ze śmiechem odparła Beth. – Nie chce usunąć się w cień. Trochę przywykłam już do niego. Kto wie, może go zatrzymam.

– Ma romantyczną duszę? – zapytała Cassie.

– On tak, natomiast ja nie jestem w romantycznym nastroju. Ta chemia mnie wykańcza. Dziś spałam w dzień cztery godziny, by mieć siły na wieczór. Jerod wie, że minie dużo czasu, nim zastanowię się nad przyszłością. Choć dobrze mieć kogoś, z kim można sobie pogadać. No, dobrze mieć przy sobie mężczyznę, ale nie pierwszego z brzegu, tylko takiego, który doskonale rozumie, co się ze mną dzieje. I to go nie przeraża.

– A jeśli będziesz chciała posunąć się dalej? Co wtedy?

– Jeroda to nie zszokuje, przecież widział moje blizny. Dla mnie to bardzo bezpieczny układ. Przez jakiś czas nawet zastanawiałam się, że może właśnie dlatego on mi się podoba...

– Chyba żartujesz! – obruszyła się Marty. – Jest super!

– Owszem, jest, więc czemu nie? Jest bystry, przystojny, uważny, a co najważniejsze, czuję się przy nim bezpieczna.

Przyjęcie było bardzo udane, rozmowom i śmiechom nie było końca. Przy smacznym jedzeniu i dobrym winie czas płynął szybko, wspominki i zabawne historyjki sypały się jak z rękawa, zebrani, choć tak różni, doskonale czuli się w swoim towarzystwie. Zaraz po serniku Jerod zabrał Beth do domu, bo opadła z sił, co było zrozumiałe w jej stanie. Joe i Marty wyszli niedługo po nich. Musieli jeszcze pojechać po Jasona. Cassie i Julie krzątały się w kuchni, Billy i Walt stali na podjeździe i gawędzili.

– Co ty na to? – Walt poczęstował Billy'ego cygarem.

– No nie, stary! Naprawdę umiesz się pokazać.

– Dziewczynom by się to nie spodobało, ale co tam, faceci muszą trzymać się razem. – Wyjął zapalniczkę. – Rzadko palę, ale dziś jest wyjątkowa okazja.

Przez chwilę gawędzili o tym i owym, między innymi Billy z ulgą powiedział, że zaczynają stawać na nogi, a najbardziej cieszy go to, że Julie wreszcie jest zrelaksowana i zadowolona.

– Pozostały nam tylko dwie trudne sprawy. – Wskazał stojące na podjeździe samochody. – Radzę sobie z domowymi pracami. Malowanie, drobna elektryka, hydraulika to dla mnie nie problem, lecz nigdy nie miałem zacięcia do silników. A te auta muszą mam posłużyć jeszcze przez przynajmniej cztery lata.

– To dobre samochody – rzekł Walt. – Coś im dolega?

– Mają już po sto pięćdziesiąt tysięcy ze sporym hakiem na licznikach. Są porządne i solidne, ale stare. Już same opony i akcesoria to duży kłopot. Jeśli zdarzy się awaria skrzyni biegów czy hamulców, to leżę. Nie mam o tym pojęcia.

– Ale ja mam – z uśmiechem powiedział Walt, pociągając cygaro. – Jestem mechanikiem, więc jak będziesz miał problem z samochodem, wal śmiało do mnie. Na pewno ci pomogę.

– Naprawdę? Myślałem, że zajmujesz się motocyklami.

– Przede wszystkim nimi, ale mam słabość do smarów i silników. Nie chcę się chwalić, ale jestem w tym dobry. Poza tym mogę mieć części po kosztach.

– Do diabła, coraz bardziej cię lubię! Wiesz, chciałem ci podziękować za to, co zrobiłeś dla Cassie...

– Co i kiedy?

– No wiesz, gdy ją poznałeś. Była w poważnych tarapatach, a ty ją uratowałeś. Tamtej nocy przyjechała do nas, opowiedziała o wszystkim. Była w szoku, mną też to wstrząsnęło. Cassie jest dla mnie jak siostra. Gdyby wtedy cię tam nie było...

– Ale byłem. Można to nazwać zbiegiem okoliczności, lecz często bywałem w tym barze. Cassie nic się nie stało, mocno się tylko wystraszyła.

– Miałem nadzieję kiedyś ci podziękować, że wkroczyłeś do akcji. Rozejrzałem się po Sacramento i okolicach, by znaleźć Kena Baxtera, ale okazało się...

– Ken Baxter? – przerwał mu Walt.

– To z nim Cassie się wtedy spotkała. Podawał się za ratownika medycznego pracującego w straży pożarnej. Znalazłem prawdziwego Kena Baxtera. Ma po pięćdziesiątkę, jest strażakiem, kapitanem, pracuje na północy. To na pewno nie ten.

Walt powinien to przemilczeć, lecz nie zdołał się opanować:

– Billy, to nie był Ken Baxter. Zapamiętałem jego tablicę rejestracyjną i model samochodu i doszedłem do właściciela. Na pewno nie nazywa się Ken Baxter. Nie pytałem Cassie o tamtego drania, namierzyłem go swoimi sposobami. Nazywa się Ralph Perkins i wiem, gdzie pracuje.

– Znam go – powiedział posepnie Billy. – Ken Baxter jest jego kapitanem. Co jakiś czas widuję Perkinsa, nie cieszy się moim zaufaniem. Wykorzystałeś jakoś tę informację?

– Przejechałem parę razy obok remizy, postarałem się, żeby drań mnie zauważył. Wie, że został namierzony. Nic więcej nie mogłem działać, nie narażając się policji. Aha, jeszcze jedno, nie rozmawiałem o tym z Cassie. Ona chce zapomnieć o tamtym zdarzeniu. Już doszła do siebie, nie ma jednak konkretnego zarzutu, nic, o co można by oskarżyć Perkinsa. Dlatego chce zamknąć tę sprawę, zostawić za sobą. Miej to na względzie.

– Wiem, ale...

– Przyciśniesz do muru, a potem to może odbić się na Cassie, gdy akurat mnie przy niej nie będzie i nie zdążę jej pomóc. Dlatego to odpada.

Jazda do domu nie trwała długo, bo Beth mieszkała niedaleko, jednak z każdą sekundą uchodziły z niej siły. Jerod położył rękę na jej udzie.

– Już prawie jesteśmy, wytrzymałaś.

– Strasznie mnie to wkurza – powiedziała niewyraźnie. – Czemu jestem taka wypompowana? Jeszcze godzinę temu nie byłam zmęczona.

– Twój organizm działa na wysokich obrotach. Nie walcz z nim. Zaraz będziesz w domu i pójdziesz spać – łagodnie powiedział Jerod. – Oprzyj się, zamknij oczy. Obudzę cię, jak będziemy na miejscu.

Gdy wjechał do garażu, Beth drzemała. Jerod odpiął jej pas, delikatnie wyjął ją z samochodu i zaczął nieść do domu. Wtedy się ocknęła.

– Mogę iść sama – zaprotestowała, niezręcznie próbując się uwolnić.

– Leż spokojnie. Ważysz tyle co nic. Jeszcze trochę, a podtuczemy cię, nabierzesz ciała.

– Zawsze dbałam o to, by nie stać się grubą... – stłumiła ziewnięcie – ale zaczynam się do tego przekonywać.

Jerod zaniósł ją do sypialni, a gdy posadził na łóżku, osunęła się na poduszkę.

– Powinienem zabrać cię wcześniej, ledwie zipiesz. – Ukląkł i zdjął jej buty. – Pomogę ci się rozebrać. Masz koszulę nocną albo piżamę?

– Nie przejmuj się mną. Prześpię się tak jak jestem.

– Nie opowiadaj głupstw. W tym ubraniu źle ci będzie się spało. Gdzie mam szukać?

Beth ziewnęła głęboko.

– W szafie. Na haczyku.

Szybko znalazł ciepłą długą koszulę z grubej flaneli. Pewnie Beth marznie w nocy, pomyślał. Jest wychudzona, nie ma do kogo się przytulić. Pomógł Beth zdjąć sweter, rozpiął stanik, zręcznie pochwycił dwie protezy, niewielkie, lecz bardzo kosztowne. Włożył Beth koszulę przez głowę. Pomógł jej wstać, by zdjąć resztę ciuszków, a potem delikatnie ją położył i otulił kołdrą. Beth westchnęła z wdzięcznością. Jerod pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Śpij dobrze – wyszeptał.

Już był w progu, gdy usłyszał:

– Jerod...

Podszedł do niej.

– Chcesz coś, kochanie?

– Hm... Może wolałbyś położyć się obok mnie? Nie mam nic przeciwko...

– Nie chcę ci przeszkadzać. Potrzebujesz snu.

– Będę spać, ale tak byłoby dobrze...

– Zaraz do ciebie przyjdę. – Odgarnął włosy z jej twarzy. Kilka zostało mu w dłoni.

– Mhm...

Przyglądał się, jak kompletnie pozbawiona sił zapada w głęboki sen, potem poszedł do łazienki, przygotował się do snu, wrócił do sypialni i ostrożnie ułożył się obok śpiącej Beth.

– To tylko ja – wyszeptał, kładąc rękę na jej biodrze. – Jestem przy tobie. – Gdy z cichym westchnieniem przyłgnęła do niego, dodał: – Nie zdziw się, jak się obudzisz i zobaczysz mnie obok. To ja, Jerod.

– Wiem... To bardzo miłe – powiedziała sennie, przytulając się mocniej. – Dzięki, tyle że ty nic z tego nie masz. Zupełnie nic.

– Owszem, mam. – Przygarnął ją, pocałował w czoło. – Więcej niż myślisz...

Marty ułożyła Jasona do snu, włożyła nocną koszulę i położyła się do łóżka. W sypialni, którą znowu dzieliła z mężem. Z salonu dobiegał odgłosy z telewizora. Zapaliła lampkę i sięgnęła po książkę. Po chwili Joe wyłączył telewizor i przyszedł do sypialni. Marty wpatrywała się w książkę niewidzącym wzrokiem. Joe rozebrał się do bokserek i położył się do łóżka. Marty przeniosła się tutaj na dobre. W szafie znów wisiły jej rzeczy, w łazience stały kosmetyki, jednak między małżonkami nadal była ściana. Wprawdzie Joe całował ją na dobranoc i już nie odwracał się do niej tyłem, ale nie odważył się jej dotknąć. Czasem, w środku

nocy, z przyzwyczajenia przygarniał ją do siebie, lecz to niczego nie zmieniało.

– Jak on ci się podoba? Mam na myśli Walta – zagadnęła, gdy Joe nakrył się kołdrą.

– Całkiem fajny gość.

– A lekarz?

– Też. Choć to ciekawy układ.

– Mam przeczucie, że to się może rozwinąć. Między nimi iskrzy.

– Chyba tak.

Zwyczajowo musnął jej usta... a Marty przytrzymała go, nie pozwoliła się odsunąć. Na chwilę zamarł, po czym znów ją pocałował, tym razem długo i namiętnie. Jego dłonie powędrowały ku jej talii.

– Marty – wyszeptał – co się dzieje?

– Pomyślałam... że może jesteś w nastroju...

Delikatnie musnął jej usta.

– Tylko wtedy, gdy wiesz, do czego zmierzasz. Nie chcę wracać do tego, co było. Nie mogę dłużej tak żyć. Mówię o naszym małżeństwie. Dla mnie to najważniejsza sprawa.

– Mam poczucie, że popełniłam największy życiowy błąd – zaczęła po chwili milczenia. – Joe, przestaliśmy się wzajemnie rozumieć, lecz nie próbowaliśmy tego zmienić. Zakładaliśmy, że wszystko samo się ułoży, więc nie musimy się starać. A tak nie jest, nic nie jest nam dane.

Chciałabym, byśmy się dogadali, przyłożyli się do tego. Nie chodzi o mnie czy o ciebie, lecz o nas.

– Tego chcesz? Na pewno?

– Tak. – Przesunęła palcami po jego przystrzyżonych na skroniach włosach. – Kocham cię, to nigdy się nie zmieniło, lecz byłam na ciebie wściekła. Przepraszam, że nie umiałam lepiej tego rozegrać.

– A ten facet? Wiem, kim on jest. Chciałbym usłyszeć prawdę.

– Był moim chłopakiem. Zerwałam z nim, nim poznałam ciebie. To o nim opowiadałam, zanim się zaręczyliśmy. Odkąd jesteśmy razem, z nikim nie byłam. Przysięgam.

– Skąd on się nagle pojawił? Coś musi się za tym kryć.

– Dobrze się domyślasz. – Uśmiechnęła się smutno. – Pamiętasz, jak kiedyś wyszłam z domu, bo nie mogłam znieść bałaganu, i pojechałam do włoskiej knajpki? Może nie pamiętasz tego wieczoru, bo przez ostatnie dwa lata non stop zżymałam się na ten bajzel.

– Pamiętam.

– Pojeździłam po okolicy, żeby ochłonać. Wylądowałam w Martinellim, zamówiłam pizzę na kolację. Czekałam przy barze z kieliszkiem wina i wtedy on się napatoczył. To był czysty przypadek. Musiałam wyglądać jak obraz nędzy i rozpacz. Byłam strasznie rozżalona, ledwie hamowałam płacz. Ten drań od razu to wyczuł, odstawił niezłą szopkę. Powiedział wszystko, co w takich chwilach kobiecie jest

Że nigdy mnie nie zapomniał, nie przestał kochać, zawsze było nam razem tak dobrze, no takie tam. Wypytałam go o jego dziewczynę, bo obilo mi się o uszy, że mieszkał z nią. Powiedział, że zerwali z sobą, od roku jest sam i gdybym kiedykolwiek chciała się z nim zobaczyć, gdybym chciała pogadać...

– To ze mną powinnaś pogadać – rzekł Joe.

– Byłam na ciebie zła jak osa. Nie rozmawialiśmy z sobą, rzucaliśmy co najwyżej kąśliwe uwagi, a potem zamykaliśmy się w swoich pokojach. Dopiero gdy przemówiłeś do mnie, kiedy wybraliśmy się na kolację... to zaczęło się zmieniać, otworzyły mi się oczy... Pewnie mówiłeś mi to wcześniej, ale nic do mnie nie docierało, podobnie jak ty nie odbierałeś tego, co ja do ciebie mówiłam. To, co wtedy powiedziałeś, przewartościowało moje poglądy, dało mi do myślenia... no, dało solidnego kopa. Postawiłeś sprawę jasno. Nasze małżeństwo ma być prawdziwe, oparte na miłości, zaufaniu i wybaczeniu, nastawione na budowanie kompromisów i wspólnych stanowisk, a nie na zamykaniu się w osobnych pokojach. Jeśli na to nie ma szans, to dasz sobie spokój, bo to nie dla ciebie. Wiesz – dodała, wstrzymując łzy – nie byłam na to przygotowana. Wydawało mi się, że to ja rozdaję karty.

– Zadzwoiłaś do niego, Marty?

– Umówiłam się z nim na mieście. Chciałam potańczyć, zabawić się, poczuć się adorowana. Otrzeźwiałam, gdy próbował zaciągnąć mnie do łóżka. Zrozumiałam, że chodzi o moje życie. Uciekłam i więcej do niego nie zadzwoniłam. Żałuję, że w ogóle się z nim spotkałam. Postąpiłam beznadziejnie głupio. Powiem więcej: mogłam przez to stracić coś najważniejszego w życiu. – Odetchnęła głęboko. – Wpadłam w panikę. Wiedziałam, że tego byś mi nigdy nie wybaczył.

– Och, Marty – szepnął z bólem. – Nie przypuszczałem, że mogłabyś zrobić coś takiego...

– Ja też nie. Wstyd mi, że tak się stało. Nie spodziewałam się, że mogę być aż tak zaślepiona, tak głupia! Ale już więcej do niego nie zadzwoniłam.

– Jednak cię kusiło. Czy tak?

– Widziałeś, jak wszedł do baru z Jill? Miała na palcu zaręczynowy pierścionek. To ona mogła odebrać, gdybym zadzwoniła. Miałabym za swoje. Dobrze się złożyło, że spotkaliśmy się w tym samym miejscu, ten oszukańczy drań, którego zostawiłam dawno temu, i ty, mężczyzna, który mnie kocha i jest mi oddany, który jest ze mną. Dopiero to otworzyło mi oczy, uzmysłowiło, co mam i jak wiele ryzykuję... – Zaśmiała się cicho. – Nawet nie powinnam się do niego odzywać, ale nie mogłam się powstrzymać. Chciałam, żeby wiedziała, jaki z niego kłamca i manipulant, że nic się nie zmienił. Wmawiał dawnej dziewczynie, że już nie jest ze swoją narzeczoną.

– Kiedy ostatni raz z nim spałaś? Powiedz prawdę, wtedy zamkniemy ten temat i ruszymy do przodu...

– Ponad osiem lat temu. – Musnęła jego usta. – Cóż, przywołał wspomnienia, gdy byłam na dnie, lecz na tym się skończyło. Wstyd mi, że w ogóle zawracałam sobie nim głowę.

– Teraz już ci się wyjaśniło? Już wiesz, czego chcesz?

– Chcę, żebyśmy znów zaczęli z sobą rozmawiać jak dawniej, żebyśmy uwzględniali potrzeby drugiej strony, myśleli nie tylko o sobie, pracowali nad naszym małżeństwem, zamiast rzucać się na siebie ze złością, wzajemnie wytykać sobie winy. Zależy mi, byś przychodził do łóżka umyty i ogolony. Wtedy mi się podobasz, Joe... i to bardzo.

- Myślałem, że kobiety lubią takich nieokrzesanych dzikusów – zakpił.
 - No to jestem wyjątkową kobietą. Nie drapiesz mnie, a to już coś.
 - Musimy uważać na twoją skórę. – Przesunął palcem po jej policzku.
 - Jest taka delikatna... – Pocałował ją. – Marty, czy już mogę ci ufać?
 - Możesz. Zawsze mogłeś. Nigdy cię nie zdradzę, tego możesz być pewny. Po pierwsze, wiem jak to boli, gdy człowieka spotyka zdrada najbliższej osoby. Po drugie, nigdy byś mi tego nie wybaczył. Dla ciebie to byłby koniec, a ja zostałabym sama i przerażona, płakałabym za naszym utraconym małżeństwem.
 - Nie chcę oglądać się za siebie, Marty. Myślałem, że już cię straciłem, a jesteś dla mnie wszystkim. Nie mogę bez ciebie żyć, nie mogę normalnie funkcjonować. Kocham cię nad życie.
 - Och, Joe, jak dobrze to słyszeć. Uwierz mi, też jesteś dla mnie wszystkim.
 - Udowodnij mi to, maleńka... – Uśmiechnął się przewrotnie.
 - Nie, to ty mi to udowodnij – droczyła się. – No to się przygotuj na długą noc, kochanie...
- Julie myła twarz, gdy Billy stanął za nią, objął ją w talii i pocałował w kark.
- Przyrządziłaś pyszną kolację.
 - Łatwizna. Kupiłam mięso, upiekłam sernik i zaparzyłam kawę.
- Przesuwał ustami po jej szyi.
- I wyglądałaś jeszcze bardziej ponętnie niż jedzenie.

– Billy, czy ty przypadkiem za dużo nie wypiliśmy? – rzuciła ze śmiechem.

– Nie. I ciebie też nie mam za wiele...

– Hej, mogę wytrzeć twarz?

– Jasne, byle szybko...

Sięgnęła po ręcznik i odwróciła się do Joego. Odnalazł jej usta, położył ręce na jej plecach.

– Pachniesz cygarami – powiedziała.

– To męski, seksowny zapach. – Pocałował ją w kark. – Och, już czuję, jak budzi się w tobie dzikuska...

– Może wyjdziemy z łazienki?

– Jeśli chcesz...

– Mhm. – Wyłączyła światło i przesunęła się w stronę łóżka. Nim zdążyła się położyć, Billy dosłownie przewrócił ją na pościel i znalazł się na Julie. – Na litość boską! Zachowujesz się, jakbyś od roku pościł.

– Bo tak się czuję. Nie chcesz się przekonać?

– Nie musisz być jeszcze lepszy niż jesteś. Choć mógłbyś nieco zwolnić tempo...

– Dobrze. – Pociągnął za jej koszulę. – Daj mi ją zdjąć, a zwolnię. Obiecuję.

Nie opierała się dłużej. Zawsze było im z sobą jak w raj, jakby byli dla siebie stworzeni. Minęło tyle lat, a to się nie zmieniło. I pewnie nigdy nie zmieni, pomyślała Julie. Nawet gdy dojdę do

dziewięćdziesiątki. Te wspólne chwile nigdy się im nie znudziły, były wspólną radością i szczęściem.

– Poczekaj, kotku... Sięgnę po prezerwatywę...

– Już ich nie ma – wyszeptała. – Wyrzuciłam je.

Aż usiadł. Zapalił nocną lampkę.

– Co takiego?

– Chciałam dać nam ostatnią szansę na dziecko...

– O Boże – wymamrotał, przewracając się na bok. – Zastrzeliłaś mnie, nie żyję. O czym ty mówisz?

Przekręciła się na bok, popatrzyła mu prosto w oczy.

– Jeszcze możemy spróbować, może się uda.

Przez chwilę milczał. Uszła z niego para.

– Ty chyba zwariowałaś?

– Nie. Po raz pierwszy czuję się idealnie. Wreszcie nie przytłacza mnie nasza sytuacja finansowa. Mogłabym jeszcze poczekać, lecz nasz czas się kończy...

– Julie, znów wpadniesz w rozpacz, znów będziesz przeżywać...

– Nie mogę odżałować dzieciny, którą straciliśmy. Czułam się zdołowana, ty też cierpiełeś, do tego finanse nam się zawaliły. Przeszłości nie cofniemy, wiem. Nie wiadomo, czy jeszcze jest jakaś szansa. Jeśli nawet, to niewielka. – Wzruszyła ramionami. – Gdyby zdarzyło się dziecko, tylko bym się cieszyła. Jeśli nie, trudno. To niczego nie zmieni, nadal będziemy się kochać.

– Julie, zbzikowałaś? Jeśli znowu wpadniemy...

– Wszystko przemyślałam. Nawet zadzwoniłam do Johna, obgadałam z nim taką ewentualność.

– Dzwoniłaś do niego, by spytać, czy możemy mieć jeszcze jedno dziecko?

– Może nie dokładnie o to. Powiedziałam, że niedawno straciliśmy ciążę, ty miałaś wazektomię i istnieje niewielka szansa na jeszcze jedno dziecko. W dodatku czas gra na naszą niekorzyść i musielibyśmy się z tym pośpieszyć, ale bardzo mi na tym zależy. John powiedział, że doskonale mnie rozumie. Oni mają czwórkę i z chęcią mieliby dwa razy tyle, lecz nie stać ich na tak wielką rodzinę. Porozmawialiśmy o kosztach. Mamy dużo plusów, Billy. Zdrowie nam dopisuje, a przez pierwsze lata dziecko nie nadszarpnie budżetu. Gdyby to było pierwsze dziecko, sytuacja byłaby trudniejsza, ale właściwie mamy wszystko, co trzeba. Dzieciaki nie grymaszą, nie musimy wydawać majątku na wyszukane jedzenie dla maluchów. Potrafię gotować przecierane zupki i kaszki.

– Naprawdę zwariowałaś.

– Nie chcesz tego jeszcze raz przeżyć? Nie chcesz zobaczyć, jak cieszę się na dziecko?

– Już widziałem. Zawsze się cieszyłaś, nawet gdy wiedziałaś, że to zły pomysł...

Żałuję, że nie zrobiłam wszystkiego, by utrzymać tamtą ciążę, zamiast teraz liczyć na ostatnią szansę. Wpadłam w panikę. Billy, tak mi przykro...

– Kochanie, nie mam do ciebie żalu. – Przesunął palcami po jej włosach. – Zrobiłaś, co było w twojej mocy. Jesteś cudowną matką, choć tak ci ciężko. Nie jestem na ciebie zły.

– W takim razie spróbujmy ostatni raz...

– Nie. Nie tknę cię, nim sobie tego nie przemyślę... Do diabła, zmarnowałaś taką możliwość! Mogliśmy sobie pofiglować!

– No dobrze... Ale dla mnie to nadal jest dobry pomysł. Gdybym nie była taka osaczona, mogłabym być teraz w ciąży. – Pocałowała go. – A ty uwielbiasz, gdy jestem w ciąży.

– Uwielbiam też, gdy jesteś przy zdrowych zmysłach. I gdy nie jesteś wkurzona.

– Myślałam, że moglibyśmy spróbować...

– Czemu nie omówiłaś tego ze mną, gdy byłem ubrany?

– Miałam taki zamiar, ale tak jakoś wyszło...

– Dla mnie to szok. Muszę pomyśleć. Nie mam pewności, czy to dobry plan.

– Ale gdybyśmy nie stracili tamtego dziecka, tobyś się teraz cieszył.

Pogładził ją po plecach.

– Julie, nawet w najgorszych chwilach zawsze się kochaliśmy, tak jest i będzie. Zdarzyło się nam coś wyjątkowego. Nigdy, nawet przez moment, nie chciałem nic więcej. Gdy Joe powiedział, że Marty wyprowadziła się z sypialni, zamarłem. Gdyby u nas tak się stało, bym tego nie przeżył.

– Nigdy się tak nie stanie. Naprawdę się nam poszczęściło, choć nie wiem, czemu to przypisać. Oboje byliśmy tacy młodzi...

– Mieliśmy szczęście. I nie powinniśmy kusić losu. Mógłby nam się przytrafić kolejny lunatyk jak Clint.

– Albo dziewczynka zwariowana jak Clint...

– Julie, co z tobą? Ja ci opowiadam, jak bardzo cię kocham, a ty znów wracasz do dzieci... Co cię opętało?

– Do tej pory nie mieliśmy okazji świadomie planować dziecka, a ja kocham dzieci. Uwielbiam się zaokrąglać, wydawać je na świat, opiekować się nimi, bawić, sprzątać ich pokoje. Myślałam, że szybko mi to zbrzydni, zapragnę wrócić do szkoły czy iść do pracy, ale wolę kolejne dziecko niż łódkę czy bilardowy stół. Bałam się, że możemy stracić dom, ale nie przeszkadzało mi, że muszę ścibolić każdy grosz. Nawet byłam dumna, że tak sobie radzę.

– Marzysz o nowej kanapie...

– Czas nas goni i niedługo będzie za późno, a kanapa może poczekać... Lubię być matką i żoną. Myślę, że to mi wychodzi.

– Jesteś w tym doskonała...

– W tym się odnajduję i spełniam. Tych dziesięć lat z tobą to wspaniały czas, całe moje prawdziwe życie.

– Myślisz, że nasze pożycie małżeńskie by się poprawiło, gdybyśmy spróbowali postarać się o jeszcze jedno dziecko?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Nie wyrzuciłam ich. Są w szufladzie. Dokończ, co zacząłeś. Jeśli zmienisz zdanie, zostanie nam jeszcze jakaś szansa...

Odsunął szufladę, wyjął niewielkie opakowanie.

– Nie przebiłaś ich?

– Nie – odpowiedziała ze śmiechem.

– Bo moje hamulce już się trochę zdarły.

– Wiem. I to mi się podoba.

Odszukał jej usta. Urzekło go, że Julie zawsze tak żarliwie odpowiadała na jego pieszczoty. Ubóstwiał ją, a ona jego, a miłosne uniesienia wynagradzały wszystko. Te chwile zbliżały ich jeszcze bardziej, umacniały więź, dawały radość i siłę.

Sięgnął po opakowanie i znieruchomiał. Popatrzył w zamglone oczy Julie, pocałował ją i odłożył paczuszkę, nie otwierając jej.

– Wiesz, że z tego może nic nie wyjść... – wyszeptał.

– Billy, to nigdy od nas nie zależało. Tym razem też nie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dopiero niedawno zdała sobie sprawę, że jest po uszy zakochana, a miała wrażenie, jakby tak było od zawsze. Układ z Waltem był idealny. Nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że jest im razem tak dobrze i bezproblemowo, doskonale się dogadują. Była pewna i swoich, i jego uczuć, co jeszcze nigdy się jej nie zdarzyło. Zawsze była zbyt szybka, parła do celu, jednak tym razem Walt musiał bardzo długo czekać. Jakże inna była ta znajomość! W poprzednich związkach mogła mieć tylko nadzieję, że z czasem pojawią się wzajemne zaufanie i pewność. Teraz od tego zaczęli. Najpierw była przyjaźń, dopiero potem zauroczenie i pociąg fizyczny. I to jaki! Walt okazał się cudownym, czułym, a jednocześnie pewnym siebie kochankiem. W jego ramionach czuła się doceniona, podziwiana i bezpieczna. W niedalekiej przyszłości planowali spotkanie z jego rodziną, najpóźniej w Święto Dziękczynienia. Do tej pory dwa razy byli na kolacji z rodzicami Walta, raz na niedzielnym brunchu z jego starszym bratem, żoną i trójką dzieci. Ci, których dotąd poznała, przypadli jej do gustu. Zobaczyła też dom Walta. Niewielki, ale sympatycznie urządzone. Choć miał z pięćdziesiąt lat, sprawiał miłe wrażenie. Starannie odmalowany, z nowymi parkietami i nowocześnie wyposażoną kuchnią jakby zapraszał do środka. No i był idealnie czysty, co najbardziej ją zaskoczyło.

– Przyznaję bez bicia, że trochę się przyłożyłem, żeby go wysprzątać na twoje pierwsze wejście – z uśmiechem powiedział Walt.

– Wszystko pachnie tu nowością.

– Mam wprawę w doprowadzaniu starych domów do dobrego stanu. Cóż, jaki ojciec, taki syn.

Pracowali w różnych porach, lecz tak trudno było im się rozstać, że kilka nocy spędziła u niego. Steve razem z nimi. Potem Walt nocował u niej. Cassie wstawała o wpół do szóstej. Kiedy była gotowa do wyjścia, Walt kierował się najpierw do kuchni po kawę, a potem pod prysznic. Gdy oboje mieli wolny dzień, ranki były bardziej leniwe. Któregoś dnia Walt musiał wcześniej niż zwykle jechać do pracy, a Cassie miała wolne. Dla niego zapowiadał się długi dzień. Obiecał wrócić, gdy tylko ze wszystkim się upora. Postanowiła wybrać się na zakupy. Święta za pasem, warto rozejrzeć się za prezentami. Zawsze kupowała je sukcesywnie, tak łatwiej było zmieścić się w budżecie. Obeszła kilka stoisk, wybrała zabawki dla dzieci Julie. Koło jedenastej wypstrykała się z pomysłów. Chciała kupić dla Walta coś wyjątkowego, lecz niczego nie mogła wymyślić. Trudno znaleźć coś dla osoby nieskomplikowanej i bezpretensjonalnej. Nagle ją olśniło! Wpadnie do salonu motocyklowego w Roseville, może Walt akurat tam jest i ma chwilę na kawę? Mogłaby go wtedy podpytać, co najbardziej by chciał. Poznała już specyfikę jego pracy. Walt pracował dużo, nawet w weekend wpadał do salonów, by sprawdzić, czy ktoś go nie potrzebuje. Nigdy nie narzekał, przeciwnie, widać było, że kocha ten zawód. Lubił wydawać, a jednocześnie harował jak wół. Sama też ciężko pracowała, więc takie podejście robiło na niej wrażenie. Niewielu jest takich jak Walt. Po drodze zastanawiała się, czy powiedział o niej swym kumplom z pracy. Bardzo możliwe, że tak, przynajmniej niektórym. Dobrze, że włożyła najlepsze dzinsy, botki na obcasie, golf i żakiet z ciemnej wełny. Lśniące włosy rozpuściła, tak jak lubił Walt. Uwielbiał je dotykać, bawić się nimi. Minęło dużo czasu od jej ostatniej bytności w salonie, lecz sprzedawcę poznała od razu.

– Dzień dobry. Czy Walt Anderson jest tutaj?

– Tak, widziałem go. – Sięgnął po telefon, zamienił kilka słów, po czym powiedział do Cassie: – Zaraz ktoś do pani wyjdzie.

– Dziękuję.

Po chwili z zaplecza wyszła pani koło pięćdziesiątki.

– Dzień dobry – przywitała Cassie. – W czym mogę pomóc?

– Szukam Walta Arnesona. Nie spodziewa się mnie. Chciałam mu zrobić niespodziankę. Mogę go zobaczyć?

– Proszę mi podać nazwisko – powiedziała chłodno.

Ho, niedobrze. Mogę wpakować go w kłopoty, pomyślała Cassie.

– Cassie Rasmussen. Jeśli jest zajęty, to nie chcę mu przeszkadzać...

– Zaraz sprawdzę. Proszę poczekać. – Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Cassie spojrzała na sprzedawcę.

– Przepraszam pana. Kim jest ta pani?

– Clarice, straż przyboczna Walta. Sekretarka – wyjaśnił z uśmiechem.

– Walt ma sekretarkę? – zdumiała się.

– Tak, i lepiej mieć się przed nią na baczności. Ostra jak lwica. Walt nieraz zżyma się na nią, ale to się sprawdza. Każdy chciałby pogadać z nim osobiście. On też jest za tym, nawet jeśli zupełnie nie ma czasu.

Przypomniała sobie, że Walt rzadko dawał numer komórki. Taki gest samoobrony. Klienci woleli do niego dzwonić, niż pofatygować się do warsztatu.

– Aha – powiedziała w zadumie.

– Jest pani zainteresowana motocyklem? Chętnie służę pomocą.

– Nie, dziękuję. Chciałam spotkać się z Waltem. Nie uprzedziłam go o mojej wizycie, więc jeśli jest zajęty, to... sobie pójdę – dodała z ociąganiem.

– Może wypróbuje pani kilka modeli, czekając na niego? – zaproponował.

– Właściwie czemu nie?

Sprzedawca oprowadził ją po salonie, zachwalając kolejne motocykle, puścił filmik o harleyach, podał kilka danych statystycznych. Gdy przeszedł do omawiania programów finansowych proponowanych klientom, Cassie spojrzała na zegarek. Minęło czterdzieści pięć minut.

– Dziękuję, ale jeśli się na coś zdecyduję, to zapytam Walta. Jak widać, nie może do mnie wyjść. Nie będę pana dłużej angażować...

– Cassie! – Walt wyszedł z zaplecza. Omal nie zemdląca na jego widok. Niby wyglądał tak samo – włosy spięte w kucyk, długie baki i wąsy – ale ten strój! Wykrochmalona biała koszula, krawat, zaprasowane spodnie i wizytowe buty. Podszedł do niej, położył ręce na jej barkach i musnął ustami jej usta. – Kochanie, coś się stało?

– Nic. Chciałam ci zrobić niespodziankę i wyciągnąć na kawę, ale... – Poruszyła jego krawatem. – Nie miałeś tego, gdy rano wychodziłeś do pracy.

– Po drodze wpadłem do domu. Musiałem ubrać się bardziej oficjalnie.

– Chyba ci w czymś przeszkodziłam. To dziwne...

– Chodź ze mną, skarbie. – Nie potrafił ukryć, że jest trochę zmieszany. – Chodź. – Pociągnął ją na zaplecze, gdzie mieściły się biura. Zatrzymał się przed sekretarką, która skrzywiła się chmurnie. – Clarice, to jest Cassie, moja dziewczyna. Dla niej jestem zawsze dostępny, jasne?

– Jasne. Członkowie rady nadzorczej czekają...

– Zamów im lunch i powiedz, że niedługo wrócę. Chodź, kochanie. – Pociągnął Cassie do kolejnego gabinetu. Był niewielki, lecz urządzone ze smakiem. Na półkach i ścianach modele i zdjęcia harleyów, puchary i inne nagrody. Wielkie biurko zarzucone papierami i stertami dokumentów. Okno na salę konferencyjną, gdzie przy długim stole siedziało kilku mężczyzn w średnim wieku, wszyscy w krawatach. – Co się dzieje, Cassie?

– Co się dzieje? – powtórzyła, patrząc przez okno na salę. – To ja powinnam zadać ci to pytanie.

– Spotkanie rady nadzorczej. Przepraszam, ale nie miałem pojęcia, że dziś tutaj zajrzysz. Nie mogę się wyrwać, to ważne sprawy.

– Walt. – Jeszcze do siebie nie doszła. – Dlaczego nic mi nie...

– Kochanie, miałem ci o tym powiedzieć w innych okolicznościach, ale to jest mój salon. Moja firma. Zamierzamy sfinalizować zakup salonu w Reno. Ci ludzie to członkowie rady nadzorczej i przedstawiciele banków. Rozmowy potrważą długo. Przepraszam, ale nie uda mi się wyjść.

– Twoja... firma?

– Tak. Mam inwestorów.

Jeszcze raz zerknęła na szklaną tafłę. Spostrzegła ojca Walta. Dick uśmiechnął się do niej. Powoli pomachała do niego.

– On mi jej nie kupił – szybko powiedział Walt. – Było tak, jak ci mówiłem. Zacząłem pracę w warsztacie, wciągnąłem się. Potem właściciele postanowili sprzedać salon. Zebrałem inwestorów, wziąłem pożyczki, stopniowo spłacałem długi, potem kupiłem kolejny salon i tak już poszło. Działalem tak samo jak mój ojciec, gdy kupował sklepiki spożywcze, miałem dobry wzorzec. Pracuję przy motocyklach, Cassie. Sprzedaję, zajmuję się klientami, robię wszystko po trochu.

Odetchnęła głęboko.

– Aha... Czyli ten salon jest twój...

– Tak, to franszyza. Mamy cztery salony. Ten w Reno będzie piątym. Owszem, należą do mnie. A ja do nich.

– Jak cię tu tytułują?

– Czy to ma jakieś znaczenie? Przecież...

– No jak, powiedz – nalegała.

– Przewodniczący rady, dyrektor generalny, prezes. Nasza firma to niewielka sieć salonów, mały biznes.

– Mały biznes?

– Idzie całkiem nieźle.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – rzuciła ostro. – Opowiadałeś, jak ciężko pracujesz, że inaczej nie możesz, że... Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Cassie, wiele razy powtarzałem, że mam pieniądze. Przepraszam cię, skarbie. Tak to się potoczyło. Wciąż przypominałaś, że jestem tylko mechanikiem, nie powinienem tyle wydawać, szastać kasą. Jeśli było pisane nam uczucie, to chciałem, żebyś zakochała się w zwykłym mechaniku, nie w...

– Nie w kim?

– W facecie, który jest właścicielem firmy. Posłuchaj, nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tego, że już nie musisz się martwić o to, ile wydaję na ciebie. Tylko to się zmieniło.

– Wprowadziłeś mnie w błąd – powiedziała z naciskiem.

– Nie, przecież nadal pracuję, jak pracowałem. – Przyłożył ręce do piersi. – Lubię naprawiać motory, robić długie wycieczki, odwiedzać klientów. Nadal mam długie włosy, tatuaż, ubieram się, jak mi się podoba. Taki jestem, Cassie. I nawet gdybym miał dziesięć salonów, to nic by się nie zmieniło. Jestem, jaki jestem. Nic innego mnie nie obchodzi. Poza firmą, ludźmi, którzy do nas przychodzą i którzy u nas pracują. Lubię motory. Nie zamierzam ścinać włosów, golić wąsów. To moje życie, Cassie. – Oczy mu błyszczały. – I to właśnie jest ważne, czyż nie?

– Walt, powinieneś mi powiedzieć.

– Na początku nie chciałem... pokazać się z innej strony, niby lepszej. Chciałem, byś zaakceptowała mnie takiego, jakim jestem. Później pomyślałem, że poczekam, aż upewnimy się co do siebie, zaczniemy rozmawiać o przyszłości. Przepraszam cię, Cassie. Może to nie był dobry pomysł, ale kazałaś mi tyle czekać. Nigdy...

– Twoja rodzina wiedziała, że uważam cię za biednego mechanika, a ty nie wyprowadzasz mnie z błędu? Pomagali ci w tym?

– Nie, nikomu nic nie powiedziałem. To sprawa między nami.

– A gdyby przypadkowo prawda wyszła na jaw? Gdyby twój tata zapytał cię przy mnie o firmę?

– Tak było kilka razy, ale nie zorientowałaś się. Podobnie było z moim bratem, gdy się z nim spotkaliśmy. Gdyby coś cię uderzyło, gdybyś zaczęła pytać, powiedziałbym ci prawdę, ale wyrobiłaś sobie zdanie na mój temat...

– Tak... Musiałeś się świetnie bawić, gdy mówiłam, że będziemy musieli zacisnąć pasa, zapewniałam, że w razie czego będę więcej pracować...

– Nie, Cassie, nie śmieszyło mnie. To było urocze i takie dobre. Nie naśmiewałem się z ciebie.

– Miałaś tyle okazji, by mi powiedzieć, że nie powinnam się martwić, bo masz kasę. Pamiętasz, jak przyniosłaś mi skórzaną kurtkę za siedemset dolarów? – Z jej oczu popłynęły łzy. – Boże, jak ja się bałam, że zostawię ślady od makijażu... Mogłaś od razu powiedzieć, że to twoja kurtka. Że wszystko jest twoje.

– Cassie, posłuchaj. Myślałem, że się ucieszysz, gdy dowiesz się, jak jest naprawdę.

– Powiedz mi coś. Czy jesteś milionerem?

– Na papierze może i tak... – Wzruszył ramionami.

– Tylko na papierze?

– No dobrze, jestem milionerem.

– Bałeś się, że jeśli się o tym dowiem, będę z tobą dla pieniędzy? O to chodziło? Że nie miałbyś pewności...

– Och, Cassie, co ty wygadujesz! – Wyciągnął ku niej rękę.

A gdyby rzeczywiście tak było? – pomyślała, cofając się.

– No to ładnie – wydusiła drżącym głosem. – Ja zaufałam ci szybciej, niż ty mnie.

– To nie jest...

– Owszem, to jest prawda. Od tylu miesięcy martwię się, jak sobie poradzisz, co z tobą będzie, skoro wciąż mnie zapraszasz, za wszystko płacisz i nie chcesz słyszeć, byśmy dzielili się kosztami. Zamierzałam rzadziej się z tobą spotykać, by nie narażać cię na wydatki, jak choćby to wino za sto dolarów. – Potrząsnęła głową. – Czy masz pojęcie, ile godzin muszę pracować na jedną taką butelkę? – zapytała, już nie tłumiąc łez.

– To nie tak miało być, Cassie. Wiedziałem, że martwisz się o takie rzeczy, ale myślałem, że odetchniesz, gdy dowiesz się, że nie jestem...

– Że nie jesteś ze mną szczery?

– Kochanie, naprawdę nie chciałem cię urazić. Chciałem dobrze. Wiesz, co to dla mnie znaczyło, że pokochałaś mnie, choć byłaś przekonana, że nie mam grosza przy duszy? Jak mnie to podbudowało, dodało skrzydeł? Nie chodziło mi o to, że zakochasz się w moich pieniądzach. Forsa to moje najmniejsze zmartwienie. Co innego jest dla mnie ważne. Nie chciałaś mnie przerobić, zaakceptowałaś mnie takiego, jakim jestem. Nie próbowałaś mnie zmienić, bym lepiej zaprezentował się twoim znajomym, by mnie przyjęli do swego grona.

– Jasne – powiedziała cicho. – Walt, masz obowiązki. Wracaj na naradę. Potem się zdzwonimy, dobrze? – Uśmiechnęła się blado. – Powinnam cię uprzedzić o swoim przyjsciu. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy... kim jesteś.

– Cassie, daj spokój. To nie była żadna zagrywka. To nie jest coś, co w naszym układzie się liczy. Nie miej mi tego za złe. Nie chciałem cię zwodzić. To, co jest między nami...

– Zostawmy to teraz. Wychodzę. Muszę pomyśleć. Później się odezwę. Wracaj na swoją... naradę.

Szybko wyszła na zewnątrz, wsiadła do samochodu, zakryła oczy rękami i zanosła się płaczem. Nie minęła chwila, jak zadzwoniła komórka. Wyjęła ją, zerknęła na wyświetlacz. Nie, teraz nie może z nim rozmawiać, najpierw musi się zastanowić. Wyłączyła telefon. Pojechała nad rzekę, gdzie często spacerowała z psem. Zaparkowała i znów zaczęła płakać. On przez cały czas wiedział, że nie chciała się z nim zadawać, bo uważała go za nieodpowiedniego dla siebie. Nie musiał się nawet tego domyślać, bo sama mu to powiedziała. Prawda była trudna do przełknięcia. Gdyby pięć miesięcy temu wiedziała, że jest taki bogaty, z pewnością inaczej by na niego patrzyła. Nie jak na nieudacznika, lecz na ekscentryka. Musiało upłynąć tyle czasu, by pojęła, że Walt nie jest ani jednym, ani drugim! Strawiła lata, szukając odpowiedniego faceta, idealnego partnera życiowego. Kto wie, jak by się do niego odniosła, gdyby wiedziała, że jest milionerem. Jest również wspaniałym człowiekiem, ale to nie przekonało jej na tyle, by przez wiele miesięcy nie zrażały jej długie włosy i tatuaż. Julie od razu ją rozszyfrowała. Spytała, czy miałyby opory przyprowadzić Walta, gdyby był starannie ogolony i ostrzyżony, ze stetoskopem na szyi? Oczywiście, że nawet przez chwilę by się nie zastanawiała. To jego wygląd wprawiał ją w popłoch, nie pasował do jej wyobrażeń, do ludzi, wśród których się

obracała. Jakie to było dla niej zaskoczenie, gdy okazał się fajnym gościem, którego wszyscy darzyli sympatią. Już sama nie wiedziała, z czym trudniej się pogodzić: ze świadomością, że bawił go jej opór, który mógł tak łatwo przełamać, czy z obawami o stan jego finansów, lękiem, że przez nią Walt wpadnie w długi... A może odczuwał satysfakcję, gdy obserwował, jak jej stosunek do niego zaczyna się zmieniać, jak obniża swe wymagania, oswaja się z myślą, że mogłaby się związać z niewykształconym, słabo opłacanym mechanikiem. Czuła się upokorzona. W drodze do domu naszła ją pewna myśl. Lampka na sekretarce migiała; oczywiście Walt chce załagodzić sytuację. Nawet nie odsłuchiwała taśmy. Włączyła komputer, wbiła w wyszukiwarkę Richarda Arnesona. No tak, mogła się tego spodziewać! Nie tylko Walt świetnie sobie radził, wcześniej jego ojciec odniósł spektakularny sukces. Jego rodzice są naprawdę bogaci, wspomagają masę organizacji dobroczynnych. Walt, jak i reszta jego rodziny, musiał wiedzieć, że w głębi duszy uważała się za lepszą od niego, podczas gdy to ona, uboga pielęgniarzka, która od wczesnej młodości była zdana tylko na siebie, nawet się do niego nie umywała.

Zadzwoił telefon. Zerknęła na wyświetlacz. Julie. Podniosła słuchawkę.

– Bogu dzięki! Szukam cię tak długo! Nie odbierałaś telefonów!

– Miałam mały... problem... – powiedziała płaczliwie.

– Twój problem niech poczeka. Jesteśmy u Beth. Zemdlą w pracy. Przywiozłam ją do domu, ściągnęłam Marty. Cassie, z Beth jest niedobrze. Nie wiem, co się dzieje.

– Już jadę. – Pośpiesznie otarła łzy.

Gdy zapukała, Julie wpuściła ją do środka.

– Beth śpi na kanapie w salonie.

– Co się stało?

– Zemdlała w klinice, trwało trochę, nim odzyskała przytomność. Nie chciała tam zostać. Zadzwoiła, żebym zabrała ją do domu. Cassie, ona nawet nie była w stanie dojść do samochodu! Musiałam wieźć ją na wózku. Zadzwoiłam do Jeroda, już jest w drodze. Dwa razy dzwonił z samochodu, bardzo się niepokoi.

– Idę do niej. – Zdjęła kurtkę i szybkim krokiem weszła do saloniku.

Beth leżała na kanapie, była przeraźliwie blada. Cassie przyklęła obok niej, dotknęła jej brwi, zmierzyła puls. Był ledwie wyczuwalny i nitkowaty. Beth podniosła głowę, popatrzyła na przyjaciółkę.

– Jestem osłabiona po chemii. Muszę trochę odpocząć. Nic się nie dzieje.

– Nie powinnaś być aż tak słaba – rzekła Cassie.

– Chciałam trochę zainteresowania – zażartowała blado.

– Więc je masz. Julie zawiadomiła Jeroda, już tutaj jedzie.

– Niepotrzebnie do niego dzwoniła. Przecież ma pacjentów. To dwie godziny drogi.

– Leż spokojnie. Przecież wiesz, że spodziewał się takiego telefonu. Coś cię boli? Gdzie?

– Jestem tylko śmiertelnie zmęczona i kręci mi się w głowie. Aż nie chce mi się wierzyć, że można być tak wykończonym.

– Nie masz problemów z oddychaniem?

- To nie jest zator, tylko zmęczenie i osłabienie.
- Zamknij oczy, odpocznij. – Gestem wskazała Julie i Marty, by wyszły z nią, a gdy znalazły się w kuchni, spytała: – Niech się prześpi. Za ile Jerod tu będzie?
- Najpóźniej za pół godziny – odparła Julie, zerkając na zegarek.
- Beth musi leżeć i mieć spokój. Posiedźmy tutaj, będę zaglądać do niej co pięć minut. – Nalała sobie kawy zaparzonej przez Marty. – Kiedy to się stało?
- Jakies dwie godziny temu. Mój Boże... Cassie, ona chyba nie... no wiesz...
- Co? – zapytała Cassie.
- Ona nie... – Julie bezgłośnie wyszeptała „umiera”.
- Umiera? – szeptem powtórzyła Cassie. – Nie, oczywiście, że nie! Jest bardzo słaba, puls jest ledwie wyczuwalny, ale teraz po prostu śpi. Jerod będzie wiedział, co trzeba zrobić. Myślę, że od razu zabierze ją do szpitala...
- Gdzie ty się podziewałaś? – z furią wyszeptała Julie. – Nigdzie nie mogłam cię znaleźć! Umierałam ze strachu. Nie miałam pojęcia, co robić!
- Przepraszam, ale wyłączyłam telefon. Walt wciąż do mnie wydzwaniał.
- To czemu nie odebrałaś? Pokłóciliście się czy co?

– Nie. Tak. Sama nie wiem... – Oparła czoło na dłoni. – Strasznie się pokomplikowało. Okazało się, że mnie okłamywał. To mnie dobiło, nie mogłam się pozbierać. Wtedy zawiadomiłaś mnie o Beth.

– Okłamywał cię? – wyszeptała Marty.

– Nie jest zwykłym mechanikiem od motorów. Byłam przekonana, że tym się zajmuje, a on nie wyprowadzał mnie z błędu. Przez tyle miesięcy podchodził mnie cierpliwie, nie poganiał, nie pośpieszał, aż zakochałam się w kimś, kim nie jest.

– O Boże! – Marty wyprostowała się w krześle. – To Anioł Piekła!

– Ciii – syknęła Cassie. – Nie jest Aniołem Piekła! Jest milionerem.

Zapadła cisza, wreszcie Julie skomentowała:

– To dopiero dramat.

– Poczekaj... jest milionerem? Milionerem, który udaje motocyklistę?

– Nie, jest motocyklistą, nawet jest mechanikiem, ale nie pracuje w warsztacie. W każdym razie nie tylko. To jego firma. Ma cztery salony, właśnie kupuje piąty. Byłam pewna, że jest biednym mechanikiem, a on tego nie prostował. Jeszcze się ze mną droczył, jak go przyjmiecie, bo wygląda jak żul.

Znowu zrobiło się cicho.

– Cassie, jesteś zła, że okazał się nie tylko motocyklistą? Jaki masz z tym problem?

– Nie rozumiecie? Cały czas ukrywał przede mną prawdę, chciał mieć pewność, że nie zwiążę się z nim z powodu kasy czy tytułów...

– Tytułów?

– Jest przewodniczącym rady nadzorczej, dyrektorem generalnym, prezesem. Mało?

– Hm, ładnie brzmi – rzekła Julie – ale to chyba niewielka firma? Jesteś pewna, że jest milionerem?

– Owszem, zapytałam go o to wprost. Przyznał się. Nie wiem, jak duża jest jego firma, ale poszukałam w internecie jego rodziców. Nawet sobie nie wyobrażacie, jacy są bogaci! Inwestują dosłownie we wszystko. Mają wiele firm w różnych branżach. A ja tak się denerwowałam, że zostawię ślady na skórzanej kurtce, którą mi pożyczył na motor. Musiał świetnie się bawić, obserwując mnie przez te miesiące.

– Ale w końcu wyznał ci prawdę?

– Nie! To ja go przyłapałam! Pojechałam do niego do pracy, chciałam wyciągnąć go na lunch. Chciałam wy badać, co chciałby dostać na Gwiazdkę. – Zaśmiała się gorzko. – Chciałam zaszaleć, kupić mu coś za stówę, może nawet dwie. Kiedy do mnie wyszedł, omal nie zemdlałam. Był w eleganckiej koszuli, pod krawatem. Właśnie odbywało się posiedzenie rady nadzorczej. Rozumiecie? Koszula i krawat! Jezu!

– Co ci powiedział?

– Liczył, że dla mnie to będzie dobra wiadomość. – Łza stoczyła się jej po policzku

– Dlaczego mnie nie przytrafiło się takie nieszczęście? – marudziła Julie. – Skakałabym pod sufit!

– Nie rozumiecie? – wybuchnęła Cassie. – Przez tyle miesięcy trzymałam go na dystans! Od razu mi się spodobał, ale nie chciałam wiązać się z życiowym nieudacznikiem, który nie ma przed sobą

przyszłości! Uważałam, że nie jest dla mnie wystarczająco dobry, a on przez cały ten czas upewniał się, czy ja się dla niego nadaję!

Z salonu dobiegł jakiś dźwięk, więc pognały do Beth, która z mizernym uśmiechem uniosła się na poduszce.

– Jesteście lepsze niż witamina B 12. Tutaj poplotkujcie.

– Powinnaś odpoczywać – pouczyła ją Cassie, siadając na końcu kanapy.

– Teraz? Za nic! To co, Walt jest milionerem? Czy dobrze słyszałam?

– Naprawdę masz dobry słuch. Gadałyśmy szeptem.

– Mam raka, ale głucha nie jestem. Poza tym wyostrzył mi się słuch, zwłaszcza gdy słyszę szepty.

– Jak twój żołądek? – spytała Cassie. – Nie masz mdłości?

– Już nie, tylko jestem koszmarnie zmęczona. Przepraszam, że narobiłam tyle kłopotu.

– Przestań, zresztą nie ma porównania z tym, jak męczący bywają ludzie – oznajmiła Cassie. – Przyniosę ci soku pomarańczowego.

Gdy wróciła, Julie pomagała chorej unieść się wyżej.

Beth upiła łyk soku.

– Jesteś jedyną osobą, której nie pasuje, że jej facet jest obrzydliwie bogaty. Naprawdę nie miałaś dość tych swoich miglanców, którzy robili cię w bambus?

– Mnie na pewno by ktoś taki pasował – rzekła Marty. – Czy on jest schludny? Dbą o czystość?

– Aż do przesady – odparła Cassie. – Na pierwszy rzut oka tego nie widać, lecz jest bardzo czysty. Nawet chodzi na manikiur. Jednak okłamał mnie.

– Boże, przewodniczący rady nadzorczej, który dla przyjemności naprawia motocykle. Coraz bardziej mi się podoba – powiedziała Marty.

– Ale ja czuję się beznadziejnie – rzekła Cassie. – To upokarzające.

– Dlaczego? Nie twoja wina, że nic ci nie powiedział!

– Właśnie dlatego. Musiałam dostać jak obuchem po głowie, żebym wreszcie przejrzała na oczy. Zawsze szukałam w facetach nie tego, co powinnam, dlatego nigdy nie mogłam trafić na dobrego. Oceniałam samochód, a nie kierowcę. Wyszukiwałam takich, którzy wyglądali, że mają w sobie potencjał, a okazywali się nic niewartymi pajacami. Walt pewnie się tego domyślał, zresztą sama mu to wypaplałam! Dlatego utrzymywał mnie w niewiedzy, chciał uchodzić za biedaka bez przyszłości. – Pociągnęła nosem. – On nie jest nieudacznikiem, i nie chodzi o jego sukcesy w biznesie. Jest naprawdę wyjątkowym mężczyzną.

– No to doszliśmy do sedna – podsumowała Julie.

– Masz szczęście – rzekła Beth. – Koniec z draniami i ciamajdami. Jeśli tylko zdołasz udźwignąć ten okropny ciężar milionów Walta, to pójdziesz do przodu.

Zadzwoił dzwonek. Julie poderwała się. Jerod wpadł do środka, za nim kurier. Jerod przykląkł przy Beth, pocałował ją w czoło, otworzył torbę i wyjął stetoskop.

– Tęskniłaś za mną?

– Przepraszam za zamieszanie – powiedziała. – Niepotrzebnie cię tu ściągnęły.

– Bardzo potrzebnie. – Zaczął ją osłuchiwać. – Oddychaj głęboko. Dobrze. Jeszcze raz. – Pozwolił się jej położyć. – Pobiorę krew do analizy. Kurier ją zabierze i zaraz zostanie zbadana.

Beth zaczęła protestować, lecz Jerod był nieugięty. Po chwili kurier wyszedł, a Jerod podłączył Beth kroplówkę.

– Ty naprawdę przesadzasz – narzekała.

– Beth, jestem twoim lekarzem, a ty pacjentką. Powinnaś być w szpitalu...

– Nie ma takiej potrzeby.

– Nie musiałbym zatrudniać kuriera i wyniki byłyby szybciej. Poza tym w szpitalu jest wygodniej. Zapomnij o pracy, póki nie skończysz terapii i nie nabierzesz sił. Dzisiaj zostanę z tobą, a jutro pojedziemy do San Francisco. Opiekę nad tobą przejmie mój kolega, na pewno ci się spodoba. Nie wydaje mi się, by cokolwiek zmienił w twoim leczeniu. Zostaniesz u mnie, będę miał cię na oku.

– A moi rodzice? Szlag ich trafi.

– Przecież nie chcesz, by się tobą opiekowali. To tylko niepotrzebne nerwy i zamieszanie. Zresztą już czas, byś im mnie pokazała.

– Nie chcę, żebyś się mną zajmował. To zniszczy nasz układ.

– Nasz układ ucierpi bardziej, jeśli teraz będziesz z dala ode mnie. Nie opieraj się, naprawdę wiem, jak ci pomóc. Przeprowadzę cię przez ten trudny czas, żebyśmy potem mieli wspólną przyszłość.

– Jak ja cię znalazłam? – Czule pogłaskała go po policzku.

Uśmiechnął się, nakrył ręką jej dłoń.

– W wyjątkowo trudny sposób.

Walt zaparkował pod domem Julie i Billy'ego. Miał rozpiętą koszulę, podwinięte rękawy, krawat rzucił na siedzenie. Billy stał na podjeździe, pochylał się nad otwartą maską.

– Coś się stało? – zagadnął Walt.

– Mam nadzieję, że to akumulator. Nie chce zaskoczyć. Równie dobrze przyczyna może być inna.

– Może spojrzę?

– Hm, jesteś tak ubrany...

– Nie przejmuj się. Myślałem, że zastanę Cassie, ale nie widzę jej samochodu...

– Dziewczyny pojechały do Beth. Zemdląca w pracy, Julie zabrała ją z kliniki i odwiozła do domu.

– Ojej! W jakim jest stanie?

– Już jej lepiej, Julie do mnie dzwoniła. Ściągnęły Jeroda, obejrzał ją, pobrał krew, zaaplikował kroplówkę. Powiedział, że zasłabnięcie to uboczny skutek chemoterapii. Zabierze Beth do siebie i będzie się nią opiekować. Dziewczyny pewnie już są w drodze do domu.

– Cholera. Czyli Cassie miała dziś niezły dzień. – Przejrzał narzędzia Billy'ego, poszedł do samochodu po swoje. Rozłożył je i pochylił się nad silnikiem.

– Cieszę się, że cię widzę. Zamierzałem złapać cię w pracy – rzekł Billy. – Byliśmy z Joem u Kena Baxtera, powiedzieliśmy mu o sprawie. – Gdy Walt zmierzył go spojrzeniem, Billy dodał: – Powinien wiedzieć, że podwładny podszył się pod niego, by poderwać dziewczynę, a potem się na nią rzucił. Podałem mu szczegóły. Strasznie się zdenerwował.

– Mhm... – Walt przyglądał mu się przez długą chwilę, potem znów zaczął gmerać pod maską.

– Na koniec dopadliśmy Perkinsa. Zapytałem go o Cassie, udawał, że nie kojarzy. Przypomniałem mu kilka szczegółów. Powiedziałem, że Cassie jest moją bliską znajomą, przyjaźnimy się od piętnastu lat, więc niech się strzeże, bo mamy go na oku. Już na pewno nie posłuży się nazwiskiem swojego kapitana.

– Spróbuj zapalić – powiedział Walt.

Billy usiadł za kierownicą, lecz silnik nie zaskoczył. Wysiadł.

Walt zamknął maskę, wytarł ręce.

– Powiedziałaś mu o mnie?

– Nie podałem nazwiska, jeśli to cię niepokoi...

– Niepokoi? Niech do mnie przyjdzie. Będzie niezła zabawa.

Billy roześmiał się.

– Wspomniałem mu, że zaprzyjaźniliśmy się z motocyklistą, który wybił mu szybę. Strasznie zbladł, mówię ci. Najważniejsze, że nie odważy zbliżyć się do Cassie. Za dużo osób już wie.

– Policja też ma go na oku. Zgłosiłem tę sprawę. Mówiłem ci, że mój brat jest gliniarzem?

– Naprawdę jesteś pełen niespodzianek.

– Nie znasz wszystkich. Jeśli ktoś zgłosi podobny wypadek, od razu szarpną Perkinsa. W razie potrzeby będę świadkiem, Cassie na pewno też się zgodzi. Ten drań albo się opamięta, albo wpadnie. Tak czy inaczej poniesie konsekwencje. A jeśli chodzi o twój samochód, to nawalił rozrusznik. Przywiozę ci nowy, jutro czy pojutrze. Mam dostęp do części praktycznie za darmo. Potrzebny ci będzie samochód?

– Nie, poradzę sobie. Walt, wielkie dzięki. Mam obiekcje, że tak cię wykorzystuję.

– Daj spokój, lubię tę robotę. I cieszę się, gdy mogę się przydać. Teraz muszę odnaleźć Cassie. – Ruszył do samochodu, lecz zatrzymał się. – Billy, muszę ci coś powiedzieć. Cassie nie wyjaśniłem tego od razu, za co ma do mnie żal. Nie chciałem takiej sytuacji z tobą. Wiesz, że naprawiam motory i pracuję w salonie motocyklowym. To wszystko prawda. Mam również inne zajęcia, bo to moja firma.

– Ten salon? Należy do ciebie?

– Mam pięć salonów. Prawie, bo ostatnia transakcja sfinalizuje się za dwa miesiące.

– Bez kitu, Walt! Nie pomyślałeś, że to istotna informacja?

– Powiem ci szczerze, że nie. Na niektórych ludzi dziwnie działa. Na przykład na Cassie. Była taka słodka, a teraz z dziką rozkoszą by mnie zamordowała. Uważa, że ją oszukałem, lecz wcale tak nie było. Choć rzeczywiście kiepsko to rozegrałem. Powinienem powiedzieć jej o wiele wcześniej. – Wsunął rękę w kieszenie. – Ciebie też powinienem przeprosić?

– Do diabła, co ty! – roześmiał się Billy. – Stary, gratuluję. Czy to znaczy, że sam dyrektor zainstaluje mi rozrusznik?

– Sam prezes. Przewodniczący rady nadzorczej. Mam ośmiu dyrektorów, trzech kierowników i około dwustu pracowników.

Billy uśmiechnął się, pokręcił głową.

– Niesamowite. Hm, masz trochę smaru na koszuli.

Walt spojrział po sobie.

– Nieważne. Mam drugą.

Marty i Julie pojechały do domu, Cassie została. Razem z Jerodem zasiedli do skromnej kolacji, potem zajrzeli do śpiącej Beth. Po raz pierwszy Cassie miała okazję dłużej pogadać z jej przyjacielem. Jerod zapewnił, że choć Beth jest bardzo słaba i mogą wystąpić komplikacje, jednak ma ogromne szanse na całkowite wyzdrowienie. Telefonicznie przekazano mu wyniki badań Beth. Nic dziwnego, że była tak osłabiona i nie miała apetytu, bo chemoterapia spowodowała poważną anemię. Na szczęście teraz będzie pod jego stałą opieką. Cassie opowiedziała mu o swoim dzisiejszym odkryciu. Jerod potraktował to z powagą, choć nie był zaskoczony.

– Kiedy poznałem Walta, wydał mi się bardzo inteligentny. Nawet zastanawiałem się, czy czegoś nie ukrywa.

– Wciąż mam poczucie, że mnie wyrolował, oszukał.

– Spójrz na to z innej strony. Może to wcale nie taka frajda, gdy oceniają cię jako kogoś, kto odniósł finansowy sukces. Może lepiej uchodzić za zwyczajnego motocyklistę?

– Jednak nie powinien tego przede mną ukrywać.

– Może i nie, ale aż tak bardzo bym się nie czepiał – powiedział w zadumie. – Jesteście zdrowi, młodzi i jeśli naprawdę wam na sobie zależy, korzystajcie z życia, machnijcie ręką na to, co się stało. Bo mogło być o wiele gorzej.

– Boże... – Nerwowo potarła czoło. – Jerod, niby jestem taka mądra, a zachowywałam się tak głupio...

– Cassie, nie obwiniaj się – powiedział ciepło. – Próbujesz uporządkować swoje uczucia, swoje wyobrażenia o Walcie, swoją wizję przyszłości. To nie takie proste, możesz być skołowana. Ale postaraj się wziąć pod uwagę wszystko, co już wiesz. Plusów naprawdę jest dużo.

– Tak – wyszeptała.

Kiedy podjechała pod dom, zapadł już mrok. Szkoda, że nie zostawiła zapalanej lampy, Steve czułby się raźniej. Naraz na schodkach dostrzegła ciemną sylwetkę i serce w niej zamarło. Pośpiesznie zablokowała drzwi. Postać podniosła się. Cassie odetchnęła z ulgą, gdy poznała Walta. Na tle zarośli dostrzegła jego motocykl.

Wysiadła, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– Co ty tu robisz?

– Nie oddzwoniłaś do mnie. – Podniósł ręce, czyli znów coś przyniósł.
– Musiałem cię zobaczyć, Cassie. Jeszcze raz przeprosić.

– Długo tu czekasz?

– Od piątej.

– Siedzisz tu od kilku godzin?

– Mhm.

– Co tam trzymasz?

– Kwiaty i wino. Kwiaty ze spożywczego, zwyczajne wino w butli bez korka. Nie jestem snobem, ale dla ciebie i rodziny chcę wszystko, co najlepsze.

– Kwiaty ze sklepu? – Roześmiała się z niedowierzaniem.

– Wyglądają tandetnie, ale skoro takie ci się podobają... Pomyślałem, że wstawimy je do wody, wypijemy trochę kiepskiego wina i rozmówimy się.

– Przecież nie pijesz, gdy jeździsz motorem.

– Mógłbym się napić... gdybym trochę został. – Kiedy podeszła do niego, dodał: – Jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, obiecuję, że już nigdy niczego przed tobą nie zataję.

– Ubierzesz tę gołą panienkę?

– Dla ciebie tak. W fartuch pielęgniarce. – Uśmiechnął się szeroko. – Mogę też wytatuować na bicepsach napis „Własność Cassie”.

Roześmiała się.

– Byłam na ciebie wściekła.

– Miałaś prawo. Źle, że tak długo milczałem. Nie wspominałem ci o tym, ale wciąż próbowano mnie swatać. Mama, ciotki, koleżanki z pracy. Pewnie uważały, że sam nic nie zdziałam. Nie znosiłem tych ich intryg i nigdy nic z tego nie wyszło. Ciebie poznałem sam, sprawiało mi frajdę, że uważasz mnie za zwyczajnego faceta, człowieka ciężkiej pracy, który wiele w życiu nie osiągnie. A mimo to nie zraziłaś się do mnie, wręcz przeciwnie. To mnie uszczęśliwiało. Jednak nie powinienem...

– Zbiłeś mnie z tropu. Okazałeś się nie tym, za kogo cię brałam, po prostu byłam ślepa i głucha. Musisz być niesamowicie błyskotliwy, skoro dokonałeś takiego przeskoku, ze zwyczajnego pracownika stałeś się właścicielem czterech salonów.

– Pięciu. Ten w Reno też już jest mój.

– Gratuluję.

– Nie jestem błyskotliwy, choć na tyle rozsądny, by słuchać ludzi, którzy znają się na rzeczy. Cassie, kochanie, nie bądź na mnie zła.

– To nie była złość, tylko upór. Już mi przeszło. – Popatrzyła na kwiaty. – Tak, zaraz mi przejdzie. Ładniejsze kwiaty też całkiem mi pasują.

– Tak? Poczekaj, aż spróbujesz wina. Cassie, chcę się z tobą ożenić. Mieć z tobą dzieci, wziąć drugiego psa, żeby Steve miał kolegę do zabawy. Czy złość przeszła ci już na tyle, że możesz się zgodzić? Wyjdiesz za mnie?

– Kiedy?

– Najszybciej, jak się da. Gdy tylko Beth poczuje się lepiej. Nie możemy tego zrobić bez twoich przyjaciółek. Są dla ciebie tak ważne, jak dla mnie moja rodzina.

– W takim momencie myślisz o Beth?

– Tak, Cassie. Pomyślałem o niej, bo zobacz, jak wielkie mamy szczęście, jak małe są nasze problemy. Jerod zapewnia, że Beth się wygrzebie, i ja mu wierzę, ale nie stanie się to od razu. Wybacz, że w takiej chwili pomyślałem o...

– Walt! To wspaniałe, że o niej pomyślałeś. One są dla mnie rodziną.

– To jak? Wyjdiesz za mnie? Będziemy mieć tuzin dzieci?

– Wyjdę za ciebie, bo cię uwielbiam. Co do dzieci, to się okaże. Nie wydaje mi się, że mamy tyle czasu, by dorobić się tuzina. I Bogu dzięki.

Przygarnął ją do siebie, wciąż trzymając w rękach tanie kwiaty i kiepskie wino.

– Strasznie cię kocham. Nigdy nie myślałem, że kiedyś mnie to spotka.

– Ja też miałam takie obawy. I pomyśleć, że mogliśmy się nie poznać.

– To było nam pisane. Najważniejsze dla mnie, że nie próbowałaś mnie zmienić. Wiesz, jakie to piękne?

Uśmiechnęła się, zaglądając mu głęboko w oczy.

– Walt, jeśli za ciebie wyjdę i będziemy mieć dzieci, ja zdecyduję, czy i kiedy będą mogły wsiąść na motor. Tylko i wyłącznie ja. Musisz się na to zgodzić.

– Cassie, przecież nie...

– Chcesz, żebym została twoją żoną? Jestem pielęgniarką, zamierzam nadal pracować, a to dla mnie sprawa podstawowej wagi. No to jak?

Nie musiał się zastanawiać.

– Jeśli będziemy je mieć, ty będziesz ustalać reguły. Moja mama już cię polubiła, ale coś mi się widzi, że szybko staniesz się jej ukochaną synową.

– Wiem, że próbowała z wami walczyć i przegrała. Walt, przyjmij do wiadomości, że ja się nie poddam. Do mnie będzie należało ostatnie słowo. Bez mojej zgody żadnych motorów. Tak?

– Tak – powiedział wolno. – Coś jeszcze?

Uśmiechnęła się, objęła go mocno.

– To już wszystko. Nawet nie musisz ubierać tej swojej gołej babki. Wiesz, zaczynam ją lubić. – Pocałowała go. – Naprawdę jesteś super!